



Jolanda Maloy

Piękni, młodzi i bogaci

Jolanda Maloy

Piękni, młodzi i bogaci

Spis treści

- Piękni, młodzi i bogaci
1. Armand i Juliette
 2. Napad
 3. Odwiedziny
 4. Antuanette
 5. Bal
 6. Po zmierzchu
 7. Łoża uczniów
 8. Koncert
 9. Spotkanie przy dębie
 10. Ślub
 11. Przyjazd Paula
 12. Łoża profanki
 13. Listopadowa noc
 14. Machina podświadomości
 15. Lustro pięciu żywiołów
 16. W zamku
 17. Bal dobroczynny
 18. U Elaine i Pierre'a
 19. Bal (w pałacu) u Pierre'a
 20. W sypialni Antuanette
 21. Nad przepaścią
 22. Posiedzenie łoży
 23. Romans Armanda
 24. Walka o wpływy
 25. Poranek i rozstanie
 26. Opera
 27. Porwanie
 28. Wyznania Antuanette
 29. U Michaela
 30. Łzy szczęścia i rozpacz
- Od autorki

*Powieść dedykuję
mojemu przedwcześnie zmarłemu bratu
oraz przyjaciołom
z którymi spędziłam najwspanialsze lata
młodzieńczego życia.*

J. K. Maloy

1. Armand i Juliette

Południe Francji, 1739

W sali panował półmrok. Po rozgwieżdżonym niebie przechadzał się księżyc. Jego jasne światło wpadało do wnętrza komnaty przez strzeliste okna. Granatowe sklepienie, poznaczone srebrnymi gwiazdami, do złudzenia przypominało niebo w środku nocy. Strzeliste sklepienie podtrzymywały dwa filary. Przed każdym stał pięcioramienny lichtarz.

Płomienie świec oświetlały twarze zgromadzonych w komnacie mężczyzn. Na środku, między filarami stał tron, na którym siedział mężczyzna w średnim wieku. W ciemnym oświetleniu jego jasne włosy robiły wrażenie dużo ciemniejszych niż w rzeczywistości. Z jego spojrzenia biła wielka mądrość oraz niespotykana wręcz łagodność. Hrabia Filip de Lapierre, zasiadający na tronie, był aktualnym Mistrzem Łoży.

Tuż przed tronem znajdował się ołtarz. Dalej stał stolik, a na nim trójdzielny świecznik z zapalonymi świecami. Po obu stronach sali, za filarami, stały dwa rzędy wyściełanych krzeseł, na których zasiadali członkowie bractwa.

Rozległo się tępe uderzenie drewnianego młotka, po którym hrabia zabrał głos.

— Usłyszeliśmy przed chwilą od Paula Duvalle, że jego rodzony brat Pierre, prawy i szlachetny młodzieniec, pragnie wstąpić w szeregi masonów. Niespełna pół roku temu skończył dwadzieścia cztery lata, nic więc nie stoi na przeszkodzie, by został członkiem naszego zgromadzenia.

— Bracie Armandzie de Beries, czy zgadzasz się przyjąć do naszego bractwa Pierre'a Duvalle?

— Zgadzam się — odparł niebieskooki blondyn, siedzący jako pierwszy w rzędzie po prawej stronie Mistrza Łoży.

— Bracie Michaelu Roscherie?

— Znam Pierre'a od ponad dwóch lat — odpowiedział siedzący tuż za Armandem ciemny blondyn. — Uważam, że jest godzin wstąpienia w nasze szeregi, jak mało kto.

— Jeanie de Chavannese, jakie jest twoje zdanie na ten temat? — pytał dalej hrabia.

— Również znam Pierre'a osobiście. Może nie tak dobrze jak mój przedmówca, ale wiem, że używa on szpady tylko w obronie pokrzywdzonych. Oczywiście popieram — odparł ciemnooki młodzieniec o długich, czarnych, falowanych włosach.

Każdy następny z pytanych przez Mistrza Łoży mężczyzn poparł kandydaturę, zaproponowaną przez Paula Duvalle.

— W takim razie ogłaszam, że Pierre Duvalle jednogłośnie zostaje przyjęty w szeregi naszego bractwa — mówiąc to, hrabia spojrzął na Paula.

Ten uśmiechnął się lekko pod nosem. Widać było, że jest zadowolony z wyniku przeprowadzonego głosowania.

— Dzisiaj mamy ostatni dzień kwietnia — kontynuował hrabia. — Ponieważ niektórzy z nas będą zajęci w tych dniach osobistymi sprawami — tu spojrzął na Armanda de Beries — ogłaszam zaprzysiężenie Pierre'a Duvalle w dniu dwunastego czerwca.

Znowu rozległo się trzykrotne uderzenie młotka, po którym Mistrz Łoży ogłosił:

— Posiedzenie loży uważam za zamknięte.

* * *

Nastał maj, jeden z najpiękniejszych miesięcy w roku. Nad Niceą zapadał zmrok. Niebo rozgwieździło się milionem gwiazd, wieczór był wyjątkowo ciepły. Dochodziła dziesiąta.

— Jestem wykończona tą podróżą. Chętnie udałabym się na spoczynek — rzekła Juliette do młodszej siostry.

— Naprawdę, mogłabyś tak spokojnie zasnąć po tym, co tu przed chwilą zobaczyłaś? — zdziwiła się Henrietta.

— Widzę, iż pałac zrobił na tobie ogromne wrażenie.

— Pomyśleć, że to wszystko będzie niedługo należało do ciebie. Nie przypuszczałam, że twój narzeczony ma aż tak dobry gust.

— Mnie również zaskoczył przepych, jaki tu zastałam. Czuję w tym jednak rękę jego matki, markizy de Beries.

— Słyszałam, że tu w Nicei, na nadmorskim bulwarze częściej można spotkać Anglika niż Francuza — dodała po chwili Henrietta.

— Dobrze wiesz, iż zarówno ja, jak i Armand mówimy płynnie po angielsku.

Juliette zajęła miejsce przy toalecie z kryształowym potrójnym lustrem. Chwyliła zapinkę, przytrzymującą długie włosy i jednym ruchem rozpostarła je na ramionach. Po chwili odwróciła się w stronę młodszej siostry.

— Poczeszesz mnie? Proszę — powiedziała błagalnym tonem. — A potem ja ciebie. Jak za dawnych lat.

Henrietta ochoczo przystała na propozycję siostry.

— Twoje włosy są takie piękne — oznajmiła wykonując pierwsze ruchy szczotką.

— Naprawdę tak myślisz? — spytała z niedowierzaniem Juliette. — Może

masz rację, jednak dobrze wiesz, że nie do końca jestem zadowolona z ich koloru. Są ani jasne, ani ciemne. Mama twierdzi, że to średni blond. Ja jednak wolałabym być jasną blondynką, tak jak ty.

— Nie doceniasz tego, co masz. Dzięki temu twoje rzęsy i brwi są czarne. Ja, gdybym nie miała brązowych oczu... Henrietta zamyśliła się. — Pamiętasz cicię Klarę..?

— Nie pomyślałam o tym — przyznała Juliette, spoglądając na swoje odbicie w lustrze.

— Aż trudno uwierzyć, że masz jakieś zastrzeżenia do swojej urody. Dobrze wiesz, że mnóstwo kawalerów podkochuje się w tobie. Wielu też starało się o twoją rękę. Pamiętam, jak papa opowiadał o ich minach, gdy dowiadawali się, że jesteś obiecana markizowi de Beries.

Było w tym sporo racji. Młodą hrabiankę Juliette de Lapiere, chociaż nie była typem kokietki, zawsze otaczał wianuszek wielbicieli. A ona zdawała się tego nie zauważać. Przykuwała wzrok mężczyzn delikatnymi rysami twarzy oraz zgrabną sylwetką. Szczególną zazdrość rywalek budziły jej niewiarygodnie długie czarne rzęsy.

— Wiesz, czego ja ci zazdroszczę, Henrietto? Chciałabym mieć tyle lat co ty. Ja w sierpniu skończę dziewiętnaście. Czuję się strasznie stara. Moje koleżanki, z którymi pobierałam nauki u sióstr Zmartwychwstanek, mają już mężów, dzieci, a ja... — w głosie Juliette można było wyczuć nutkę żalu.

— Chciałabyś mieć niespełna siedemnaście lat? Nie wierzę! — zdziwiła się Henrietta. — Zapomniałaś, że to właśnie ty półtora roku temu przełożyłaś ślub z Armandem.

— Oczywiście! Nasza mama była wtedy ciężko chora! Nie mogłaby uczestniczyć w tak ważnej uroczystości. Zapomniałaś?!

— Postąpiłaś słusznie — odparła Henrietta.

Spojrzała na wzburzoną minę Juliette i dodała:

— Nie rozumiem, o co ci zatem chodzi?

— O to, że rok temu, nie kto inny, jak markiza de Beries zaproponowała przełożenie naszych zaręczyn. Chciała, żeby Armand ukończył studia w Paryżu. Poza tym miała nadzieję, że zostanie zakończona budowa pałacu w Nicei. Właśnie tego, w którym teraz jesteśmy.

— I nie myliła się — oznajmiła Henrietta. — Pałac jest już gotowy. Trzeba przyznać, że Armand kupił piękny kawałek ziemi, tuż nad samym morzem. Szkoda, że dzisiaj tak późno przyjechałyśmy, nie zdążyłyśmy obejrzeć ogrodu.

— Nie martw się, wszystko w swoim czasie. Jutro przejdziemy się po ogrodzie.

— Jutro odbędą się wasze zaręczyny.

— Masz rację Henrietto, ale dopiero wieczorem. Ogród zwiedzimy przed

południem, obiecuję ci to.

— W głębi serca trochę ci zazdroszczę — dodała po chwili Henrietta. — Armand de Beries jest przystojny, bogaty i wpatrzony w ciebie jak w obrazek.

— Naprawdę tak sądzisz? — spytała z niedowierzaniem Juliette. — To chyba dobrze, gdy narzeczony kocha swą wybrankę?

— Oczywiście! Wiesz, co mnie często zastanawia? — dodała po chwili namysłu. — Markiza de Beries i nasza mama postanowiły, że zostaniecie małżeństwem, gdy byliście zupełnie małymi dziećmi. Tak naprawdę nikt nie liczył się z waszym zdaniem, a mimo to połączyło was wielkie uczucie.

— Wyobraź sobie, Henrietto, że też często o tym myślałam. Pamiętam dzień, w którym dowiedziałam się, że mam narzeczonego. Miałam wtedy zaledwie kilka lat, sześć, siedem? Nie rozumiałam nawet, co to znaczy. Zastanawiałam się, jak on wygląda. Czy mu się spodoba, gdy mnie po raz pierwszy zobaczy. Kiedy oficjalnie nas sobie przedstawiono, on był już osiemnastoletnim młodzieńcem, a ja dwunastoletnią panienką. Wydał mi się niezmiernie przystojny. Wysoki, gładka twarz i te jasnoblonde włosy ... Takie jak twoje.

— To dlatego się w nim zakochałaś?!

— Może tak, a może nie... Sądzę, że zdecydowało coś więcej, niż kolor jego włosów.

Juliette oczami duszy ujrzała błękitne oczy Armanda oraz jego uśmiechniętą twarz. Jednak nie tylko uroda była atutem młodego markiza. Armand był niezwykle odczytany, inteligencją przewyższał niejednego rówieśnika. Z taką samą pasją rozprawiał o literaturze i sztuce, jak i o naukach ścisłych. Budziło to podziw wielu jego rozmówców. Juliette miała wrażenie, że nie ma dziedziny życia, na której by się nie znał.

— Henrietto — zwróciła się znów do siostry — pamiętasz rozmowę, którą przypadkowo kiedyś podsłuchałyśmy?

— Masz na myśli wyznanie markizy w rozmowie z naszą mamą?

— Tak. Mówiła, że Armand jest jej niezmiernie wdzięczny za wybór narzeczonej.

— Pamiętam, Armand podobno zwierzył się matce, iż pokochał cię od pierwszego wejrzenia. To takie romantyczne — westchnęła Henrietta.

— Szkoda, że młodszy syn markizy, François nie poczuł tego samego do ciebie.

— Siedem lat temu był jeszcze dzieckiem. Miał jedenaście, najwyżej dwanaście lat. Dobrze wiesz, że chłopców w tym wieku nie interesują dziewczęta. Zresztą, gdy z nim rozmawiam, mam wrażenie, że jedyną jego miłością jest literatura.

— Widocznie jeszcze żadna kobieta nie zawładnęła jego sercem — stwierdziła Juliette. — Podobno François sam pisze wiersze.

Powiedziała to, sadząc, iż siostra spojrzy łagodniejszym okiem na młodszego syna markizy. Na Henriecie nie zrobiło to jednak najmniejszego wrażenia. Wzruszyła ramionami.

— Nie sędę, żeby z poezji można było utrzymać żonę i dzieci. Zapomniałaś, że cały majątek dziedziczy pierworodny syn.

Juliette spojrzała na nią nieco zdziwiona. Pragnęła, żeby Henrietta była szczęśliwa. Traktowała ją nie tylko jak młodszą siostrę, ale również jak przyjaciółkę. Nic dziwnego, razem się wychowały, czytały te same książki, słuchały tej samej muzyki. Były dla siebie nawzajem powierniczkami najskrytszych tajemnic.

* * *

Na błękitnym niebie płynęły leniwie białe obłoczki. Zapowiadał się ciepły, słoneczny dzień. Nie było w tym nic dziwnego. W Nicei prawie zawsze świeciło słońce.

Po porannym posiłku młodzież, czyli Juliette, Henrietta, Armand oraz jego młodszy brat François postanowili zjeść deser na tarasie.

— Proponuję spacer — odezwał się młody markiz, widząc, że obie panienki kończą dopijać czekoladę.

Armand de Beries, chociaż skończył już dwadzieścia pięć lat, wyglądał dużo młodziej. Zapewne za sprawą gładkiej, niemal chłopięcej twarzy. Szczególnego uroku dodawały mu błękitne oczy, osadzone w ciemnej oprawie brwi i rzęs.

— Sędę, że przechadzka po ogrodzie dobrze nam wszystkim zrobi — odpowiedziała Juliette, zerkając w stronę siostry.

Domyślała się, że Henrietta będzie szczególnie zachwycona tym pomysłem. Już wczoraj wieczorem, zaraz po przyjeździe, chciała obejrzeć ogród, jednak mama jej odradziła.

Armand podał dłoń młodej hrabiance, odwracając się w stronę François. Ten, domyśliwszy się, w czym rzecz, podszedł do Henrietty.

— Będę zaszczycony móc towarzyszyć panience — rzekł podając jej dłoń.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego życzliwie. Widać było, że rozpięła ją energia. Siedzenie na tarasie najwyraźniej już ją trochę znużyło.

Za chwilę cała czwórka zeszła rozłożystymi schodami wprost do ogrodu. Juliette i Armand szli w pierwszej parze. Kilka kroków za nimi kroczyła dumnie Henrietta u boku François.

Po przejściu niespełna kilkunastu metrów Juliette stanęła. Rozejrzała się. Zauważyła, że posadzoną tu roślinność dobrano z dużą starannością. Ogród robił wrażenie wprost baśniowego.

— Jak tu pięknie! — nie mogła powstrzymać się od wyrażenia zachwytu.

— Wiedziałem, że ci się spodoba, najdroższa — z radosnym uśmiechem oznajmił Armand.

Dobrze wiedziała, co narzeczony ma na myśli. Zarówno pałac, jak i ogród były ślubnym prezentem dla niej, jego przyszłej małżonki. Nic nie odpowiedziała, spuszczając skromnie oczy. Wtedy on mógł dostrzec jej niewiarygodnie długie rzęsy.

Trzeba przyznać, że Juliette wyglądała wyjątkowo powabnie. Jej gęste włosy, zakręcone tego dnia w grube loki, opadały na odkryte ramiona. Miała na sobie suknię w kolorze lodów waniliowych. Obcisły gorset, podkreślający jej wąską talię, i szeroki dół sutej krynoliny sprawiały, że wyglądała bardzo dziewczęco. W dłoni trzymała białą parasolkę. Miała chronić jej twarz przed palącym niemiłosiernie słońcem.

Kiedy Juliette się zatrzymała, podziwiając roślinność, Armand stanął naprzeciwko niej. Stali przez chwilę w milczeniu, wpatrzeni w siebie, jakby zapomnieli o całym świecie.

— Może przejdziemy w głąb ogrodu?! — usłyszeli nagle głos François.

Oderwali od siebie wzrok. Juliette wydała się mocno zmieszana. Armand wprost przeciwnie. Uśmiechnął się do brata.

— Dobry pomysł. Pozwól za mną, kochanie — podał dłoń narzeczonej.

Cała czwórka skierowała się ku miejscu, gdzie po obu stronach alejki kwitły krzewy migdałowca. Kolor ich kwiatów aż raził w oczy mocnym różowym odcieniem.

— Czuję się jak w ogrodzie z bajki — Juliette wciąż nie mogła oprzeć się zachwytowi.

Widać było, że młody markiz jest kontent z reakcji swej wybranki. Zrobił przecież wszystko, żeby zarówno pałac, jak i ogród wyglądały imponująco.

— Obejrzyj się, proszę — odezwał się Armand, chwytając Juliette za ramię. — Spójrz na pałacyk. Jak znajdujesz go z tej perspektywy?

Pałac także robił wrażenie baśniowego. Stojąc na niewielkim wzniesieniu, górował nad resztą ogrodu. Z tarasu prowadziły rozłożyste schody, mieszczące się zarówno po jego lewej, jak i prawej stronie. Na dole łączyły się w jedną całość.

Okazały pałac cieszył oczy nietypową architekturą. Szczególnie tu, od strony ogrodu, znajdowało się wiele balkonów i balkoników. W kolorze polnego maku świetnie współgrały z kremowym odcieniem pałacowych ścian. Pożłacane ozdoby na szczycie oraz wiązania dachu lśniły w jasnym słońcu jak drogie klejnoty.

Armand widział po minie wybranki, że widok ją urzekł. Nie chciał więc jej dręczyć dalszymi pytaniami. Spojrzał na Henriettę, kroczącą kilka metrów za nimi u boku François. Sądząc po jej minie, mógł się domyślać, że pałacyk i na niej zrobił duże wrażenie.

Po krótkiej chwili spacerujący znaleźli się w ogrodzie o zgoła odmiennym

charakterze. Królowały tu drzewka cytrusowe, palmy oraz agawy. Między nimi rósł młody wawrzyn, mający niespełna metr wysokości. Jeszcze mniejsze były drzewka mirty. Przykuwały one wzrok zwiedzających pięknymi białymi kwiatami.

W pewnym momencie Armand nachylił się i szepnął do ucha Juliette:

— Uciekniemy im?

Spojrzała na niego z niedowierzaniem. Chociaż znała go od dzieciństwa, nie posądzała o tego rodzaju żarty.

— Naprawdę byś to zrobił?

Uważała narzeczonego za osobę bardzo poważną pomimo młodego wieku. Wydawał się jej taki wyważony, zawsze postępujący według ustalonych zasad. Jakże odmienny od niej, pełnej emocji i spontaniczności.

Armand tymczasem chwycił ją za rękę i pociągając za sobą, pobiegł tak szybko, że ledwo mogła za nim nadążyć.

— Poczekaj, gdzie się tak spieszysz? — spytała zasapana.

— Chcę ci pokazać coś jeszcze.

Mówiąc to, podprowadził ją do misternie rzeźbionej balustrady, wykonanej z jasnego piaskowca. Przed nimi rozpościerał się niezwykle widok.

Juliette spojrzała przed siebie i ujrzała lazurową toń Morza Śródziemnego. Daleko, na horyzoncie, woda niemal zlewała się z błękitem nieba.

— Jak tu pięknie. Czy to aby nie sen?

— Daję słowo, że nie — odpowiedział Armand z uśmiechem. — Pragnąłem, żeby ten pałac i ogród zrobiły na tobie ogromne wrażenie. Udało mi się, mam nadzieję?

— Jest piękniejszy, niż mogłabym sobie wymarzyć. Wprost nie dowierzam, że będziemy tu mieszkać. A ten widok...

— Wiedziałem, że urzeknie cię to miejsce — na jego twarzy pojawił się ponownie uśmiech zadowolenia.

— Tak dobrze mnie znasz? — zdziwiła się.

— Nie rozumiem, skąd to zdumienie? — Spojrzał w jej szmaragdowe oczy. — Przecież znam cię od dziecka.

Juliette spuściła wzrok. Armand pogładził ją delikatnie po policzku. Następnie uniósł lekko jej małą bródkę i zatopił wzrok w turkusowych oczach narzeczonej. Widząc speszoną i zakłopotaną minę dziewczyny, puścił jej twarz.

— Chyba już najwyższy czas na niespodziankę.

— Niespodziankę?! — zdziwiła się.

— Pozwól za mną — zakomunikował chwytając ją za rękę.

Juliette z zaciekawieniem udała się alejką, którą wskazał Armand. Wzdłuż niej rosły drzewka cytrusowe oraz młode palmy. Widać było, że są niedawno posadzone, gdyż ich wysokość nie przekraczała dwóch metrów.

Jak urosną, będzie tu pięknie, pomyślała.

Spojrzała w bok i w odległości kilkunastu metrów ujrzała fontannę. Tryskająca do góry woda wylewała się z wielkiej marmurowej rzeźby, przypominającej kwiat lotosu. Na dole z wody wyłaniały się trzy małe delfinki. Całe były pomalowane na złoty kolor. Z ich pyszczków wytryskiwały strumienie wody.

Juliette podbiegła bliżej. Usiadła na marmurowym brzegu fontanny i ciesząc się jak dziecko, zamoczyła koniuszki palców w lazurowej wodzie.

— Nie wspominałeś nic o fontannie!

— Przecież to miała być niespodzianka.

Juliette, nie zwracając uwagi na narzeczonego, ciągle siedziała, zanurzając dłoń w wodzie.

— Nie przypuszczałem, że sprawię ci taką radość.

Na te słowa Juliette wstała i spojrzawszy w oczy Armanda, powiedziała nieśmiało:

— Chyba czytasz w moich myślach.

— Chciałbym — ujął jej dłoń, przyłożył do ust i pocałował.

Speszyła się. Spuściła skromnie oczy, a na jej twarzy pojawił się rumieniec.

— Za chwilę będą się zjeżdżać goście, powinniśmy już wracać — oznajmiła, spojrzawszy w jego błękitne oczy. Na twarzy Armanda pojawił się lekki uśmiech.

Przez chwilę stali wpatrzeni w siebie. Czuli się tak, jakby czas się zatrzymał.

— Tu jesteście! — usłyszeli nagle głos François.

Towarzyszyła mu Henrietta. Zauważywszy ich, Juliette, nieco speszona, pospiesznie wyrwała dłoń z objęć Armanda.

— Właśnie mieliśmy wracać — oznajmiła.

Rozłożyła jasną parasolkę i szybkim krokiem udała się w drogę powrotną. Armand, niewiele myśląc, przyspieszył kroku i dogonił ją.

— Służę swym ramieniem — rzekł z uśmiechem na ustach. — Wrócimy inną drogą. Może nie będzie tak widowiskowa, ale za to sporo krótsza.

Juliette nic nie odpowiedziała. Posłusznie chwyciła narzeczonego pod ramię.

2. Napad

Nastało piękne majowe popołudnie. Na błękitnym niebie nie było ani jednej chmurki.

Czarna karetą, zaprzężoną w sześć karych koni, mknęła z Nicei do Montpellier. Po obu stronach drogi rozciągały się zielono-fioletowe wzgórza. To za sprawą kwitnących kwiatów lawendy oraz plantacji winogron.

Do rodzinnego domu wracały obie hrabianki de Lapierre. Towarzyszyła im guwernantka Henrietty, panna Venessa Marsin. Była to kobieta dwudziestoosmioletnia, wyglądała jednak dużo młodziej, zapewne dzięki szczupłej, zgrabnej sylwetce.

W podróż powrotną narzeczonej Armand de Beries oddelegował dwóch zbrojnych ludzi. Wszyscy twierdzili, że zachowuje się irracjonalnie, tak jakby się czegoś obawiał. Jednak on nic sobie nie robił z tych uwag. Bezpieczeństwo narzeczonej było dla niego najważniejsze.

— Cóż za wspaniały widok! — odezwała się Juliette, wychylając lekko głowę przez otwarte okno karety.

— Chciałabym już być w domu — odpowiedziała Henrietta, nie dzieląc entuzjazmu siostry.

Robiła wrażenie zmęczonej wielogodzinną podróżą.

— W pałacu panienek będziemy dopiero wieczorem — odezwała się panna Marsin.

Patrząc na nią, miało się wrażenie, że ulubionym jej kolorem jest czerń. Suknię w takim właśnie kolorze miała na sobie również dzisiejszego dnia. Uważała, że ciemny strój jest najbardziej praktyczny, szczególnie w daleką podróż. Na wierzch miała narzuconą cienką pelerynkę w kolorze bordo. Jak twierdziła, poranki i wieczory są jeszcze chłodne. To samo doradzała dziewczętom. Jednak młode hrabianki nie bardzo liczyły się z jej zdaniem.

Juliette miała na sobie suknię w kolorze fuksji. Górę stanowił obcisły gorset z głębokim dekoltem. Szyję zdobiła czarna aksamitka. Odkryte ramiona osłaniał szal z połyskującej tafty, w kolorze zgaszonego różu. Jej długie włosy, zakręcone tego dnia w grube loki, spinała klamra z kości słoniowej. Jednak znaczna ich część opadała na odkryte ramiona. W uszach można było zauważyć szafirowe kolczyki, kształtem przypominające zwisające łezki.

Henrietta tego dnia miała na sobie nieco skromniejszą suknię. Mama dziewcząt uważała, że szesnastolatka nie powinna tak bardzo eksponować ciała, dlatego też dekolt jej błękitnej sukni zakrywała suto marszczona koronka. Młodość zdobi młodość, tak mawiała hrabina Natalie de Lapierre. Zapewne też dlatego długie włosy Henrietty zostały związane z tyłu dużą szafirową kokardą.

— Ostatnie dni dostarczyły mi tylu wrażeń, że chętnie odpocznę w domu — oznajmiła Juliette trochę znużonym głosem.

— Nie dziwię ci się — odparła Henrietta. — Muszę przyznać, że przyjęcie zaręczynowe wypadło wyśmienicie. Wyglądałaś tak ładnie w tej kremowej sukni, ozdobionej perełkami. Aż zaparło mi dech...

— Naprawdę? — zdziwiła się Juliette.

— Gdybyś zobaczyła miny wpatrzonych w ciebie mężczyzn. Suknia zrobiła ogromne wrażenie, również na twoich rywalkach. I te szafirowe kolczyki...

Henrietta najwyraźniej rozmarzyła się. Następnie spojrzała na siostrę i dodała, nie kryjąc zdziwienia.

— Masz je na sobie?!

— Uważasz, że nie powinnam zakładać tych kolczyków? Pierścionek zaręczynowy też mam na palcu — dodała z lekkim przekąsem.

Mówiąc to zdjęła z prawej dłoni białą jedwabną rękawiczkę. Oczom podróżujących kobiet ukazał się złoty pierścionek z okazałym szafirowym oczkiem oraz drobnymi brylancikami.

— Ten pierścień i te kolczyki musiały sporo kosztować — stwierdziła Henrietta.

Jednak Juliette nie słuchała już siostry. Jej myśli krążyły gdzieś daleko. Przypomniała sobie moment, kiedy Armand jej się oświadczył. Zamknęła oczy i ujrziała szczęśliwą twarz mamy. Wiedziała, że spełniło się jej największe marzenie. Potem przypomniała sobie twarz Armanda w chwili pożegnania. Widać było, że jest szczęśliwy, gdy oprócz pierścionka zaręczynowego zauważył również kolczyki.

— Armand ucieszył się, że je założyłam — oznajmiła.

— To oczywiście, przecież to prezent od niego.

— Przepraszam, że przerwę rozmowę panienek — wtrąciła panna Marsin. — Może bezpieczniej byłoby zdjąć kolczyki oraz pierścień i schować do woreczka. Lepiej nie kusić losu. Najroztropniej postąpiłaby panienska, oddając te klejnoty rodzicom, gdy wracali do domu.

— Może ma pani rację, lecz mama i papa wyjechali zaraz po zaręczynach. Zresztą, jak mogłabym zdjąć z palca pierścionek, który dostałam od narzeczonego!

Juliette robiła wrażenie oburzonej na samą myśl o tym.

— Słyszałam, że zdjęcie zaręczynowego pierścionka to zła wróżba dla związku.

Chociaż nie uważała się za osobę przesadną, wolała nie sprawdzać tego na własnej skórze.

— Rozumiem — odparła panna Marsin bez entuzjazmu w głosie.

Wtem dał się słyszeć wyraźny odgłos wystrzału z broni palnej. Spłoszone konie zaczęły gnać jak oszalałe. Juliette i Henrietta spojrzały na siebie przerażone.

Kareta mknęła teraz przez las z zatrważającą szybkością. Konie ciągnęły ją od pobocza do pobocza drogi. Najwyraźniej nikt nimi nie kierował. Obie hrabianki sparaliżował strach, do tego stopnia, że nie mogły wydobyć z siebie słowa.

Panna Marsin, chociaż dużo od nich starsza, była bliska omdlenia. Wszystkie trzy dobrze wiedziały, co to oznaczało. Stangret był ranny i nie miał siły utrzymać lejców w dłoniach, albo, co gorsza, już nie żył.

— Coś się musiało stać... — wydusiła z siebie Juliette.

Henrietta, cała drżąca, przytuliła się do niej.

— Mam nadzieję, że to nie napad? — odezwała się panna Marsin.

— Jeśli nawet, to wierzę, że ci dwaj mężczyźni, przydzieleni nam do obrony, poradzą sobie — odparła Juliette z nadzieją w głosie.

Wtem karoca stanęła. Najwyraźniej komuś udało się zatrzymać spłoszone konie. Dziewczęta usłyszały zza okna jakieś męskie głosy. Chwilę potem doszedł je dźwięk uderzających o siebie szpad. Juliette zerknęła przez uchylone okno. Ujrzała dwóch walczących ze sobą mężczyzn. Poznała, że żaden z nich nie należał do ochrony przydzielonej im przez Armanda.

To, co rzuciło się jej w oczy, to uroda jednego z nich. Długowłosego młodzieniec okazał się bardzo zręczny i szybki we władaniu szpadą. Zmieniał co chwila sposób walki, atakując przeciwnika z dwóch różnych stron. Robił to wszystko w tak zadziwiająco krótkim czasie, że tamten z trudem odpierał jego ciosy.

— Nie zabijaj go, tylko odbierz mu szpadę! — usłyszała głos innego mężczyzny.

Nie mogła jednak dojrzeć rozmówcy. Bała się wychylić głowę przez otwarte okno karety.

Szpada wyłuskana z rąk jednego z rabusiów frunęła o kilkanaście metrów dalej. Obaj walczący ze sobą mężczyźni skoczyli po nią niemal jednocześnie. Jeden, by ją zabrać, drugi, by mieć czym dalej walczyć. Gdy odziany w czarny, mocno poszarpany strój, mężczyzna dosięgnął dłonią szpady, młodzieniec postawił na niej nogę. Następnie oparł swoją szpadę na piersi obalonego przeciwnika.

— Daruj mi życie, panie — rzekł tamten błagalnym głosem.

— Nie jestem mordercą — odparł młodzieniec. — Jeśli cię jeszcze tu kiedyś zobaczę, nie daruję!

Mężczyzna, który wypowiadał te słowa, był wysokim, szczupłym szatynem. Po dość wytwornym stroju można było się domyślić, że jest szlachcicem. Odziany w granatowy surduty, czarne spodnie oraz brązowe skórzane buty, sięgające aż za kolana, wyglądał dość wytwornie. Jego głowę zdobił granatowy kapelusz z białymi piórami.

— Wydaje mi się, że ktoś przyszedł nam z pomocą — oznajmiła panna Marsin, wyglądając ostrożnie przez uchylone okno.

Juliette pomyślała, że powinna zdjąć kolczyki, bo za bardzo rzucają się w oczy. Uniosła obie dłonie do prawego ucha, szukając jednego z nich, gdy w tym momencie drzwi karety otworzyły się. Przerażona spojrzała w tamtą stronę i ujrzała wysokiego młodego mężczyznę. Młodzieniec szarmanckim ruchem zdjął z głowy kapelusz i wtedy Juliette dostrzegła piękne jasne włosy. Lśniły złotym blaskiem, odbijając chyba całe światło słońca.

— Jesteście panie już bezpieczne — rzekł spojrzawszy na Juliette.

To dziwne, nie znała go, ale jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej, że może mu zaufać, że przy nim nie stanie jej się żadna krzywda.

— Z kim mamy przyjemność? — spytała zerknąwszy w szaroniebieskie oczy młodzieńca.

— Pierre Duvalle, do usług — przedstawił się.

Juliette wolno i z pietyzmem podała mu dłoń. Jasnowłosy młodzieniec, spojrzawszy w jej oczy, stanął jak zahipnotyzowany. Patrzył tylko na nią, jakby w karecie nie było innych kobiet.

Juliette również nie była w stanie oderwać wzroku od oczu młodzieńca. Wpatrzona w jego twarz, zauważyła, że wyglądał bardzo młodo, chociaż domyślała się, że skończył już dwadzieścia lat. Widziała wpatrzona w siebie oczy, szaroniebieskie jak niebo w lekko zachmurzony dzień.

Wreszcie po kilku minutach, które dla obserwatorów z zewnątrz wydawać się mogły wiecznością, odpowiedziała na zadane przed chwilą pytanie.

— Ma pan przyjemność z hrabianką de Lapierre, Juliette de Lapierre. To moja młodsza siostra — wskazała Henriettę — oraz panna Marsin — wskazała guwernantkę, siedzącą naprzeciwko.

— Młodzieńcze, chciałobyśmy dowiedzieć się, co tak naprawdę się wydarzyło. Gdzie są jeźdźcy przydzieleni nam do ochrony? Co stało się ze stangretem? — panna Marsin dosłownie zalała Pierre'a lawiną pytań.

W tym momencie, w oknie po przeciwnej stronie karety, ukazał się jeden z mężczyzn, przydzielonych przez Armanda de Beries do ochrony. Wyglądał nie najlepiej. Odzież miał poszarpaną, jak się można było domyślić, za sprawą czyjejś szpady. Trzymał się lewą ręką za prawe ramię. Prawdopodobnie w wyniku walki doznał niegroźnych obrażeń.

— Może panienka zaufać tym młodzieńcom — zwrócił się do Juliette. — Gdyby nie oni, nie wiem, jak by się to wszystko skończyło. Napastników było aż dziesięciu.

— Stangret ma przestrzelone ramię! Musimy się pospieszyć! — usłyszały głos innego mężczyzny.

— Mnie już panienki poznały — rzekł Pierre Duvalle. — A oto mój brat bliźniak, ma na imię Paul — złotowłosy mężczyzna odwrócił się w stronę szatyna.

Juliette poznała, że to właśnie jego walkę obserwowała z okna karety. Drugi

młodzieniec był równie przystojny, jak jego brat. Miał jednak włosy dużo ciemniejsze. Gdy podszedł, by na przywitanie pocałować jej dłoń, zauważyła, że jego oczy są niewiarygodnie błękitne.

Zdziwiło ją nieco, że obaj młodzieńcy są bliźniakami, a tak się od siebie różnią. Słyszała jednak, że nie wszyscy bliźniacy są identyczni. Na pewno był to właśnie taki przypadek. Jej rozmyślania przerwał nagle stanowczy męski głos.

— Proponuję już ruszać!

Drugi z mężczyzn przyprowadził stangreta, który ledwo trzymał się na nogach i coś majaczył pod nosem.

— Za pozwoleniem pańienek, ten biedak powinien jechać w karecie. Jest ciężko ranny i nie da rady usiedzieć na koźle.

— Oczywiście! — hrabianki odezwały się niemal chórem.

Tak więc młodzieńcy podprowadzili woźnicę i posadzili na wolnym miejscu obok panny Marsin.

Trzeci z mężczyzn, już nie tak przystojny jak jego koledzy, był średniego wzrostu, włosy miał ani ciemne, ani jasne, a pod nosem lekki zarost, co powodowało, że wydawał się nieco starszy od pozostałych. Jedną ręką trzymał się za udo i lekko kulał. Zdjął kapelusz, zniżył głowę i przedstawił się.

— Michael Roscherie, do usług pańienek. Jeśli pańienki pozwolą, zajmę miejsce stangreta i będę powoził karetą.

— Jesteś panie ranny? — spytała zaniepokojona panna Marsin.

— Tak, ale to tylko draśnięcie — pocieszył ją Michael. — Właśnie dlatego wolę usiąść na koźle, niż jechać konno — wyjaśnił.

Damy udały, że zrozumiały jego logiczne wytłumaczenie. Nie miały innego wyjścia, jak zdać się na łaskę nieznajomych. Musiały im zaufać.

— Odwieziemy pańienki bezpiecznie do domu — zaproponował Paul. — Wkoło są same lasy. Nie wiadomo, co się jeszcze może wydarzyć.

— Chyba nie mamy wyboru — rzekła Juliette, ciesząc się w duszy, że sprawy przybrały taki obrót.

Kareta powoli ruszyła z miejsca. Obaj nowo poznani młodzieńcy jechali na koniach. Jeden z nich, ten o imieniu Paul, prowadził obok siebie konia rannego Michaela. Jego brat Pierre przyspieszał od czasu do czasu, żeby móc spojrzeć w okno, w którym można było dojrzeć Juliette. Chociaż starał się to robić dyskretnie, hrabianka czuła na sobie jego wzrok. Jakaś niewidzialna siła ciągnęła go do niej. Widział ją po raz pierwszy w życiu, a miał wrażenie, jakby znał ją od wielu lat.

— O czym tak rozmyślasz, braciszku? — spytał go Paul.

— O tym, co się nam dzisiaj przydarzyło.

Paul spojrział na niego, uśmiechnął się pod nosem i dodał:

— Spodobała ci się jedna z nich? Nie zaprzeczaj, znam cię.

— Tak bardzo rzuca się to w oczy? — zaniepokoił się Pierre.

— Może dla innych nie, ale przecież jesteś moim bratem. Tak rozmarzonego widzę cię po raz pierwszy.

— Masz rację. To co poczułem, patrząc w jej oczy, nie zdarzyło mi się jeszcze nigdy w życiu.

— Oj, źle z tobą! Czuję, że wpadłeś po same uszy.

— Do tej pory żadna kobieta nie zrobiła na mnie takiego wrażenia — mówił dalej Pierre i widać było, że mówi szczerze.

Kareta mknęła przez pola, łąki, lasy. Henrietta spoglądała w okno sennym wzrokiem.

— Chyba zbliżamy się do domu! — ożywiła się nagle. — Poznaję po tym rozłożystym dębie.

— Masz rację, Henrietto — odpowiedziała Juliette, wychylając lekko głowę przez okno.

Na rozstaju dróg rósł okazały dąb. Przewyższał swą wielkością inne dęby, rosnące w tej okolicy. Chociaż była to odmiana dębów karłowatych, z trudnością można go było zaliczyć do tego gatunku. Jego rozłożyste gałęzie były widoczne z odległości kilku kilometrów. Nic dziwnego, dookoła rozciągały się tylko plantacje winorośli oraz pola porośnięte lawendą.

Dzień chylił się ku zachodowi. Kareta mknęła tak szybko, jakby powożący nią chciał dotrzeć do celu jeszcze przed nocą. Juliette wyjrzała przez okno. Jej oczom ukazał się przepiękny widok. Między dwoma wzgórzami widniała wielobarwna, rozbłyskująca poświata. Tarcza słońca tworzyła jasne, złociste półkole. Wyżej rozpościerała się czerwona łuna. Ponad wszystkim kłębiły się na przemian granatowe i pomarańczowe chmury. Zupełnie jakby zbierało się na burzę. A za chwilę, wprost przeciwnie, ciemne chmury odpływały, ustępując miejsca promieniom słońca.

Nim się zorientowała, kareta znalazła się na przedmieściach Montpellier.

* * *

Hrabia Filip de Lapierre oraz jego żona Natalie niecierpliwie wypatrywali powrotu córek. Widząc karete, wjeżdżającą przez bramę, oboje wybiegli na pałacowy dziedziniec.

— Co tak późno? Czy coś się stało? — spytała hrabina wychodzącą właśnie z karety pannę Marsin.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, zauważyła niespodziewanych gości. Mocno zaskoczona spojrzała na męża.

W tym czasie Pierre zeskoczył z konia. Podszedł szybkim krokiem do hrabiego i jego małżonki.

— Z kim mamy przyjemność? — spytał hrabia de Lapierre.

— Pierre Duvalle, do usług — rzekł młodzieniec, całując dłoń hrabiny.

Hrabia de Lapierre kiwnął głową na przywitanie. Gdy ujrzał Paula, zeskakującego z konia, na jego twarzy dało się zauważyć pewien rodzaj ulgi. Młodzieniec uśmiechnął się do niego dyskretnie. Następnie podszedł do hrabiny i skłonił się nisko.

— Paul Duvalle, do usług. Na powóz państwa córek napadli w lesie bandyci. Przybyliśmy w samą porę.

— Gdyby nie ci młodzieńcy, nie wiem, co by się stało — oznajmiła panna Marsin.

— Woźnica oraz jeden ze zbrojnych ludzi potrzebują pomocy medyka — oznajmił Paul.

Odwrócił głowę w stronę karocy i zobaczył, jak Michael schodzi z kozła. Następnie, domyśliwszy się, że hrabia nie zna jego brata, zakomunikował:

— Oto mój brat, Pierre Duvalle.

Młodzieniec ponownie się skłonił. Hrabia uśmiechnął się życzliwie do obu kawalerów. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w tym momencie pojawiła się przy nich Juliette. Wybiegła z karocy i błyskawicznie zjawiała się obok rodziców.

— Proszę mamy! Gdyby nie ci trzej kawalerowie, nie wiem, co by się z nami stało! Bandyci napadli na nas, gdy jechaliśmy przez las! — mówiła szybko, jakby chciała jednym tchem opowiedzieć całą historię.

— Opowiesz nam wszystko przy wieczerzy — hrabina starała się pohamować emocje córki. — Zapraszam wszystkich na poczęstunek — rzekła i spojrzała w stronę męża, czekając zapewne na aprobatę z jego strony.

— Oczywiście, kochanie. Nasze córki zawdzięczają tym młodzieńcom zdrowie, a może nawet życie. Myślę, że panowie zasłużyli nie tylko na poczęstunek, ale również na nocleg.

W tym momencie Michael dołączył do Paula i Pierre'a. Hrabia na jego widok wyraźnie się rozpromienił. Uśmiechnął się do żony.

— Przecież to Michael Roscherie. Kochanie, poznajesz?

— Poznaję, mieliśmy przyjemność spotkać się z panem na jednym z balów u Izabelli... u markizy de Beries — poprawiła się.

— Ależ oczywiście. Przyjaźnię się z synem pani markizy, Armandem. Często bywam na tamtejszych przyjęciach — odpowiedział młodzieniec.

— Jaki ten świat mały — zdziwiła się hrabina.

Po krótkim namyśle dodała:

— Jestem pewna, że gdybym panów nie przenocowała, markiza gotowa by się na nas obrazić. Przy wieczerzy poproszę o szczegółową relację z tego, co się wydarzyło.

— Zapewne to dobry pomysł, ale teraz proponuję wezwać medyka. Należy

opatrzyć rannych — oznajmił Michael.

— Sprowadzić medyka! — krzyknął hrabia do służby. — Jaśnie panów zaś proszę na pokoje.

* * *

— Proszę o wybaczenie, ale pokojówki nie przygotowały jeszcze wszystkich pokojów — oznajmiła hrabina de Lapierre.

— Proszę się nie kłopotać, przywykliśmy do niewygód — odparł Pierre.

— Najwyżej posiedzimy trochę dłużej przy kominku — dodał Paul.

— W takim razie życzę dobrej nocy — odpowiedziała hrabina. — Jeśli panowie pozwolą, udam się już na spoczynek.

— Dobrej nocy — odpowiedzieli obaj młodzieńcy, kłaniając się.

Kiedy zostali sami, Pierre podszedł do tłęcego się kominka. Staął, wpatrując się w palące się w nim drzewce. Paul zbliżył się do brata. Opierając dłoń o marmurowy blat, spytał:

— O czym tak rozmyślasz?

— Nie domyślasz się? O kobiecie, którą dziś poznałem, o Juliette de Lapierre.

— Widzę, że źle z tobą. Jeszcze w takim stanie cię nie widziałem.

— Nie żartuj, mówisz mi to już dzisiaj drugi raz — oburzył się Pierre. — Nie wiem dlaczego, ale nie mogę przestać o niej myśleć.

— Przecież znasz ją zaledwie od kilku godzin!

— Właśnie, to dziwne. Czuję się, jakbym znał ją od dawna.

— Nie wiem, czy zauważyłeś, ale ona jest córką hrabiego, a ty prostym szlachcicem. Mam nadzieję, że jej to nie przeszkadza.

— Wcale mi tym nie pomagasz. Sądzisz, że o tym nie wiem? Mam nadzieję, że ona poczuła to samo, co ja. Może jutro nadarzy się okazja, żebyś z nią porozmawiał. Wybadał, co o mnie myśli.

— Ja?! — zdziwił się Paul. — Chciałbyś, żebyś wywnioskował, jakie na niej zrobiłeś wrażenie?

— Proszę — błagalnym głosem rzekł Pierre.

Paul spojrział na niego z niedowierzaniem. Gdzie podział się jego bez troski brat?

W tym momencie pojawiła się pokojówka, oznajmiwszy, że jeden z pokojów jest już gotowy.

— Idź na górę, odpocznij — rzekł Pierre. — Ja i tak nie mógłbym zasnąć.

Młodzieniec postanowił wykonać polecenie brata. Pierre został w salonie

zupełnie sam. Oparty o kominek, wyglądał tak, jakby ogrzewał się jego ogniem. Jednak tak naprawdę, myślami był daleko stąd. W swej wyobraźni ujrzał Juliette, jej seledynowe oczy. Wiedział, że to miłość od pierwszego wejrzenia. Nieraz o niej słyszał, jednak nie przypuszczał, że ją kiedyś spotka.

Nagle jego rozmyślania przerwał znajomy głos.

— Nie jesteś, kawalerze, zmęczony?

Odwrocił się. Przed nim stała Juliette. Miała na sobie powiewny peniuar w kolorze jasnego błękitu. Jej rozpuszczone długie włosy sięgały prawie do pasa. Wyglądała jak nimfa morska.

— Czekam, aż służba przygotuje dla mnie pokój — odpowiedział.

— Przepraszam za tę niedogodność. Powiem, żeby się pospieszyli. Chciałabym, żeby panowie wspominali mile wizytę w naszym domu.

— Zapewniam panienkę, że tak właśnie będzie.

— Miło mi to słyszeć — odpowiedziała uszczęśliwiona.

Wyglądała jeszcze ładniej niż za dnia. Zapewne za sprawą tych włosów.

Czując na sobie wzrok młodzieńca, zmieszała się trochę. Spojrzała w dół. Wtedy Pierre ujrzał jej długie czarne rzęsy. Przez chwilę stali w milczeniu. Po chwili Juliette rzekła nieśmiało.

— Zupełnie zapomniałabym. Moja siostra zgubiła bransoletkę. Gdy siadaliśmy do wieczerzy, miała ją jeszcze na ręku. Sądzi więc, że musiała jej się odpiąć podczas kolacji.

— Chętnie pomogę panience szukać zguby — rzekł Pierre, nieco zaskoczony, że widzi tu Juliette, a nie Henriette.

Juliette, niemal czytając w jego myślach, oznajmiła.

— Henrietta dobrze wie, że gdyby o tak późnej porze pojawiła się tu, na dole, wzbudziłaby niepotrzebną ciekawość służby. Wolą ją tego uniknąć i dlatego poprosiła mnie o pomoc. Rodzice uważają mnie za starszą i rozsądniejszą.

— A tak nie jest?

— Do tej pory tak właśnie było.

— Czyżby miało się coś zmienić? — roześmiał się Pierre.

— Chyba nie, ale nie mogę za to ręczyć.

— Wracając do zguby, postaram się panience pomóc.

— Będę bardzo wdzięczna. Henriecie bardzo na tym zależy. Dostała bransoletkę w prezencie od naszej mamy. Jest to pamiątka, przechodząca z pokolenia na pokolenie. Nie chcę nawet myśleć, jak bardzo mama zmartwiłaby się, gdyby zguba się nie odnalazła.

— Musi się znaleźć, nie ma dwóch zdań! — rzekł Pierre stanowczym tonem.

— Proponuję, abyśmy przeszli do jadalni. Mogło odpiąć się zapięcie, gdy siedziała przy stole. W tych starych bransoletach i naszyjnikach mechanizm często zawodzi. Jednak moje zguby zawsze się odnajdywały.

— Ta też się znajdzie! — odparł Pierre.

Gdy weszli do sali, w której jeszcze nie tak dawno spożywali wieczerzę, ich uwagę zwrócił panujący tam półmrok. Cała srebrna zastawa była już posprzątana. Na stole pozostał tylko biały obrus oraz duży pięcioramienny lichtarz. Tłące się świece oświetlały pomieszczenie nikłym światłem. Boczne ścienne kandelabry zostały już wygaszone. Juliette rozejrzała się po komnacie. Następnie podeszła do stołu i uniosła brzeg batystowego obrusa. Nachyliła się i spojrzała na podłogę.

— Chyba coś widzę — uklękła, wyciągając rękę w stronę niewielkiego przedmiotu.

— Nie kłopotz się, panienko! — krzyknął Pierre, w mgnieniu oka znalazłszy się pod stołem.

Juliette w tym samym momencie kucała już przy jednej ze stołowych nóg. Oboje znaleźli się więc pod stołem niemal jednocześnie. Gdy ona położyła swą rękę na bransoletce, poczuła dotyk jego dłoni. Widać było, iż tego nie planowali. Ich dłonie musnęły się jakby przypadkiem. Jednak Pierre postanowił wykorzystać nadarzącą się chwilę. Przytrzymał nieco dłużej swoją rękę na delikatnej, drobnej dłoni Juliette. Ona odruchowo cofnęła rękę, jakby chciała się uwolnić z jego uścisku. Zrobiła to jednak bardzo delikatnie, raczej dla zasady, niż z prawdziwej chęci wyswobodzenia się. Całe jej ciało przeszył dreszcz, a serce zaczęło bić jak oszalałe.

Co by służba powiedziała, widząc mnie tutaj, pomyślała. I to jeszcze w towarzystwie obcego mężczyzny...

Młodzieniec zachował jednak zimną krew. Chwycił bransoletkę i po chwili oddał ją Juliette.

— Oto zguba panienki — rzekł wkładając perły w jej dłoń.

— Dziękuję za pomoc — odpowiedziała podnosząc się z klęczek.

— Do usług panienki. Wiedz, panienko, że zawsze możesz na mnie liczyć.

— Zapamiętam to — odrzekła z udawaną obojętnością. Tak naprawdę, we wnętrzu, cała aż drżała. Czowała, że serce mocno jej wali, a głos brzmi nienaturalnie. Coś takiego przydarzyło jej się chyba po raz pierwszy. Dobrze, że jest tu tak ciemno, pomyślała. Inaczej Pierre dostrzegłby rumieńce na jej twarzy.

— Wybacz kawalerze, ale jest już późno. Powinnam udać się na spoczynek. Dobranoc.

— Dobranoc — odpowiedział skinąwszy głową na pożegnanie.

Juliette spojrzała jeszcze raz w jego stronę, po czym wyszła z pokoju. Pierre stał przez dłuższą chwilę, wpatrzony w drzwi, w których zniknęła.

* * *

— Odzyskałam twoją zgubę — zakomunikowała Juliette, wchodząc do

sypialni siostry.

— Ciszej, bo jeszcze ktoś nas usłyszy.

— Masz rację, Henrietto, w nocy ściany mają uszy — roześmiała się, siadając na brzegu jej łóżka.

— Wiesz, kogo tam spotkałam? — dodała po chwili rozmarzonym głosem.

— Widziałas go? Tego blondyna? Opowiadaj! — Henrietta ożywiła się.

— Ma na imię Pierre, jak mogłaś nie zapamiętać jego imienia — oburzyła się.

— Mnie bardziej przypadł do gustu jego brat, Paul.

— Niebrzydki, owszem, ale gdy spojrzałam w oczy Pierre'a...

— Mówisz tak, jakbyś się zakochała? Przejdzie ci — oznajmiła Henrietta.

— Chciałabym, żeby tak było. Jednak jakiś wewnętrzny głos mówi mi, że nie jest to zwykłe zauroczenie. Obawiam się, że moje życie nie będzie już nigdy takie, jak dawniej.

Henrietta patrzyła, jak do oczu Juliette zaczynają napływać łzy. Chciała pocieszyć siostrę, ale nie bardzo wiedziała, jak ma to zrobić.

— Tak naprawdę, nie rozumiem cię. Armand jest tak samo przystojny, a do tego bardzo bogaty — powiedziała sądząc, że to rozchmurzy Juliette.

— Zapewne masz rację, ale znam go od dziecka i traktuję prawie jak brata. Uczucie, jakim obdarzyłam Pierre'a, jest zupełnie inne. Serce bije mi szybciej na jego widok. Coś takiego poczułam po raz pierwszy w życiu... To uczucie jest silniejsze ode mnie! Nie rozumiesz mnie?!

Henrietta spoglądała na siostrę i widać było, że trudno jej było to wszystko pojąć.

3. Odwiedziny

Minęły dwa tygodnie od pamiętnego napadu. Ledwo młodzieńcy wyjechali, a Juliette znów zapragnęła ich towarzystwa. Miała ku temu powody. Żegnając się obiecali, że w drodze powrotnej odwiedzą Montpellier.

Każdy kolejny dzień ciągnął się w nieskończoność. Nie mogła skupić się na codziennych czynnościach. Całymi dniami rozmyślała o nowo poznanym młodzieńcu. Gdy zamykała oczy, widziała moment ich poznania.

Starła się zachowywać normalnie, jednak udawało jej się to z wielkim trudem. Żeby rodzice nie spostrzegli jej dziwnego zachowania, wiele czasu spędzała w swoich apartamentach na pierwszym piętrze.

Któregoś dnia, wyglądając przez okno, ujrzała trzech mężczyzn, wjeżdżających na pałacowy dziedziniec. To byli oni! Tak długo wyczekiwani przez nią Pierre, Paul oraz Michael.

Rozpromieniona zbiegła schodami na dół. Odruchowo wzięła ze sobą książkę, którą właśnie czytała. „Sen nocy letniej” Szekspira.

Wbiegła do salonu. Pokój był pusty. Usiadła na kanapie, rozłożywszy książkę na stronie, na której przed chwilą skończyła czytać. Chociaż wodziła oczami po tekście, nie mogła skupić się na ani jednym zdaniu.

Myśli jej krążyły tylko wokół Pierre’a oraz tego, czy ona sama wystarczająco ładnie wygląda. Chciała podejść do lustra, żeby to sprawdzić, jednak zawahała się, widząc wchodzącą do salonu pokojówkę.

— Ma panią gości — oznajmiła służąca, kłaniając się grzecznie.

— Ja? — Juliette była zaskoczona.

Czyżby mama była aż tak zajęta?

— Mama panią pojechała do modystki. Pana hrabiego nie ma już od jakiegoś czasu, zapewne panią o tym wie — wyjaśniła służąca, widząc zdziwione spojrzenie hrabianki.

— Oczywiście, pamiętam. Papa dwa dni temu wyjechał w interesach.

— Sądę, iż siostra panią jest jeszcze trochę za młoda na przyjmowanie mężczyzn — dodała pokojówka, z lekkim cynizmem w głosie.

— Rozumiem — odparła Juliette. — Bardzo proszę, wprowadź gości do salonu. Przypomnij mi proszę Gertrudo, kto zawitał w nasze progi? — udała, że nie wie, o kogo chodzi.

— Przybyli panowie Michael Roscherie, Pierre Duvalle oraz Paul Duvalle.

— Wprowadź, proszę — odpowiedziała, starając się powstrzymać wzruszenie.

Po krótkiej chwili w salonie pojawiło się trzech młodych mężczyzn. Wszyscy, jak na komendę, skłonili się młodej hrabiance.

— Miło mi widzieć panów — powiedziała Juliette, wyciągając dłoń na przywitanie.

Paul podszedł pierwszy. Widać było, że jest najbardziej energiczny z całej trójki.

— Pięknie panienka wygląda — całując dłoń, uwodzicielsko zatopił wzrok w jej oczach.

Uśmiechnęła się, spoglądając dyskretnie w stronę Pierre'a. Machinalnie podała dłoń, zbliżającemu się właśnie, Michaelowi. Gdy w końcu Pierre podszedł do niej, miała wrażenie, że cała drży. Ze wzruszenia nie mogła wydusić z siebie słowa.

— Witaj, panienko — usłyszała jego ciepły, a zarazem bardzo męski głos.

Serce zaczęło jej bić jak oszalałe. Miała wrażenie, że cały świat wiruje razem z nią, a jej ciało przeszywa dziwny dreszcz. Gdy wyciągnęła rękę w stronę Pierre'a, zdawało jej się, że dłoń drży. Nie była pewna, czy to jej subiektywne odczucie, czy naprawdę jej dłonie drżały z nadmiaru emocji. Pierre spojrzął w jej seledynowe oczy, uśmiechnął się i przytrzymał mocniej jej dłoń. Stali tak przez dłuższą chwilę w milczeniu, wpatrzeni w siebie. Nagle usłyszeli głos Henrietty, wbiegającej do salonu.

— Jak miło panów widzieć!

Wszyscy w salonie odruchowo zwrócili się w jej kierunku. Juliette, lekko speszona widokiem siostry, wysunęła pospiesznie dłoń z uścisku Pierre'a.

Ochłonawszy trochę, zaproponowała:

— Panowie na pewno zmęczeni i głodni. Zapraszam zatem na obiad.

— Nie chcielibyśmy sprawiać kłopotu — odezwał się Michael.

— To żaden kłopot. Myślę, a nawet jestem tego pewna, że mama miałaby do mnie pretensję, gdybym puściła panów bez poczęstunku. Wybawili nas panowie z opresji, może nawet uratowali życie? — dodała zerkając w stronę Pierre'a.

* * *

Pogoda była wymarzona na popołudniowy spacer. Na błękitnym niebie przesuwały się drobne białe obłoczki. Wiał lekki wiosenny wietrzyk.

Juliette i Pierre kroczyli przodem. Kilka kroków za nimi podążała Henrietta w towarzystwie Paula oraz Michaela.

— Zobaczą panowie nasz piękny ogród. Co prawda, nie umywa się do ogrodu, który niedawno...

— Henrietto, myślę, że panów nie bardzo interesują tak przyziemne sprawy, jak ogrody — przerwała jej w pół zdania Juliette.

Henrietta zamilkła, zrozumiałwszy, iż lepiej nie wspominać nic o Armandzie oraz ogrodzie, który niedawno zwiedzały. Cała piątka stała na tarasie, podziwiając

widok rozciągający się poniżej.

Gdy zeszli na dół, mogli z bliska przyglądać się pięknie rozkwitającym różanym krzewom. Między kwiatami rósł specjalnie przyszyżony bukszpan. Szerokie alejki, wysypane jasnym żwirkiem, umożliwiały swobodne poruszanie się dam w rozłożystych sukniach.

Po bokach alejek rosły kaktusy oraz agawy. Gdziegdzie pojawiały się cisy, przycięte w stożkowate formy.

— Przejdźmy może dalej. Pokażę panom naszą alejkę widokową — zaproponowała Juliette.

Prowadziła do niej owalna brama, obrośnięta pnącym bluszczem. Za nią rozpościerała się dębowa alejka. Gałęzie drzew tworzyły swoistą półokrągłą kopułę nad głowami spacerujących.

— Robi wrażenie! — zachwycił się Paul, spoglądając w górę.

Cała piątka oddaliła się sporo od pałacu. Nagle niebo się zachmurzyło. Pod osłoną gałęzi drzew nie zauważyli, że zaczął kropić drobny deszcz.

Z czasem krople deszczu stawały się coraz większe. W pewnym momencie niebo pojaśniało, a za chwilę usłyszeli grzmot. Najwyraźniej zbliżała się burza.

— Wracajmy do domu! — zaproponowała zaniepokojona Juliette.

Deszcz z minuty na minutę stawał się coraz większy. Cała piątka przyspieszyła kroku. Pierre zauważył, że parasolka, którą Juliette trzyma w dłoni, już ich nie chroni.

Porywy wiatru wygięły drucziany szkielet w przeciwną stronę. Juliette złożyła nieprzydatny przedmiot. Wtedy dopiero oboje poczuli na ciele zimne krople wiosennego deszczu. Pierre, niewiele myśląc, zdjął surdut i rozpostarł go nad ich głowami.

Henrietta, Paul i Michael, biegnący przodem, dawno zniknęli im z oczu. Do schodów prowadzących na taras było jeszcze daleko. Gdy byli już na wysokości pałacu, Pierre spojrzął w bok. Zauważył uchylone, nieduże drzwi. Niewiele myśląc, pobiegł w ich stronę, ciągnąc za sobą Juliette.

Za chwilę oboje znaleźli się w słabo oświetlonym korytarzu. Mokra, zziębnięta dziewczyna wtuliła się w ramiona młodzieńca. Zrobiła to odruchowo; sama nie wiedziała, czy chcąc się ogrzać, czy szukając bliskości jego ciała.

— Dlaczego tu jesteśmy? — spytała rozglądając się po pomieszczeniu.

— Wolą panienka moknąć na deszczu? — w głosie młodzieńca można było usłyszeć nutkę ironii.

W tym momencie usłyszeli mocne uderzenie pioruna. Juliette aż drgnęła, Pierre przytulił ją do piersi. Chociaż w pomieszczeniu było prawie zupełnie ciemno, oczy obojga przywykły już do mroku.

— Surdut pana zupełnie przemókł. Proszę go teraz nie zakładać, można się przeziębic — w jej głosie dało się wyczuć troskę.

— To nie byłoby takie złe — roześmiał się Pierre. — Ja musiałbym tu zostać, żeby się kurować, a panienka by mnie doglądała.

— Żarty się pana trzymają, a ja mówię poważnie.

— Ja również. Cieszę się, że tak się panienka o mnie troszczy — szepnął.

Poczuła, jak ustami dotyka jej wilgotnych włosów, jak gładzi je swymi dłońmi.

— Myślałaś o mnie, panienko?

— A pan? — odpowiedziała pytaniem.

— Nie mogę przestać o paniencie myśleć.

— Naprawdę? — udała zdziwienie.

Uniosła głowę do góry i wtedy poczuła na wargach jego wilgotne usta. Oboje byli sobie spragnieni. Juliette niemal bezwiednie uniosła dłoń, obejmując go za szyję. Stali tak przez dłuższą chwilę, połączeni w miłosnym pocałunku. Wszystko dokoła przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie.

— Jeszcze nas ktoś zobaczy? — powiedziała, najwyraźniej przypomniawszy sobie, gdzie się znajdują.

— Mówiła panienka, że to wyjście dla służby. Kto przy zdrowych zmysłach wyszedłby w taką pogodę? — roześmiał się Pierre.

— Trochę mnie pan uspokoił.

Przytuliła się do niego, a on objął ją mocno ramieniem. Oboje wtuleni w siebie, wsłuchani tylko w bicie swych serc, zapomnieli o całym świecie.

W pewnej chwili Juliette uniosła głowę, a Pierre nachylił się lekko. Wtedy ich usta, niby przypadkiem, znowu się połączyły.

— Zawładnęłaś mym sercem, panienko.

— Czuję dokładnie to samo. Żebyś wiedział, panie, jak się ucieszyłam, gdy cię dzisiaj ujrzałam.

— Czekala panienka na mnie?

Juliette spuściła głowę i splonęła się nieco. Po chwili kiwnęła głową i cichutko powiedziała.

— Dobrze wiesz, panie...

— Chciałem to usłyszeć z twoich ust, panienko. Upewnić się, że to prawda.

Juliette nic nie odpowiedziała, tylko uśmiechnęła się w duchu, jakby sama do siebie. Oboje byli tak zaabsorbowani sobą, że uszło zupełnie ich uwagi, iż deszcz przestał już padać.

Nagle na końcu korytarza pojawił się cień ludzkiej postaci.

— Ktoś tu idzie?! — zaniepokoiła się Juliette.

— Tym razem muszę przyznać paniencie rację.

Pierre chwycił Juliette za rękę i szybkim krokiem opuścili boczny korytarz.

* * *

— Gdzie się podziewaliście? — spytała Henrietta.

— Przeczekaliśmy burzę w bocznym korytarzu — odpowiedziała Juliette.

Na twarzy Michaela i Paula pojawiło się lekkie zdziwienie.

— Mama bardzo się niepokoiła. Już chciała wysłać służbę na poszukiwania..Ledwo dała się odwieść od tego pomysłu.

— Nic złego nie mogłoby mi się przydarzyć, byłam przecież ze swym wybawcą — odparła Juliette, spojrzawszy na Pierre'a.

Do salonu weszła hrabina de Lapierre. Na widok córki całej i zdrowej poczuła wyraźną ulgę.

— Jesteś w końcu, Juliette. Niepokoiłam się o ciebie.

— Zupełnie niepotrzebnie, proszę mamy.

— Pani hrabina wybaczy, to moja wina — mówiąc to Pierre, położył dłoń na sercu.

Kobieta spojrzała na niego z lekkim zdziwieniem. On, widząc jej minę, rzekł:

— To ja namówiłem hrabiankę, żeby schroniła się przed deszczem w przejściu dla służby. Deszcz się wzmaczał, zaproponowałem więc, żebyśmy tam przeczekali burzę. Nie chciałem, żeby panienka się przeziębiła.

— Rozumiem i dziękuję za troskę — odpowiedziała oschłym tonem. — Cieszę się, że wszystko dobrze się skończyło. Zapraszam wszystkich na poczęstunek. Ciepły posiłek oraz łyk czerwonego wina dobrze nam wszystkim zrobi.

4. Antuanette

Było majowe popołudnie, gdy na dziedziniec zamkowy wjechała żółto-czarna karetka. Armand wyrztał przez okno biblioteki. Domyślił się, że przyjechała właśnie jego matka. Szybkim krokiem podążył więc w jej stronę.

— Witaj, pani matko — pocałował jej dłoń na przywitanie.

— Witaj, kochanie — odparła markiza.

— Jak przebiegła podróż?

— Dziękuję, dobrze. Jednak minęły czasy, kiedy podróżowanie sprawiało mi przyjemność.

W tym momencie młodzieniec ujrzał, jak z karocy wychodzi jeszcze jakaś kobieta. Spojrzał na matkę, nie kryjąc zdziwienia.

— Och! Zapomniałam cię uprzedzić. Ustaliliśmy to bowiem w ostatniej chwili. Ojciec Antuanette, mój cioteczny brat, ostatnio niedomaga. Poprosił, żebym zaopiekowała się jego córką przez jakiś czas.

— Rozumiem — odpowiedział Armand, spoglądając na kuzynkę niezbyt przychylnym wzrokiem.

— Przecież wiesz, że jestem jej matką chrzestną.

W tym momencie Antuanette majestatycznym krokiem podeszła do nich.

— Witam pannę — kiwnął głową Armand. Jednak ton tego powitania był dość oschły.

Antuanette grzecznie dygnęła nóżką, jak przystało na dobrze wychowaną panienkę. Tego dnia miała na sobie suknię w kolorze dojrzałej brzoskwini. Jej długie, ciemne, lekko falowane włosy opadały na ramiona.

— Poprosiłam, żeby założyła na podróż coś bardziej praktycznego, ale uparła się na tę jasną suknię — poskarżyła się markiza.

Armand uśmiechnął się pod nosem. Pomyślał sobie, że kuzynka ma charakter, skoro potrafiła przeciwstawić się jego matce. Wszyscy wiedzieli, że markiza jest kobietą nieuznającą sprzeciwu. Jeśli coś postanowi, tak właśnie ma być. Z jednej strony był pełen podziwu dla uporczywości kuzynki, z drugiej jednak niezbyt kontent z jej widoku.

— Dlaczego mama przywiozła ją do nas? Pojutrze wyprawiam bal. Juliette nie będzie zachwycona — rzekł, gdy wchodzili do zamkowych komnat.

— Nie rozumiesz? Musiałam tak postąpić. Czuję się w obowiązku otoczyć ją opieką, szczególnie teraz, gdy mój kuzyn zaniemógł. Zresztą, przyjechała tu tylko na jakiś czas.

— Chyba zapalę świecę w intencji szybkiego powrotu do zdrowia naszego wuja — powiedział Armand, uśmiechając się pod nosem.

Markiza spojrzała na niego surowym wzrokiem, co świadczyło o braku

zrozumienia dla jego specyficznego poczucia humoru.

* * *

Następnego dnia, jak było wcześniej ustalone, przyjechała Juliette wraz z rodzicami oraz młodszą siostrą. Armand, widząc karetę wjeżdżającą na dziedziniec, wybiegł na przywitanie.

— Witaj, najdroższa — podbiegł do narzeczonej. — Stęskniłem się za tobą.

— Ja też cieszę się, że cię widzę — odpowiedziała skromnie Juliette.

Młody markiz najpierw przywitał się z hrabiostwem, potem zaś z Henriettą.

Gdy znaleźli się w hallu, zwrócił się do narzeczonej.

— Zanim przejdziemy na pokoje, chciałbym ci coś zakomunikować.

— Co takiego?

— Wczoraj moja matka wróciła od swego kuzyna i przywiozła ze sobą Antuanette. Bądź pewna, że gdyby to ode mnie zależało, zapewne nie byłoby jej tutaj.

— Skąd wiesz, że za nią nie przepadam? — zdziwiła się.

Czyżby to, co mówię i czuję, było takie oczywiste dla obserwatorów z zewnątrz?, pomyślała z lekkim niepokojem. Chyba muszę bardziej panować nad emocjami. Skąd Armand wie, że nie lubię jego kuzynki? Przecież nigdy mu o tym nie mówiłam. Zawsze starałam się być dla niej miła, chociaż niekiedy drażnił mnie jej wyniosły styl bycia.

— Sądzę, że jakoś to przeżyję — odpowiedziała, starając się, by zabrzmiało to żartobliwie.

* * *

W sali jadalnej markiza urządziła wystawny podwieczorek dla domowników oraz najbliższych gości. Główne miejsce przy stole zajęła pani domu. Po jej prawej stronie usiadł Armand, tuż obok niego Juliette. Naprzeciwko Armanda zasiadła Antuanette. Widać było, że dziewczynę rozpira duma.

— Jak czuje się papa panienki? — spytał Armand, zwracając się do kuzynki.

— Nie najlepiej — odparła. — Spadł z konia na polowaniu i złamał nogę. Medyk powiedział, że powinien ją mieć unieruchomioną. Myślę, że spędzi w łóżku przynajmniej dwa miesiące. Jeśli natomiast noga źle się zrośnie i nastąpią komplikacje, może to potrwać dużo dłużej.

— Nie powinna panienka pozostać przy ojcu? Ktoś powinien doglądać interesów.

— Nie sadzę, żebym się na coś przydała. Przecież został tam mój starszy brat, Louis. Ja na buchalterii zupełnie się nie znam — broniła się dziewczyna.

— Ktoś powinien doglądać służby — upierał się przy swoim Armand.

— A od czego jest zarządca?

— Oczywiście, dla kobiet najważniejsze jest wydawanie pieniędzy — dodał z lekką ironią.

Kto jeszcze o tym nie wiedział, teraz mógł się domyślić, iż nie przepada on za swoją kuzynką.

— Kochani, zmieńmy temat — poprosiła markiza. Spojrzała na syna surowym wzrokiem i dodała:

— Nie dręcz już tej biedaczki. Dobrze wiesz, że nie jest tu z własnej woli. Obiecałam jej ojcu, że zajmę się nią, i dotrzymam słowa. Jako jej matka chrzestna jestem do tego zobowiązana.

Armand spojrzał na Antuanette. W jej oczach dostrzegł błysk zadowolenia.

— Oczywiście, pani matko — dodał po chwili. — Domyślam się, że Antuanette może pozostać tu tak długo, jak tylko zechce. I oczywiście, może czuć się, jak u siebie w domu.

— Nikt chyba nie ma co do tego wątpliwości — odparła markiza.

— Słyszałem kuzynko, że jesteś zaręczona — Armand nie dawał za wygraną.

— Owszem. Z weneckim księciem Vimordone z rodu Viscontich — bez specjalnego entuzjazmu odpowiedziała baronówna.

— No, no! Widzę, że wysoko mierzysz — z lekką ironią odpowiedział Armand. — Słyszałem, że ksiązę stracił dla ciebie głowę.

— To plotki tak łatwo się rozchodzą? — zdziwiła się.

Zmierzyła kuzyna przenikliwym wzrokiem. Po chwili zaś dodała:

— Jesteśmy już po słowie, jednak nie ustaliliśmy jeszcze konkretnej daty ślubu. Ksiązę ma jeszcze żalobę po pierwszej żonie.

— Niedługo będę musiał zwracać się do ciebie: księżno — roześmiał się Armand.

Antuanette spojrzała na niego niezbyt uradowana.

— Nie tak prędko, jak sądzisz. Trochę się jeszcze waham. Ksiązę jest w wieku mego ojca, jego najstarszy syn w moim. Zresztą... stara się o mnie jeszcze kilku innych arystokratów — mówiąc to, spojrzała w stronę młodego markiza, jakby chciała sprawdzić, czy słowa te wzbudziły w nim chociaż odrobinę zazdrości.

On jednak nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Natomiast Juliette nie mogła powstrzymać się od wtrącenia swojej sugestii na ten temat.

— Wnoszę z twych słów, że żadnego ze swych zalotników nie darzysz prawdziwym uczuciem. Skoro nie czujesz nic do księcia, może rzeczywiście nie powinnaś spieszyć się ze ślubem. Poczekaj może na kogoś, kogo szczerze pokochasz, a na jego widok zabije ci mocniej serce.

W tym momencie oczy wszystkich zwróciły się na Juliette. Młoda hrabianka poczuła się nieswojo. Widząc wpatrzone w nią oczy tylu osób, spłonęła się nieco.

— Może to jednakowoż niezbyt dobra rada. Postąpisz, jak będziesz uważała za słuszne — dodała po chwili. — Wierzę, że będzie to właściwy wybór.

Przy stole zapanowała niezręczna cisza. Tak jakby nikt nie miał ochoty komentować usłyszanych przed chwilą słów. Goście spuścili głowy i skupili się na jedzeniu podanego na deser czekoladowego ciasta.

5. Bal

— Jak wyglądam? — spytała Henrietta, wchodząc do buduaru siostry.

— Przepięknie! — szczerze odpowiedziała Juliette.

Henrietta miała na sobie zakardową suknię w kolorze dojrzałej lawendy. Dekolt oraz rękawy sięgające do połowy łokcia zdobiła drapowana koronka. Na lekko odkryte ramiona dziewczyny opadały jasnoblond loki.

Juliette zerknęła na swe odbicie w lustrze.

— Panienko, czy dobrze? — spytała pokojówka, kończąc zasznurowywanie panieru.

— Wyśmienicie — odpowiedziała Juliette, zerkając w zwierciadło.

Wyglądała powabnie, nawet w samej bieliźnie. Górę stroju stanowił bieliźniany gorset, a dół wspomniany rozłożysty stelaż, na który miała być założona suknia.

— Wybacz, Amelio — zwróciła się do pokojówki. — Chciałabym zamienić z siostrą kilka słów na osobności.

— Oczywiście, panienko — odparła służąca, posłusznie opuszczając pokój.

Gdy zostały same, Juliette podeszła bliżej do Henrietty.

— Nawet nie przypuszczałam, że kolor lawendy tak bardzo będzie pasował do twoich jasnych włosów. Wyglądasz przepięknie.

— Naprawdę?

— Jeśli nie wierzysz, spójrz w lustro.

— Mama miała rację — przyznała Henrietta — żebym właśnie tę suknię założyła na dzisiejszy bal.

Juliette uśmiechnęła się miło. Najwyraźniej chciała w ten sposób dowartościować nieśmiałą i wrażliwą nastolatkę. Po chwili zwróciła się do niej:

— Dobrze, że jesteś. Czy mogłabyś oddać mi małą przysługę? — spojrzała na nią błagalnym wzrokiem. — Bardzo mi na tym zależy.

— Postaram się, jednak muszę wiedzieć, o co chodzi — odparła Henrietta nieco zdziwiona.

— O Antuanette.

Żrenice Henrietty rozszerzyły się. Juliette na widok zszokowanej miny siostry uśmiechnęła się lekko.

— Chcę wiedzieć, w jakim kolorze suknię założy na dzisiejszy bal. Jest na tyle późno, iż powinna być już gotowa.

— Mam tam wejść tak bez powodu? — Henrietta nie kryła zakłopotania.

Juliette wzruszyła ramionami. Najwyraźniej nie podzielała jej obaw.

— Mogłabyś udąć, że przyszłaś pożyczyć ozdobę do włosów. Nie sądzisz, że to dobry pretekst?

Henrietta spojrzała na siostrę, nie kryjąc zdziwienia.

— Tak naprawdę chcę wiedzieć, w co jest ubrana — kontynuowała Juliette — czy zakłada perukę, czy pozostaje przy swych naturalnych włosach... Zapamiętaj, to dla mnie bardzo ważne! Muszę wyglądać lepiej, niż ona!

Henrietta wiedziała, że Juliette nie da za wygraną. Acz niechętnie, posłuchała jednak prośby starszej siostry.

Tymczasem Juliette, siedząc przed lustrem, zastanawiała się, czy założyć perukę. Peruka, według najnowszej mody, dodawała dostojności, zarówno kobietom, jak i mężczyznom, była wprost uwieńczeniem stroju, szczególnie na takiej uroczystości jak bal.

Juliette podeszła do skrzyni, podniosła jej wieko i wyjęła dwie peruki. Jedna z nich była w kolorze prawie białym, najpopularniejszym odcieniu sztucznych włosów. Jednak uwagę hrabianki przykuła druga z peruk, przypominająca naturalne jasnoblond włosy.

Rozmyślenia na temat nakryć głowy przerwało jej ponowne pojawienie się Henrietty.

— Powiedz, czego się dowiedziałaś? — spytała zniecierpliwiona Juliette.

— Spójrz, pożyczyła mi taką zapinkę.

Henrietta odwróciła się tyłem, żeby siostra mogła ujrzeć srebrną klamrę, spinającą jej włosy.

— Wysadzana ametystami, i jak pasuje do twojej lawendowej sukni. Ma dobry gust — dodała, podchodząc bliżej. — Jednak do rzeczy, jak wygląda Antuanette? — spytała po chwili.

— Muszę cię zasmucić, ale naprawdę ładnie.

— To znaczy?

— Ma na sobie bardzo elegancką suknię, widać, że drogą.

— Chyba nie pożyczoną od markizy? — odparła Juliette z lekką ironią w głosie.

— Podobno to jej suknia. Powiedziała, że dostała ją od ojca na siedemnaste urodziny. Obchodziła je pod koniec marca.

— Ale mów, w jakim kolorze?

— Nie jest to kolor śnieżnobiały — zamyśliła się Henrietta — przypomina trochę lody waniliowe. Góra ozdobiona jasnymi perełkami, a dekolot wyszywany jedwabnymi różyczkami w kolorze sukni.

— Musi być piękna... — zamyśliła się Juliette.

— I taka jest! — potwierdziła Henrietta.

— Co będzie miała na głowie, dowiedziałaś się? Pozostaje przy swoich włosach czy zakłada perukę? — pytała dalej Juliette.

— Zdecydowała się na bereszkę.

— Zupełnie zapomniałam! To ta peruka z otworami, przez które wyciąga się

pukle własnych włosów. Nie przepadam za nią.

— Nie rozumiem dlaczego? — zdziwiła się Henrietta.

— Dobrze wiesz! Musiałabym pozostać przy naturalnym kolorze włosów. Zostawmy już ten temat.

Juliette zamyśliła się.

— Muszę wyglądać ładniej od niej — oznajmiła po krótkiej chwili.

Widząc zdziwioną minę młodszej siostry, dodała:

— Nie patrz tak na mnie. Ona zaleca się do Armanda. Nie udawaj, że tego nie zauważyłaś.

Henrietta przytaknęła, skinąwszy głową. Juliette siedziała wpatrzona w swoje odbicie w lustrze. Robiła wrażenie zamyślanej.

— Wiem! — krzyknęła podnosząc się szybko z miejsca.

Podbiegła do szafy, na której drzwiach wisiała suknia. Zdjęła ją ostrożnie i położyła na swoim łóżku.

— Chcesz założyć właśnie tę? — spytała Henrietta, spoglądając na wyjątkowo strojną sukienkę.

Juliette przyłożyła suknię do siebie. Gdy spojrzała w lustro, widać było, że jest z siebie zadowolona. Cała suknia była w kolorze lekko dojrzałej wiśni. Dół składał się z mnóstwa szyfonowych falbanek. Górę natomiast stanowił obcisły gorset, wyszywany rubinami. Jakby tego było mało, falbany mieniły się niemal tysiącem barw. To za sprawą pyłku diamentowego, którym zostały posypane.

— Dlaczego nie?

— Nie uważasz, że jest zbyt wyzywająca?

— Wyzywająca? Na bal?! — roześmiała się Juliette. — Mama doradziła, żebym ją ze sobą zabrała. Widocznie przewidywała, że może mi się przydać.

— Byłaś w niej na balu karnawałowym.

— Masz rację, ale tu, na zamku markizy, są zupełnie inni goście. Zresztą, ta suknia jest zbyt droga, żebym wystąpiła w niej tylko raz. Zamiast mnie krytykować, lepiej pomogłabyś założyć te falbany na panier — poprosiła Juliette.

Henrietta, bez zbytniego entuzjazmu, wzięła w dłonie rozłożystą spódnicę i pomogła Juliette.

— Znowu mężczyźni będą dla ciebie tracić głowy — roześmiała się Henrietta, spoglądając na siostrę.

— Tak mówisz, jakbyś nie wiedziała, jacy oni naprawdę są — odpowiedziała Juliette. — Mówią, że kochają, że liczy się tylko wnętrze, a potem tracą głowę dla pięknej, ale zimnej jak lód kobiety.

— Ciekawe, skąd ty to wszystko wiesz?

— Z lektury oraz własnych obserwacji. Zapomniałaś, że jestem trochę od ciebie starsza — odpowiedziała z powagą w głosie. — No, już nie rozprawiajmy o mężczyznach, lepiej pomóż mi zasznuować gorset.

— Myślisz, że sobie poradzę?

— Na pewno! Tak szybko i sprawnie pomogłaś mi założyć dół sukni. Nie będę już fatygować pokojówki.

— Może masz rację, poradzimy sobie same. Od czego ma się siostrę — roześmiała się Henrietta. — Pięknie wyglądasz — dodała po chwili, spoglądając na Juliette.

Na twarzy hrabianki pojawił się lekki uśmiech. Wiedziała, że wygląda elegancko, a zarazem uwodzicielsko. O to jej przecież chodziło.

— Postaraj się sznurować trochę mocniej! — strofowała ją Juliette.

— Nie będziesz mogła jeść!

— Na bal nie idzie się po to, żeby się najeść. Doradz mi lepiej, jaką perukę powinnam założyć?

Henrietta zawahała się przez chwilę. Nie była zwolenniczką peruk. Kojarzyły jej się z dostojnymi mężczyznami na wysokich stanowiskach. Juliette, na szczęście, wybawiła ją z kłopotu, sama podejmując decyzję.

— Wiesz, chyba wybiorę tę jasnoblond, z pięknymi lokami. Będę mieć włosy takie jak twoje.

— Jak uważasz — odparła Henrietta.

— Pomożesz mi założyć perukę? — poprosiła Juliette.

— Nie wiem, czy potrafię?

— Na pewno, to nic trudnego.

Związała swoje długie włosy w koczek i nachyliła głowę do przodu, żeby Henrietta mogła bez trudu założyć jej perukę.

— No, i jak...? — spytała Juliette, podziwiając jasne loki, opadające na odkryte ramiona.

— Nawet nie przypuszczałam, że blondynce będzie tak ładnie w czerwonej sukni.

— Teraz w końcu wyglądamy jak rodzone siostry — roześmiała się Juliette, najwyraźniej zadowolona ze swego wyglądu.

* * *

Gdy Armand ujrzał narzeczoną, aż zaniemówił. Wyglądała wprost olśniewająco. Jego wzrok przykuł okazały dekolt. Szyję dziewczyny zdobiła czarna aksamitka, ozdobiona białymi perełkami oraz rubinami. Dół sukni robił ogromne wrażenie dzięki niezliczonej ilości powiewnych szyfonowych falban. Cała suknia mieniła się delikatnie tysiącem barw.

— Pozwól, najdroższa — Armand wyciągnął dłoń, nie mogąc oderwać od niej oczu.

Juliette uśmiechnęła się skromnie, czując, że osiągnęła swój cel.

W czerwonej sukni rzucała się w oczy, bardziej niż którakolwiek z panien na sali balowej. Nie kryła zadowolenia, krocząc po schodach u boku narzeczonego. Czuła się szczęśliwa, widząc oczy wszystkich, zwrócone w swoją stronę. Wiedziała, że to próżność podsyla jej takie myśli. Podświadomie czuła, że powinna wyzbyć się tej wady. Jednak pocieszała się myślą, że gdyby wszyscy ludzie mieli tylko takie grzechy, świat pozbawiony byłby złoczyńców.

Jakie było jej zdziwienie, gdy będąc jeszcze na górze, rozejrzawszy się wśród zgromadzonych gości, dostrzegła Pierre'a oraz Paula Duvalle. Co oni tu robią?, pomyślała.

Armand prowadził ją przez okazałą salę, wyłożoną po środku czerwonym dywanem. Goście zgromadzeni po obu stronach kłaniali im się nisko.

— Poznaj mego przyjaciela oraz jego brata — powiedział, zbliżając się do obu młodzieńców.— Oto Paul Duvalle. Zapewne pamiętasz, to ten muszkieter, o którym ci kiedyś opowiadałem.

To ten Paul, zdziwiła się, o którym Armand nieraz opowiadał, studiując w Paryżu. Mówiąc o nim, zawsze powtarzał jego imię. Można kiedyś wspomniał również nazwisko, ale musiało umknąć jej w natłoku innych wiadomości. Dlaczego nie skojarzyła sobie wcześniej tego imienia, zastanawiała się.

— My już mieliśmy przyjemność się poznać — powiedział Paul, całując dłoń Juliette oraz wymownie spoglądając w jej seledynowe oczy. Nie wydawał się zaskoczony, widząc ją tutaj. Miała nawet wrażenie, że spodziewał się tego spotkania.

Zaraz za nim podszedł Pierre. Gdy Juliette spojrzała na niego, ze wzruszenia niemal odebrało jej mowę. Jego wysoka, zgrabna sylwetka prezentowała się nadzwyczaj wytwornie w białej koszuli, ozdobionej żabotem. Resztę stroju stanowił długi granatowy surdut, haftowany srebrnymi nićmi.

Serce Juliette zaczęło walić jak oszalałe. Chciała zachowywać się naturalnie, ale nie mogła opanować wzruszenia. Spojrzała rozmarzonymi oczami, wyciągając dłoń na przywitanie.

— Miło mi widzieć panienkę — odezwał się młodzieniec ciepłym głosem.

Następnie złożył pocałunek na jej drobnej dłoni. W tym momencie poczuła w palcach maleńki zwitek papieru. Zakrywając dekolt wachlarzem, ukryła tam liścik, upewniwszy się przedtem, że Armand tego nie zauważył. Całe szczęście, był już zajęty rozmową z następnymi gośćmi.

Na okoliczność balu cała sala została odświeżnie przybrana. Chociaż na dworze było jeszcze całkiem jasno, zostały zapalone wszystkie świece na zwisających ze strzelistego sklepienia żyrandolach. Palily się też wszystkie boczne kandelabry. Blask świateł stwarzał atmosferę przepychu.

Juliette dobrze znała markizę de Beries.

Wiedziała, że lubi pochwalić się przed gośćmi swym bogactwem. Chciała,

żeby jej przyjęcia oraz bale dorównywały tym wydawanym przez samego króla Ludwika.

Juliette oraz Armand po przemierzeniu obszernej sali zajęli honorowe miejsca. Suknia hrabianki de Lapiere wzbudzała zachwyty licznie zgromadzonych gości. Oczywiście wśród kobiet dostrzec można było skrywaną zazdrość.

Fotel po drugiej stronie Armanda pozostawał wciąż pusty. Wszyscy wiedzieli, że jest to miejsce dla jego matki.

W końcu pojawiła się markiza. Jak zwykle piękna i dostojna zarazem. Miała na sobie suknię w kolorze ciemnego błękitu, której gorset wyszyty był białymi perłami. Dół sukni mienił się tysiącem maleńkich diamentów, zupełnie jak suknia Juliette.

Tego dnia markiza postanowiła założyć perukę w kolorze bardzo jasny, niemal srebrny blond. Jej smukłą szyję zdobiła brylantowa kolia.

Izabella de Beries kroczyła dostojnym krokiem po czerwonym dywanie, a oczy wszystkich zwrócone były w jej kierunku. Gdy zbliżyła się do podwyższenia, Armand podniósł się ze swego miejsca i podprowadził matkę do fotela.

Niektórzy goście podchodzili dopiero teraz, żeby zamienić kilka słów z młodym markizem oraz jego matką. Juliette siedziała z przyklejonym uśmiechem na twarzy. Tak naprawdę opanowana była tylko jedną myślą. Chciała jak najszybciej odczytać liścik od Pierre'a. Zdawkowo i mechanicznie odpowiadała na pytania gości.

— Źle się czujesz, kochanie? — spytał Armand, wyraźnie zaniepokojony jej dziwnym zachowaniem.

— Tak, trochę mi słabo. Chyba mam za mocno zasznurowany gorset — skłamała bez chwili namysłu. — Pozwolisz, że udam się do buduaru i poproszę pokojówkę, aby go trochę poluzowała.

— Skoro musisz — odparł Armand niezbyt zadowolony. — Pamiętaj, proszę, że to nasz taniec rozpoczyna bal. Nie pozwól gościom zbyt długo czekać.

— Nie martw się, kochanie, za chwilę wrócę.

Skłoniła się markizie i szybkim krokiem udała w stronę schodów, prowadzących na piętro.

Po kilku minutach była już w swojej sypialni. Drżącymi ze wzruszenia dłońmi wyjęła małą, złożoną w rulonik karteczkę i przeczytała jej treść:

Droga Juliette!
Serce me wypełnia miłość. Od chwili naszego pierwszego spotkania nie mogę przestać o Tobie myśleć. Bardzo proszę o chwilę rozmowy.
Oddany na zawsze

Pierre

Juliette schowała liścik na samo dno szkatułki z biżuterią. Wiedziała, że pokojówkom nie wolno do niej zaglądać. Pomyślała więc, że liścik będzie tam bezpieczny. Zerknęła jeszcze raz na swoje odbicie w lustrze. Uznawszy, że wygląda wystarczająco powabnie, szybkim krokiem ruszyła w stronę sali balowej.

Schodząc po schodach, niemal odruchowo spojrzała na duży zegar, wiszący na ścianie. Do szóstej pozostało jeszcze piętnaście minut. O tej godzinie miała zatańczyć taniec z Armandem. Pozostało więc trochę czasu. Może zdążę odnaleźć Pierre'a?

Zaczęła rozglądać się po obecnych. Szukała wzrokiem młodzieńca lub chociaż jego brata. Gości było jednak tak dużo, że odnalezienie kogokolwiek było sporym wyzwaniem.

Jednak Juliette była zdeterminowana.

Muszę go odnaleźć, pomyślała. Ciekawe, o czym chciał ze mną porozmawiać? Może to coś ważnego? Jeśli nawet nie, to i tak pragnęła usłyszeć jego głos, spojrzeć znowu w jego szaroniebieskie oczy.

Gdy już prawie straciła nadzieję, ujrzała nagle Pierre'a, stojącego w towarzystwie Paula. Podążyła szybko w tamtą stronę, zręcznie wymijając gości.

Chciała, żeby Pierre nie pomyślał, że specjalnie go szukała. Będąc zatem zupełnie blisko, niby niechcący upuściła chusteczkę. Pomyślała, że dla obserwatorów z zewnątrz będzie to wyglądało jak przypadkowe spotkanie z obojętnymi jej ludźmi.

Obaj młodzieńcy niemal jednocześnie nachylili się, sięgając po zgubę Juliette. Wtedy Pierre spojrział wymownie na brata. Paul cofnął dłoń, zrozumiał, o co chodzi. Następnie Pierre szybkim ruchem podniósł z podłogi białą jedwabną chusteczkę Juliette.

— Dziękuję, kawalerze..

— Zawsze do usług panienki — odpowiedział młodzieniec.

Oboje stali wpatrzeni w siebie. On, jakby chciał spytać: „Czy przeczytałaś mój list?”, a ona, jakby mówiła: „Tak, jakże mogłabym nie przeczytać wiadomości od ciebie”. Odruchowo skinęła głową na znak, że rozumiała, co ma na myśli.

W tym momencie podszedł do nich Michael. Towarzyszyła mu młoda kobieta, wyglądająca najwyżej na osiemnaście lat.

— Panienka pozwoli — zwrócił się do Juliette. — Oto moja siostra, Elaine Roscherie.

Dziewczę dygnęło nóżką, unosząc przy tym lekko dół swej sukni.

— Miło mi — odparła Juliette, skinąwszy głową na powitanie.

Przy okazji zdążyła zauważyć, że Elaine była atrakcyjną młodą damą.

Wysoka, szczupła blondynka, o regularnych rysach twarzy. Jej piękne, jasnoblonde loki ozdabiał biały storczyk. Miała na sobie suknię z błękitnej satyny, ozdobioną koronkowymi falbankami. Wyglądała w niej bardzo dziewczęco. Można się jednak było domyślić, że jest nieco starsza od Henrietty.

Juliette czuła na sobie wzrok nowo poznanej panny. Zauważyła również, że Pierre nie jest zachwycony obecnością siostry Michaela na balu. Najwyraźniej Elaine również to wyczuła, gdyż po chwili odezwała się do młodzieńców.

— Jesteście zdziwieni, widząc mnie tutaj?

Paul i Pierre spojrzeli na siebie, a ich miny mówiły więcej niż słowa.

— Gdy Elaine dowiedziała się, że będę na balu — zaczął Michael spoglądając na siostrę — na którym spotkam was, nie było siły, żebym zatrzymał ją w domu.

Panna spojrzała na niego wzrokiem pełnym oburzenia. On udał jednak, że tego nie zauważył.

Z uśmiechem na twarzy mówił dalej:

— Niedługo skończy osiemnaście lat. Pomyślałem, że najwyższy czas, żeby zaczęła obracać się wśród arystokracji.

— Mój brat najchętniej zamknąłby mnie w domu — dodała zerkając w stronę Pierre'a.

Obaj młodzieńcy spojrzeli na siebie, jakby chcieli powiedzieć: „będą kłopoty!”

W tym momencie, jak spod ziemi, wyrósł przed nimi Armand de Beries.

— Tu jesteś najdroższa, wszędzie cię szukałem — ucieszył się, widząc Juliette. — Zapomniałaś, że za chwilę rozpoczynamy tańce? Goście czekają.

— Och! Tak, wiem! Wybacz, właśnie przechodziłam i natknęłam się na swych wybawców — starała się, aby jej głos brzmiał naturalnie.

Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Otworzyła swój karnecik, jakby coś w nim sprawdzała. Za przykładem mamy zostawiała sobie zawsze kilka tańców wolnych. Po pierwsze, żeby trochę ochłonać, po drugie, żeby mieć jakąś rezerwę dla wyjątkowego gościa. Teraz właśnie nadarzyła się taka okazja.

Podając dłoń Armandowi, odwróciła się w stronę Pierre'a i dość obojętnym tonem oznajmiła:

— Przypominam, panie Duvalle, że zarezerwował pan u mnie piąty oraz szósty taniec.

— Aż dwa tańce? — spytał Armand, nie kryjąc zdziwienia.

— Och, musiał wkraść się tu jakiś mały błąd — odpowiedziała, zaglądając ponownie do swych zapisków, jednak w taki sposób, żeby nikt inny do nich nie zajrzał..

— Najwyraźniej pomyliły mi się imiona — udała roztargnioną. — Jeszcze nie znam panów zbyt dobrze. Oczywiście, szósty taniec zarezerwował

u mnie pan Paul Duvalle.

Spojrzała na młodzieńca niepewnie, obawiając się, czy nie wyda jej przed narzeczoną. On, zorientowawszy się, w czym rzecz, odparł:

— Nie śmiałem panią poprawiać, ale pamiętałem, że szósty taniec należy do mnie — mówiąc to, puścił do niej oczko, upewniając się przedtem, że nikt postronny tego nie widzi.

Juliette uśmiechnęła się porozumiewawczo. Po chwili odeszła w towarzystwie Armanda.

Pierre stał wpatrzony w jej oddalającą się postać. Zarezerwowała dla niego taniec. Nie jestem więc jej obojętny, pomyślał.

— Jestem niepokojona — usłyszał nagle głos stojącej obok Elaine. — Gdy Michael powiedział mi, że was tu spotkam, bardzo się ucieszyłam. Sądzę, że spędzę miły wieczór w waszym towarzystwie.

— Na pewno tak będzie. Niepotrzebnie się denerwujesz — odpowiedział stojący obok Paul.

— Nie chcę podierać ściany!

— Pięknie wyglądasz, nie rozumiem, czego się obawiasz. Jestem pewien, że mnóstwo kawalerów będzie chciało dotrzymać ci towarzystwa. Nie martw się na zapas — uspokajał ją Paul.

Pierre niby przysłuchiwał się ich rozmowie, ale tak naprawdę, był myślami gdzie indziej. Wodził oczami po parkiecie, szukając Juliette. Ujrzał ją w końcu, tańczącą z Armandem. Wyglądała prześlicznie w tej czerwonej sukni z lekkimi jak piórko falbankami.

— Czy to ta hrabianka, której uratowaliście życie? — spytała Elaine, widząc, że młodzieniec wodzi wzrokiem za tańczącymi na parkiecie parami.

— Tak, ale skąd o tym wiesz?! — spytał jakby z pretensją Pierre, odrywając wzrok od parkietu.

— Wybaczcie, że opowiedziałem tę historię siostrze. Nie przypuszczałem, że to jakaś tajemnica — odpowiedział Michael, nie rozumiejąc, o co przyjaciel ma do niego pretensję.

— Masz rację, nic się nie stało — przyznał Paul.

— Zamiast prawić morały, może poprosiłbyś mnie do tańca — powiedziała Elaine, spoglądając na Pierre'a.

Młodzieniec bez słowa sprzeciwu podał jej dłoń. Młoda panna wydawała się bardzo zadowolona, krocząc w stronę parkietu. Ku jej zachwyceniu przetańczyli ze sobą kilka następnych tańców.

W pewnym momencie Pierre oświadczył:

— Wybacz Elaine, ale jak zapewne pamiętasz, ten taniec mam zarezerwowany dla hrabianki de Lapierre.

— W takim razie odprowadź mnie do Michaela i jesteś wolny — starała się,

żeby zabrzmiało to zabawnie, chociaż w głębi duszy targała nią zazdrość.

Młodzieniec pospiesznie wykonał jej prośbę. Następnie stanął, szukając wzrokiem Juliette de Lapierre. Odnalazł ją bez większego trudu, dzięki rzucającej się w oczy czerwonej sukni. Zauważył, że stoi z boku w towarzystwie młodszej siostry.

— W końcu znalazłem panienkę — powiedział podchodząc.

Juliette uśmiechnęła się miło. Spojrzała na Henriette, dając jej znak oczami, by zostawiła ich samych..

— Pójdę przypudrować nos — oznajmiła Henrietta oddalając się.

— Chciał panicz ze mną porozmawiać? — spytała.

— O, tak.— odpowiedział Pierre rozmarzonym głosem.

— Tu jest zbyt głośno. Poza tym mam wrażenie, że zbyt wiele oczu nas obserwuje. Wolalabym, żebyśmy porozmawiali w bardziej ustronnym miejscu.

— Co panienka proponuje?

— Może wyjdźmy na taras.

W tym momencie, zupełnie niespodziewanie, pojawił się obok nich Paul. Oboje spojrzeli na niego z wyrzutem. Poczuli się, jakby kradł ich bezcenny czas.

— Wiem, pamiętam! — rzekł. — To czas dla was. Ale pozwól Pierre, że zabiorę hrabiance dosłownie minutę — dodał błagalnym głosem.

— O co chodzi? — spytała Juliette, trochę zdziwiona.

— Czy zna panienka tę młodą kobietę, siedzącą obok markizy de Beries?

Juliette odwróciła się. Ujrzała Antuanette w kremowej sukni. Jej długie, ciemne, falowane włosy świetnie kontrastowały z jasnym odcieniem sukni.

— Owszem, znam ją — odparła. — To baronówna de Gramound.

— Czy zechciałaby panienka przedstawić mnie tej młodej damie? — poprosił Paul, a jego głos brzmiał jeszcze bardziej błagalnie niż przed chwilą.

Pierre spojrział na brata mocno zdziwiony. Nigdy nie słyszał go mówiącego takim tonem. Tym bardziej, jeśli chodziło o jakąś kobietę. To raczej Paul był tym, dla którego kobiety traciły głowę.

— Dobrze, obiecuję, że jeszcze dziś wieczorem pozna pan tę młodą pannę. Jednak teraz chciałam zamienić z Pierre'em kilka słów — odpowiedziała. — Mam nadzieję, że umie pan dochować tajemnicy?

— Tego może być panienka pewna — odparł Paul.

Po chwili zwróciła się do Pierre'a:

— Niech panicz idzie pierwszy. Ja przyjdę za chwilę.

Młodzieniec bez słowa sprzeciwu wykonał jej polecenie. Juliette rozejrzała się dyskretnie po sali. Upewniwszy się, że Armand jest zajęty tańcem z jakąś podstarzałą hrabiną, uznała, że droga jest wolna. Uniosła lekko brzeg sukni, udając się w stronę tarasu.

Gdy wyszła, zaskoczyła ją ciepła, bezwietrzna aura. Słońce właśnie chyliło

się ku zachodowi. Jego czerwone promienie rozświetlały niemal cały nieboskłon.

Rozejrzała się dokoła, nikogo w pobliżu nie było. Trochę ją to zdziwiło. Zaczęła się nawet trochę niepokoić. Gdzie on może być?

Nagle zza rogu usłyszała odgłos pohukującej sowy. Odruchowo spojrzała w tamtą stronę.

— To ja! — szepnął Pierre wychylając się.

Ucieszona, szybkim krokiem udała się w tamtym kierunku. Pierre chwycił ją za rękę i przyciągnął lekko ku sobie. Nie bronila się. Niemal odruchowo wtuliła głowę w jego ramiona. Czowała, jak jego dłonie gładzą jej długie włosy.

— Pięknie panienska dzisiaj wygląda — szepnął jej do ucha. — Przyćmiła panienska urodą wszystkie dziewczęta na tym balu.

— Dziękuję za komplement.

— To nie komplement, mówię to, co czuję — odparł.

— Panicz również wygląda dzisiaj wyjątkowo ładnie.

Juliette dobrze wiedziała, że wygląda wytwornie i uwodzicielsko. Zadbala przecież o każdy detal stroju oraz fryzury.

— Tęskniłeś za mną, panie? — spytała nieśmiało.

— Nie mogę przestać o tobie myśleć. Od dnia, gdy cię ujrzałem po raz pierwszy...

— Ja też... — szepnęła, unosząc lekko głowę do góry, by móc spojrzeć w jego szare oczy.

— Zawładnęła panienska mym sercem — powiedział, porażony blaskiem jej seledynowych oczu.

Nachylił się i wtedy jego usta, niby niechcący, dotknęły ust Juliette. O dziwo, Juliette nie wyrwała się z jego objęć. Ich wargi zwały się w długim, namiętym pocałunku.

Na chwilę oderwali się od siebie. Jednak Pierre, spragniony najwyraźniej jej bliskości, zaczął całować ją po policzku. Juliette uniosła głowę nieco wyżej, szukając jego spojrzenia, i wtedy znowu jego wargi dotknęły jej ust. Stali wtopieni w siebie, zapomniawszy o całym świecie.

Nagle odskoczyli od siebie, jak oparzeni.

— Ktoś tu idzie! — krzyknęła Juliette.

— Zejdźmy do ogrodu — wyszeptał, pociągnął dziewczynę do pobliskich schodów i podał jej dłoń.

— Niestety — przypomniała sobie Juliette — następny taniec obiecałam hrabiemu de Cassiere. Papie bardzo zależy na dobrych stosunkach z tym jegomościem.

Odwróciła się i zaczęła iść szybkim krokiem w stronę tarasowych drzwi. Po chwili przystanąła. Podbiegła do zdezorientowanego Pierre'a i rozchylając wachlarz, szepnęła mu do ucha:

— Niedługo będzie przerwa na poczęstunek. Wtedy będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Obserwuj mnie i udaj się w to samo miejsce, co ja.

Następnie wbiegła do sali balowej. Młodzieniec usłyszał tylko szelest jej sukni.

* * *

Tymczasem Armand najwyraźniej postanowił odpocząć po kilku wyczerpujących tańcach, zarówno z młodymi, jak i podstarzałymi damami. Stał obok kanapy, na której siedziała jego matka, Izabella de Beries. Obok niej zajmowała miejsce Antuanette. Dziewczyna robiła wrażenie niezbyt zadowolonej. Jej ciemne oczy wodziły z utęsknieniem za tańczącymi parami.

Juliette po skończonym tańcu poprosiła hrabiego de Cassiere, aby odprowadził ją do kanapy, na której siedziały obie damy.

— Jak się bawisz, kochanie? — spytał Armand.

— Wyśmienicie! — odpowiedziała. — Dawno nie byłam na tak udanym przyjęciu.

Spojrzała na Antuanette. Zauważyła, że dziewczyna siedzi z naburmuszoną miną.

W tym momencie przypomniała sobie o Paulu. Zaczęła wzrokiem wodzić po sali, szukając młodzieńca. Nagle wyrósł obok niej, dosłownie jak spod ziemi.

— Jak dobrze Paul, że jesteś — ucieszył się Armand, widząc przyjaciela obok siebie.

Młodzieniec podszedł do siedzącej na kanapie markizy. Ukłonił się grzecznie, po czym rzekł:

— Jestem zaszczycony, jaśnie pani. Dawno nie byłem na tak wytwornym balu — mówiąc to, pocałował wyciągniętą w jego stronę jej delikatną dłoń.

Markiza uśmiechnęła się, a w jej oczach widać było szczyry zachwyt. Paul stanął obok młodego markiza.

— Dobrze się bawisz? — spytał go Armand.

— Znakomicie. Jednak byłbym jeszcze szczęśliwszy, gdybyś przedstawił mnie tej młodej damie — wskazał na baronównę.

Armand podszedł do kuzynki.

— Poznaj, proszę, oto mój przyjaciel, Paul Duvalle.

Następnie zwrócił się do młodzieńca.

— Przedstawiam ci moją kuzynkę, baronównę Antuanette de Gramound.

Paul podszedł i pocałował dłoń dziewczyny. Chociaż nie zauważył zbytniego entuzjazmu z jej strony, postanowił kontynuować konwersację.

— Szalenie miło mi poznać panienkę... — zaczął zatapiając wzrok w jej oczach.

Antuanette odpowiadała na zadawane przez niego pytania raczej dla zasady, niż z chęci nawiązania z nim bliższej relacji.

Po krótkiej chwili Armand przeprosił towarzystwo i oddalił się. Nietrudno było odgadnąć, że miał zaplanowany taniec z jedną z dam.

Juliette zamyśliła się. Nie interesowała jej treść rozmowy siedzącej obok Antuanette z Paulem. Tak naprawdę obchodziło ją tylko to, co teraz przeżywała. Oczami wyobraźni widziała Pierre'a. Rozpamiętywała każde jego słowo. Czuła jeszcze smak jego ust na swych wargach.

Nagle zauważyła jego postać przy jednym z filarów. Trzymał w dłoni kieliszek z czerwonym winem. Spostrzegła, że młodzieniec spogląda w jej kierunku. Gdy ich spojrzenia skrzyżowały się, skinęła głową, dając mu znak oczami. Pierre w odpowiedzi lekko uniósł do góry kieliszek z winem. Juliette zamknęła wachlarz, następnie machnęła nim lekko w prawą stronę, pokazując wielkie drzwi, prowadzące do głównego hallu. Pierre dał znać skinieniem głowy, że zrozumiał.

Rozejrzała się dokoła. Pomyślała, że skoro Antuanette prowadzi konwersację z Paulem, może oddalić się bez zainteresowania osób postronnych. Jakże się jednak myliła. Wścibska panna, chociaż rozmawiała z Paulem, zauważyła, że siedząca obok niej hrabianka daje znaki jakiemuś przystojnemu blondynowi, stojącemu kilkanaście metrów dalej.

— Czy podaruje mi panienka choć jeden taniec? — spytał Paul młodej baronówny.

— Oczywiście, jak wielmożny pan sobie życzy — odpowiedziała Antuanette niemal machinalnie, nie patrząc nawet w jego stronę.

Młodzieniec spojrzał na nią nieco zdziwiony. Panna robiła wrażenie zupełnie rozkojarzonej. Rozmawiała z nim, ale zachowywała się tak, jakby wzrokiem obserwowała kogoś w oddali. Spojrzał w tamtym kierunku. Nie zauważywszy jednak niczego godnego uwagi, pytał dalej:

— Nie powinna panienka zerknąć do swych zapisków?

Antuanette drgnęła, jakby ktoś obudził ją ze snu. Wyjęła karnecik i zaczęła wnikliwie studiować zapisane w nim kartki. Robiła to w taki sposób, żeby jej rozmówca nie mógł niczego dojrzeć. Młodzieniec uniósł głowę, chcąc zajrzeć w jej zapiski, jednak Antuanette nie pozwoliła mu na to. Szybkim ruchem zamknęła notatnik. Następnie odezwała się dumnie.

— Tak dobrze się składa, że następny taniec mam wolny.

— Bardzo mi miło — odpowiedział z uśmiechem na twarzy.

Juliette przysłuchiwała się ich rozmowie bez zbytniego entuzjazmu. Tak naprawdę obserwowała Pierre'a. Stał przy filarze, czekając na jej znak. Już miała wstać z miejsca, gdy zauważyła, że podchodzi do niego Elaine. Dziewczyna burzyła jej szyki.

— Przepraszam — Juliette zwróciła się do Paula. — Przypomnij mi proszę, jak ma na imię ta młoda dama, która rozmawia teraz z Pierre'em? — spytała niby od niechcienia.

— To Elaine, siostra Michaela — odpowiedział spoglądając w tamtym kierunku.

— Długo ją znacie?

— Prawie dwa lata.

— Aż tak długo? — zdziwiła się. — Czym zajmują się jej rodzice?

— Rodzice Elaine posiadają dwie manufaktury tkackie. Podobno dobrze im się powodzi.

— Więc to mieszczenie, jeśli się nie mylę.

— Tak, ale bardzo bogaci, należą raczej do burżuazji.

— Słyszałam od papy, że burżuazja to klasa społeczna, której w dzisiejszych czasach powodzi się lepiej niż niejednemu szlachcicowi. Elaine jest więc dobrą partią. Sądzę, że Pierre jej się podoba. Co o tym sądzisz?

— Na pewno jest między nimi jakaś nić sympatii, ale czy to miłość..? Rodzice Michaela bardzo lubią mego brata, to nie ulega wątpliwości.

— A on? Czy zwierzał ci się kiedyś ze swoich uczuć?

— Jeśli nawet, to nie powinienem zdradzać jego tajemnic.

Juliette poczuła się nieco urażona. Udała jednak, że słowa te nie zrobiły na niej wrażenia.

— Oczywiście! Rozumiem, wybacz moją ciekawość — odpowiedziała. — Mam nadzieję, że treść tej rozmowy pozostanie między nami — dodała po krótkim namyśle.

— O to może być panienka spokojna.

Juliette odetchnęła z ulgą. Domyślała się, że jako bracia bliźniacy są bardziej zżyci niż reszta rodzeństwa. Jednak w istocie dopytywanie się o Pierre'a było trochę nietaktowne. Z rozmyślań wyrwał ją nagle znajomy głos.

— Czy ten taniec ma panienka wolny?

Stał przed nią nie kto inny, jak właśnie Pierre. Zmieszała się nieco, widząc go przed sobą. Pospiesznie wyjęła karnecik i zajrzała do zapisków. Zauważyła, że ten taniec obiecała swemu papie. Była w rozterce. Bardzo zależało jej na tańcu z młodzieńcem. Z drugiej jednak strony nie chciała robić przykrości ojcu. Miała jednak nadzieję, że ojciec nie będzie się na nią gniewał za taką błahostkę.

— Powiedzmy, że tak, że ten taniec mogłabym podarować panu — odpowiedziała po chwili namysłu.

Uradowany Pierre podał jej dłoń i razem udali się w stronę tańczących par.

Za chwilę do sofy, na której przed chwilą siedziała Juliette, zbliżył się hrabia de Lapierre.

— Izabello — zwrócił się do markizy de Beries — nie wiesz, gdzie jest moja

córka? — Wydawało mi się, że jeszcze przed chwilą ją tu widziałem.

— Chodzi ci o Juliette?

— Tak, ten taniec miała zarezerwowany dla mnie.

— Chyba musiało ci się coś pomylić, Filipie. Znam Juliette od dziecka, wiem, że jest bardzo skrupulatna w tych sprawach.

Hrabia spojrział na parkiet. Dostrzegłszy córkę tańczącą z niedawno poznanym młodzieńcem, chyba wszystko zrozumiał.

— Zapewne masz rację. Na starość już pamięć szwankuje — oznajmił siadając obok markizy.

— Na jaką starość?! O czym ty mówisz, Filipie? Z tego, co pamiętam, masz dopiero czterdzieści pięć lat. Poza tym dobrze wiesz, że wyglądasz dużo młodziej.

— To zupełnie jak ty, Izabello. Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że jesteś siostrą Armanda.

Markiza uśmiechnęła się.

— Dziękuję, jesteś bardzo miły.

— To nie pusty komplement, stwierdzam fakty. Czas obchodzi się z tobą bardzo łagodnie i myślę, że doskonale o tym wiesz.

Markiza nic nie odpowiedziała. Jednak można się było domyślić, że jest bardzo zadowolona z usłyszanych przed chwilą słów.

— Wiesz... — dodała po chwili — pomyślałam sobie, skoro masz wolny taniec... — spojrzała na niego wymownie.

— Chciałabyś zatańczyć ze mną? — spytał z niedowierzaniem.

— Filipie, przecież jesteśmy na balu.

— Z największą przyjemnością, Izabello — odparł wstając z miejsca i prosząc ją do tańca.

* * *

Juliette, cała rozpromieniona, wróciła na sofę. Zajęła miejsce obok Antuanette, która znalazła tam odpoczynek po skończonym tańcu z Paulem. Zauważyła, że baronówna wygląda na ożywioną. Jej zgorzkniała zazwyczaj i przygnębiona twarz, jak za sprawą czarodziejskiej różczki, zaczęła tryskać szczęściem i radością. Juliette uśmiechnęła się do niej miło.

— Uważam, że w tej sukni wyglądasz olśniewająco — pochwaliła ją, chcąc nawiązać rozmowę.

— Ładnemu we wszystkim ładnie — unosząc dumnie głowę odpowiedziała Antuanette.

Zarozumiały ton riposty nieco ją zaskoczył. Udała jednak, że tego nie zauważyła. Nie chciała psuć sobie dobrego humoru. Tak udanego balu dawno nie pamiętała. Jej myśli znowu zaczęły krążyć wokół Pierre'a.

— Co sądzisz o tym mężczyźnie, z którym przed chwilą tańczyłaś? — spytała Juliette, chcąc dowiedzieć się, czy Paul przypadł do gustu młodej baronównie.

— On nie jest w moim typie — odpowiedziała Antuanette obojętnym tonem.

Juliette trochę to zdziwiło. Jednak nie komentowała jej słów. Spojrzała przed siebie, na salę pełną gości. Zauważyła, że Pierre spogląda w jej stronę. Skinęła więc głową, wskazując wachlarzem wielkie drzwi, prowadzące na główny korytarz. Następnie wstała i szybkim krokiem udała się w tamtym kierunku.

Pierre już chciał udać się za Juliette, gdy niespodziewanie zjawiała się obok niego Elaine.

— Czy ten taniec masz wolny? — spytała dziewczyna. — Może zatańczyłbyś ze mną? Dobrze wiesz, że nie znam tu nikogo.

— Chętnie, ale nie teraz. W tej chwili muszę oddalić się pilnie na stronę — mówiąc to złapał się za brzuch i zrobił cierpiącą minę. Chciał, żeby wyglądało to bardziej wiarygodnie.

Młoda panna spojrzała na niego bardzo niezadowolona. Po raz pierwszy była na balu wydawanym przez arystokrację. Sądziła, że spędzi tu niezapomniane chwile, tymczasem Pierre najwyraźniej jej unikał.

— Wybacz Elaine, ale źle się poczułem. Poproś może Paula, widzę, że jest akurat wolny.

Spojrzał na stojącego nieopodal brata. Ten dostrzegł jego błagalny wzrok. Nie był zachwycony, ale pomyślał, że gdyby zaistniała odwrotna sytuacja, Pierre na pewno by mu nie odmówił.

— Myślę, że nie będziesz żałowała czasu spędzonego ze mną — rzekł Paul, podając dłoń dziewczęciu.

Gdy oboje zmieszali się z tańczącymi parami, Pierre oddalił się w stronę wielkich dębowych drzwi.

* * *

— Jesteś w końcu! — w głosie Juliette słychać było zniecierpliwienie.

— Wybacz panienko, ale ktoś mnie zatrzymał.

— Kto taki, jeśli mogę wiedzieć?

— Nieistotne! Najważniejsze, że już tu jestem.

Pierre chciał jeszcze coś dodać, gdy w tej samej chwili usłyszał zbliżające się w ich kierunku kroki. Juliette chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą. Pobiegli kilka metrów ciemnym korytarzem.

Za chwilę znaleźli się w jednym z pokojów. W środku panował półmrok. Słońce już skryło się za horyzontem, jednak noc była jeszcze młoda.

Kiedy po chwili ich oczy przywykły do ciemności, Pierre mógł dokładnie

przyjrzeć się umeblowaniu pokoju. Sala była niewielka. Ściany obite złotym sukmem w granatowe wzory robiły wrażenie nietuzinkowych. Naprzeciwko drzwi znajdowało się okno. Po obu jego stronach zwisały długie zasłony z bordowego aksamitu. Przy jednej ze ścian stała duża szafa z oszklonymi drzwiami. Za szybą widać było mnóstwo najróżniejszych ksiąg. Pierre podszedł i zaczął się im przyglądać.

— Co to za pokój? — spytał.

— To gabinet Armanda. Myślę, że tu będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

Najwyraźniej te słowa trochę uspokoiły młodzieńca. Zbliżył się do rzeźbionego sekretarzyka, mieszczącego się po przeciwnej stronie pokoju. Obok niego stał duży drewniany zegar. Przez kryształową szybę w jego drzwiach można było obserwować ruchy mosiężnego wahadła.

Juliette podeszła do okna. Spojrzała w rozgwieżdżone niebo. Następnie odwróciła się do Pierre'a.

— Spójrz, jaki piękny dziś księżyc. Pełnia...

— Nie przypuszczałem, że z panienki taka romantyczka — odparł podchodząc do niej.

— Ma mi to panicz za złe? — spytała nieco zdziwiona.

— Ależ skądże. Jest panienka na tyle bogata, że może sobie na to pozwolić.

Juliette poczuła się nieco urażona jego słowami. Do tej pory o tym nie myślała. Tak naprawdę nigdy nie doceniała tego, co posiada. Pierre dopiero teraz jej uzmysłowił, że nie musi martwić się o przyszłość. Trochę ją to zabolowało.

Nic nie odpowiedziała. Stali przez chwilę w milczeniu. W pewnym momencie poczuła, jak młodzieniec ją obejmuje. Całe jej ciało przeszył miły dreszcz. Niby od niechcienia położyła głowę na jego ramieniu. Wtedy on przytulił ją mocniej. I znów zapomnieli o reszcie świata.

* * *

Na sali balowej panował gwar. W pewnym momencie markiza de Beries poczuła się trochę zmęczona. Zakomunikowała synowi, że chce się udać na odpoczynek.

Armand, jak nakazywały zasady grzecznego wychowania, odprowadził matkę do apartamentów na górze. Wracając na salę balową, tuż za schodami, spotkał Michaela.

— Nie mogę nigdzie znaleźć siostry — oznajmił przyjaciel.

— Ostatnim razem, gdy ją widziałem, tańczyła z Paulem — odpowiedział Armand. — Ja dla odmiany nie mogę znaleźć Juliette.

Obaj, jak na komendę, wybuchnęli śmiechem.

— Ach, zupełnie zapomniałem — powiedział raptem Michael — Hrabia de Lapierre czeka na nas w komnacie na wieży.

— Nie traćmy więc czasu.

Zaczęli iść korytarzem w stronę schodów, prowadzących do bocznego skrzydła zamku. Nagle Armand zatrzymał się.

— Wstąpimy na chwilę do mojego gabinetu — oznajmił niespodziewanie.

Chociaż młody markiz mówił niezbyt głośno, Juliette doskonale wychwyciła jego głos.

— To Armand! — szepnęła przerażona.

— Twierdziłaś, że dzisiaj nikt tu nie przyjdzie.

— Myliłam się.

Pierre, niewiele myśląc, chwycił hrabiankę w pasie, uniósł do góry i postawił we wnęce okiennej. Zaciągnął aksamitną zasłonę, upewniwszy się, że zasłania rozłożystą suknię Juliette. Następnie sam wskoczył na parapet. Spojrzał na twarz Juliette. Była przerażona. Uśmiechnął się, żeby dodać jej otuchy.

Usłyszeli, jak ktoś otwiera drzwi. Pierre przyłożył palec do ust, dając znak, by zachowali milczenie.

— Mógłbyś mi zdradzić tajemnicę, po co tu przyszliśmy? — spytał zniecierpliwiony Michael.

— Zaraz zobaczysz — odparł Armand, stawiając trójdzielny świecznik na blacie sekretarzyka.

Juliette poczuła, jak robi się jej dziwnie gorąco. Zaczęło brakować jej tchu. Chętnie poluzowałaby gorset sukni. Ale jak miała to zrobić? Dobrze wiedziała, że jeden jej ruch i wielka zasłona okienna się poruszy.

Całe szczęście, że znajduje się tutaj ten wielki zegar, pomyślała. Jego głośny mechanizm przełamywał nieznośną ciszę. Inaczej obaj mężczyźni na pewno usłyszeliby coś niepokojącego. Wiedziała, że nie może do tego dopuścić. Jak wytłumaczyłaby narzeczonemu swą obecność tutaj? I to jeszcze na parapecie okiennym, w towarzystwie obcego mężczyzny?!

To oczywiste, iż Armand nie może zobaczyć jej tutaj. Gdyby jego matka dowiedziała się o jej spotkaniu z Pierre'em, wybuchłby skandal. Tego była akurat pewna. Wiedziała, że markiza nigdy nie łamie ustalonych konwenansów. Tego też wymaga od innych. Zbladła, zaczęło brakować jej tchu. Poczowała się tak, jakby miała za chwilę zemdleć.

Pierre obserwował ją bacznie. Był przerażony. Nie wiedział jednak, co począć.

Nie chciał ryzykować zdrowia ukochanej. Jednakże zdawał sobie sprawę, że dekonspiracja oznaczała utratę jej nienagannej reputacji. Na to nie mógł pozwolić.

Tymczasem Armand podszedł do sekretarzyka.

— Poświęć mi, proszę — zwrócił się do przyjaciela.

Michael wziął w dłonie świecznik, kierując go tak, żeby światło świec oświetlało dłoń Armanda. Młody markiz otworzył górną szufladę. Wyjął z niej mały mosiężny kluczyk i otworzył nim zamek drugiej szuflady. Następnie sięgnął bardzo głęboko, aż na sam koniec jej wnętrza. Zapewne szukał tam czegoś, co było szczególnie ukryte.

— Mam! — powiedział zadowolony, wyciągając małe mosiężne pudełeczko. Otworzył je i wyjął hebanową fajkę.

— Przyszliśmy tutaj po tytoń? — zdziwił się Michael.

— Hrabia zwierzył mi się, że dawno nie palił. Obiecałem zrobić mu tę przyjemność — odparł Armand.

Na twarzach obu mężczyzn pojawił się porozumiewawczy uśmiech. W tym momencie rozległ się donośny gong stojącego w rogu zegara.

— O, wpół do dziesiątej — zdziwił się Michael. — Pan hrabia czeka już na nas ponad dwadzieścia minut.

— Nic tu po nas — oznajmił Armand, zamykając najpierw jedną, następnie drugą szufladę na klucz.

Michael czekał już na niego w uchylonych drzwiach komnaty. Po jego minie widać było, że jest trochę poirytowany.

Armand wolnym krokiem podążył w jego stronę. W pewnym momencie zatrzymał się, jakby usłyszał coś niepokojącego. Odwrócił w stronę okna.

— Poczekaj chwilę! — poprosił przyjaciela.

— O co chodzi? — spytał zaniepokojony Michael.

Juliette czuła, jak nogi uginają się pod nią. Wstrzymała oddech. Oparła się plecami o szybę okienną. To koniec, pomyślała. Zaraz Armand podejdzie do okna i zobaczy mnie tu, we wnęce. Co mu wtedy powiem? Czuła, jak całe jej ciało drży ze zdenerwowania i strachu.

— Pospieszmy się! — usłyszała głos Michaela. — Hrabia czeka na nas już chyba pół godziny!

— Aż tak długo? Nie wiadomo w takim razie, czy tam jeszcze jest — odparł Armand.

— No właśnie. Pospieszmy się!

— Dobrze, już idziemy, nie denerwuj się — uspokajał go Armand, ciągle zerkając w stronę okna.

Po krótkiej chwili obaj mężczyźni opuścili gabinet. Słychać było tylko odgłos zamykanych na klucz drzwi.

Juliette usiadła na parapecie. Teraz mogła wreszcie wziąć głęboki oddech.

— Myślałam, że jeszcze trochę i zemdleję — odezwała się, uznawszy zapewne, że jej narzeczony jest już daleko.

Pierre zeskoczył i chwyciwszy hrabiankę oburącz w pasie, postawił na podłodze.

— Czy mi się wydawało, czy usłyszałem odgłos przekręcanego klucza? — spytał.

Juliette spojrzała na niego przerażona. Dopiero teraz skojarzyła, że ona też słyszała, jak ktoś zamyka drzwi na klucz.

— Zamknięte — zakomunikował Pierre, naciskając klamkę.

— To jak stąd wyjdziemy? — spytała Juliette mocno zaniepokojona.

— Spokojnie, panienko!

— Co teraz zrobimy? Przecież nie będziemy tu siedzieć całą noc?

— Nie byłoby to takie złe — roześmiał się Pierre, chcąc rozładować napiętą atmosferę.

— Jak możesz żartować w takiej chwili?! — oburzyła się Juliette.

— Nie rozpaczaj, panienko. Zaraz coś wymyślę.

Nachylił głowę i spojrzał przez dziurkę od klucza.

— Klucz nadal tkwi w zamku — oznajmił.

— No i co z tego! Przecież jest po przeciwnej stronie drzwi. Czyżby uszło to twojej uwagi?

6. Po zmierzchu

— Jeszcze nie wszystko stracone! — odpowiedział Pierre.

— Co zamierzasz zrobić?

Młodzieniec podszedł do okna, uchylił je i spojrzął w dół.

— Nie jest aż tak wysoko, jak sądziłem. Możemy zeskoczyć.

Młoda hrabianka, chociaż było ciemno, dobrze wiedziała, na jakiej wysokości znajduje się okno gabinetu. Nie miała zamiaru nigdzie skakać. Pomyślała sobie, że jeśli nawet, dziwnym trafem, nic by się jej nie stało, to na pewno zniszczyłaby swoją piękną suknię. Dopiero wzbudziłaby sensację, wracając na salę balową w brudnym lub, co gorsza, poszarpanym stroju.

— Nie martw się, wystarczy, że ja zeskoczę — oznajmił Pierre. — Potem wrócę i otworzę drzwi od strony korytarza.

— Mam nadzieję, że ci się uda.

— Musi!

Już za chwilę Pierre siedział na parapecie. Nogi spuścił najniżej, jak tylko mógł, chcąc w ten sposób skrócić odległość, dzielącą go od podłoża. Juliette patrzyła na niego pełna obaw. On uśmiechnął się do niej, następnie zniknął gdzieś za oknem.

Wychyliła głowę, modląc się w duchu, żeby nic mu się nie stało. Na szczęście wylądował na zielonej trawie, tuż obok rozłożystego cisu. Nie do uniknięcia było jednak pobrudzenie wyjściowego stroju.

Najwyraźniej jednak młodzieniec nie przejmował się tym. Niemal odruchowo otrzepał czarną ziemię. Dodrze, że tego dnia miał na sobie surdut w granatowym kolorze, ciemne plamy były mniej widoczne. Spojrzął w górę. Widząc w oknie Juliette, pomachał jej, dając znak, że wszystko w porządku. Pospieszenie skierował swe kroki w stronę tarasu.

Zdyszany wbiegł na salę balową. Niedaleko drzwi natknął się na brata.

— Gdzie byłeś? — spytał Paul, widząc czarne ślady na lśniącej posadzce.

— Wybacz, nie mam czasu na tłumaczenia.

— Rozumiem — odparł nieco urażony.

— Wiesz..? — Pierre spojrzął na brata w taki sposób, jakby nagle wpadł mu do głowy jakiś nowy pomysł — chyba będę jednak potrzebował twojej pomocy.

— W takim razie zamieniam się w słuch.

— Chciałbym spokojnie porozmawiać z Juliette, a ciągle ktoś nam przeszkadza. Nie stanąłbyś na czatach?

Paul spojrzął na brata, jakby pytał: „W takim razie, co robiliście do tej pory?”

— Jeśli się zgadzasz, pozwól za mną.

Młodzieniec nic nie odpowiedział. Jednak najwyraźniej Pierre potraktował brak odpowiedzi, jako aprobatę swego pomysłu.

Po chwili obaj znaleźli się w hallu, tuż za salą balową.

Po kilku minutach dotarli do drzwi gabinetu. Na szczęście klucz nadal tkwił w zamku. Pierre przekręcił go jednym sprawnym ruchem.

Słyszając odgłos otwieranych drzwi, Juliette struchlała. Nie była pewna, kto stoi po przeciwnej stronie.

— Juliette, jesteś tam? To ja, Pierre.

— Tak! — odpowiedziała z ulgą.

I w jednej chwili całe napięcie prysło jak mydlana bańka. Widząc Pierre'a, szczęśliwa rzuciła mu się w ramiona. Po chwili dopiero ujrzała, że nie jest sam. Nicco ją to speszyło.

— Nie przeszkadzajcie sobie — zażartował Paul. — Ja przez ten czas popilnuję, czy nikt tu nie nadchodzi.

Mówiąc to, rozejrzał się po korytarzu. Wydawało mu się, że usłyszał coś podejrzanego. Jakby ktoś szedł w ich kierunku. Po stukocie bucików oraz szeleście sukni domyślił się, że to kobieta.

— Może przejdziemy na boczne schody, prowadzące na wieżę — zaproponowała Juliette. — Nie spodziewam się, żeby teraz, w czasie balu, ktoś z nich korzystał. Jestem pewna, że tam w końcu będziemy mogli swobodnie porozmawiać.

— Dobrze, pójdźcie tam. Ja muszę jeszcze coś sprawdzić — rzekł Paul, kierując się w przeciwną stronę.

Wydawało mu się, że na końcu korytarza mignęła jakaś kobieca postać. Po stroju oraz sylwetce rozpoznał Elaine.

Dziewczyna, widząc Pierre'a i Paula, udających się w stronę hallu, postanowiła pójść za nimi. Domyślała się, że idą na spotkanie z hrabianką de Lapierre.

Zauważywszy Paula, idącego w jej kierunku, wiedziała, że musi stąd zniknąć. Pobiegła najszybciej jak tylko potrafiła w stronę drzwi, prowadzących do sali balowej. Jednym ruchem otworzyła je, znikając w tłumie gości.

Paul podszedł do wielkich drewnianych drzwi, otworzył je i natychmiast zauważył Elaine wymijającą rozbawionych gości. Teraz już był pewien, że to właśnie jej suknię widział przed chwilą.

W pierwszym momencie chciał pobiec za dziewczyną, jednak się rozmyślił. Przecież nie stanowiła już zagrożenia ani dla Juliette, ani dla Pierre'a. Zamknął więc drzwi, wracając spokojnie na korytarz.

Teraz dopiero zauważył, jaki panował tu półmrok. Na ścianie wisały kinkiety z tłącymi się świecami. Więcej światła wpadało już chyba przez mieszczące się tutaj okno. Gdy podszedł bliżej, ujrzał na rozgwieżdżonym niebie

okrągłą tarczę księżycą.

* * *

— Podejdźmy może nieco wyżej — zaproponował Pierre, uznając zapewne, że księżyc daje za dużo światła.

Juliette posłusznie wykonała jego polecenie, pokonując kilka schodów do góry.

— Jak tu ciemno — zdziwiła się, gdy stali na krętych schodach, prowadzących na zamkową wieżę.

— Wreszcie jesteśmy zupełnie sami — powiedział Pierre, tuląc Juliette w ramionach. Nie broniła się. Wprost przeciwnie, pragnęła jego dotyku. Gdy Pierre obsypywał pocałunkami jej odkryty dekolt, niemal odruchowo uniosła dłonie do góry, obejmując jego szyję. A gdy ich usta się spotkały, oboje robili wrażenie nieco zaskoczonych tą sytuacją. Dla Juliette było to zupełnie nowe doznanie. Armand, co prawda, był jej narzeczonym, jednak nigdy nie całował jej tak namiętnie. Tym bardziej płonęła, pragnąc bliskości ukochanego. Myśli galopowały w jej głowie, a serce waliło jak oszalałe.

W pewnym momencie przypomniała sobie, co ich tu sprowadziło. Nie pocałunki przecież... Chcieli poważnie porozmawiać.

— Pierre, przestań proszę — odezwała się cicho, wyswobadzając się z jego objęć — powinniśmy porozmawiać.

Spojrzał na nią, jak wyrwany z błogiego snu.

— Wiem, panienko.

— Chciałabym wiedzieć, czy traktujesz mnie poważnie.

— Ależ Juliette! To chyba oczywiste! — oburzył się. — Kocham cię całym sercem. Nie planowałem się zakochać, ale się zakochałem. Wiem, że jestem tylko prostym szlachcicem, ale czy mogę mieć nadzieję..?

— Uważasz, że jestem materialistką? — zdziwiła się. — Naturalnie, że możesz.

Wtuliła się w jego ramiona. W jej oczach ukazały się dwie wielkie łzy. Najwyraźniej wzruszyła się tym, co przed chwilą usłyszała. Więc kocha ją i chce ją poślubić. Tylko to się liczyło. Pragnęła resztę życia spędzić u jego boku.

— Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie — odpowiedział, tuląc ją w ramionach.

* * *

Tymczasem Paul podziwiał rozgwieżdżone niebo za oknem. Czując się trochę zmęczony, usiadł we wnęce okiennej na parapecie, opierając plecy

o framugę.

W pewnym momencie ujrzał zza grubej welurowej zasłony wpatrzone w siebie czyjeś oczy. Lśniły w ciemności jak dwa ogniki. Skoczył na równe nogi.

Okazało się, że to Antuanette, okręcona w zasłonę okienną, stała obok niego. Widząc Paula, zrobiła krok w tył, jakby miała zamiar uciec. Jednak on nie pozwolił jej na to, chwytając mocno za dłoń.

— Co panienka tu robi?! — spytał.

— Nie rozumiem, o co chodzi. Mogę być, gdzie mi się podoba! — odparła z wrodzoną sobie hardością.

Udał, że nie zauważył jej aroganckiego tonu.

— Od jak dawna panienka tu stoi? — spytał spokojnie.

Antuanette spojrzała na niego w taki sposób, że gdyby mogła, zabiłaby go wzrokiem.

— Wystarczająco długo — odparła spokojnym głosem.

— Widziała panienka kogoś przechodzącego przez ten korytarz?

— Przyszłam tu, żeby pobyć chwilę w samotności. Lubię spoglądać w rozgwieżdżone niebo. Tłum mnie męczy — odpowiedziała z niewinną minką.

Paul spojrzał na nią, nie wiedząc, czy mówi serio, czy coś przed nim ukrywa. Dziwnym wydawało mu się przebywanie młodej dziewczyny w tak ustronnym miejscu. Nie znał jej jednak zbyt dobrze. Żadna z kobiet nie jest tak ekscentryczna jak ona, pomyślał. Przyglądał się więc jej z uwagą i zaciekawieniem zarazem.

Antuanette stała z kamienną twarzą. Następnie odwróciła się w stronę okna i oparłszy łokcie o parapet, zaczęła upajać się widokiem gwiazd. Młodzieniec obserwował szczupłą, wysoką sylwetkę dziewczyny. Jego wzrok przykuły jej długie, falowane włosy.

Nagle przypomniał sobie, po co tu przyszedł. Wiedział, że musi zrobić wszystko, aby jak najszybciej opuściła to miejsce.

— Cieszę się, że spotkałem tu panienkę — odezwał się, opierając dłonie o parapet tuż obok niej.

Antuanette spojrzała na niego podejrzliwie.

— Mam nadzieję, że w swym karneciku znajdzie panienka jeszcze jakiś taniec dla mnie — oznajmił, spoglądając w jej ciemne oczy.

Młoda baronówna robiła wrażenie nieco zmieszanej. Paul, nic sobie z tego nie robiąc, mówił dalej:

— Nigdy nie widziałem tak pięknych oczu — rzekł z uczuciem.

Dziewczyna nie była pewna, czy mówi prawdę, czy może z niej żartuje.

— Widzę, że sztukę uwodzenia ma kawaler opanowaną do perfekcji — odpowiedziała udając obojętność.

— Mówiłem szczerze — odparł. — To nie moja wina, że mężczyźni, których do tej pory panienka poznała, nie doceniali jej urody.

— Naprawdę tak panicz sądzi? — spytała nieśmiało spuszczać oczy. — Większość młodzieńców, których do tej pory poznałam, to bawidamki. Nie przepadam za takimi.

— Myśli panienska, że ja również zaliczam się do tego rodzaju mężczyzn?

Zmierzyła go od góry do dołu krytycznym wzrokiem. Paul stanął wyprostowany, dumnie prezentując swoją wysoką, zgrabną sylwetkę. Widać było, że cała ta sytuacja trochę go bawi.

— Jak panienska mnie znajduje? — spytał.

— Stałaś panie na baczność jak muszkieter — roześmiała się.

— Trafiła panienska w sedno!

— Jak to?!

— Przez cztery lata służyłem jako królewski muszkieter. Dopiero rok temu, po śmierci ojca, mama poprosiła, abym wrócił do rodzinnego majątku. Chciała, żebyśmy obaj z Pierre'em, jako najstarsi synowie, zajęli się majątkiem.

— Przepraszam, nic nie wiedziałam — odpowiedziała ze współczuciem.

— W porządku. Od śmierci ojca niedawno minął rok. Zdążyłem już dojść do siebie. Nie odpowiedziała jednak panienska na moje pytanie.

Antuanette zmierzyła go po raz kolejny, teraz już nieco łagodniejszym wzrokiem.

— Znajduje pana jako mężczyznę odważnego oraz szarmanckiego w stosunku do kobiet.

— Panienska mówi to zupełnie szczerze? — spytał z niedowierzaniem.

— Oczywiście! Mam wrażenie, że przy panu każda kobieta może czuć się całkowicie bezpieczna.

Rzeczywiście, Antuanette już dawno dostrzegła walory Paula. Jej uwagę przykuły zwłaszcza nieskazitelna sylwetka, bujna czupryna oraz błękitne oczy młodzieńca. Oczy, od których trudno było oderwać wzrok. Paul uśmiechnął się, słysząc tyle pochwał pod swym adresem.

— Co powiedziałyby panienska, gdybyśmy udali się teraz na taras? Przez to okno niewiele widać. Poza tym, przebywanie na świeżym powietrzu jest zdrowsze i bardziej romantyczne.

— Może ma panicz rację — odparła uśmiechając się miło.

— W takim razie możemy już opuścić ten ciemny korytarz?

Wyciągnął do niej ramię, a ona, bez słowa protestu, podała mu dłoń. Po krótkiej chwili oddalili się, niknąc za wielkimi drzwiami, prowadzącymi do sali balowej.

Szybkim krokiem wymijali tłumnie zgromadzonych gości. Patrząc na nich z boku, miało się wrażenie, że zapragnęli znaleźć się na tarasie, z dala od ludzkich spojrzeń, najszybciej jak tylko można było.

* * *

Pierre oraz Juliette przysłuchiwali się tej rozmowie w zupełnym milczeniu. Domyślali się, że Antuanette, będąc tu od dłuższego czasu, mogła zauważyć ich, przebiegających korytarzem w stronę schodów. Hrabianka trochę obawiała się, żeby młoda baronówna nie wydała jej przed narzeczonym. Obmyśliła nawet linię obrony na tę ewentualność. Postanowiła, że powie Armandowi, iż chciała pokazać obu młodzieńcom wieżę, w której straszy duch dziadka z rodu de Beries. Podobno często po zmroku widywano tu postać mężczyzny w czarnej pelerynie.

Zresztą, co Antuanette robiła sama w tej części zamku? Dobrze wiedziała, że markiza nie pozwalała kręcić się w okolicy wieży. Uzmysłowała więc sobie, że baronówna musiałaby się tłumaczyć przed Armandem oraz jego matką. Jak się domyślała, z pewnością by tego nie chciała. Była więc pewna, że Antuanette jej nie zdradzi.

Nagle jej rozmyślania przerwały jakieś dziwne odgłosy. Dochodziły z samej góry, z wieży, która była nawiedzona przez duchy.

— Co to może być? — Juliette wydała się bardzo zaniepokojona.

Czyżby to była prawda?, pomyślała.

— Tam chodzi duch! — powiedziała, wtulając się w ramiona Pierre'a. — Boję się.

— Wierzysz w duchy?

Nic nie odpowiedziała. Była przerażona jak nigdy dotąd. Najwyraźniej ktoś był na samej górze. Dochodziły stamtąd jakieś męskie głosy.

— To Armand — szepnęła, chyba jeszcze bardziej przestraszona, niż na widok ducha.

— Spokojnie, zdążymy odejść, zanim tu zejda — uspokajał ją Pierre.

— Obyś miał rację.

— Zaufaj mi! Mamy jeszcze trochę czasu, światło niesione przez nich ledwo do nas dociera. Radzę się jednak pospieszyć — powiedział głosem tak cichym, że ledwo słyszalnym dla samego siebie.

Pierre nigdy nie pozwoliłby na to, żeby wybranka jego serca cierpiała, i to w dodatku przez niego. Jeśli naprawdę Juliette kiedykolwiek zostanie jego żoną, to pragnął, żeby wszystko odbyło się tak, jak należy. Najpierw oświadczyły, za zgodą rodziców, a potem ślub. Nigdy w życiu nie dopuściłby do tego, żeby została skompromitowana.

Chociaż był zdenerwowany nie mniej niż ona, potrafił jednak zachować zimną krew. Nie z takich opresji wychodził cało!

Zszedł szybko kilka stopni w dół. Podał Juliette dłoń, zapewne domyślając się, że pokonywanie tak dużej ilości schodów w rozłożystej sukni na sutej krynolinie, w pośpiechu może być nie lada wyczynem. Tym bardziej, że schody

były kręte i prawie zupełnie nieoświetlone. Namiastkę światła dawały jedynie palące się na korytarzu boczne kinkiety oraz świece, niesione przez zbliżających się mężczyzn.

Nagle, Pierre i Juliette ujrzeni, że światło dochodzące z góry jest o wiele bardziej jaśniejsze, niż jeszcze przed chwilą. Hrabianka poczuła, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa, a suknia płącze się pod stopami.

— Pospiesz się, panienko! — ponaglał ją Pierre.

Schodzący z góry mężczyźni byli na tyle blisko, że można było zrozumieć słowa, które wypowiadali.

— Słyszę głos papy — szepnęła przerażona.

— Jest z nimi Michael? — zdziwił się Pierre, zadając sobie w duchu pytanie, co może łączyć tych trzech mężczyzn.

W tym momencie Juliette niefortunnie stanęła na samym brzegu jednego ze stopni schodów i ześlizgnęła się na sam dół.

— Auu! — jęknęła. — Chyba zwichnęłam sobie nogę.

— Może panienka iść? — spytał troskliwie Pierre.

— Nie bardzo — odparła kulejąc.

Niewiele myśląc, wziął ją na ręce. Następnie szybkim krokiem pobiegł przez ciemny korytarz. Gdy był już przy drzwiach, prowadzących na salę balową, postawił ją na podłodze. Wiedział, że gdyby wbiegł tak na salę pełną gości, dopiero wzbudziłby sensację.

— Będzie panienka mogła iść o własnych siłach? — spytał.

— Spróbuję, przecież nie mam innego wyjścia — odpowiedziała, zerkając w stronę bocznego korytarza.

Zorientowawszy się, że Armand będzie tu dosłownie za chwilę, nacisnęła szybko klamkę od drzwi. Nie bacząc na ból, lekko kulejąc, weszła na salę balową. Na szczęście, nikt nie zwrócił na nią uwagi.

— Jak mogę się domyślać, noga bardzo panience dokucza — rzekł Pierre, widząc, że z każdym krokiem utyka coraz mocniej.

— Trochę boli, ale to przejdzie. Muszę koniecznie gdzieś usiąść — rozejrzała się dookoła. — Podprowadź mnie proszę do kanapy, na której siedzi moja mama.

— Oczywiście, panienko. Proszę chwycić mnie pod rękę — odparł.

Po chwili znaleźli się w miejscu, gdzie zasiadała hrabina de Lapierre oraz jej młodsza córka, Henrietta.

— Czy mogę tutaj usiąść? — spytała Juliette, wskazując wolne miejsce między Henriettą a mamą.

— Oczywiście, kochanie — odparła hrabina, przesuwając się nieco w stronę bocznego oparcia kanapy.

Spojrzała na stojącą obok Juliette oraz młodzieńca, który ją odprowadził.

Patrząc na nich, nie dało się nie zauważyć bijącego od nich szczęścia. Pierre i Juliette stali wpatrzeni w siebie. Nie zwracali zupełnie uwagi na osoby dokoła nich. W pewnym momencie Juliette oprzytomniała i pospiesznie wyrwała dłoń z objęć młodzieńca.

— Dziękuję za pomoc — rzekła, zajmując miejsce pomiędzy siostrą a matką.

— Do usług jaśnie panienki. Polecam się na przyszłość — odparł Pierre, czekając aż usiądzie.

Następnie skłonił się nisko hrabinie Natalie de Lapierre.

— Pozwolą panie, że się oddalę.

— Oczywiście, młodzieńcze. Było nam bardzo miło — odparła hrabina, skinąwszy głową.

Gdy Pierre zniknął w tłumie gości, spytała córkę.

— Jak sie bawisz, kochanie?

— Wyśmienicie, proszę mamy. Dawno nie byłam na tak udanym balu — odparła Juliette rozmarzonym głosem.

Henrietta spojrzała na siostrę trochę zdziwiona. Nie pamiętała, kiedy widziała ją taką szczęśliwą.

— Nie poznaję cię — szepnęła jej do ucha.

Juliette nic nie odpowiedziała, jednak jej mina zdradzała, że promienieje szczęściem.

— Dawniej trzymałaś mężczyzn na dystans, a teraz... — kontynuowała Henrietta.

— Widać, że nigdy się jeszcze nie zakochałaś. Gdy sama to przeżyjesz, zrozumiesz — odpowiedziała, zakrywając twarz wachlarzem, żeby mama nie usłyszała jej słów.

Następnie uniosła nieznacznie do góry dół sukni oraz halkę. Z przerażeniem zauważyła, iż noga w kostce jest spuchnięta, a przez cieniutki jedwab prześwitywało mocno zaczerwienione obolałe miejsce.

Muszę jak najszybciej udać się na górę i poprosić pokojówkę o zimny okład, pomyślała.

W tym momencie, dosłownie jak spod ziemi, wyrósł przed nią Armand.

— Czy dobrze się bawisz, najdroższa? — spytał.

Juliette spojrzała na niego lekko przerażona. Szybko przykryła odsłoniętą nogę. Nie była pewna, czy jest to pytanie kurtuazyjne, czy może jej narzeczony zauważył coś niepokojącego. Z oczu Armanda biła jednak szczerą radość. Uspokojona, starała się zachowywać naturalnie, chociaż ból stawał się coraz dotkliwszy. Falbanami sukni szczelnie zakrywała spuchniętą kostkę.

— Wybornie — odpowiedziała po krótkiej chwili.

— Cieszę się — odparł ze szczerym uśmiechem na twarzy. — Domyślasz się zapewne, że w przygotowaniach do balu pomagała moja mama. W dużej mierze

to jej zasługa.

— Byłam tego pewna. Pani markiza słynie z wytwornych przyjęć. Niektórzy mówią, że bale u twojej mamy dorównują tym w Wersalu.

— Chyba trochę przesadzasz, Juliette.

— Nie wydaje mi się. Moi rodzice zawsze twierdzili, że równie wytworne przyjęcia widzieli tylko na dworze króla Ludwika. Dobrze wiesz Armandzie, że twoja mama jest dla mnie wzorem do naśladowania. Chciałabym w jej wieku wyglądać tak młodo i tak

pięknie jak ona.

— Jestem pewien, że tak właśnie będzie.

Juliette starała się być uśmiechnięta i radosna, chociaż nie przychodziło jej to łatwo. Ból nogi nie ustępował, a nawet z minuty na minutę stawał się coraz dotkliwszy. Postanowiła więc jak najszybciej opuścić salę balową.

— Jestem już trochę zmęczona — powiedziała, udając śpiącą. — Jeśli pozwolisz, udam się na spoczynek. Tak dużo tańczyłam, że trochę dokucza mi prawa noga.

— Co takiego?

— Nie jestem pewna, ale chyba ją zwichnęłam.

— Pokaż! — Armand był bardzo przejęty.

Juliette spieszyła się nieco.

— Ależ, Armandzie! — rzekła oburzona. — Nie podwinę sukni na sali, wśród tylu gości.

Czyżby jej narzeczony wyobrażał sobie, że obnaży nogę tu, przy obcych ludziach?!

— Masz rację, kochanie — odpowiedział. — Byłem tak zdenerwowany, że przez chwilę przestałem logicznie myśleć. Służę więc swym ramieniem. Odprowadzę cię na górę, najdroższa.

— Dziękuję — odrzekła wstając z miejsca.

— Mam prośbę — zwróciła się do matki. — Czy mogłaby mama przeprosić w moim imieniu kawalerów, którym obiecałam następne tańce.

— Opuuszczasz nas, kochanie? — spytała hrabina, trochę zaskoczona.

— Niestety — wtrącił Armand. — Juliette prawdopodobnie zwichnęła nogę. Musi udać się niezwłocznie na górę.

— Ależ kochanie! — wzburzyła się hrabina.

— Mamo, nic mi nie jest.

— Proszę się nie denerwować, wszystkiego osobiście dopilnuję — uspokajał ją Armand.

— Trzymam pana za słowo.

Nie minęło kilka minut, jak Juliette, w towarzystwie narzeczonego, opuściła salę.

7. Łoża uczniów

— Pozwól za mną — rzekł Paul.

Pierre wykonał polecenie brata bez zadawania zbędnych pytań. W milczeniu przeszli przez zupełnie ciemny pokój. Po chwili drzwi się otworzyły i Pierre został sam w równie ciemnej, ledwo oświetlonej sali. Gdy rozejrzał się dokoła, zauważył w rogu stół, a na nim trupią czaszkę. Domyślił się, że widok ten miał wywołać w nim strach. Tak się jednak nie stało. Może nie uważał się za specjalnie odważnego, jednak tchórzem na pewno nie był.

Stał więc, wpatrując się w dość niecodzienny widok. W tym momencie otwarto drzwi i stanęło przed nim trzech mężczyzn. Jeden z nich, znajdujący się pośrodku, zaczął mówić do niego łagodnym głosem.

Pierre był tak przejęty tą dziwną sytuacją, że nie bardzo rozumiał, co nieznajomy do niego mówi. Udało mu się wychwycić poszczególne słowa, takie jak zaufanie, miłosierdzie, odwaga oraz milczenie. Na pytanie: czy będzie trwać w zamiarze przestrzegania wszelkich tych zasad, odpowiedział „tak”.

— Czy chciałbyś należeć do zgromadzenia praktykującego te cnoty? — pytał dalej nieznajomy.

Pierre znowu odpowiedział twierdząco. Wtedy dwaj mężczyźni, stojący obok, podszli do niego i zaczęli zdejmować z niego wierzchnie ubranie. Zdjęli mu frak, kamizelkę, a koszulę rozpięli tak, aby obnażona była lewa pierś. Zdziwiło go nieco, że pozbawili go jednego buta, obnażając do kolan lewą nogę.

Po całej tej dość dziwnej ceremonii jeden z nich podszedł do niego od tyłu i zakrył mu oczy grubą chustą. Opaska była na tyle szeroka, że nie dało się przez nią nic zobaczyć. Wtedy usłyszał głos mężczyzny, który z nim przed chwilą rozmawiał.

— Zabieram panu szpadę, zegarek oraz inne metalowe przedmioty. Nawet surdut i kamizelkę, gdyż mają metalowe guziki.

Po chwili Pierre poczuł, że stoi między dwoma mężczyznami, a trzeci stojący naprzeciwko dotyka jego pierś ostrzem szpady.

— Czego tu chcesz? — pytał nieznajomy, a jego głos nie brzmiał już tak łagodnie jak jeszcze przed chwilą.

— Chcę być przyjęty do społeczności masonów — odparł Pierre.

— Stanie się tak, jak pragniesz. Słuchaj uważnie, co mówię, i odpowiadaj na moje pytania.

Dwaj mężczyźni, stojący po obu bokach, poprowadzili go dalej. Idący przodem zastukał w duże drewniane drzwi, zza których Pierre usłyszał czyjś głos.

— Kim jesteś? — spytał nieznajomy.

— Pierre Duvalle — odpowiedział.

— Z jakiego kraju pochodzisz?

— Z Francji.

— Ile masz lat?

— Dwadzieścia cztery.

Gdy wypowiedział te słowa, usłyszał, jak otwierają się drzwi. Przechwyciło go dwóch innych mężczyzn. Domyślił się, że wprowadzono go do sali, w której znajdowało się wiele osób.

W tym momencie usłyszał jakiś znajomy głos. Przecież to hrabia de Lapierre! Ucieszył się i zarazem nieco zdziwił.

— Odpowiedz, czy tylko prosta ciekawość przywiodła cię tutaj? — pytał hrabia.

— Nie — odparł młodzieniec.

— Słowa twe nam nie wystarczą. Bracie Dozorco, przyłóż koniec szpady do serca zuchwałego przybysza. Dla poszukiwania światła musi on odbyć drogę z Zachodu na Wschód. Gdybyś ujrzał w nim najłżejszy upór, przesyj mu szpadą zdradzieckie serce!

Wówczas Pierre poczuł na swej piersi ostrze szpady. Serce zaczęło mu bić szybciej. Jeden fałszywy ruch i przesyją mi pierś, pomyślał. Nie dał jednak poznać po sobie strachu. Ktoś ujął go za prawą rękę i prowadził wokół sali. Po chwili usłyszał tępe uderzenie drewnianego młotka.

— Prowadźcie go pod stalowe sklepienie — usłyszał znowu głos hrabiego de Lapierre.

Wtedy dało się słyszeć szcęk wielu szpad, uderzających jedna o drugą.

— Schył głowę — poznał głos Paula.

Ucieszył się w duchu. Więc mężczyzną oprowadzającym go był jego rodzony brat. Przeszli razem pod szpalerem szpad. Pierre schylił się prawie w półokrąg, ponieważ był okazałego wzrostu.

Teraz hrabia odezwał się do niego po raz trzeci:

— Każ mu zgiąć lewe kolano! Niech położy dłoń na Ewangelii! Daj mu cyrkiel w rękę, tak aby ostrze przyłożone było do serca.

Pierre poczuł na gołej piersi zimny, ostry kolec cyrkla. Znow poczuł kołatanie serca. Żadnego ruchu, bo umrę, pomyślał. Poczł, jak na czoło spływają mu krople zimnego potu.

Uderzenie młotka po raz drugi. W tym momencie poczuł na czubku głowy zimne końce wielu szpad.

Wtedy znowu usłyszał głos brata. Nic mi zatem nie grozi, ucieszył się w duchu. Paul zwracał się do niego spokojnym głosem. Prosił o powtórzenie słów przysięgi, które właśnie czytał.

— Ja, Pierre Duvalle, przysięgam przed Bogiem Najwyższym, całego świata Budowniczym, na zbawienie moje i honor mój, dochować tajemnicy braci

masonów — powiedział, opierając swą dłoń na Ewangelii. — Nadto przysięgam — powtarzał dalej za Paulem — w razie konieczności krwią swoją i życiem swoim wszystkich statutów społeczności masońskiej bronić. W przypadku niedotrzymania słowa pozwalam, aby mi gardło przerżnięto, serce oraz wnętrzności wyszarpano i do morskiej wody wrzucono. Niechaj mi Najwyższy Budowniczy udzieli swej pomocy...

Po wypowiedzeniu ostatniego zdania, na potwierdzenie swej przysięgi pocałował podaną mu przez Paula Ewangelię.

Teraz Mistrz Katedry, czyli hrabia de Lapierre, zwrócił się do niego:

— Bracie, przybliź tę czarę krwi do swych ust.

Pierre poczuł, że przyłożono mu do serca zimne, mosiężne naczynie. Gdy wypił jego zawartość, usłyszał znowu głos hrabiego:

— Za zezwoleniem wszystkich braci przyjmuję ciebie na ucznia do grona masonów.

Hrabia poprosił, żeby młodzieniec wstał z klęczek. Następnie zwrócił się do dwóch mężczyzn, stojących najbliżej niego.

— Poprowadźcie go na Zachód.

— Bracie Dozorco! — mówił dalej hrabia. — Zapytaj przybyłego, czy pragnie dostąpić pierwszego stopnia światła?

— Tak, pragnę! — odparł Pierre.

— Bracie Dozorco, daj mu pierwszy stopień światła.

Wówczas poczuł, jak ktoś podnosi mu opaskę nieznacznie do góry. To, co pierwsze rzuciło mu się w oczy, to płomienie świec palących się na podwyższeniu, na którym siedział Mistrz Katedry. Widział to wszystko jakby przez mgłę, gdyż opaska nadal zasłaniała mu znaczną część oczu.

— Czego chcesz, młodzieńcze? — pytał dalej mistrz.

— Światła! — odparł.

— Dozorcy, udzielcie nowo przyjętemu wielkiego światła!

Po kolejnym uderzeniu młotka usunięto opaskę z jego oczu. Pierre ujrzał stojącego naprzeciwko hrabiego do Lapierre.

— Bracie mój, jesteś przyjęty na ucznia do loży masońskiej — głos hrabiego był pełen optymizmu.

Pierre zaczął rozglądać się po sali. Zauważył, że zarówno ściany jak i sklepienie pomieszczenia, w którym się znajdowali, były obite granatowym sukrem. Gdy uniósł głowę, ujrzał wymalowane srebrną farbą gwiazdy. Sklepienie przypominało niebo za oknem.

W głębi sali ustawiony był tron. Przed nim znajdował się stół, a na nim palił się trójramienny świecznik.

Po bokach komnaty znajdowały się dwie kolumny. Przy każdej z nich stały wielkie lichtarze z płonącymi świecami.

Teraz Pierre rozejrzał się po obecnych. Oprócz Paula dojrzał znajomą twarz Michaela Roscherie. Nawet się za bardzo nie zdziwił, widząc go tutaj. Znał go i wiedział, że jest człowiekiem szlachetnym. Zauważył również Armanda de Beries. Po miejscu, które zajmował markiz, domyślił się, że stoi wysoko w hierarchii. Zdziwił się trochę, widząc Jeana de Chavannese. Więc prawie wszyscy moi znajomi należą już do masonów?

To że hrabia de Lapierre był mistrzem, nawet nie bardzo go zaskoczyło.

Różne myśli kłębiły mu się w głowie. To, co od razu przyszło mu na myśl, to pewność, iż Paul wiedział, który z kolegów należy do loży. Przez ułamek sekundy miał nawet pretensję do brata, jednak przypomniawszy sobie słowa przysięgi, zrozumiał, iż Paul nie mógł postąpić inaczej.

Teraz pozwolono mu zapiąć koszulę, zasłaniając odkrytą pierś, oraz opuścić podwiniętą nogawkę spodni. Kazano mu iść, stawiając stopy pod kątem prostym.

— Postawcie go na cyrku mądrości, potem na węgielnicy szczerości oraz na gwiazdzie promiennej — usłyszał rozkazujący głos mistrza.

Gdy Pierre wykonał trzy następne kroki, hrabia zbliżył się do niego. Obok mistrza stanął Michael, trzymając przed sobą aksamitną poduszkę. Na niej ułożono biały jedwabny fartuszek oraz białe rękawiczki, męskie i damskie. Hrabia zdjął z poduszki biały fartuszek oraz męskie rękawiczki. Pierre nieco się zdziwił, spoglądając na te części garderoby. Wyjaśniono mu, iż damskie rękawiczki znajdują się tu po to, żeby nie zapominał nigdy o czci należnej kobietom.

Po chwili, przy pomocy jednego z „braci”, przywdział biały fartuszek. Następnie założył męskie rękawiczki z białego jedwabiu.

Na zakończenie ceremonii mistrz pokazał mu tajemny znak ucznia. Przyłożył do swego gardła rękę, jakby obcinał sobie dłońią głowę. Następnie nauczył Pierre'a braterskiego powitania, czyli chwytu dłoni, tak jak witają się bracia masoni. Całą ceremonię zakończył pocałunek mistrza.

Nastąpiły trzy uderzenia młotka i posiedzenie loży zostało zamknięte.

8. Koncert

— Czy mógłby papa poświęcić mi kilka chwil? — spytała Juliette, wchodząc do gabinetu.

Hrabia spojrział na nią nieco zdziwiony.

— Czy coś się stało, córeczko?

— Jeszcze nie — odparła. — Jest jednak coś, o czym muszę z ojcem porozmawiać.

— Słucham cię więc uważnie, kochanie. Usiądź, proszę — podsunął jej fotel.

Sam zaś zajął miejsce naprzeciwko biurka.

Juliette nie wiedziała, od czego zacząć, jak dobrać słowa, żeby to, z czym przyszła, nie było dla ojca zbyt dużym szokiem. Siedziała spięta, nerwowo bawiąc się wachlarzem.

— Słucham cię, Juliette — spokojnym głosem powtórzył hrabia.

— Wiem ojcie, że największym marzeniem twoim i mamy jest mój ślub z markizem de Beries. Połączenie naszych majątków uczyniłoby nas naprawdę bogatymi.

— Co chcesz mi powiedzieć? — zaniepokoił się hrabia.

Juliette spuściła głowę, prawdopodobnie dlatego, żeby uniknąć spojrzenia w oczy ojcu. Po chwili odezwała się ledwo słyszalnym głosem:

— Pokochałam innego.

— Co ty mówisz, córeczko?! Któż to taki? Czy go znam? — hrabia dosłownie zalał Juliette potokiem pytań.

— Znasz go, ojcie. To Pierre Duvalle.

— Czy na pewno przemyślałaś swą decyzję, dziecko. Wiesz, że chcemy dla ciebie jak najlepiej. Armand de Beries to wyśmienita partia. Sądziłem, iż darzysz go uczuciem. Jestem pewien, że on cię kocha. Czy dobrze zrozumiałem? Zamierzasz zerwać zaręczyny dla mężczyzny, którego poznałaś niespełna kilka tygodni temu. Sadzę, że to tylko młodzieńcze zauroczenie. Jestem pewien, że szybko minie.

— A jeśli nie?

— Wtedy będziemy się martwić!

Hrabia podszedł do córki, nachylił się nad nią i rzekł ściszym głosem:

— Mam nadzieję, iż nikt o tym nie wie.

— Zwierzałam się tylko Henriecie, ale ona nie zdradzi mojej tajemnicy. Jestem tego pewna.

— Mama nie może się o tym dowiedzieć. W każdym razie, nie teraz. Całe życie marzyła o tym, byś poślubiła syna przyjaciółki, Izabelli de Beries. Aż strach

pomyśleć, jaki byłby to dla niej cios.

Juliette nic nie odpowiedziała.

— Mam nadzieję, że do niczego między wami nie doszło? — dodał po chwili hrabia, bacznie obserwując reakcję córki.

— Ależ ojcze, za kogo mnie masz!? — oburzyła się.

— W takim razie nie ma powodów do obaw — odetchnął z ulgą. — Posłuchaj mojej rady, córeczko. Odczekaj kilka miesięcy, ochłoń. Gdy po tym czasie nadal będziesz pałała takim samym uczuciem jak teraz do tego młodzieńca, wtedy zaczniemy się martwić.

Juliette przyjęła słowa ojca ze spokojem. Hrabia nawet nieco się zdziwił. Spodziewał się płaczu, hysterii. Tymczasem ona spojrzała na niego swymi seledynowymi oczami i rzekła:

— Domyślam się, iż Armand oraz pani markiza nie mogą dowiedzieć się o naszej rozmowie.

— To oczywiście! — odparł. — Tak naprawdę, nie bardzo cię rozumiem, Juliette. Ten Pierre wygląda zupełnie jak Armand.

— Mówisz ojcze tak, jak Henrietta. Ona również uważa, że Pierre i Armand niewiele się różnią. Do tego Armand jest bogatym arystokratą. Chwilami mam wrażenie, iż moja siostra podkochuje się w moim narzeczonym.

W tym momencie w głowie Juliette zaświtała nietuzinkowa myśl. Wstała ze swego miejsca i podeszła do ojca.

— Co powiedziałbyś, papo, gdyby to Henrietta wyszła za mąż za Armanda?

— Mówisz poważnie?! Juliette! Zapomniałaś jednak o jednym małym szczególe. Ty, jako pierworodna córka, dziedziczysz cały majątek. Henrietta otrzyma tylko posag.

— W takim razie zrzeknę się połowy majątku na rzecz młodszej siostry.

— Mówisz poważnie?!

— Majątek zostałby uratowany, no, może jego połowa. Czyż nie o to chodzi?

— Naprawdę tak uważasz? Twojej mamie i mnie wydawało się, że ty i Armand jesteście dla siebie stworzeni. Na zaręczynach byliście tacy szczęśliwi...

— Może wtedy tak było. Jednak sporo się od tego czasu zmieniło. Zresztą, proszę papy, nie uwierzę, że gdy planowaliście nasz ślub, troszczyliście się o to, czy naprawdę się pokochamy? — odpowiedziała z ironią w głosie.

— Może masz sporo racji, córeczko, ale z tego, co wiem, młody markiz kocha cię całym sercem. Nie sadowię, żeby było mu wszystko jedno, która z was zostanie jego żoną.

— Tak sądzisz ojcze?

— Jestem tego pewien. Widzę, jak na ciebie patrzy. W końcu też jestem mężczyzną — roześmiał się hrabia. — Poza tym doskonale wiesz, iż wiele

arystokratek zazdrości ci takiego narzeczonego. Gdy zerwiesz zaręczyny, na pewno któraś z panien szybko będzie chciała zająć twoje miejsce.

— Zdaję sobie z tego sprawę. Dlatego też chętnie posłucham ojcze twojej rady. Armand nadal pozostanie moim narzeczoną. Będę zachowywać się bez zarzutu. Jednak nie wiem, czy to przytłumi uczucie, jakim darzę Pierre'a Duvalle. Po raz pierwszy w życiu czuję coś takiego. Nie mogę przestać o nim myśleć. Uwierz mi, ojcze, moje uczucie do tego młodzieńca jest czymś wyjątkowym. Czuję się tak, jakbym odnalazła bratnią duszę, kogoś, kto myśli i czuje jak ja — mówiła ze łzami w oczach.

W głębi duszy czuła się bardzo nieszczęśliwa. Nikt nie chciał lub nie potrafił jej pomóc. Nikt jej nie rozumiał.

* * *

Właśnie rozpoczął się występ. Juliette zajęła honorowe miejsce obok narzeczonego. Za nimi znajdowały się liczne rzędy krzeseł. Zasiedli na nich pozostali goście. Gdy na scenie pojawili się pierwsi śpiewacy, zostali przywitani gromkimi brawami. Orkiestra zaczęła grać pierwsze takty. Rozpoczął się koncert.

— Jak ci się podoba, najdroższa? — szepnął Armand po kilkunastu minutach.

— Wiesz przecież, że uwielbiam muzykę Monteverdiego.

— Dlatego zaprosiłem właśnie tych muzyków. Specjalnie dla ciebie wystawią urywki z „Orfeusza”.

— Poznałam już po pierwszych taktach.

— Wiedziałem, że sprawię ci przyjemność. Artyści przyjechali niedawno z Florencji. Poleciał mi ich baron de Chavannese.

— Ten młody przystojny syn baronowej?

— Widzę, że wpadł ci w oko.

— Jesteś zazdrosny? — zdziwiła się. — Tak naprawdę nie jest w moim typie. Wiem jednak, że podoba się kobietom — uspokoiła go.

— Mówisz poważnie?

— Oczywiście, dlaczego miałabym kłamać. Wolę blondynów niż brunetów. Dziwię się, że jeszcze tego nie zauważyłaś?

Armand odetchnął z ulgą. Juliette natomiast zdziwiła się, że jest zazdrosny nawet o Jeana de Chavannese. Pomyślała, że jej narzeczonego za żadne skarby nie może dowiedzieć się o uczuciu, jakim obdarzyła Pierre'a.

Tymczasem koncert trwał dalej. Śpiewacy popisywali się głosami. Najpewniej chcieli dobrze wypaść na dworze u młodego markiza. Juliette była zachwycona. Muzyka Monteverdiego zawsze dostarczała jej wielu wzruszeń.

Po przeszło godzinie ogłoszono przerwę. Młody markiz zaprosił gości na

poczęstunek.

W sali obok przygotowano zimny bufet. Stoły wprost ugięły się od jedzenia. Na srebrnych półmiskach rozłożono pieczone przepiórki, świńskie udka oraz smażone ryby. Na zdobionych złotem porcelanowych talerzach podano różnego rodzaju owoce oraz ciasta i torty. Kelnerzy roznosili napoje: białe i czerwone wino, owocowy poncz oraz gorącą czekoladę.

Juliette rozejrzała się po obecnych. Jakie było jej zaskoczenie, gdy wśród gości ujrzała Pierre'a oraz Paula Duvalle. Najchętniej udałaby się w ich kierunku, jednak nie wypadało tak bez powodu opuścić towarzystwo narzeczonego. Zupełnie straciła apetyt. Kawałek pieczonej przepiórki w ogóle nie zniknął z jej talerzyka.

— Mogę się dołączyć? — usłyszała obok siebie głos Henrietty.

— Oczywiście — oznajmiła Juliette.

Przesunęła się trochę w stronę Armanda, robiąc miejsce dla siostry. Ponieważ był to bufet na stojąco, miejsca przy stole było w bród.

— Jak miło, że panicz zaprosił tych muzyków — rzekła Henrietta, zwracając się do młodego markiza. — Uwielbiam Monteverdiego! Jego utwory są pełne ekspresji. Co prawda, wprawiają mnie niekiedy w nostalgiczny nastrój, ale...

— Może właśnie dlatego lubisz jego muzykę? — dodała Juliette.

— Możliwe — odpowiedziała Henrietta.

Armand uśmiechnął się. Wiedział, że przedstawienie, jakie zaprezentowali zaproszeni przez niego artyści, stało na bardzo wysokim poziomie. Domyślał się także, że nie każdemu przypadnie do gustu. Była to bowiem muzyka dla osób o wyrobionym smaku muzycznym.

Konwersację przerwało pojawienie się młodego barona de Chavannese.

— Witam piękne panie — powiedział zbliżając się do całej trójki.

Całując dłoń Juliette, kątem oka obserwował stojącą obok Henriettę. Juliette i Armand spojrzeli na siebie. Szybko zrozumieli, w czym rzecz.

— Twoją narzeczoną — rzekł do młodego markiza — miałem już przyjemność poznać. Może zatem przedstawiśz mi teraz temu uroczemu dziewczęciu?

Na twarzy Henrietty pojawił się rumieniec. Juliette, widząc zażenowanie siostry, uprzedziła narzeczonego:

— To jest moja młodsza siostra, Henrietta.

— Henrietta de Lapierre — odparła dziewczyna, wyciągając dłoń na przywitanie.

Jean, składając pocałunek, nie spuszczał wzroku z brązowych oczu młodej hrabianki. Ona, chociaż mocno speszona, uniosła lekko wzrok do góry, żeby móc przyjrzeć się dokładniej swemu rozmówcy. Oceniała, że młody baron jest nawet przystojny. Był szczupłym brunetem średniego wzrostu, o wysportowanej sylwetce. Oceniała go na około dwudziestu czterech lat. Widziała wpatrzony

w siebie jego brązowe oczy. Ale jej wzrok przykuwały włosy młodzieńca — ciemne, falowane, sięgające ramion.. Zauważyła, że powagi dodaje mu lekki zarost oraz śmieszny meszek pod nosem. Uroku dodawał mu też piękny uśmiech, który od czasu do czasu gościł na jego twarzy.

— Jak się panienka bawi? — spytał po chwili baron.

— Dziękuję, dobrze — odparła niby od niechcienia.

— Dzisiaj jest dla mnie szczęśliwy dzień — kontynuował, nie spuszczać z niej wzroku.

— Dlaczego, jeśli można wiedzieć?

— Ponieważ dzisiaj poznałem panienkę.

Henrietta znowu spuściła skromnie oczy. Nie bardzo wiedziała, co powinna odpowiedzieć.

— Mam nadzieję, że teraz będę panienkę częściej widywał. Mam wrażenie, że rodzina ukrywała panienkę przed resztą świata. Zupełnie nie pojmuję dlaczego?

— Henrietta ma dopiero szesnaście lat — oznajmiła Juliette, najwyraźniej z uwagą przysłuchując się rozmowie siostry. — Na przyjęciach i balach bywa dopiero od tegorocznego karnawału.

— Za miesiąc, jedenastego lipca, skończę siedemnaście lat — dodała Henrietta, z wyrzutem spoglądając na starszą siostrę..

— Od tegorocznego karnawału — powtórzył Jean. — Widocznie bywałem nie na tych balach, co powinienem — roześmiał się, a po chwili dodał:

— W istocie, nadzwyczaj poważny wiek.

— Nie lubię, gdy się mnie traktuje jak dziecko. Rocznikowo mam już siedemnaście lat. Jednak mama nie lubi, gdy tak mówię. Twierdzi, że gdy dziecko się rodzi, nie ma jeszcze roczku.

— Pewnie mama ma rację. Jest panienka tak młoda, że może pozwolić sobie na dodawanie lat. Jednak za jakiś czas, jestem pewien, zacznie je sobie panienka odejmować.

— Henriecie na razie to nie grozi, raczej ja zacznę martwić się szybkim upływem czasu — wtrąciła Juliette.

— Czyżby? — zdziwił się Armand, zerkając w stronę narzeczonej.

Młoda hrabianka nic nie odpowiedziała. Najchętniej zmieniałaby temat rozmowy. Nie lubiła chwalić się swoim wiekiem. Zdawała sobie sprawę, że znajomi, którzy wiedzą ile ma lat teraz, w przyszłości łatwo będą mogli obliczyć jej wiek.

— Z panienkami tak się rozmawia, jak z trzydziestoletnimi kobietami — roześmiał się Jean de Chavennese.

— Trzydzieści lat! To dla mnie niewyobrażalne — odparła Henrietta, zerkając w jego stronę.

— Minie szybciej, niż się panienkom wydaje — dodał baron.

— Czyżbyś już pan był po trzydziestce? — spytała Henrietta.

— Na szczęście jeszcze nie... Aż tak staro wyglądam? — zaniepokoił się.

— Ależ nie!

Tak naprawdę zżerała ją ciekawość, w jakim wieku jest ten przystojny młodzieniec.

— Niedawno skończyłem dwadzieścia pięć lat — odparł, czytając najwyraźniej w jej myślach.

— To skąd pan wie, jak czuje się ktoś, kto ma trzydzieści lat? — spytała.

— Jeden z moich kompanów w tym roku skończył trzydzieści lat. Bardzo to przeżywał. Może dlatego, że jest kawalerem i nie ma ani żony, ani dzieci.

Henriecie najwyraźniej spadł kamień z serca. Uśmiechnęła się radośnie. Spoglądał na nią zauroczony. Widać było, że dziewczyna wywarła na nim ogromne wrażenie. Zafascynowany jej urodą prawie zapomniał, po co tu przyszedł. Tak naprawdę szukał Armanda. Miał mu do zakomunikowania ważną wiadomość. Jednak sala pełna gości nie była odpowiednim miejscem na poufną rozmowę.

— Czy moglibyśmy zamienić kilka słów? Na osobności — zwrócił się do Armanda.

— Ależ oczywiście — odparł markiz. Po czym, spojrzawszy na Juliette, rzekł:

— Pozwolisz kochanie, iż cię na chwilę opuszczę?

— Skoro musisz — odparła.

— Wybaczcie piękne panie — kłaniając się rzekł baron.

Za chwilę obaj mężczyźni zniknęli w tłumie gości.

— Jak to dobrze, że zostałyśmy same — odezwała się Henrietta.

Juliette spojrzała na nią zdziwiona.

— Mam dla ciebie list od Pierre'a — podała siostrze karteczkę.

— Teraz mi dopiero o tym mówisz! — oburzyła się Juliette.

Wzięła liścik w drobne dłonie. Następnie, upewniając się, że nikt jej nie obserwuje, rozłożyła ostrożnie zrolowaną kartkę. Na wszelki wypadek trzymała dłonie poniżej blatu stołu. Pierre pragnie się ze mną widzieć! Píše, że będzie czekał na tarasie, jeszcze w tej przerwie przedstawienia. Muszę się więc pośpieszyć.

Rozejrzała się po sali. Zauważyła, że Pierre wraz z Paulem stoją w pobliżu drzwi tarasowych.

— Muszę już iść — odpowiedziała, udając się w tamtym kierunku.

* * *

— Jak to dobrze, że już panienka przyszła — powiedział Pierre.

Juliette uśmiechnęła się.

— Obawiałem się, że nie zdoła panienka przeczytać listu — dodał po chwili.

— Musieliśmy aż poprosić młodego barona de Chavannese, żeby na chwilę wywołał Armanda z sali — dodał Paul.

— Ale chyba nie wtajemniczyliście go w nasze sprawy? — spytała lekko zaniepokojona.

— Oczywiście, że nie. Niech się panienka nie martwi. Armand i Jean poszli omawiać sprawy wagi państwowej — uspokoił ją Paul.

— Czy korzystając z nieobecności Armanda de Beries moglibyśmy zamienić kilka słów? — spytał Pierre.

Juliette kiwnęła głową twierdząco i dodała:

— Wyjdźmy na taras.

Za chwilę oboje znaleźli się na zewnątrz. Wieczór był wyjątkowo ciepły, słońce chyliło się ku zachodowi. Juliette oparła dłonie na kamiennej balustradzie. Spojrzała przed siebie. Pomarańczowozłote promienie słońca oświetlały łąki, pola i lasy. Chociaż była tu już nie pierwszy raz, dopiero teraz widok ten zrobił na niej takie wrażenie. Czyżby dlatego, że towarzyszył jej Pierre? Spojrzała na niego. Stał podziwiając tarczę zachodzącego słońca.

— Myślałeś o mnie? — spytała.

— Tak panienko i właśnie dlatego musimy porozmawiać — odpowiedział dziwnie smutnym głosem. — Może przejdziemy trochę dalej, tu może nas ktoś zobaczyć.

Juliette posłusznie wykonała jego polecenie. Przeszli skrywając się za zachyłkiem muru.

— O czym chciałeś ze mną mówić? — spytała, gdy już stali ukryci za ścianą.

— Sprawy nieco się skomplikowały — zaczął nieśmiało.

— Co masz na myśli? — zaniepokoiła się.

— Sądzę, że nie będziemy mogli się spotykać tak często, jakby sobie tego panienka życzyła.

— Jak to! — krzyknęła oburzona. — A ja, głupia, wierzyłam, że mnie kochasz!

Chciała odejść, lecz Pierre jej nie pozwolił. Podeszedł bliżej i objął ją ramieniem. Nawet się nie broniła. Wtuliła głowę w jego ramiona. Nieważne, co mówił, ważne, że był tu z nią.

— Bo tak właśnie jest — odpowiedział. — Nie mogę przestać o panience myśleć — przytulił ją mocniej.

— Gdyby tak było, chciałbyś spędzać ze mną każdą wolną chwilę — spuściła głowę, żeby nie widział jej szklistych oczu.

— Wybacz panienko, że dałem ci nadzieję — mówił spokojnym głosem, wciąż trzymając ją w objęciach.

Nietrudno było się zorientować, że jego zachowanie przeczy jego słowom. Juliette, wtulona w niego, słyszała bicie jego serca. Czuła, że jest bardzo poruszony. Domyśliła się, że nie chce tego okazywać.

— Nie miałem pojęcia, że jest panienka narzeczoną markiza de Beries.

— Ale jeszcze nie żoną! — odparła.

— On panienkę kocha.

— Skąd możesz to wiedzieć?!

— Bo widzę, jak na panienkę patrzy. Zresztą, mój brat Paul zna Armanda od kilku lat. Zawsze twierdził, że młody markiz ma wspaniałą narzeczoną. Opowiadał o niej w samych superlatywach. Gdy cię poznałem, nie wiedziałem, że to chodzi właśnie o ciebie, Juliette.

Słowa te mocno ją zaskoczyły. Spojrzała na niego z wyrzutem. Dostrzegła bijący z jego oczu wielki smutek.

— Jestem tylko prostym szlachcicem, a panienka przywykła do życia w przepychu — kontynuował Pierre.

— Czuję się, jakbym słyszała rodziców — odpowiedziała z pretensją w głosie. — Dla nich liczy się tylko majątek ziemski i pieniądze.

— Uspokój się, Juliette. Postaraj się mnie zrozumieć.

— Co mam zrozumieć?! Że mnie nie kochasz!

— To nie jest tak, jak myślisz.

— Skąd możesz wiedzieć, co myślę?!

Jeszcze tak wzburzonej jej nie wdział. Odwróciła się i wybiegła bez słowa pożegnania. Gdy weszła do salonu, była tak zdenerwowana, że prawie nie widziała mijanych po drodze osób.

Zakrywała twarz wachlarzem, aby nikt nie spostrzegł jej zapłakanych oczu.

— Co się stało, kochanie?

Uniosła głowę, obok niej stał Armand. Szybko spuściła wzrok, nie chcąc, by zauważył jej zaczerwienione oczy.

— Źle się czuję, bardzo rozboleła mnie głowa — skłamała. — Wybacz, ale muszę się położyć. Nie będę na drugiej części koncertu.

Armand spojrzał na nią zmartwiony.

— Może muzyka była zbyt głośna? — spytał.

— Możliwe — odpowiedziała, ciągle zasłaniając twarz wachlarzem.

— W takim razie druga część występu się nie odbędzie — oznajmił. — Szkoda, bo teraz miały być arie z „Gizeldy” Vivaldiego. To również jeden z twoich ulubionych kompozytorów, jeśli dobrze pamiętam.

Spojrzał, czekając na jej reakcję. Juliette lekko się speszyła. Nie chciała, żeby goście zostali pozbawieni rozrywki. Zrobiło jej się żal również muzyków. Emocje pomału zaczęły z niej opadać, pojawił się wymuszony uśmiech.

— Wiesz, kochanie, już poczułam się nieco lepiej — rzekła po chwili

namysłu. — Pójdę na górę przypudrować nosek i za chwilę będę gotowa.

— Jesteś tego pewna? — Armand spojrział na nią badawczo.

— Ależ tak, czuję się dużo lepiej.

— Jak sobie życzysz, kochanie.

* * *

Przechodząc obok apartamentów Henrietty, Juliette usłyszała szloch. Zaniepokojona zapukała do drzwi.

— Nie chcę nikogo widzieć! — dotarł do niej rozpaczliwy głos siostry.

— To ja, Juliette.

— Odejdź, proszę!

Jednak starsza siostra nie miała zamiaru ustąpić. Chwyciwszy za klamkę, uchyliła drzwi i weszła do środka.

— Powiedz, co się stało? — spytała zaniepokojona.

Henrietta siedziała na brzegu łóżka. Usiadła obok niej.

— Dlaczego płaczesz? Czy ktoś cię skrzywdził? — spytała.

— Tak — odparła Henrietta hamując łzy.

— Kto taki?! — zaniepokoiła się Juliette. — Będzie musiał ponieść zasłużoną karę.

— Nie musisz się obawiać, nie w taki sposób, jak sądzisz. Cierpi tylko moje zranione serce oraz urażona duma.

Juliette spojrzała na nią trochę zdziwiona., Zajęta swoimi sprawami, nie miała pojęcia, że Henrietta też się zadurzyła.

— Wyobraź sobie, moja droga, że Paul nadskakuje tej dumnej i wyniosłej Antuanette. Na mnie wcale nie zwraca uwagi. A tak się ucieszyłam, gdy go dziś ujrzałam.

— Antuanette, mówisz... — zamyśliła się Juliette. — Chyba wpadła mu w oko na ostatnim balu.

— Wiedziałaś o tym?! Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? — oburzyła się Henrietta.

— Po pierwsze, nie chciałam cię martwić. Po drugie, nie wierzyłam, że Paul ma u niej jakiegokolwiek szanse. Wiesz, że dla niej mężczyzna bez majątku i tytułu jest nikim.

— Naprawdę tak myślisz?

— Tak mi się wydaje. Zdziwiłabym się, gdyby było inaczej — odpowiedziała Juliette, patrząc na zapłakaną siostrę. Po chwili chwyciła ją za dłoń i dodała:

— Henrietto, jesteś jeszcze bardzo młoda, nie raz się jeszcze zakochasz. Po co ta rozpacz?

— Wiem siostrzyczko, że chcesz mnie pocieszyć. Ale to na nic.

Juliette przytuliła ją mocno. Henrietta wtuliła się w jej ramiona jak mała dziewczynka.

— Weź się w garść! Zamiast siedzieć tu sama i rozpaczać, zejdź ze mną na dół. Wśród ludzi zapomnisz o swoim zmartwieniu. Uwierz mi. No już, otrzyj łzy. Idziemy!

Henrietta spojrzała na siostrę mocno zdziwiona. Chciała spytać ją o spotkanie z Pierre'em, ale nie było ku temu okazji.

— Wstawaj! Jest już późno, goście i muzycy czekają!

Pociągnęła Henriettę za rękę. Tamta, choć niechętnie, wstała i podeszła do toaletki. Obie, prawie jednocześnie, spojrzały na siebie w lustrze.

— Uśmiechnij się, to nie będzie widać, że płakałaś.

Henrietta dopiero teraz zauważyła, że Juliette również ma zaczerwienione oczy. Chciała ją spytać, co się stało, jednak nie było już na to czasu.

— Pospiesz się! Armand nie pozwoli muzykom grać, dopóki nie pojawię się na dole. A ja nie zejdę bez ciebie, moja droga — dodała stanowczym głosem.

— Sądzisz, że nikt nie zauważy moich zapłakanych oczu? — spytała z niedowierzaniem Henrietta.

— Uśmiechaj się i od czasu do czasu zakrywaj twarz wachlarzem.

9. Spotkanie przy dębie

Nastał lipiec. Dzień był słoneczny, jak zazwyczaj o tej porze roku na południu Francji. Juliette i Henrietta spędzały popołudnie, umilając sobie czas grą na klawesynie. Juliette śpiewała, gdyż najwyraźniej sprawiało jej to przyjemność. Henrietta podziwiała siostrę i w duchu trochę zazdrościła jej pięknego głosu.

Dziewczęta miały na sobie lekkie powiewne suknie. Juliette w kolorze blad różowym, z okazałym dekoltem, obszytym szyfonowymi różyczkami. Henrietta zaś założyła błękitną sukienkę, ozdobioną granatową marszczoną aksamitką.

W pewnym momencie do salonu weszła Natalie de Lapierre.

— Dziewczęta, mamy gości — zakomunikowała radosnym głosem.

Hrabianki spojrzały w stronę matki. W drzwiach, tuż za hrabiną, pojawili się Paul Duvalle oraz baron Jean de Chavannese. Henrietta zrobiła niezadowoloną minę.

— Czego on tu szuka? — odezwała się szeptem do siostry.

Przerwała grę, chcąc wstać z miejsca. Juliette chwyciła ją za dłoń.

— Zostań! — powiedziała rozkazującym tonem.

Henrietta, chociaż niechętnie, usiadła z powrotem.

— O co ci chodzi? — spytała niechętnie

— Jak to? Nie domyślasz się? O Paula.

Juliette z politowaniem pokiwała głową. Następnie wstała i uśmiechając się odezwała się z kurtuazją.

— Witam kawalerów w naszych skromnych progach. Co panów sprowadza?

Zasmuciła ją nieobecność Pierre'a. Jednak widok Paula napawał nadzieją. Pomyślała, że koniecznie musi z nim porozmawiać. Może ma jakieś wieści od brata?

Pierwszy przywitał się młody baron. Gdy podeszła do Paula, młodzieniec, całując jej dłoń, uwodzicielsko spojrzał jej w oczy. Speszyła się nieco. On, nie spuszczać z niej wzroku, puścił oczko.

— Ma paniąka pozdrowienia od Pierre'a — szepnął.

Juliette drgnęła. Nim się zorientowała, poczuła w dłoni maleńki zwitek papieru. Serce zaczęło jej mocniej bić. W tym momencie usłyszała głos matki.

— Proszę, panowie, siadajcie.

Hrabina usiadła na kanapie przy małym okrągłym stoliku. Paul i Jean zajęli miejsca na fotelach naprzeciwko niej.

— Juliette, proszę usiądź obok mnie — zakomenderowała hrabina. — Natomiast ty, Henrietto, bardzo proszę, umil nam czas grą.

Dziewczyna zrobiła niezadowoloną minę, jednak dobrze wiedziała, że musi

wykonać polecenie matki.

— Co panów do nas sprowadza? — spytała hrabina. — Zaraz rozkażę służbie przygotować pokoje na górze.

— Nie ma takiej potrzeby. Zatrzymaliśmy się w zajeździe, niedaleko stąd — odparł baron de Chavannese.

— Mogliście panowie zatrzymać się u nas.

— Może w drodze powrotnej skorzystamy z zaproszenia jaśnie pani — odpowiedział Paul.

— Nie chcieliśmy zajmować zbyt dużo czasu. Tak naprawdę przyjechaliśmy do pana hrabiego.

— Małżonka nie ma w domu. Wyjechał na kilka dni w interesach.

— Skoro już przebyliśmy tak długą drogę, może moglibyśmy pozostać chociaż na godzinkę? — Paul zerknął w stronę Juliette.

— W takim razie muszą panowie koniecznie zostać na podwieczorku.

— Będzie to dla nas zaszczyt — odpowiedział Jean wpatrzony w Henriette, siedzącą przy klawesynie.

Juliette owładnęła tylko jedna myśl. Pragnęła opuścić towarzystwo i swobodnie przeczytać liścik od ukochanego. Schowała go, swoim zwyczajem, w dekolcie sukni.

— Wybacz pani matko, wybaczcie panowie, muszę na chwilę się oddalić.

— Dobrze kochanie, tylko się pospiesz — rzekła hrabina z troską w głosie.

— Oczywiście, pani matko — odpowiedziała Juliette grzecznie dygając nóżką.

Najszybciej jak tylko mogła pobiegła schodami na górę. Gdy znalazła się w swojej sypialni, drżącymi dłońmi wyjęła z dekoltu małą kartkę papieru.

Najdroższa Juliette,

Musimy porozmawiać.

Będę czekał przy starym dębie.

Pierre

Jednak coś do mnie czuje, chce się ze mną widzieć! Cieszyła się jak dziecko. Dlaczego zatem nie przyjechał z Paulem i Jeanem? Nie czas zastanawiać się nad tym teraz. Humor od razu jej się poprawił.

Kiedy po krótkiej chwili zeszła na dół, wszyscy już na nią czekali.

— Proszę, przejdźmy do jadalni — zakomenderowała hrabina.

Juliette zajęła miejsce po prawej stronie matki. Obok niej usiadł Paul. Henrietta, widząc, że Paul zajął miejsce obok siostry, usiadła naprzeciwko.

Uśmiechnęła się, udając, że nie zwraca uwagi na takie drobnostki. Zdziwiła się tylko trochę że miejsce obok niej zajął młody baron de Chavannese.

Kiedy wszyscy goście siedzieli już przy stole, służba zaczęła roznosić posiłek. Nastąpiła dziwna cisza. Jakby wyczerpały się tematy do konwersacji.

W pewnym momencie Paul nachylił się do Juliette i szepnął jej do ucha:

— Może zaproponowałaby pani konną przejażdżkę?

Dobrze wiedziała, co ma na myśli. Widząc, że robi się późno, odezwała się:

— Chętnie wybrałabym się na przejażdżkę, najlepiej konną. Zapowiada się piękny wieczór. Co o tym sądzisz, Henrietto?

— Ja wolę zostać w domu. Boli mnie głowa — skłamała siostra, spoglądając z wyrzutem na Paula.

Już to, że usiadł przy Juliette, wzbudzało w niej gniew. Myślała tylko o tym, żeby zaszyć się w samotności w swojej sypialni.

— Taka piękna pogoda — Juliette nie dawała za wygraną. — Panowie będą nam towarzyszyć. Pobyt na świeżym powietrzu dobrze ci zrobi.

— W taką wspaniałą pogodę grzechem byłoby zostać w domu — poparła starszą córkę hrabina.

Henrietta zmierzyła siostrę wzrokiem, świadczącym o wyraźnym niezadowoleniu z jej pomysłu. Juliette spojrzała na nią błagalnie. Chciała dać jakiś znak, jednak nie wiedziała, jak ma to uczynić. Henrietta nawet nie patrzyła w jej stronę. Zaczęły dręczyć ją obawy. Co będzie, jeśli młodsza siostra uprze się i zechce pozostać w domu? Czy mama pozwoli jej pojechać samej z dwoma mężczyznami, nawet w towarzystwie przyzwoitki?

Wiedziała, że musi przekonać siostrę. Zdesperowana, wyciągnęła prawą nogę z pantofelka i lekko kopnęła siedzącą naprzeciwko Henriettę. Chciała, by ta spojrzała na nią. Pomyślała, że wtedy da jej znak oczami.

Jakże się myliła. Henrietta ujrzała w jej oczach tylko pretensję i żal. Najwyraźniej nie mogła zrozumieć, dlaczego siostra upiera się przy popołudniowej przejażdżce. Spoglądała na dziwne miny Juliette i zupełnie nie rozumiała, o co jej chodzi. Chcąc dać znak siostrze, że nie jest zainteresowana jej pomysłem, wysunęła drobną stópkę z pantofelka i lekko kopnęła ją w kolano. Tak jej się przynajmniej wydawało. Juliette nawet nie zareagowała. Henriettę to rozłościło. Wsunęła więc nogę w skórzany bucik na drewnianej podeszwie i z całej siły kopnęła Juliette. Ku jej zdziwieniu Paul aż podskoczył. Spojrzał na Henriettę trochę zaskoczony. Spłonila się, widząc jego zdumiony wzrok. Teraz dopiero zrozumiała, że zamiast Juliette musiała kopnąć Paula.

— Wyborny deser — powiedział, rzucając ukradkiem spojrzenie w stronę Henrietty.

Patrzyła na niego z taką złością, że gdyby mogła, zabiłaby go wzrokiem. Trochę go to nawet rozśmieszyło.

— Myślę, że przejażdżka na świeżym powietrzu dobrze panience zrobi — wtrącił zerkając w stronę Henrietty.

— Nie przepadam za konną jazdą — odparła z niezadowoloną miną.

— Słyszałem, że ziemie ojca pańienek są bardzo urodzajne. Znajomi opowiadali mi, że wiele tu ciekawych zakątków — wtrącił siedzący obok niej Jean.

— To prawda. Mieszczą się tu winnice i sady pomarańczowe. Zupełnie niedaleko znajdują się też akwedukty, jeszcze z czasów Cesarstwa Rzymskiego. Mają chyba ponad dwa tysiące lat — rozchmurzyła się Henrietta.

— Umieram z ciekawości. Koniecznie muszę je zobaczyć! Czy panienka zechciałaby być moją przewodniczką? — spytał baron, uśmiechając się do niej uwodzicielsko.

Henrietta ujrzała wpatrzony w siebie jego brązowe oczy. Spuściła skromnie wzrok, a jej policzki lekko się zarumieniły. Wiedziała, że teraz nie może odmówić. Po prostu nie wypadało. To dziwne, ale nagle poczuła, jak poprawia jej się humor. Domyślała się, że to za sprawą Jeana. Widząc jego rozmarzone oczy, zrozumiała, że mu się podoba. Trochę jej to pochlebiało.

Wiedziała, że młody baron nie jest typem bawidamka. Uważała go za statecznego, ułożonego mężczyznę. Poza tym należał do arystokracji, tak jak ona. Spojrzała więc na niego przychylniejszym wzrokiem. Jego długie ciemne włosy, sięgające ramion, czyniły go niezwykle atrakcyjnym. I te brązowe oczy...

— Dobrze, pojedę na tę przejażdżkę, skoro tak mnie wszyscy o to proszą — powiedziała spokojnie, oczekując reakcji siostry.

Juliette odetchnęła z ulgą. Uśmiechnęła się z zadowoleniem. Najwyraźniej hrabinie też spadł kamień z serca. Chwyciła dzwonek na służbę i potrząsnęła nim. Za chwilę w jadalni pojawiła się pokojówka.

— Celino, każ stajennemu przygotować konie. Panienki wybierają się na przedwieczorną przejażdżkę.

— Oczywiście, pani hrabino — odpowiedziała służąca, kłaniając się nisko i opuszczając pokój.

— Moje drogie, przebierzcie się w strój do jazdy konnej — zwróciła się do córek. — Henrietto, poczekaj, proszę. Pójdę z tobą na górę i pomogę wybrać odpowiednią suknię.

Juliette spojrzała na matkę niezbyt zachwycona tym pomysłem. Cały jej plan właśnie legł w gruzach. Sądziła, że na górze porozmawia z Henriettą i wszystko jej wyjaśni. Jednak w tych okolicznościach stało się to niemożliwe.

* * *

Za kilkanaście minut Juliette zjawiła się w salonie. Miała na sobie suknię z weluru w kolorze fioletowym. Szyję zdobiła czarna aksamitka, a lekki dekolt

zasłaniała marszczona żorżeta w odcieniu sukni. Słomkowy kapelusz miał osłaniać twarz przed promieniami zachodzącego słońca.

Chwilę później zeszła na dół Henrietta. Młodsza siostra założyła suknię w kolorze ciemnego błękitu. Jak przystało na młodą panienkę, dekolci zakrywała gruba koronka w odcieniu nieco jaśniejszym od reszty stroju. Jasne loki dziewczęcia związane były aksamitną granatową kokardą.

Obie panienki wyglądały tak uroczo, że mężczyznom aż zaparło dech w piersiach.

W salonie czekała już na nie panna Marsin.

— Pani hrabina prosiła, żebym towarzyszyła panienom — oznajmiła guwernantka.

Juliette zauważyła, że dzisiejszego dnia panna Marsin wyglądała wyjątkowo atrakcyjnie. Miała na sobie suknię w kolorze bordo. Skromną jak zwykle, ale bardzo elegancką. Na głowie nieduży kapelusz, obwiązany szeroką szarfą w kolorze sukni. Jej ciemnoblonde włosy, zakręcone w grube loki, sięgały ramion.

— Oczywiście. Jak mogłybyśmy pojechać same lub, co gorsza, z obcymi mężczyznami — stwierdziła Juliette z lekką ironią w głosie.

— Mój oddany sługa również będzie nam towarzyszył, jeśli panienki pozwolą — oznajmił Jean.

* * *

Kiedy już cała szóstka dosiadła koni, Henrietta odezwała się donośnym głosem:

— Jedźmy do starych katakumb. Musimy się pospieszyć, gdyż to trochę daleko.

W tym momencie Juliette podjechała do niej na swej białej klaczy i powiedziała cichym, ledwo dosłyszalnym głosem:

— Przy starym dębie czeka na mnie Pierre. Zatem gdy ja i Paul zgubimy się po drodze, nie panikuj.

Henrietta spojrzała na siostrę trochę zaskoczona. Dlaczego od razu nie wyjawiała jej, o co chodzi? Czyżby nie miała do niej zaufania? Zasmuciła się. Jednak teraz nie czas było o tym rozmyślać.

— Będziemy jechać przodem! — krzyknęła Henrietta, spoglądając na Jeana.

Po chwili wszyscy ruszyli w drogę. Mijali po drodze plantacje winorośli, ciągnące się kilometrami. I jak to na początku lipca, winogrona były już prawie dojrzałe. Równie pięknie wyglądały pomarańczowe sady. Promienie słońca jeszcze mocno grzały. Jednak przy szybkiej jeździe dało się odczuć lekki powiew wiatru.

— Musimy się na chwilę zatrzymać! — oznajmił w pewnym momencie Paul.

Wszyscy spojrzeli na niego zdziwieni.

— Dlaczego, przecież jest już późno? — najwyraźniej zaniepokoiła się Henrietta. — Powinniśmy się raczej pospieszyć. Musimy przecież wrócić przed zmrokiem — mówiła dalej przejęta.

— W takim razie jedźcie przodem, proszę. Ja i hrabianka Juliette musimy zabawić tu kilkanaście minut. Zauważyłem, że panienka ma lekko poluzowane siodło.

Juliette spojrzała na niego zdziwiona i przerażona zarazem.

— Mogłam spaść z konia. Dobrze, że to zauważyłeś, kawalerze.

Paul, widząc jej minę, puścił oczko.

— Zaraz to poprawię — rzekł spokojnym głosem, zeskakując z konia.

— Nie czekajcie na nas! Dogonimy was! — krzyknął do reszty towarzystwa.

Henriecie nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Wydała komendę:

— Jedźmy!

Ruszyła pierwsza, a wszyscy, jak jeden mąż, podążyli za nią.

Paul i Juliette odczekali, aż znikną za zakrętem.

— Ale mnie kawaler przestraszył.

— Nic innego nie przyszło mi do głowy — z uśmiechem odparł Paul. — Nie traćmy czasu. Pierre czeka!

Skręcili w boczną drogę, prowadzącą wprost do starego dębu.

* * *

Pierre, słysząc odgłos końskich kopyt, na wszelki wypadek ukrył się w krzakach. Nie był pewien, kto się zbliża, a drogi były pełne rabusiów.

Na widok Paula i Juliette ucieszył się i wyszedł im naprzeciw. Podeszedł do hrabianki, podał jej dłoń, pomagając zejść z białej klaczy.

— Ładnie panience w tym kolorze — powiedział na przywitanie.

— Dziękuję — odpowiedziała skromnie.

— Przejdźmy się — zaproponował.

Zaczęli iść wolnym krokiem. Paul został, żeby pilnować koni. Przez dłuższą chwilę szli w milczeniu. Serce Juliette zaczęło bić mocniej. Tak dawno go nie widziała! Uśmiechnęła się do niego i drżącym głosem spytała.

— O czym chciałeś panie ze mną mówić?

Nie wiedziała, czego tak naprawdę, może się spodziewać. Szczególnie po ostatniej rozmowie. Dlaczego spotykają się potajemnie, gdzieś na odludziu? Łudziła się, że Pierre pragnie wyznać jej miłość.

Szli zamysłeni. W pewnym momencie młodzieniec zatrzymał się. Juliette bez namysłu zrobiła to samo. Stali przez dłuższą chwilę wpatrzeni w siebie. Wreszcie Pierre chwycił jej dłoń i przyłożył do swego serca. Juliette spojrzała na

niego pełna nadziei. Tak bardzo chciała się do niego przytulić, jednak coś ją przed tym powstrzymywało. Serce biło jej coraz szybciej, a myśli kłębiły się w głowie, jak oszalałe.

— Wybacz, Juliette — zaczął młodzieniec. — Jesteś wyjątkową kobietą i nigdy cię nie zapomnę. Jednakże to, co teraz usłyszysz ode mnie, nie spodoba ci się.

W oczach Juliette pojawiło się przerażenie. Co chce przez to powiedzieć?

On spuścił wzrok najwyraźniej unikając jej spojrzenia.

— Juliette, wybacz...Ale nie możemy być razem.

Wezbrała w niej złość, wyrwała dłoń z jego objęć i zaczęła wykrzykiwać.

— Jak to! To po to kazałeś mi tu przyjechać?! Mogłeś napisać to wszystko w liście. Pomyśleć, że ja głupia cieszyłam się na to spotkanie z tobą. Henrietta miała rację! Powinniśmy zostać w domu!

— Rozumiem, co czujesz — odpowiedział spokojnym głosem.

— Czyżby?! — oburzyła się. — Skąd możesz to wiedzieć? Myślałam, że mnie kochasz, wierzyłam w twoje zapewnienia. Nawet przeprowadziłam rozmowę z ojcem.

— Naprawdę? — zdziwił się. — I co pan hrabia na to? — spytał z ciekawości.

— Wyobraź sobie, że już prawie się zgodził.

— Nie wierzę!

— Po co zalecałeś się do mnie, skoro nie zamierzałeś zostać moim mężem?!

— Dobrze wiesz, że było to moim największym marzeniem.

— Zabawne!

Spojrzała na niego z pogardą i dodała:

— Teraz to już i tak nie ma znaczenia.

— To nie jest tak, jak sądzisz. Jesteś narzeczoną Armanda de Beries i niech tak zostanie.

Do oczu Juliette napłynęły łzy. Czyżby była dla niego tylko zabawką? Myśli krążyły w jej głowie jak oszalałe. Pomyślała, że szczęśliwie do niczego między nimi nie doszło.

— Kochasz inną? — spytała dumnym i zdecydowanym tonem.

— Nie, panienko — odparł smutno Pierre. — Mam jednak zobowiązania wobec innej kobiety.

— Co takiego?! — oburzyła się.

Po chwili jednak, gdy na niego spojrzała, zrozumiała, że cierpi.

— Czy miałam zaszczyt ją poznać? — spytała, starając się opanować gniew.

— Tak, była na balu. To Elaine, siostra Michaela.

— Jak mogłeś uwodzić mnie, gdy miałeś zobowiązania wobec innej?!

— Wiem, nie powinienem... Proszę o wybaczenie. Dlatego chciałem

spotkać się z panienką i wszystko wyjaśnić.

— Nie wierzę własnym uszom. Jak mogłeś mi to zrobić?

Poczuła w sercu wielką krwawiącą ranę. Nie mogła sobie poradzić z emocjami. Czowała, że za chwilę się rozplacze. On stał bezradny. Wydawało się, że chciał ją przytulić mocno do siebie, jednak nie uczynił tego. W końcu odezwał się cichym, ledwo dosłyszalnym głosem:

— Jak możesz mnie krytykować, Juliette? Zapomniałaś, że flirtowałaś ze mną, będąc narzeczoną markiza de Beries?

Juliette teraz dopiero zrozumiała, że Pierre ma rację. O co tak naprawdę go obwinia? Wydawało jej się, że jest usprawiedliwiona, gdyż kierowała się głosem serca.

Nagle przestała płakać i spojrzała mu w oczy.

— Może i tak, ale ja pokochałam cię całym sercem. To było silniejsze ode mnie, nie rozumiesz? Sądziłam, że zostaniemy małżeństwem.

— Ja czułem dokładnie to samo. Od pierwszego dnia naszej znajomości, od dnia, gdy ujrzałem cię w karecie, nie mogłem przestać o tobie myśleć.

Juliette zobaczyła w jego oczach wielki smutek. wydawało jej się nawet, że dostrzegła łzy.

— Powiem coś, chociaż nie wiem, czy powinienem — dodał po chwili Pierre.

— Mów, proszę.

— Chciałbym, żeby dobrze mnie panienka zrozumiała i nie potępiała...

— Czy coś się złego stało? — zaniepokoiła się.

— Nie, nie ma powodu do obaw.

— Na pewno? A co z Elaine? To piękna dziewczyna i jak zdążyłam zauważyć, bardzo rezolutna.

— Znamy się od dwóch lat., Kiedy pojawiałem się w ich domu, rodzice Michaela zawsze dawali mi do zrozumienia, że chcieliby, żebym został ich zięciem. Nie traktowałem tego zbyt poważnie. Wiedziałem jednak, że podobam się Elaine. Kilka miesięcy temu doszło między nami do zbliżenia...

— Uwiodłeś ją?!

— Może nie do końca tak było.

— Zatem ona uwiodła ciebie? — spytała z niedowierzaniem.

— Darujmy sobie te szczegóły, panienko.

— Masz rację, nie chcę tego słuchać! Jak mogłeś romansować ze mną, spotykając się z nią.

— To nie tak. Przecież wtedy cię jeszcze nie znałem.

— Spotkaliśmy się o kilka miesięcy za późno — stwierdziła ze smutkiem Juliette.

— Może... Gdybyśmy spotkali się w innym czasie..?

Spojrzała w jego przerażająco smutne oczy. Domyślała się, że jest tak samo nieszczęśliwy jak ona. Była zła na wszystkich, na cały świat. Dlaczego los jest tak przewrotny? Gdyby poznali się kilka miesięcy wcześniej, kto wie, jak potoczyłoby się ich życie?

10. Ślub

Za kilka dni, zupełnie niespodziewanie, zjawił się Armand. Juliette nawet przemknęła taka myśl, iż może doszły go słuchy o jej spotkaniu z Pierre'em. Któż mógłby mu jednak o tym donieść? Była pewna, że Paul umie dochować tajemnicy. Nieraz się o tym przekonała. Nie знаła zbyt dobrze młodego barona de Chavannese, ale nie podejrzewała go o donosicielstwo. Może więc wizyta Armanda była czystym przypadkiem, pomyślała.

Ostatnie dni spędziła w odosobnieniu. Wciąż rozpamiętywała słowa Pierre'a, widziała jego smutne oczy. Miała żal do niego, do siebie, do całego świata. Wiedziała, że to, co ich połączyło, nie było zwykłym zauroczeniem. Podświadomie to czuła.

Domyślała się, że on również odwzajemniał jej uczucie. Jakie to jednak miało teraz znaczenie? Czuła się wzgardzona i odtrącona. Obwiniła siebie za to, że tak bardzo się w nim zadurzyła. Dobrze jednak wiedziała, dlaczego tak się stało. Pierre ujął ją swym niespotykanym urokiem, nienagannymi manierami. Chociaż był tylko prostym szlachcicem, zachowywał się jak książę. Kiedy w towarzystwie zabierał głos, inni zawsze z uwagą go słuchali. No i był bardzo przystojny. Wszędzie gdzie się pojawiał, robił wrażenie na kobietach. Panny na balu wprost pożerały go wzrokiem. Wtedy ją to bawiło, teraz poczuła się jedną z jego zdobyczy. Dlaczego była taka naiwna? Pomyśleć, iż była gotowa poświęcić dla niego wszystko: Armanda, majątek, nawet rodzinę.

Czuła się tak bardzo nieszczęśliwa i co najgorsze, nikt nie potrafił jej pomóc. Chciała zapomnieć o nim, jednak nie było to takie łatwe. Wiedziała jedno, Armand nie może się o niczym dowiedzieć. Była pewna, że narzeczony straciłby do niej zaufanie, a na to przecież nie mogła sobie pozwolić. Uczucie do Pierre'a to przeszłość. Musi wyrzucić go z pamięci. Rana w sercu w końcu się zagoi.

* * *

— Widzę, że moja najdroższa jest dzisiaj jakaś smutna — rzekł Armand, całując jej dłoń na przywitanie.

Juliette spieszyła się.

— Nie cieszysz się, że mnie widzisz?

— Ależ tak... Bardzo się cieszę — odpowiedziała.

— Jesteś jakaś blada. Taki piękny dzień, może wybierzemy się na konną przejażdżkę? — zaproponował.

Aż drgnęła, słysząc o przejażdżce. Spojrzała na niego z przerażeniem. Skąd

przyszło mu to do głowy? Czyżby doszły go jakieś słuchy? Może to jednak przypadek, pomyślała. Spojrzała mu w oczy, starając się nie okazywać żadnych emocji.

— W którym kierunku chciałbyś się ze mną wybrać? — spytała niepewnie.

— Najchętniej wybrałbym się na wzgórze, tam gdzie przebiega granica między naszymi majątkami.

Juliette spadł kamień z serca. Jest nadzieja, że Armand o niczym nie wie, pomyślała.

— Poczekaj tu na mnie. Przebiorę się i możemy jechać — odpowiedziała z radością w głosie.

Ponieważ panience na wydaniu nie wypadało wybierać się na przejażdżkę sam na sam z mężczyzną, hrabina zarządziła, że pojedzie z nimi panna Marsin.

Było piękne lipcowe popołudnie. Na błękitnym niebie tylko od czasu do czasu pojawiały się niegroźne białe obłoczki.

Juliette postanowiła założyć suknię w kolorze pudrowego różu. Głowę jej zdobił kapelusz z okazałym rondem, przybrany drobnymi jedwabnymi różyczkami. Takie same różyczki wykańczały dekolt jej sukni. Już na pierwszy rzut oka można się było domyślić, że ten strój stanowił komplet.

* * *

Jechali wolno, podziwiając widoki, rozpościerające się po obu stronach drogi. Wjechali na wzgórze. W dole rozciągały się plantacje winorośli, oliwkowe gaje oraz cytrusowe sady.

— Zatrzymamy się tutaj? — spytał Armand.

Juliette przytaknęła. Wtedy on zeskoczył z konia i oddał lejce nadjeżdżającemu właśnie słudze, który również towarzyszył im w przejażdżce.

— Przejdźmy się kawałek — zaproponował młodzieniec.

— Z przyjemnością — odparła.

Przez chwilę szli w milczeniu. W pewnym momencie Armand zatrzymał się. Juliette spojrzała na niego lekko zdziwiona. A on oparł dłoń na jej ramieniu i zatopił wzrok w jej turkusowych oczach.

— Widzę, że moje słońko jest dziś naprawdę smutne. Czy coś się stało?

Juliette zaniepokoiła się. Zbyt łatwo okazuje emocje, pomyślała. Dlaczego Armand zorientował się, że coś mnie gryzie? Weź się w garść, dziewczyno, strofowała sama siebie.

— Nic mi nie jest. Może ta pogoda tak na mnie wpływa. Rozboleła mnie głowa, chyba będzie padało.

Armand spojrzał w górę. Co prawda, unosiły się na niebie białe obłoczki, ale nie wróżyły deszczu. Zmierzył badawczym wzrokiem narzeczoną.

— Powiedz mi szczerze, Juliette, co się dzieje? Coś cię gryzie? — spytał.

— Nic mi nie jest — skłamała.

— Znam cię od dziecka i dobrze wiem, kiedy masz dobry humor, a kiedy nurtuje cię jakiś problem.

Juliette zrobiła zakłopotaną minę. Nie bardzo wiedziała, co powinna odpowiedzieć. Nie miała już siły grać przed nim szczęśliwą i beztroską panienkę. Nie mogła jednak wyznać mu prawdy. Nie chcąc, by widział jej zboląłą minę i cisnące się łzy, wtuliła się w jego ramiona. Armand przygarnął ją mocno do siebie. Poczowała, jak gładzi jej długie włosy.

— Za miesiąc skończę dziewiętnaście lat. Czuję się taka stara — udała, że przejmując się taką błahostką.

— Co ty opowiadasz, Juliette?

Uniosła na chwilę głowę, by spojrzeć w jego niebieskie oczy. W tym momencie poczuła jego usta na policzkach. Nie broniała się. O dziwo, jego pocałunki sprawiały jej przyjemność. Instynktownie zaczęła szukać wargami jego ust. Gdy połączył ich długi pocałunek, znowu poczuła się szczęśliwa. Wiedziała, że Armand darzy ją szczerym uczuciem. Wreszcie była kochana! A tego pragnęła najbardziej na świecie.

— Jak długo każesz mi jeszcze na siebie czekać? — szepnął, odrywając wargi od jej ust.

— Jeśli chcesz, możemy wziąć ślub choćby jutro — odpowiedziała.

— Aż takiego pośpiechu nie ma — roześmiał się. — Trzeba zaprosić znamienitych gości. Może weźmy ślub trzeciego sierpnia — zaproponował.

— W dniu moich urodzin? — zdziwiła się.

— Łatwiej mi będzie zapamiętać kolejne rocznice naszego ślubu — zażartował.

Spojrzała na niego spod oka. Najwyraźniej nie bardzo ją to rozbawiło.

— Jak sobie życzysz — odparła bez zbytniego entuzjazmu.

Wtuliła się w jego ramiona. Czowała, jak łzy spływają jej po policzkach. Armand objął ją i nie zadawał zbędnych pytań. Była mu za to niezmiernie wdzięczna.

* * *

Ślub młodego markiza de Beries z córką hrabiego de Lapierre był nie lada wydarzeniem. Na miejsce uroczystości wybrano katedrę w Montpellier, rodzinnym mieście panny młodej.

Juliette wyglądała uroczko w sukni z białego szyfonu oraz koronek, sprowadzonych z samej Wenecji. Jej głowę zdobił śnieżnobiały welon. Był tak długi, że niosły go za nią dwie kilkuletnie dziewczynki. Były to kuzynki ze strony

ojca. Ubrane w białe powiewne sukieneczki wyglądały jak małe aniołki. Ich jasne główki ozdabiały wianuszki z drobnych białych różyczek.

Specjalnie na tę okoliczność markiza de Beries pożyczyła Juliette brylantową tiarę. Była uwieńczeniem stroju. Jak twierdziła markiza, panna młoda powinna mieć na sobie w takim dniu coś pożyczonego.

Juliette uparła się, żeby część włosów było luźno puszczone. Pozostałe zaś, zakręcone w grube loki, opadały na odkryte ramiona. Spod długich włosów wystawały delikatne brylantowe kolczyki. Te same, które Armand ofiarował jej w zaręczynowy wieczór.

Juliette zamierzała założyć na ślub kolczyki z białych pereł. Jednak zarówno markiza, jak i hrabina, odradziły jej. Gdy się dopytywała dlaczego, mama wyjaśniła jej, że w dniu ślubu panna młoda nie powinna zakładać ozdób z białych pereł. Perły jakoby oznaczają łzy.

Juliette, chociaż uważała się za osobę światłą i wykształconą, wolała nie sprawdzać tego przesądu na sobie.

Młody markiz tego dnia miał na sobie surdut z błękitnego aksamitu, haftowany brokatowymi nićmi. Jego śnieżnobiałą jedwabną koszulę ozdabiały okazywały żabot. Głowę zdobiła biała peruka. Radził się w tym względzie matki, jak również Juliette. Obie, ku jego zdziwieniu, uznały, że powinien wystąpić w tak doniosłym dniu w nakryciu głowy. Prawdopodobnie uznały, że peruka będzie zwieńczeniem stroju.

— Pięknie wyglądasz — szepnął Armand do stojącej obok Juliette.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się skromnie. Widać było, że jest szczęśliwa. Wiedziała, że tego dnia wygląda wyjątkowo ładnie. Zadbana przecież o każdy szczegół, zarówno stroju, jak i fryzury.

— Ty także, panie — odpowiedziała z wdziękiem.

Młoda hrabianka była tak bardzo wzruszona, iż podczas składania przysięgi małżeńskiej głos jej lekko zadrżał. Miała jednak nadzieję, że Armand oraz goście zgromadzeni w kościele tego nie zauważą. Sobie tylko znanym sposobem wzięła głęboki oddech, odczekała kilka sekund i spokojnym głosem zaczęła powtarzać słowa wypowiedane przez księdza.

* * *

Po ceremonii zaślubin, gdy nowożeńcy opuścili katedrę, Juliette zauważyła, że przyjaciele Armanda stanęli w szeregu naprzeciwko siebie. Unieśli w górę obnażone szpady, tworząc rodzaj sklepienia.

— Schył nieco głowę — poprosił Armand.

Oboje szybkim krokiem przeszli pod lasem ostrych szpad. Juliette, chociaż miała spuszczone głowę, kątem oka ujrzała w szpalerze Pierre'a oraz Paula

Duvalle.

Ich widok nieco ją zdziwił. Myślała, że już nigdy więcej nie ujrzy braci. Tymczasem spotkała ją niespodzianka. Sądziła, iż Pierre nie będzie chciał jej więcej widzieć po tym, co od niej usłyszał. Nie miała pojęcia, że Armand, Paul oraz Pierre to koledzy z bractwa.

Ani Armand, ani ojciec nie wtajemniczali jej w te sprawy. Zastanawiała się w duszy, co zdecydowało o tym, że Pierre tu przybył? Czyżby kierowała nim zwykła kurtuazja?

Skoro Paul przyjechał, jemu nie wypadało postąpić inaczej. Jednak Paul to przyjaciel Armanda jeszcze z czasów studiów. Jego obecność na ślubie nie była więc dla niej zaskoczeniem.

A co kierowało Pierre'em? Może chciał sprawdzić, czy na pewno wychodzi za mąż? — przyszło jej nagle do głowy.

To wszystko było jednak bez znaczenia. Nieważne, co nim kierowało, najważniejsze, że tu był. Nie obchodzili ją książęta, baronowie i hrabiowie, którzy przybyli tłumnie na jej ślub. Dla niej najważniejszy był on, Pierre. Stał wśród zgromadzonych gości i patrzył na nią. Zerknęła na niego ukradkiem. I ujrzała wielki smutek bijący z jego spojrzenia.

11. Przyjazd Paula

— Dziękuję, że mnie odwiedziłaś, Henrietto — powiedziała Juliette, witając siostrę.

— Tęskniłam za tobą. Nasz dom rodzinny bez ciebie wydaje się taki pusty. Chciałam przyjechać dużo wcześniej, ale mama twierdziła, że powinnam dać wam nacieszyć się sobą.

Juliette nieco się zarumieniła. Skąd mama mogła wiedzieć, że będzie szczęśliwa z Armandem, pomyślała.

— Pięknie wyglądasz, widać że małżeństwo ci służy.

— Dziękuję. Muszę przyznać, że Armand jest wspaniałym mężem.

— Wiedziałam o tym od zawsze. To ty miałaś jakieś obiekcje — roześmiała się Henrietta, po czym dodała:

— Mam ci coś ważnego do zakomunikowania.

— Co takiego? Umieram z ciekawości.

— Wyobraź sobie, że dwa dni temu Jean poprosił papę o moją rękę.

— Doprawdy?!

— Nie rozumiem, dlaczego się tak dziwisz. Nie zauważyłaś, że mamy się ku sobie?

— Zauważyłam. Pamiętam, gdy ujrzał cię pierwszy raz. Od razu wiedziałam, że się zakochał.

— Naprawdę?! — Henrietta spytała, jakby nie zdawała sobie z tego sprawy.

— Nie udawaj, że tego nie zauważyłaś? — oburzyła się Juliette.

Henrietta spuściła skromnie oczy. Widząc jej zakłopotanie, siostra postanowiła zmienić temat.

— Może napijemy się czekolady? Usiądźmy na tarasie, jest taka ładna pogoda.

Słońce mocno grzało, choć nastał już październik. Nie było, co prawda, takich upałów jak w środku lata, jednak w ciągu dnia było ciepło i przyjemnie.

— Doskonały pomysł. Będziemy mogły swobodnie porozmawiać. Mam ci coś jeszcze powiedzenia.

Juliette spojrzała na siostrę z zaciekawieniem

— Wyobraź sobie, że przyjechał ze mną Jean.

— Naprawdę?!

— Nie rozumiem, czemu się tak dziwisz. Przecież jesteśmy już po słowie.

— Rozumiem — odparła Juliette.

Dawno nie widziała siostry tak szczęśliwej. Henrietta wprost tryskała radością. Juliette jej nie poznawała. Po nieszczęśliwym zauroczeniu Paulem nie pozostało ani śladu.

Dziewczęta wyszły na taras. Okalały go balustrady z białego marmuru. Po obu bokach ustawiono olbrzymie wazy. O tej porze roku kwitły w nich białe storczyki.

— Jak tu pięknie! — westchnęła Henrietta, rozglądając się dokoła.

— Mówisz, jakbyś była tu po raz pierwszy — roześmiała się Juliette.

— Za każdym razem, gdy tu jestem, ten widok mnie urzeka. Pozwolisz, że usiądę przodem do ogrodu. Uwielbiam podziwiać stąd widok na Morze Śródziemne. Spójrz na horyzont, tak pięknie, że aż zapiera dech w piersiach.

Juliette uśmiechnęła się. Gdy się tu sprowadziła, czuła dokładnie to samo. W wolnych chwilach lubiła przesiadywać na tarasie, czytając i podziwiając urzekające widoki.

— Janie — zwróciła się do lokaja — proszę podać dwie filiżanki czekolady oraz cztery rogaliki.

— Tak jest, pani markizo — lokaj skłonił się nisko, oddalając w stronę pałacu.

Nie minął kwadrans i był z powrotem. Na srebrnym półmisku leżało sześć maleńkich maślanych rogalików. Postawiwszy półmisek na stoliku, zrobił dwa kroki do tyłu. Juliette spojrzała na niego.

— Czy coś się stało? — zaniepokoiła się.

— Gość do pani markizy,

— Któż to może być? — zdziwiła się i spojrzała na Henriettę, Siostra była tak samo zaskoczona.

— To pan Paul Duvalle.

— Paul?! — krzyknęły niemal jednocześnie.

— Przyprowadź, proszę gościa tutaj. Pragnę, żeby dotrzymał nam towarzystwa.

— Myślałam, że już nigdy go nie zobaczę. W każdym razie nie tak prędko — zwróciła się do siostry Juliette, gdy zostały na chwilę same.

— Sądzisz, że ma jakieś wieści od Pierre'a? — spytała Henrietta, obserwując minę siostry.

— Chyba tak, w końcu jest jego bratem.

W tym momencie na tarasie ukazał się Paul. Wyglądał wytwornie, jak zwykle. Miał na sobie surdut w kolorze bordo, czarne spodnie i długie skórzane buty, sięgające za kolana.

W dłoni trzymał kapelusz ozdobiony granatowym piórem.

— Cóż cię do nas sprowadza? — spytała Juliette.

— Stęskniłem się — roześmiał się. — Czy muszę mieć jakiś specjalny powód, by móc odwiedzać moich przyjaciół — podszedł i pocałował jej dłoń.

— Zawsze będziesz tu mile widziany — odparła z uśmiechem na twarzy.

Po przywitaniu z Henriettą gość zajął miejsce obok Juliette.

— Tak naprawdę wracam z Marsylii i dlatego pozwoliłem sobie na odwiedzin.

— Kogo moje oczy widzą?!

Wszyscy odwrócili się w stronę, skąd dochodził głos. W tarasowych drzwiach stał Armand. Towarzyszył mu baron Jean de Chavannese.

Armand podszedł do Paula i obaj, niemal jednocześnie, padli sobie w objęcia.

— Przyjacielu, jak dobrze cię widzieć — w głosie Armanda można było wyczuć szczerą radość.

— Witaj, tak dawno się nie widzieliśmy — odparł Paul. — Nie wiedziałem, że masz gości.

— Wczoraj wieczorem przyjechał Jean z Henriettą.

— Co u ciebie słychać, Paul? — spytał młody baron.

— Dziękuję, wszystko dobrze.

— Słyszałem, że twój brat Pierre ożenił się jakiś czas temu.

Juliette aż drgnęła na te słowa.

— Tak, z Elaine Roscherie.

— Pozdrów go ode mnie. Podobno jego żona jest przy nadziei.

— Nie przypuszczałem, że wieści tak szybko się rozchodzą.

Nastała niezręczna cisza. Nikt nie skomentował tych słów.

— Proponuję spacer po ogrodzie — Armand przerwał niewygodną chwilę milczenia.

— Wyśmienity pomysł — poparł go Paul. — Spacer dobrze nam zrobi.

— Korzystajmy ze słońca, niedługo nadejdą chłodne dni — oznajmiła Henrietta.

Armand, Juliette i Paul ruszyli przodem. Jean z Henriettą podążali za nimi.

Po kilkunastu minutach cała piątka doszła do tarasu, mieszczącego się na wysokiej skarpie. Widok z niego był wprost porażający. Błękitne niebo prawie zlewało się z lazurową tonią morza.

— Rzeczywiście, robi wrażenie — przyznał Paul, podziwiając panoramę.— Już rozumiem, dlaczego Armand kupił tę posiadłość nad samym morzem.

— Podobno markiza, gdy była tu w odwiedzinach u przyjaciółki, żony lorda Maloya, tak zachwyciła się tym miejscem, iż Armand postanowił kupić tu kawałek ziemi — oznajmiła Henrietta.

— A gdybyś wiedział, jaki pięknie jest o wschodzie i zachodzie słońca — dodała Juliette.

— Jest dopiero południe. Musiałbym zostać do wieczora, żeby móc podziwiać zachód słońca.

— Dlaczego nie? — wtrącił Armand. — Jeśli się nie spieszysz, możesz przecież zanocować.

— Kusząca propozycja — odparł Paul. — Zastanowię się.

— Nie daj się prosić — nalegał Armand.

Paul zerknął na Henriettę. Hrabianka stała w towarzystwie barona de Chavannese. Wpatrzeni w siebie, gruchali jak dwa gołąbki.

— Mam wrażenie, że siostra panienki jest bardzo szczęśliwa — rzekł do Juliette.

— Ja też tak sądzę. Jean bardzo ją kocha, podobno są już po słowie — oznajmiła.

— To dobrze.

Juliette nic nie odpowiedziała. Domyśliła się, że Paul zdawał sobie sprawę, iż kiedyś Henrietta podkochiwała się w nim.

— Plotkowaliście o nas? — usłyszała głos zbliżającego się Jeana.

— Jeśli tak, to w samych superlatywach — odpowiedział Armand.

— Nie mniej mi tego za złe, ale powiedziałam Paulowi, że poprosiłeś o rękę Henrietty — oznajmiła Juliette.

— Jakże mógłbym się o to gniewać? Za dwa tygodnie wyprawiamy przyjęcie zaręczynowe.

— To wspaniale!

— Będiesz cudownym mężem dla hrabianki, jestem tego pewien — stwierdził Paul. — Kiedy planujecie ślub?

— Jeśli o mnie chodzi, chociażby jutro — odparł Jean z uśmiechem.

— Co o tym sądzisz, kochanie? — zwrócił się do Henrietty, która właśnie podeszła do grona przyjaciół.

— O czym?

— Paul spytał, kiedy planujemy ślub?

Jean ujął delikatnie jej drobną dłoń i przyłożył do swych ust. Henrietta wydawała się nieco zawstydzona. Spuściła skromnie oczy, a na jej twarzy pojawił się rumieniec.

— Nie wiem — odpowiedziała. — Może w karnawale?

— To świetny termin. Tu, na południu, o wiele lepszy niż środek lata. Potrawy dłużej zachowają świeżość — poparł ją Armand.

— Chciałeś powiedzieć, że termin naszego ślubu nie był najlepszy? — oburzyła się Juliette.

— Ależ kochanie! Dobrze wiesz, że zarówno moja mama, jak i twoi rodzice byli zachwyceni wyborem takiej daty.

— Chyba domyślasz się dlaczego? Jak sam powiedziałaś, łatwiej ci będzie zapamiętać kolejne rocznice ślubu, gdyż jest to data moich urodzin.

— Nie bądź cyniczna, proszę — Armand objął ją ramieniem i przytulił lekko

do siebie.

— Ja, cyniczna? Skąd ci to przyszło do głowy? — uśmiechnęła się.

— Wracajmy już, czas na obiad — oznajmiła Henrietta.

Piątka przyjaciół udała się w drogę powrotną.

12. Łoża profanki

Nastał sierpień 1741 roku, gdy zaledwie dwudziestojednoletniej żonie markiza de Beries pozwolono wstąpić do loży masońskiej.

— Wykonuj bez obaw wszystkie polecenia — rzekł Armand spokojnym głosem. — Pamiętaj, że ani ja, ani twój ojciec nie pozwolilibyśmy narazić cię na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Możesz być tego pewna.

— Gdy tak do mnie mówisz, teraz dopiero zaczynam się bać — odpowiedziała Juliette.

— Nie obawiaj się, będę tuż obok. Możesz wielu rzeczy nie widzieć, gdyż przewiążę ci oczy tą czarną chustą...

— Co takiego!?! Będę miała zasłonięte oczy? — spojrzała na Armanda przerażona. Jakby chciała powiedzieć: o tym nie było mowy.

— Nie bój się — uspokajał ją.

Nie przypuszczał, że Juliette aż tak będzie to przeżywać. Z drugiej zaś strony, nie mógł zdradzić jej zbyt dużo szczegółów. Wszystko przecież było owiane tajemnicą.

— Pozwól, że w końcu zawiążę ci oczy.

Juliette już nie protestowała. Stała wyprostowana, żeby Armand mógł bez problemu założyć jej opaskę na twarz, zasłaniając oczy.

Chwilę potem poczuła, jak chwyta ją za dłoń i prowadzi do sąsiedniej sali. Wyczuła intuicyjnie, iż znajduje się tam sporo osób. Zorientowała się, że przechwycili ją jacyś inni mężczyźni. Wyrwana z rąk męża, straciła pewność siebie. Jednak postanowiła być dzielna. Inni przez to przeszli, ona też musi sobie poradzić, pocieszała się w duchu.

Kroczyła z dumnie uniesioną głową. Prawie całą jej twarz przysłaniała duża czarna chusta z grubymi frędzlami, co bardzo utrudniało rozpoznanie jej przez członków bractwa.

Wielu z „braci” słyszało, iż dzisiejszego wieczoru ma być przyjęty do loży ktoś nowy, i to w dodatku kobieta.

Dwaj bracia stewardzi oprowadzili nowo przybyłą dookoła komnaty, trzymając ją pod rękę. Następnie umieszczono ją naprzeciwko Przewielebnego, czyli hrabiego de Lapierre.

— Kim jesteś? — zapytał.

Juliette, słysząc głos ojca, aż drgnęła. Po krótkiej chwili ochłonęła i odpowiedziała:

— Juliette Marie de Beries.

Przecież to ona! Pierre ocknął się, jak wyrwany ze snu. Teraz dopiero dotarło do niego, że Juliette po ślubie przyjęła nazwisko męża i jest teraz markizą de

Beries.

Nie wiedział, iż właśnie dzisiaj to ona ma wstąpić w szeregi bractwa. Głosowanie w tej sprawie odbyło się najwidoczniej na ostatnim spotkaniu. Jego akurat zatrzymały w domu sprawy rodzinne. Jako oddany mąż nie chciał wyjeżdżać, gdy Elaine się rozchorowała. Medyk stwierdził zapalenie oskrzeli. Ponieważ przebieg choroby był ciężki, Pierre czuwał przy żonie przez trzy kolejne noce. Gdy medyk uznał, że najgorsze minęło, Pierre zdecydował się uczestniczyć w posiedzeniu łoży.

Z rozmyślań wyrwał go głos Mistrza Łoży, hrabiego de Lapierre.

— Ile masz lat?

— Dwadzieścia jeden — odpowiadała Juliette.

— Damy ci pierwszy promyk światła — mówił dalej hrabia de Lapierre.

W tym momencie Armand zbliżył się do żony i uniósł chustę nieco wyżej. Juliette ujrzała wszystko jak za mgłą. To, co rzucało się najbardziej w oczy, to światła tlących się świec.

Gdy nad nowo przybyłą tworzono stalowe sklepienie, Pierre machinalnie podniósł szpadę. Stał zamyślony. Przypomniawszy sobie ich pierwsze spotkanie, pierwsze spojrzenie w oczy. Chociaż minęło już ponad dwa lata, czuł, jakby to było wczoraj. W końcu oprzytomniał. Usłyszał, jak hrabia zadaje następne pytania córce.

— Czy zgadzasz się poddać próbie skażonego wina?

— Tak, zgadzam się — odparła Juliette.

Pierre zobaczył, jak jeden z „braci” nalewa czerwone wino do mosiężnego pucharka.

— Wypij, proszę — spokojnym głosem rzekł do niej ojciec.

Juliette posłusznie przechyliła kielich. Po jej minie można się było domyślić, że jest cierpkie i niesmaczne. Jednak posłusznie wypijała je do końca.

Następnie hrabia wziął w dłonie trupa czaszkę i podał ją córce. Juliette wzięła ostrożnie przedmiot w dłonie. Gdy zorientowała się, że to ludzka czaszka, w pierwszej chwili chciała upuścić ją na posadzkę. Powstrzymała się jednak, choć nie przyszło jej to łatwo. Czuła bicie własnego serca, jej oddech stał się szybki i płytki. Poczowała, że kręci się jej w głowie, jakby miała za chwilę zemdleć. Przypomniawszy sobie wtedy słowa Armanda i uspokoiła się. Nabrała powietrza w płuca, żeby unormować oddech. To zawsze skutkowało. Nadal głęboko oddychając, przyłożyła czaszkę do ust i złożyła na niej pocałunek. Zrozumiała, że została poddana w ten sposób próbie odwagi. Przypomniawszy sobie, że Armand wspominał coś o tym. Nie wyjawiał jednak szczegółów, zapewne, żeby jej nie przestraszyć.

Chwilę potem zdjęto jej opaskę z oczu i pozwolono złożyć przysięgę. Na koniec ceremonii Przewielebny, czyli hrabia, podszedł do córki.

— Pozwól, abym dał ci pocałunek pokoju, a ty oddasz go „braciom” i „siostram” — mówiąc to, złożył pocałunek na jej policzku

Juliette posłusznie wykonała polecenie ojca. Podchodziła do członków bractwa, stojących w szeregu. Tak, jak pokazał mistrz, podchodząc do każdego z nich, dotykała lekko ich palców wygiętą ręką i wymawiała słowo *feix*. Następnie składała pocałunek pokoju na policzku każdego nowo poznanego „brata”.

Jako jeden z pierwszych w szeregu stał Armand. Złożywszy pocałunek, szepnęła mu do ucha:

— Miałaś rację, jakoś przeżyłam.

On uśmiechnął się do niej, jakby chciał powiedzieć: a nie mówiłem. Następnie przytulił ją lekko do piersi.

Idąc dalej, wykonywała pocałunki niemal machinalnie, nie zwracając uwagi na twarze mężczyzn. Paul i Pierre stali na samym końcu szeregu. Jakie było jej zdziwienie, gdy ujrzała tutaj ich obu. Paul nie krył radości, widząc ją wśród członków bractwa.

Na widok Pierre’a odżyły wspomnienia. Sądziła, że już go nigdy więcej nie zobaczy. Tymczasem stał tu przed nią, piękny jak zawsze.

Gdy zbliżyła się do niego i złożyła pocałunek na jego policzku, na twarzy młodzieńca pojawił się prawie niewidoczny uśmiech. Jednak ona to zauważyła. Oboje czuli, iż w tym niewinnym pocałunku zawarte jest całe łączące ich uczucie. Stali tak w bezruchu, spoglądając na siebie, gdy nagle rozległo się trzykrotne uderzenie młotka. Chwilę potem Juliette usłyszała donośny głos ojca.

— Bracie Dozorco, która godzina?

— Dochodzi północ.

— Zamykam więc lożę ucznia i postanawiam otworzyć lożę stołową — oznajmił hrabia.

Trzy uderzenia młotka Mistrza Łoży, powtórzone przez dozorców, zamknęły posiedzenie bractwa.

Następnie wszyscy zgromadzeni udali się do sąsiedniej sali. Stały tam trzy bardzo długie stoły, ustawione w kształt podkowy. Hrabia de Lapierre zajął miejsce pośrodku.

— Pozwól za mną — poprosił Armand, podając dłoń Juliette.

Zasiadł po prawej stronie mistrza.

— Czemu zawdzięczam to zaszczytne miejsce? — spytała zdziwiona.

— Nowo przyjęty do naszego grona „brat” lub „siostra” zawsze siadają na tym miejscu. Wtedy mogą dokładnie widzieć wszystkich współbraci — wyjaśnił Armand.

Następnie nachylił się i szepnął jej do ucha:

— Przeżyłaś?

— Ledwo — odpowiedziała.

— Teraz nastąpi przyjemniejsza część ceremonii.

— To znaczy? — spojrzała niepewnie na męża.

— Odbędzie się uczta, w której będą uczestniczyć wszyscy nasi „bracia” i „siostry”.

Juliette odetchnęła z ulgą. Dopiero teraz pomалу dochodziła do siebie. Słuchając Armanda, rozglądała się z ciekawością po twarzach zgromadzonych osób.

Siedząc pośrodku głównego stołu, mogła dokładnie dojrzeć każdego z obecnych. Zauważyła, że Pierre oraz Paul zajęli jedno z ostatnich miejsc przy stole, tworzącym prawe ramię podkowy. Trochę zasmuciło ją, że siedzą tak daleko. Jednak i tak była szczęśliwa, iż po tak długim czasie mogła ich zobaczyć. Szczególnie Pierre’a. Sądziła, że już nigdy się z nim nie spotka. Tymczasem stało się coś, czego nie mogła przewidzieć w najśmielszych nawet marzeniach, co równało się z cudem. Teraz była pewna, że będzie go widywać, chociaż kilka razy w roku.

Uwagę Juliette zwróciła obecność markizy de Beries w tym dziwnym miejscu. Rozejrzała się, żeby sprawdzić, przy którym stole zasiadła, jednak nie zauważyła jej na sali. Zdziwiła się bardzo i zaniepokojona spytała Armanda.

— Nie widzę nigdzie twej mamy, a jestem pewna, iż była na moim ślubowaniu.

— Spokojnie, na pewno jest na zapleczu. Wiesz, że musi wszystkiego dopilnować osobiście. Widzisz te dwa puste miejsca przy lewym stole? Jestem pewien, że niedługo będą zajęte przez moją mamę oraz baronową de Chavannese.

— Matkę Jeana? — zdziwiła się Juliette.

— Zgadłaś! Obie panie przyjaźnią się od kilku lat. Gdyby nie baronowa, nie wiem, co byłoby z moją mamą. Jak zapewne wiesz, moja matka bardzo cierpiała po śmierci naszego najmłodszego brata. Zmarł zaledwie w wieku czterech lat. Jednak to, co ją przybiło jeszcze bardziej, to utrata męża, niespełna rok po śmierci synka.

Ja miałem wtedy czternaście lat. Bardzo przeżyłem śmierć ojca, ale mama cierpiała o stokroć bardziej. Od tamtej pory nienawidzi polowań.

— Dlaczego?

— Ojciec zginął od zabłąkanej kuli, na polowaniu. Nie zauważyłaś, że ja oraz mój młodszy brat, François niechętnie uczestniczymy w tego rodzaju rozrywkach?

— Nie zastanawiałam się nad tym — szczerze odparła Juliette.

— Moja mama ma obsesję na tym punkcie. Nie dość, że sama nie uczestniczy w polowaniach, to jeszcze nam zabrania. Jakby zapomniała, że już nie jesteśmy dziećmi. Nie wiem, czy ci wiadomo, ale mama wyszła bardzo młodo za mąż. Miała zaledwie szesnaście lat. W młodości cieszyła się dużym powodzeniem u płci przeciwnej. Podobno była bardzo ładna...

— Do tej pory pozostała piękną kobietą — przerwała mu Juliette.

— Babcia mówiła, że była tak piękna, iż mężczyźni tracili dla niej głowę. Tak więc, hrabianka Izabella de Nevere zakochała się w młodym markizie, Alainie de Beries. Po kilku miesiącach znajomości wzięli ślub.

— Mama chyba coś mi o tym wspominała — przyznała Juliette. — Twoja mama poznała młodego i przystojnego markiza, gdy obie hrabianki razem uczęszczały na pensję do sióstr Zmartwychwstank. Lata spędzone tam bardzo je do siebie zbliżyły. Podobno przyrzekły sobie przyjaźń do grobowej deski.

— Wtedy właśnie wpadły na pomysł, że ich dzieci pobiorą się, gdy tylko będzie to możliwe — dodał.

— Nie uważasz, że to bardzo romantyczne?

Armand nic nie odpowiedział. Najwyraźniej myślami był gdzieś daleko stąd. Przypominał sobie swoje dzieciństwo. Juliette zauważyła w jego oczach wielki smutek.

— Baronowa pomogła mojej mamie wrócić do życia, w przenośni i dosłownie — kontynuował. — Po stracie ukochanego męża oraz najmłodszego syna mama zaczęła stronić od ludzi. Nic jej nie cieszyło, przez niemal trzy lata ubierała się w czarne szaty. Pamiętam, iż twoja mama kilkakrotnie ją odwiedziła, ale niczego nie wskórała.

— Jeszcze wtedy cię nie znałam.

— Tak, to było, zanim się poznaliśmy — przyznał jej rację. — Baronowa zaczęła odwiedzać moją mamę, chociaż ona wcale jej o to nie prosiła. Ponieważ sama była wdową, podejrzewam, iż łatwiej jej, niż jakiegokolwiek innej kobiecie, było dotrzeć do matki. Z czasem zaczęła przyjeżdżać coraz częściej. Pomału wciągnęła mamę w działalność charytatywną. Ze zdziwieniem obserwowałem, jak z miesiąca na miesiąc mama odzyskuje chęć do życia. Zauważyłem, że niesienie pomocy wdowom oraz osieroconym dzieciom nadało z czasem sens jej życiu. Może zrozumiała, że nie tylko ona cierpi. Zauważyła, że innym powodzi się dużo gorzej. Często nie mają co do garnka włożyć. Mama zaczęła bywać na przyjęciach i wyprawiać bale, żeby móc zbierać pieniądze dla wdów i sierot. Nie zwróciłaś uwagi, że moja matka na balu często siedzi z puszką na datki.

— Oczywiście! Nieraz nad tym myślałam, dlaczego zamiast tańczyć, zajmuje się działalnością charytatywną.

Juliette zamyśliła się. Zawsze uważała markizę za kobietę bardzo wytworną, nie stroniącą od drogich strojów i klejnotów. Teraz, po tym co usłyszała od Armanda, ujrzała ją w innym świetle.

— Wiem, co chcesz powiedzieć — rzekł, jakby czytając w jej myślach. — Skoro pomaga biednym, to dlaczego wydaje tyle pieniędzy na biżuterię oraz drogie stroje?

Juliette wyraźnie zmieszała się. Nie chciała oceniać markizy zbyt surowo.

Zawsze uważała ją za wzór kobiecej urody, szyku i elegancji. Wiedziała, że tak samo postrzegają ją inni. Czy wzbudziłyby ich zachwyty, pokazując się publicznie w skromniejszych szatach?, pomyślała.

Armand kontynuował swój wywód cichym głosem. Nie chciał zapewne, aby inni słyszeli, o czym mówi.

— Muszę przyznać, iż moja mama uwielbia wytworne stroje oraz ozdoby z kamieni szlachetnych. Zauważyłem ostatnio, że robi rzecz zgoła niezwykłą.

— Co masz na myśli? — spytała zaciekawiona Juliette.

— Wyobraź sobie, iż zakłada na bal czy przyjęcie drogą biżuterię, żeby ją potem sprzedać z zyskiem.

— Kto ją kupuje?

— Nowobogaccy mieszczenie, właściciele manufaktur, banków oraz okazałych sklepów.

— Masz na myśli burżuazję?

— Tak. W większości to snoby naśladowujący rodową szlachtę. Dla nich biżuteria, w której pokazała się markiza, jest obiektem pożądania. Często przepłacają, tak bardzo pragną zdobyć te klejnoty. Wydaje im się, że kupując błyskotki od markizy, nabiorą takiej samej klasy. Niestety, z tym trzeba się urodzić — roześmiał się Armand.

Po chwili dodał zupełnie już poważnie:

— Pieniądze w ten sposób zdobyte moja mama przeznacza na cele dobroczynne.

— Jestem pod ogromnym wrażeniem — odparła Juliette.

Następnie rozejrzała się po sali i ku swemu zdziwieniu ujrzała, iż „bracia” i „siostry” sami nakrywają do stołu oraz sami przynoszą potrawy z kuchni.

— Dlaczego nie ma tu służby? — spytała.

— Jeszcze nie zauważyłaś, że to z powodu całkowitej konspiracji? Sami musimy zadbać o wszystko.

— Fascynujące!

Kiedy wszyscy zgromadzeni zajęli swoje miejsca, a na stołach pojawiły się ciepłe potrawy, zapanowała całkowita cisza. Wszyscy siedzieli w milczeniu, wpatrzeni w Mistrza Zgromadzenia. Po krótkiej chwili hrabia de Lapiere przemówił:

— Łoża stołowa ucznia została otwarta.

Po wypowiedzeniu tych słów uderzył młotkiem i milczące towarzystwo zaczęło jeść. Juliette zauważyła, iż oprócz jadła na stole stoją butelki z winem. To, co przykuło jej wzrok, to szklanki z bardzo grubym, kilkucentymetrowym dnem. Zwróciła uwagę, że na szklankach są wyryte dziwne symbole, przypominające jakieś znaki graficzne. Potrawy roznosili sami bracia i o dziwo, byli to mężczyźni. Markiza oraz baronowa zajęły już swoje miejsca przy stole. W ogóle kobiet Juliette

dostrzegła bardzo niewiele. Doliczyła się zaledwie czterech, nie licząc siebie, oczywiście.

— Jesteś dopiero piątą kobietą w tym zgromadzeniu — rzekł Armand, niemal czytając w jej myślach.

— Właśnie chciałam o to spytać.

— Kobiety od niedawna mogą być członkiniami bractwa. Należą do Łoży Profanki, która de facto podlega pod naszą lożę.

— Rozumiem, iż dostałam dużego zaszczytu?

— Nie mylisz się. Twemu ojcu bardzo na tym zależało, a ja go poparłam.

Memu ojcu..., zastanowiła się Juliette.

Po trzecim, ciepłym daniu, które pojawiło się na stole, mistrz uderzył młotkiem i przemówił do zgromadzonych:

— Bracia i siostry, napełnijcie strzelby prochem tęgim.

Bracia, usługujący tego dnia do stołu, nalali do szklanek biesiadujących białe wytrawne wino.

— Czy wszystkie strzelby są już nabite prochem tęgim? — spytał hrabia.

— Wszystkie — odparł jeden z Dozorców.

— Dajmy więc ognia, za zdrowie króla i pana naszego, Ludwika XV. Ręka prawa do strzelby, strzelba do lica, następnie do ust. Ognia!

Mistrz rozejrzał się po obecnych, a widząc, że szklanki są już puste, komenderował dalej:

— Strzelba do lewej piersi, następnie do prawej i do środka. Uczyńcie trójkąt dwa razy!

Wszyscy sprawnie wykonali tę komendę. Stawiając szklanki na stołach, uderzyli nimi niemal jednocześnie, czyniąc tym głośny hałas. Zrobiło to na Juliette niemałe wrażenie.

W ten sam sposób wypito toast za zdrowie Wielkiego Mistrza wszystkich działających łóż masonskich, Johna Keitha. Trzeci toast wzniesiono za zdrowie Mistrza Łoży, hrabiego de Lapierre.

Po tych trzech toastach wniesiono następne ciepłe dania. Goście zajęli się jedzeniem, atmosfera nieco się rozluźniła.

— Zauważyłaś, jak wiele osób tu znasz? — spytał Armand.

— Oczywiście. Nawet nie spodziewałam się tylu ich tu spotkać. Chętnie zamieniłabym z niektórymi kilka słów.

— Trochę cierpliwości.

— Wielkim szokiem jest dla mnie to, iż mój ojciec pełni tak zaszczytną funkcję — oznajmiła Juliette.

— Właśnie dzięki wsparciu swego ojca weszłaś w szeregi naszego bractwa.

Juliette zamyśliła się. Więc to dzięki ojcu została członkiem loży masonskiej. Jak mogła być tak naiwna i sądzić, iż Armand przyprowadziłby ją

w miejsce, które regularnie odwiedza Pierre. Ciągle nie była pewna, czy jej mąż jest świadomy tego, co łączyło ją i Pierre'a. Ponieważ od ostatniego ich spotkania minęło tak dużo czasu, sądziła, że łączące ich uczucie już wygasło. Jednak gdy znowu go ujrzała, zrozumiała, jak bardzo się myliła.

Juliette spoglądała co chwila w stronę stołu, gdzie siedzieli Pierre, Paul oraz Michael. Jednak nie miała odwagi spytać Armanda, czy mogłaby zamienić z nimi kilka słów. Młody markiz, choć zajęty jedzeniem, bacznie obserwował młodą żonę.

— Na pewno chciałabyś porozmawiać z naszymi przyjaciółmi...

— Mogłabym...? — nieśmiało spytała Juliette. — Nie widziałam ich od czasu naszego ślubu.

— Poczekaj, proszę. Podejdę do nich i zaproponuję, żeby tu podeszli.

— Jak miło widzieć panów! — z radością w głosie przywitała ich Juliette.

— To my jesteśmy zaszczyceni, widząc cię pani w naszym gronie — odezwał się Paul.

— Co u was słychać? — spytała niby od niechcienia.

Po chwili spojrzała na Pierre'a.

— A pan podobno się ożenił i ma śliczną córeczkę.

— Jest tak, jak panienka, przepraszam — poprawił się — pani, mówi. Moja córeczka, Blanca, piątego stycznia skończyła roczek.

— O, to już duża dziewczynka? — zdziwiła się Juliette. — Mój synek Charles dopiero trzeciego maja skończył roczek. Jest prawie o pół roku młodszy od twojej córeczki.

Wszyscy spojrzeli na Juliette, a potem na Pierre'a. Nastąpiła chwila ciszy.

Juliette zaczęła w myśli odliczać miesiące, od momentu, kiedy się poznali. Niestety, wszystko się zgadzało. W chwili, gdy poznała Pierre'a, Elaine musiała być już w pierwszym miesiącu ciąży.

— Teraz została panienka naszą siostrą — z rozmyślań wyrwał ją głos Paula.

— Powinieneś zwracać się: „siostro” — roześmiał się Michael.

— To prawda, jesteśmy teraz połączeni więzami przynależności do bractwa. Musimy jednak pamiętać, iż inni nie mogą się niczego domyślać — oznajmił Armand.

— Już rozumiem, dlatego byłeś chwilami taki tajemniczy? — powiedziała Juliette, spoglądając na męża.

— Uważam, że zachowywałem w tajemnicy tylko to, co musiałem. O wielu rzeczach wiedziałaś. Chociaż może masz rację, były sprawy, o których nie miałaś pojęcia. Przykładem tego może być komnata na wieży w moim rodzinnym zamku.

— Co takiego?! Co masz na myśli, Armandzie?

Wszyscy czterej mężczyźni nagle zamilkli. Juliette spojrzała na męża z wyraźnym wyrzutem.

Armand spojrzał na przerażone twarze przyjaciół. Potem na zdziwioną twarz

Juliette.

— Nie gniewaj się, kochanie, nie mogłem zdradzić ci tej tajemnicy. Ta komnata to nasz azyl. O toczących się tam spotkaniach wiedziała tylko moja matka oraz stary dozorca. Reszta służby omijała tę część zamku szerokim łukiem, sadząc, iż odwiedza ją upiór jednego z naszych przodków.

Słyszając te słowa, Juliette odruchowo spojrzała na Pierre'a. Jego zdziwiona mina zdradzała wszystko. Prawdopodobnie też o tym nie wiedział.

— Kto się tam spotykał? — pytała dalej.

— Najczęściej ja oraz twój ojciec. Od czasu do czasu towarzyszył nam Michael.

Z rzadka bywał tam Paul, a Pierre, jeśli dobrze pamiętam, nie był tam ani razu.

— Śmieszne, ja sama uwierzyłam w ducha — mówiąc to, spojrzała wymownie na Pierre'a, jakby pytała go, czy pamięta bal i ich rozmowę na schodach, prowadzących na wieżę.

On dobrze wiedział, co ma na myśli. Dał jej znak oczami, że wszystko pamięta, jednak wolałby, żeby pozostało to ich wspólną tajemnicą.

— Nie dąsaj się, kochanie — rzekł Armand.— Teraz, gdy już jesteś członkinią loży, będziesz mogła uczestniczyć w naszych spotkaniach. Prawda, koledzy?

Wszyscy trzej pokiwali głową na znak aprobaty.

— W końcu będzie jakaś kobieta w naszym gronie — zażartował Paul.

— Tobie w głowie tylko kobiety. Najwyższy czas, żebyś się ożenił — odezwał się Michael.

— Może to dobry pomysł, tylko tak się składa, iż ta, której pragnę, nie zwraca na mnie uwagi, a inne mnie nie interesują — odparł Paul.

— Nie wierzę! Która kobieta potrafiłaby się oprzeć twemu urokowi? — w głosie Michaela można było usłyszeć duże zdziwienie.

— Naprawdę uważasz mnie za uwodziciela? — zdziwił się Paul.

— Może tak, a może nie. Wiem jedno. Masz coś, co przyciąga kobiety.

Paul uśmiechnął się. Widać było, iż słowa przyjaciela sprawiły mu niemałą przyjemność.

— Słuchajcie koledzy, mam propozycję — wtrącił Armand. — Moglibyśmy spotykać się w komnacie na wieży co trzy, cztery tygodnie. Ja i Juliette całą wiosnę i lato spędzimy w zamku w Ainay-le-Vieil, dlatego powinniśmy to wykorzystać.

— Świetny pomysł — podchwycił Paul.

— Ja też tak uważam — odezwał się Pierre, zerkając w stronę Juliette.

— Tak więc ustalone! W końcu poznasz, kochanie, ten tajemniczy pokój na wieży.

— Nie mogę się już doczekać — roześmiała się Juliette.

13. Listopadowa noc

Dochodziła północ, gdy Antuanette obudził jakiś dziwny hałas. Nie była pewna, czy słyszy kroki na korytarzu, czy to krople deszczu uderzały o parapet okienny. Nie byłaby sobą, gdyby tego nie sprawdziła.

Wstała z łóżka i przywdziawszy szyfonowy szlafrok, ostrożnie podeszła do drzwi. Wyjrzała na korytarz. Ku jej zdziwieniu nikogo tam nie było. Postanowiła więc wrócić do łóżka.

Wyrwana z pierwszego snu, nie mogła jednak zasnąć. Wpatrywała się w okno, za którym, pomimo ciemności, widziała coraz gęstsze krople deszczu.

W pewnym momencie ujrzała coś, co ją bardzo zaniepokoiło. W oddali, w maleńkim oknie, prowadzącym na wieżę, zauważyła jakieś migocące światło. To co ją jeszcze bardziej zdziwiło, to cień ludzkiej postaci, idącej na górę. Przez ułamek sekundy przeszło jej przez myśl, że to może upiór. Markiza nieraz wspominała, że wieża jest nawiedzona. Czyżby miała rację?!

Za chwilę jednak ujrzała drugą postać. Obie postacie odziane były w ciemne peleryny. Twarzy nie mogła dostrzec, gdyż ich głowy były zasłonięte kapturami.

Dwa duchy to chyba trochę za dużo, pomyślała. Matka chrzestna wspominała tylko o jednym. Zresztą, coś tu się nie zgadzało. Zazwyczaj upiory mają na sobie białą szatę, nie czarną.

Niewiele myśląc, wstała z łóżka. Przywdziawszy na powrót szlafrok, wzięła z toaletki świecznik z zapalonymi dwiema świecami i udała się w stronę wieży. Postanowiła sprawdzić, co to wszystko znaczy.

* * *

— Pierre, Paul jak dobrze, że już jesteście — powiedział Armand na przywitanie.

— Obawiałam się, że dzisiaj nie przyjedziecie. Taka straszna pogoda — stwierdziła Juliette.

— Nie moglibyśmy zawieść naszych przyjaciół — odparł Paul.

— Wiem, pamiętam, zawsze dotrzymujesz danego słowa. Jednak, gdy dzisiaj spojrzałam w okno...

— Dla nas deszcz niestraszny. Nieraz podróżowaliśmy przy gorszej pogodzie — roześmiał się Pierre.

— Dzisiaj nie będzie Michaela — oznajmił Armand. — Dwa tygodnie temu posłaniec przywiózł list od niego. Podobno zachorował na wietrzną ospę.

— Przecież to choroba wieku dziecięcego, a on ma już dwadzieścia siedem lat — zdziwił się Paul.

— No właśnie. Dlatego można się domyślać, że przebieg choroby jest ciężki. Sądzę, że w tym roku już do nas nie dołączy.

Pierre i Paul spojrzeli na siebie. W ich oczach można było ujrzeć zaskoczenie.

— Trochę szkoda — odparł Paul.

— Nic na to nie poradzimy — odpowiedział Armand, podchodząc do palącego się ognia w kominku.— Przygotowałem grzane wino. W taką pogodę dobrze jest rozgrzać się od środka.

— Wybornie! O wszystkim pomyślałeś — ucieszył się Paul.

— Grzane wino? — zdziwiła się Juliette. — Jak je przyrządziłeś?

— Jak?. Podgrzałem je w tym mosiężnym naczyniu. Przecież mamy tu kominek.

— A ja zastanawiałam się, co tu robisz przez cały wieczór? — Juliette była pełna podziwu dla pomysłowości męża.

Pierre i Paul ściągnęli czarne peleryny i powiesili na wieszaku, umieszczonym na ścianie, blisko wejścia.

— W taką pogodę zadbałam, żeby było więcej jedzenia niż zazwyczaj — oznajmiła Juliette, wskazując stół, nakryty po brzegi mięsiwem.

— Czy to jakieś święto? — spytał Pierre, siadając przy stole.

— Prawie — odpowiedziała Juliette. — To chyba nasze ostatnie spotkanie w tym roku. Robi się chłodno i dżdżysto. Postanowiliśmy z Armandem, że wrócimy do Nicei. Tam jest łagodniejszy klimat. Nie chcę, żeby nasz mały Charles się przeziębził.

— Wiem, pamiętam, palmy na ulicach, słońce prawie przez cały rok — roześmiał się Paul.

Juliette spojrzała na niego z wyrzutem. To prawda, że była osobą ciepłolubną i w słoneczne dni roznosiła ją wprost energia. Nie lubiła dżdżystej, chłodnej aury. Najchętniej wtedy nie wychodziłaby z domu. Juliette nie ukrywała, że woli ciepło, ale nie lubiła, gdy stawało się to tematem żartów lub docinków. Zabolało ją szczególnie, ponieważ Paula i Pierre'a uważała za swych przyjaciół. Udając, że nie zauważyła ironicznego tonu wypowiedzi Paula, z grobowo poważną miną kontynuowała:

— Może słońce nie świeci w Nicei przez cały rok, ale zimy są tam bardzo łagodne.

— Chciałaś powiedzieć, iż zimy w ogóle tam nie ma — wtrącił Armand.

Spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby mówiła: I ty przeciwko mnie? Udając jednak, że nic się nie stało, odpowiedziała:

— Śmiało można tak powiedzieć.

Paul i Pierre słuchali jednym uchem. Widać było, iż po długiej i męczącej podróży chętniej zajęliby się konsumowaniem jadła niż słuchaniem wywodów

o pogodzie.

Armand nalał wszystkim wina, jak przystało na pana domu. Juliette piła niewiele. Słysząc z tego, iż potrafiła jeden kielich wina pić przez kilka godzin. Gdy reszta biesiadników była już mocno pijana, ona nadal pozostawała trzeźwa. Jednak jej to zupełnie nie przeszkadzało. Lubiła mieć kontrolę nad sobą.

Nie czekając, aż wino zbyt uderzy do głowy jej towarzyszą, podeszła do dużej drewnianej skrzyni i uchyliwszy wieko, wyjęła z niej cztery małe zawiniątka. Kładąc na blacie stołu cztery tekturowe pudełeczka, zakomunikowała obecnym:

— Mam dla was niespodziankę.

Pierre i Paul spojrzeli na nią zdziwieni. Juliette aż uśmiechnęła się, obserwując ich miny.

Pierre, siedzący najbliżej, zauważył, że każde pudełeczko zostało przewiązane wstążeczką o innym kolorze.

— Ponieważ zobaczymy się dopiero w kwietniu przyszłego roku... — zaczęła Juliette, przygotowałam dla każdego z nas drobny podarunek.

— Prezenty? — spytał najwyraźniej zdziwiony Paul.

— Gdybym wiedział?... — zmartwił się Pierre.

— Przestańcie. proszę. Nudziłam się w długie, jesienne wieczory. Dla zabicia czasu wyhaftowałam chusteczki. Po trzy dla każdego z nas, dla mnie też. Na każdej z nich umieściłam masonski znak, czyli oko wpisane w trójkąt. Kolor haftu jest taki sam, jak kolor wstążeczki na pudełeczku.

Mówiąc to, podała mężowi zawiniątko, przewiązane cienką granatową wstążeczką.

— Proszę Armandzie, to dla ciebie.

Armand przyjął małe tekturowe pudełeczko, przewiązane jasnogranatową wstążką. Uśmiechnął się do niej, dobrze bowiem wiedział, co przygotowała na dzisiejszy wieczór.

Tak naprawdę uzgodnili to razem. Mało tego, Armand pomagał żonie dobrać kolory nici, którym wyhaftowane zostały znaki. Jego pomysłem było też umieszczenie na chusteczkach oka wpisanego w trójkąt.

Dla Michaela nic nie przygotowano. Wiadomo było od dłuższego czasu, że nie pojawi się na listopadowym spotkaniu.

Juliette uwielbiała te wieczory spędzane na wieży. Nic dziwnego, mogła spotkać tu Pierre'a. Co prawda, były to spotkania zawsze w sporym gronie przyjaciół, jednak to jej nie przeszkadzało. Przeciwnie, czuła, jak powstaje między nimi jakaś specyficzna więź.

— Proszę Pierre, to prezent dla ciebie — rzekła, kładąc przed nim małe zawiniątko.

Młodzieniec był najwyraźniej wzruszony. Delikatnie zaczął rozwiązywać turkusową wstążeczkę. Następnie wyjął z pudełka jedną z chusteczek.

— A to dla ciebie, Paul — podała kolejne pudełeczko, przewiązane tym razem fioletową wstążeczką.

Pierre zerknął na chusteczkę, leżącą przed Juliette.

— Czyżbym miał taki sam kolor haftu? — spytał zdziwiony. — Przecież chusteczki miały się różnić!

— I różnią się — odpowiedziała spokojnie. — W tym pomieszczeniu jest dość ciemno. Jednak w świetle dnia zauważysz różnicę. Moje chusteczki mają haft w kolorze niebieskim, a twoje są turkusowe.

Wzięła w dłonie obie chusteczki i przyłożyła je do siebie.

— Widzisz różnicę? — spytała.

— Rzeczywiście! — pokiwał głową. — W tym ciemnym świetle kolory wydają się prawie takie same.

— To nie przez przypadek — wtrącił Armand. — Barwy haftu specjalnie niewiele się różnią. Ważne jest, żebyśmy my je znali. Zapamiętajcie: Juliette — niebieski, Paul — fioletowy, Pierre — turkusowy, no i ja — granatowy. Każdy z nas otrzymał po trzy chusteczki. Chciałbym, żebyście zawsze nosili przy sobie przynajmniej jedną z nich. Dla osób postronnych nie będzie miała żadnego znaczenia, dla nas będzie wyjątkowa. Gdyby ktoś z naszej czwórki potrzebował pomocy, może przesłać ją zamiast listu. Można ją również zostawić w danym miejscu, gdy grozi nam niebezpieczeństwo. Każdy z nas, widząc tą chusteczkę, zrozumie o co chodzi. Pamiętajcie, chociaż jedną z nich powinniście mieć zawsze przy sobie! — powtórzył.

Paul i Pierre, słuchając słów Armanda, zrozumieli, że to, co przed chwilą powiedział, jest bardzo ważne.

— W takim razie musimy zapamiętać kolor haftu na chusteczkach każdego z nas — stwierdził Paul, oglądając swój prezent.

— Masz rację i właśnie dlatego na dole, pod chusteczkami, umieściłam karteczki przypominające, który kolor jest przypisany danej osobie — wyjaśniła Juliette.

Pierre i Paul prawie jednocześnie zajrzeli na dno swych pudełeczek. Najwyraźniej chcieli sprawdzić, czy to prawda.

— Nawet jest przyczepiony strzępek kolorowych nitek, żeby nam się nie pomyliło — rzekł Pierre, biorąc w dłonie maleńką karteczkę.

— Słuchajcie mnie. To, co teraz powiem, jest bardzo ważne — odezwał się znowu Armand. — Chciałbym, abyście nauczyli się na pamięć tych kolorów. Potem karteczkę należy zniszczyć, najlepiej spalić.

— Rozumiemy! — niemal jednocześnie odparli Paul i Pierre.

— Dlaczego te psy tak ujadają? — zaniepokoiła się nagle Juliette.

— Raczej, jak znalazły się w tej części zamku? — dodał Armand. — Przecież dozorca był uprzedzony o przyjeździe gości. Muszę to sprawdzić!

Wstał od stołu i zrobiwszy kilka dużych kroków, znalazł się przy ścianie. Nacisnął tajemny przycisk i część ściany, wielkości niedużych drzwi, uchyliła się. Zdjął jeden z wiszących kandelabrow i wyszedł na korytarz.

Tak jak podejrzewał, nikogo tam nie było. Rozejrzył się dokładnie po niewielkim pomieszczeniu. Psy ujadły jak oszalałe. Zaniepokojony, podszedł do balustrady i spojrzął w dół. Starał się ujrzeć cokolwiek, jednak w niemal całkowitej ciemności było to dość trudne.

Zastanawiało go, co tak rozwścieczyło psy. Gdy się wychylił, dojrzał, jak na dole dwa ogary zaczynają wdrapywać się po schodach. Wychylił się jeszcze bardziej, chcąc zobaczyć więcej. Niestety, zakamarki krętych schodów były niewidoczne dla obserwatora z góry.

Wydało mu się jednak trochę dziwne, a może nawet niemożliwe, żeby psy wbiegały po schodach dla rozrywki. Wyglądały na bardzo rozjuszone i zdyszane. Jakby kogoś gończyły.

— Czyżby ktoś nieproszony kręcił się w tej części zamku?, pomyślał zdziwiony.

* * *

Tymczasem Antuanette podążała ciemnym korytarzem w stronę zamkowej wieży. Postanowiła sprawdzić, kogo tak naprawdę widziała kilkanaście minut temu.

Nagle usłyszała za sobą ujadanie psów. Dobrze wiedziała, co to oznacza. Prawdopodobnie dwa ogary, które powinny być zamknięte w pomieszczeniach dla służby, zostały przez kogoś wypuszczone. Była pewna, że ktoś zrobił to umyślnie.

Zdyszana, z duszą na ramieniu, wbiegła po schodach, aż na samą górę. Miała nadzieję, że schroni się w owianej tajemnicą komnacie na wieży.

Ale gdzie ta komnata? — zdziwiła się wbiegając na górę.

Dookoła ujrzała tylko gruby mur. Trzymając w dłoni świecznik, starała się najdokładniej, jak tylko potrafiła, obejrzeć całe pomieszczenie. Skończyło się to jednak niepowodzeniem. Nie potrafiła znaleźć drzwi.

To koniec, pomyślała, przylgnąwszy do ściany.

Sapanie zbliżających się psów było coraz głośniejsze.

Nagle jakieś dłonie chwyciły ją i wciągnęły w głąb muru. Niespodziewanie znalazła się w komnacie. Rozejrzała się nieśmiało po obecnych. Wszyscy wstali ze swych miejsc i podeszli do niej.

— Co tu robisz? — spytał Paul.

— Zobaczyłam światło na schodach, zaniepokoiło mnie to, chciałam sprawdzić...

Rozejrzała się po obecnych. Nie bardzo wiedziała, co ma odpowiedzieć. Tak

naprawdę przywiodła ją tu ciekawość, ale czy to właśnie chcieli usłyszeć Armand, Paul i Pierre.

— Dajcie jej spokój, przecież cała drży — powiedziała Juliette, wybawiając Antuanette z niekomfortowej sytuacji.

Widok zziębniętej i przerażonej baronówny najwyraźniej wzbudził w niej litość.

— Nie jest ci zimno w tym szyfonowym szlafroku? — spytała.

Antuanette nic nie odpowiedziała, tylko skinęła głową.

— Dajcie jej wina! — rozkazał Armand.

— Proszę, usiądź tu przy mnie — zaproponował Paul.

Chwytając ją lekko za dłoń, doprowadził do wielkiej drewnianej skrzyni. Antuanette nie protestowała. Usiadła obok niego.

Wszyscy wrócili na swoje miejsca, udając, że nie zwracają uwagi na obecność nowego gościa. Zza ściany dochodziło głośnie ujadanie psów.

— Co się stało tym psom? — Juliette wydawała się mocno zaniepokojona.— Mam nadzieję, że dadzą nam stąd wyjść.

— Pójdę je odprowadzić, bo inaczej zbudzą cały zamek — oznajmił Armand, wstając z miejsca.— Wybaczcie, ale opuszczę na chwilę wasze towarzystwo.

Podszedł do ściany, nacisnął tajny przycisk i zniknął, zabierając ze sobą jeden ze świeczników.

W komnacie zrobiło się jeszcze bardziej nastrojowo. Na niewielkim stole pozostał, co prawda, jeszcze jeden trójdzielny świecznik, jednak dawał niewiele światła w tak obszernym pomieszczeniu. Dodrże, że w kominku paliły się spore kawałki drewna. Czerwonożółte płomienie chyba lepiej oświetlały komnatę, niż skromne światło świec.

— Zimno ci? — spytał Paul, widząc, że Antuanette nadal drży.

Kiwnęła głową. Niewiele myśląc, rozpiął surdut, zdjął go i zarzucił na jej ramiona.

— Nic dziwnego, że jest ci zimno, przecież ten peniuar jest cienki jak mgiełka. Napij się proszę — podał jej swój puchar z jeszcze ciepłym winem.

— Pierre! — krzyknął do brata. — Podgrzej trochę wina! Tylko żeby było mocno ciepłe, bo inaczej Antuanette gotowa nam się rozchorować!

Pierre posłusznie podszedł do kominka. Wlał do miedzianego naczynia miarkę wina, następnie przytrzymał je nad palącym się ogniem.

— Lepiej się już czujesz? — spytał Paul, masując ramiona Antuanette.

— Wino już gotowe — oznajmił Pierre. — Kto mi poda jakiś puchar? — spytał, ciągle klęcząc przy rozpalonym kominku.

— Mam tu jeden zapasowy pucharek — rzekła Juliette, zdejmując z półki srebrne naczynie. Następnie, uznając zapewne, iż jest ono nieco zakurzone,

przetarła je białą batystową chusteczką.

Pierre i Paul spojrzeli na nią zaskoczeni. Juliette, widząc ich przerażone miny, rzekła rozbawiona:

— Spokojnie, to chusteczka, którą dostałam od mamy.

Mężczyźni odetchnęli z ulgą. Antuanette nadal czuła się nie najlepiej. Juliette podeszła do niej i podała pucharek z winem.

— Napij się, proszę.

Dziewczyna spojrzała na nią, a jej ciemne oczy w świetle świec błyszcząły jak dwa czarne koraliki.

— Wypij do końca! — poprosił Paul rozkazującym tonem.

— Nie przywykłam pić takiej ilości wina na jeden raz — odparła skromnie.

— Nie pora teraz na rozczulanie się nad sobą.

Pomógł przechylić jej srebrny pucharek, chcąc zapewne dopilnować, żeby wypić wszystko do końca.

— Już ci trochę cieplej? — spytał Paul, odczekawszy kilkanaście minut.

Antuanette nic nie odpowiedziała. Widać było jednak, że alkohol zaczął działać. Uśmiechnęła się do Paula, a on objął ją ramieniem.

* * *

W tym momencie wrócił Armand.

— Odprowadziłeś psy? — spytała Juliette, gdy usiadł obok niej.

— Tak kochanie. Wyobraź sobie, iż dozorca prawdopodobnie wypuścił je specjalnie. Postąpił tak, gdyż zauważył, że ktoś niepowołany kręci się w tej części zamku.

— Musisz z nim porozmawiać. Te zwierzęta mogły wyrządzić komuś krzywdę.

— Czy moja matka nie poinformowała cię — zwrócił się do Antuanette — iż ta strona zamku jest niedostępna dla gości?

Dziewczyna spuściła głowę. Zastanawiała się, co powinna odpowiedzieć. Ciekawe, część zamku niedostępna dla gości, pomyślała. Więc co tu robi Pierre oraz Paul? — zadawała sobie w myślach pytanie. Głośno zaś powiedziała:

— Już mówiłam, ujrzałam jakieś światło w oknie na schodach, prowadzących na wieżę. Myślałam, że to duch.

— Duch?! Nie opowiadaj bzdur — oburzył się Armand.

— Naprawdę, matka chrestna często wspominała, że na wieży straszy.

Pierre ukradkiem spojrzał na Juliette. Oboje przypomnieli sobie swoje tajemne spotkanie na tych schodach. Teraz Juliette chciało się śmiać z tego, co mówi Antuanette. Pamiętała jednak, iż nie tak dawno sama wierzyła, że na wieży straszy.

— Nie bałaś się przyjść na spotkanie z duchem? — spytał Armand z ironią w głosie.

— Chciałam to sprawdzić, bo widziałam cień dwóch osób, a duch miał być tylko jeden.

— Pogratulować odwagi! — odezwał się Paul, pełen uznania.

— Zdziwiasz mnie coraz bardziej — rzekł Armand.

— Mnie też — dodała Juliette. — Gdybym ja zobaczyła jakiś cień, a tym bardziej dwa, za żadne skarby nie poszłabym tam.

— Lepiej się już czujesz Antuanette, rozgrzałaś się trochę? — troskliwie dopytywał się Paul.

Antuanette przytaknęła głową. Zresztą, nie była już taka spięta, jak jeszcze kilkanaście minut temu.

— Kochanie, co sądzisz o tym, żeby Antuanette mogła spotykać się tu z nami od czasu do czasu? — zaproponowała Juliette.

Dlaczego nie, pomyślał Armand, głośno zaś oznajmił:

— Co wy o tym sądzicie?

— Jeśli o mnie chodzi, uważam, że to dobry pomysł. Towarzystwo dam ociepla atmosferę — rzekł Paul, najwyraźniej zadowolony z takiego biegu wydarzeń.

— Skoro mój brat tak uważa, ja też jestem, za — poparł go Pierre.

— Cieszę się, że wszyscy zgadzacie się z Juliette. Mnie nie wypada stanąć w kontrze do pomysłu żony. Mam nadzieję — zwrócił się do kuzynki — że umiesz dochować tajemnicy.

— Oczywiście! — odparła Antuanette.

— Spotykamy się tu, od czasu do czasu. O naszych spotkaniach nikt nie wie, poza małym gronem wtajemniczonych osób. Teraz będziesz mogła też się do nich zaliczać.

— Naprawdę?! — odparła z niedowierzaniem.

Wypite wino zaczęło już robić swoje. Poczwała, jak wstępuje w nią przyjemne ciepło. Zsunęła z ramion surdut Paula, pozostając tylko w nocnej koszuli i powiewnym peniuarze. Paul objął ją ramieniem, oczekując niepewnie jej reakcji. Ku jego zaskoczeniu Antuanette nie protestowała. Z jej oczu wyczytał nawet jakby zadowolenie. Albowiem młodzieniec już od dawna się jej podobał. Teraz wtulona w jego ramiona, wydawała się szczęśliwa. Paul również robił wrażenie zadowolonego z takiej sytuacji.

Pozostali biesiadnicy udawali, że nie zwracają na nich uwagi. Jednak od czasu do czasu zerkali w ich stronę.

— Nie puszczę was w taką brzydką pogodę — odezwała się Juliette, spoglądając w stronę Pierre'a.

— Po pierwsze, jest środek nocy, po drugie, pada deszcz — oznajmił

Armand.— Chciałbym, żebyście zostali przynajmniej ze dwa dni. Przygotowałem na jutrzejszy wieczór nie lada niespodziankę.

Wszyscy spojrzeli na Armanda wyraźnie zaskoczeni.

— Widzę, że zżera was ciekawość — roześmiał się, widząc ich zaciekawione miny.— Podejdźcie tu proszę.

Dopiero teraz zauważyli, że w rogu sali znajduje się jakiś przedmiot, przykryty czarną tkaniną.

— Co to takiego!/? — spytali niemal jednocześnie.

— To machina, odsłaniająca najgłębsze zakamarki naszej duszy, czyli machina podświadomości. Chciałbym jutro poddać jej działaniu każdego z nas.

— Wyjaśnij może, kochanie, jak to działa. Mam nadzieję, że to nie sprawi nam bólu? — zaniepokoiła się Juliette.

— Oczywiście, że nie. Nie macie się czego obawiać. Poddawany badaniu kładzie się na tej leżance, a lustro wirują wokół jego głowy, wywołując najróżniejsze obrazy. Podobno można zobaczyć siebie w poprzednim wcieleniu oraz osoby, które tam spotkaliśmy.

— Fascynujące! — zachwycił się Paul.

— Tak więc do jutra — rzekł Armand, przykrywając dziwne urządzenie czarnym grubym sukniem.

14. Machina podświadomości

Następnego wieczora, tak jak to było wcześniej ustalone, cała piątka spotkała się znowu na wieży. Armand wraz z kolegami przesunęli na środek sali okazały przedmiot, przykryty czarną tkaniną. Po jej usunięciu oczom wszystkich ukazała się tajemnicza „machina podświadomości”.

Ku zdziwieniu obecnych okazało się, że to przedmiot niezbyt skomplikowany. Główną jego część stanowiła leżanka, nachylona pod kątem trzydziestu stopni. Na górze, nad głową badanego, znajdowało się mnóstwo drobnych zwierciadełek. Nad nimi mieścił się mechanizm, wprawiający je w ruch. Po bokach umieszczone były dwa małe stoliki. Na każdym z nich stało po dziewięć świec.

— Jak to działa? — spytał Paul.

— Zaraz wam wszystko wyjaśnię — odparł Armand. — Widzicie te lustra?

Wszyscy potwierdzili, kiwnąwszy głowami.

— Gdy maszyna będzie wprawiona w ruch, na nich będzie się odbijało światło świec. Wszystko jest dokładnie wyliczone. Lustra zwielokrotniają wiązkę światła. Dzięki temu zostają pobudzone do pracy niewykorzystane struktury naszego mózgu. To wywołuje naszą podświadomość. Nasza świadomość, czyli nasze „ja” tego nie pamięta, lecz podświadomość zapamiętała wszystkie poprzednie wcielenia.

— Mam nadzieję, że to nie będzie przykre — jeszcze raz upewniała się Juliette, lekko przestraszona.

— Nie, oczywiście, że nie — roześmiał się Armand. — Bólu fizycznego ta maszyna nie dostarcza. Co najwyżej, ból psychiczny. Możemy dowiedzieć się czegoś, czego wolelibyśmy nie wiedzieć. Jednak wszystko, co ujrzymy w trakcie tego seansu, z pewnością nie dzieje się bez przyczyny.

Juliette odetchnęła z ulgą. Rozejrzała się po obecnych. Pierre i Paul robili wrażenie bardzo zasłuchanych w wyjaśnienia jej męża. Armand podszedł bliżej do jednej z bocznych półek maszyny.

— Kto pomoże mi zapalić świece? — spytał, rozglądając się po obecnych.

Paul podszedł do niego ochoczo.

— Może jeszcze ty Pierre, chciałbym, żeby świece paliły się równomiernym światłem. Dobrze! Zapalajcie z tamtej strony! — powiedział rozkazującym tonem. — Ja sobie tu poradzę.

Nie minęło kilka minut, jak osiemnaście świec paliło się pełnym blaskiem.

— Stańcie proszę z tamtej strony, za nagłówkiem. Gdy maszyna będzie wprawiona w ruch, nikt z was nie powinien spoglądać na światło odbijające się od luster.

— Jak to? — spytała Antuanette.

— Wiem, co masz na myśli. O wszystkim pomyślano. Osoba poddana badaniu będzie miała założoną czarną opaskę na oczy. Światło świec nie może jej więc oślepić. Mówiłem wam, to jest zupełnie bezpieczne. Próbowałem to już robić i jak widzicie, żyję — oznajmił z ironicznym uśmiechem. — Zresztą, nikogo nie zmuszam.

— Kto pierwszy na ochotnika?! — spytał po chwili.

Wszyscy spojrzeli na siebie, lekko przerażeni. Sądziли, że to Armand jako pierwszy zajmie miejsce na leżance.

— Ja nie mogę — oznajmił, widząc ich zdziwione miny. — Muszę przecież obsługiwać maszynę. Paul, Pierre patrzcie uważnie, żebyście potem potrafili wprowadzić w ruch ten mechanizm. To nie jest takie trudne.

— Może ja pierwszy — zaproponował Pierre.

Położył się ostrożnie na ukośnej leżance, obitej ciemną skórą. Armand przewiązał mu oczy czarną chustą, następnie zaczął wprowadzać w ruch zwierciadła, krążące wokół jego głowy. Lustra wirowały coraz szybciej i szybciej. Odbijające się w nich światło wydawało się silniejsze, niż było w rzeczywistości.

Pierre sprawiał wrażenie, jakby zapadł w sen. Było to coś w rodzaju letargu.

Ujrzał oczami swej duszy malowniczy widok. Był piękna, słoneczna pogoda, prawdopodobnie poranek. Poznał to po promieniach słońca, padających pod ostrym kątem, oraz ich jaskrawym świetle.

W oddali rozpościerały się szczyty gór. To dziwne, ale spoglądał na siebie jakby z boku, chociaż był świadom, że to właśnie on. Był szczupłym młodzieńcem o długich blond włosach i szaroniebieskich oczach. Takich samych, jakie miał obecnie. Wydawało mu się, iż musi być sporo młodszy, niż teraz. Jego gładka twarz nie nosiła śladów zarostu. Rozbawił go jego ubiór. Wyglądał jak jakiś paż, w obcisłych, czarnych rajtuzach oraz brązowo-granatowej bluzie z bufiastymi rękawami.

Obok niego siedziała jakaś młoda dziewczyna, prawie już kobieta. Miała na sobie suknię z ciemnoniebieskiego weluru z długimi, obcisłymi rękawami. Pomyślał, że tak ubrane i uczesane damy widywał tylko na starych obrazach.

Dziewczyna siedziała zwrócona tyłem do niego. Widział jej piękne, ciemnoblonde włosy, sięgające ramion. Związane były złotą wstążeczką. Nagle odwróciła się do niego. Poznał ją od razu, to była Juliette. Wyglądała tak ładnie, jak teraz. Wydawała się trochę młodsza, lecz niewiele. Oboje siedzieli na półce skalnej porośniętej kosodrzewiną.

— Nie wiem dlaczego znowu dałam ci się namówić na te wyprawę? — powiedziała z lekką pretensją w głosie.

— Dlatego, że martwisz się o mnie, gdy wychodzę w góry sam — odparł.

— Ojciec nie lubi, gdy tu przychodzimy. Twierdzi, że to niebezpieczne.

— Trochę przesadza.

— Nie wiem. Jesteś pierworodnym synem, może nasz ojciec ma wobec ciebie jakieś plany?

Pierre pominął to milczeniem. Podniósł kamyk leżący obok i rzucił nim w wodę spływającego nieopodal wodospadu. Najwyraźniej spodobała mu się ta zabawa. Położył się na półce skalnej, rzucając kamyk po kamyczku we wzburzoną wodę.

Wtem usłyszał na dole tętent końskich kopyt. Spojrzał na Juliette, była tak samo przerażona jak on. Jacyś jeźdźcy przemierzali wąwóz, rozpościerający się kilkanaście metrów pod nimi. Nie wiadomo było, czy to wrogowie, czy przyjaciele.

— Połóż się na mchu, tak jak ja — rzekł do siostry ściszym głosem.

Juliette posłusznie wykonała jego polecenie. Już wiedziała, dlaczego ojciec nie jest zadowolony, gdy wychodzą w góry. Teraz słyszeli, że konwój przejeżdża dokładnie pod nimi. Oboje zniżyli głowy, żeby nie byli widoczni dla obserwatorów z dołu.

Jednak Pierre nie mógł opanować ciekawości. Podszedł na kuckach do urwiska, chcąc spojrzeć w dół. Nagle poczuł, jak kawałek skały zarywa się pod nim i

zaczyna spadać. Juliette spojrzała przerażona. Brat zniknął jej z oczu. Strach sparaliżował każdy jej ruch. Usłyszała, jak oderwany kawałek skały opada, robiąc straszny rumor. Uniosła nieco głowę i wtedy ujrzała czubek jasnej czupryny brata. Zrozumiała, że musiał chwycić się gałęzi kosodrzewiny.

Co będzie, jak jeźdźcy odkryją ich obecność?, pomyślała.

— Pomóż mi — usłyszała nagle przyciszony głos.

Niewiele myśląc, przyczołgała się do skraju urwiska. Chwyliła za dłoń Pierre'a i pociągnęła z całych sił. Udało się, co dla obojga było pewnym zaskoczeniem. Prawdopodobnie dlatego, że Pierre trzymał się drugą ręką krzaku kosodrzewiny i tak naprawdę sam podciągnął się do góry.

Jeźdźcy w tym czasie, stanęli i uważnie obserwowali wąwóz. Rozglądali się, spoglądając w górę. Pierre i Juliette znowu się położyli. Nie mieli pojęcia, kto jest na dole i woleli tego nie sprawdzać.

Nagle Pierre zauważył olbrzymiego sępa, siedzącego na skale, nieopodal wodospadu. Wielki ptak znajdował się zaledwie kilka metrów od nich.

— Tego jeszcze brakowało — szepnął.

— Dlaczego tak na nas patrzy? — spytała Juliette przerażona.

— Nie sędzę, żeby chciał nas zjeść, przecież one żywią się padliną — uspokajał ją Pierre.

Sęp łypnął na nich ślipiami jeszcze raz, następnie rozpostarł skrzydła i odfrunął. Juliette i Pierre odetchnęli z ulgą.

Najprawdopodobniej jeźdźcy doszli do wniosku, że to wielki ptak strącił

jeden z kamieni. Po krótkim postoju ruszyli w dalszą podróż.

— Niewiele brakowało — odetchnął Pierre z ulgą.

— Wracajmy do domu.

— Musimy iść inną drogą, krótszą — dodał młodzieniec, podnosząc się z miejsca. — Jak się pospieszymy, będziemy przed nimi.

— Dobrze. Powinniśmy uprzedzić ojca, w końcu jest przewodniczącym Rady Generalnej.

* * *

Pierre i Juliette wbiegli na rynek mocno zdyszani. Oboje kierowali się do gmachu, w którym znajdowała się Rada Generalna Grodu. Nagle usłyszeli za sobą tętent końskich kopyt. Oboje odwrócili się. Na czele orszaku jechał dobrze im znany młodzieniec, Armand Calliere.

— To ich spotkaliśmy w wąwozie? — spytała Juliette.

— Nie jestem pewien.

— W takim razie nie musimy iść do ojca. Armand na pewno za chwilę sam się tam uda.

— Widzę, że poprawił ci się humor, siostrzyczko.

— Nie rozumiem, co masz na myśli?

— Dobrze wiesz. Podkochujesz się w nim.

— Lubię go — przyznała. — Przecież wiesz, że mam narzeczonego.

— To zupełnie jak on. Podobno we Francji, w swym rodzinnym mieście ma narzeczoną.

— Chciałeś mi uzmysłwić, że jestem w nim beznadziejnie zakochana.

— Tego nie wiem. Mam wrażenie, że też mu się podobasz.

— Naprawdę tak sądzisz?

— Nie wiem. Tak mi się wydaje.

— Myślisz, że mogłabym konkurować z jego wybranką.

— Skoro tak ci na nim zależy..? Nie wiem, co by jednak powiedział na to nasz ojciec. W końcu młodzieniec Calliere jest tylko poborcą podatkowym.

— Od kiedy to oceniasz ludzi po tym, kim są, a nie po tym, jacy są. Dobrze wiesz, że on wykonuje tylko polecenia hrabiego de Foix.

— Nasz ojciec uważa, iż chłopak ma za miękkie serce do tej profesji. Nie to, co jego ojciec.

— Po co mi to mówisz?

— Jeśli poprosiłby cię o rękę, wyszłabyś za niego?

— Dobrze wiesz, że to jakieś nierealne mrzonki. Ojciec nigdy by się na to nie zgodził. — ze smutkiem w głosie odpowiedziała Juliette.

* * *

Armand zwolnił bieg maszyny, lustra obiegające głowę Pierre'a krążyły coraz wolniej i wolniej, aż w końcu stanęły.

— Dobrze się czujesz? — spytał, odwiązując czarną chustę z oczu Pierre'a.

— Tak — odparł Pierre, rozglądając się po obecnych. Gdy jego wzrok padł na Juliette, spytał:

— Myślisz Armandzie, że to co ujrzałem, wydarzyło się kiedyś naprawdę?

— Jestem tego pewien. Nad skonstruowaniem tej maszyny pracowały wybitne umysły. To co zobaczyłeś, musiało wydarzyć się kiedyś, w którymś z twoich poprzednich wcieleń.

— Ciekawe... — odpowiedział zamyślony.

— Co zobaczyłeś? — spytała Juliette, podchodząc do niego.

— Powiem ci innym razem.

Armand zajął miejsce na leżance, opuszczonej przed chwilą przez Pierre'a, i zwrócił się do Paula:

— Przyjrzałeś się, będziesz potrafił obsługiwać tę maszynę?

— Oczywiście! To nic trudnego.

Pierre podszedł do Armanda i przewiązał mu oczy czarną chustą. Paul w tym czasie pomału wprowadził maszynę w ruch.

Oczami duszy Armand ujrzał siebie wjeżdżającego na karym rumaku do jakiegoś miasta. Jechał na przedzie orszaku zbrojnych ludzi. Po chwili stanął, zeskoczył z konia i zostawiwszy go pod opieką sługi, udał się do jednego z budynków.

— Prowadźcie mnie do przewodniczącego Rady Generalnej! — rozkazał halabardnikom, pełniącym straż wejściu.

Nie musiał się przedstawiać, każdy dobrze go znał. Wprowadzono go do obszernej sali, której wysokie sklepienie podtrzymywane było przez cztery kolumny, po dwie z każdej strony. Posadzka była wykonana z jasnego marmuru, tak samo jak kominek na jednej ze ścian. Na środku sali stał długi, prostokątny stół, a przy nim osiem krzeseł, obitych ciemną skórą.

Za stołem siedział wąsaty mężczyzna o szpakowatych włosach i krępej budowie ciała. Był to Olivier Brousell, ojciec Juliette i Pierre'a.

— Witam waszmościa — zwrócił się chłodno do młodzieńca. — Z czym przybywasz?

Armand skłonił się nisko, po czym rzekł:

— Wybacz panie, ale hrabia de Foix nie przystał na propozycję Rady Generalnej Andory.

— Można się było spodziewać, że nie zgodzi się na odroczenie daniny. Ile zostało nam dni do zapłaty?

— Za dziesięć dni będę tu znowu. Wtedy muszę mieć zaległy podatek.

Widać było, iż starszy mężczyzna nie jest zadowolony.

Armand skłonił się jeszcze raz, po czym opuścił salę. Zamyślony szedł prosto przed siebie. Nawet nie zauważył, jak znalazł się na rynku pełnym straganów. Nagle usłyszał za sobą znajomy głos.

— Witaj, paniczu.

Odwrócił się. Przed nim stała Juliette.

— Witaj, panienko, miło cię widzieć.

— Doprawdy? — speszona, spuściła skromnie oczy. — Rozmawiałeś z moim ojcem? — spytała po chwili.

— Skąd wiesz?

— Widziałam, jak wychodzisz z ratusza.

— Nic się przed panienką nie ukryje.

— Nie przesadzaj — roześmiała się.

Gdy przechodzili obok straganu z tkaninami, uwagę dziewczyny przykuła bela z turkusowym atłasem. Zatrzymała się.

— Myślę, że ślicznie wyglądałaby panienska w takiej sukni. Ten kolor pasuje do oczu panienki — rzekł Armand, widząc, że dziewczyna dotyka rogu tkaniny.

— Zauważył panicz, że mam zielone oczy? — zdziwiła się. I po krótkiej chwili dodała:

— Ciekawam, czy zauważył panicz, że moje oczy w ciemnym świetle stają się granatowe.

— Zauważyłem — odpowiedział. — Może nie uświadamiałem sobie, dlaczego tak się dzieje... Sądziłem, że to może nastrój panienki sprawia.

Juliette roześmiała się. Armand budził w niej mieszane uczucia. Tak naprawdę podobał jej się, ale chyba sama nie chciała się do tego przyznać. Był przystojnym młodzieńcem. Nieraz rozmawiając z nim, wpatrzona w jego błękitne oczy, zapominała o całym świecie.

— Ostatnio często nas panicz odwiedza.

— Myślałem, że sprawię tym panience radość — odpowiedział, uśmiechając się uwodzicielsko.

— Raczy sobie panicz żartować — udała oburzoną.

— Nie śmiałybym.

Juliette udała, że go nie słucha, pochłonięta oglądaniem następnych tkanin. Wzięła w dłonie belę z nawiniętą na nią koronką w kolorze bordo.

— Czyż nie śliczna?! — spytała

— Uważam, że ten kolor jest za ciemny dla panienki.

Juliette spojrzała na niego mocno zaskoczona. Kim on jest, żeby udzielać jej takich rad? Nie kryjąc oburzenia, udała się w stronę innych straganów. Nagle, jak spod ziemi, wyrósł przed nimi Pierre.

— Witam pana — zwrócił się do Armanda.
— Witaj, paniczu.
— Co tu robisz? — spytała Juliette, zdziwiona obecnością brata.
— To samo co ty — odparł.
— Nie uwierzę, że interesują cię tkaniny — roześmiała się.
— Chciałem zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. W taki piękny dzień grzechem byłoby pozostać w domu.
— Pozwolicie, że was na chwilę opuszczę — oznajmił Armand.
— Oczywiście — odparła Juliette.
Kiedy młodzieniec oddalił się, zwróciła się do brata:
— Przyznaj się Pierre, to ojciec kazał ci mnie szpiegować.
Chłopak zmieszał się nieco. Stał bezradnie, szukając w myślach odpowiedzi, która zadowoliłaby siostrę.
— Nie kłopotz się, nie wyjawię nic ojcu. Bawi mnie jednak jego troska o mnie. Przecież skończyłam siedemnaście lat. Mogłabym mieć już męża.
— Ale nie masz — odparł Pierre.
Juliette zerknęła w bok. Nieopodal stał Armand. Co prawda, wydawał się zajęty obserwowaniem towarów na straganie. Jednak Juliette nie była pewna, czy nie słyszał ich rozmowy. Postanowiła to sprawdzić. Podeszła do niego.
— Szuka panicz czegoś konkretnego?
— Nie, tylko się rozglądam.
— Czerwone korale! — krzyknęła uradowana, spoglądając na jeden ze straganów.
— Pasują panience — rzekł Armand, widząc, jak przykłada je sobie do szyi. Juliette spojrzała na niego i odłożyła korale z powrotem.
— Przyjdę po nie później — oznajmiła.
— Ile chcesz za nie? — młodzieniec zwrócił się do kupca.
— Jednego dukata.
Armand wyjął z wewnętrznej kieszeni sakiewkę z monetami. Juliette powstrzymała go.
— Daruj sobie paniczu, mam pieniądze. Po prostu nie wzięłam ich ze sobą.
Spojrzał na nią zdziwiony.
— Jak sobie panienska życzy — odparł. — Nie chce panienska ode mnie podarku, bo jestem poborcą podatkowym?
— Ależ nie — odpowiedziała. — Ojciec twierdzi, że dzięki temu ma panicz władzę.
— Jednak ludzie przez to mnie nienawidzą.
— Tak panicz sądzi?
— Ja to wiem.
Juliette spojrzała na niego, nie bardzo wiedząc, co powinna odpowiedzieć.

— Wybacz panienka — wybawił ją z niezręcznej sytuacji — jestem zmęczony po wyczerpującej podróży.

Następnie skinął głową i ruszył w stronę gospody.

* * *

Armand otworzył oczy i rozejrzał się po obecnych. To, co ujrzał w letargu, trochę go zaskoczyło. Nigdy mu nie przyszło do głowy, iż kiedyś, w którymś z poprzednich wcieleń mógł spotkać Juliette. A jednak... Wynioskował, że wtedy ona musiała być w nim zadurzona po uszy. Domyślił się tego, gdyż wiedział, jak bardzo ją teraz kocha.

Już zrozumiał, dlaczego pokochał ją od pierwszego wejrzenia. Prawdopodobnie jego podświadomość pamiętała ją z tamtego wcielenia.

— Czy w końcu ja mogłabym położyć się tutaj? — nieśmiało spytała Juliette.

— Oczywiście! — odparł Armand, wyrwany z rozmyślań.

Juliette ostrożnie ułożyła się na leżance. Armand przewiązał jej oczy chustą, a następnie wprowadził maszynę w ruch.

Oczami wyobraźni ujrzała jakąś wielką komnatę. Na jej środku stał okazały stół, a przy nim sześć krzeseł. Na jednym z nich siedział mężczyzna w średnim wieku o ciemnych włosach i sumiastych wąsach. Spojrzała w bok. Obok niej stał jakiś jasnowłosy młodzieniec. Ubrany był jakoś dziwnie, jak paź na starych obrazach. Młodzian spojrzał na nią. Przecież to Pierre, zdziwiła się. Wydawał się jakiś dziwnie młody, jakby miał najwyżej szesnaście lat.

Mężczyzna siedzący przy długim dębowym stole odezwał się do nich:

— Cieszę się, że już jesteście. Zajmijcie miejsca naprzeciwko mnie. Jako, że jesteście najstarsi z całej czwórki moich dzieci, chciałem wam coś zakomunikować.

Juliette i Pierre posłusznie zasiedli przy stole. Wiedzieli, że sprawa musi być poważna, skoro ojciec wzywa ich na rozmowę.

— Zapewne wiecie, że odwiedził mnie poborca podatkowy Armand Calliere. Ponieważ hrabia de Foix nie przystał na propozycję naszej rady, postanowiłem sam zająć się tą sprawą. Młodzieniec miał dobre chęci, jednak niewiele zdziałał. Jego ojciec był twardszy. Chłopak ma za dobre serce do tej profesji.

Juliette spojrzała na ojca dziwnie. Co chciał przez to powiedzieć? Od dawna czuła, że Armand nie pasuje do tego zajęcia. Słuchała uważnie, co ojciec ma im do zakomunikowania.

— Członkowie Rady Generalnej Andory uzgodnili, iż kilku z nas pojedzie negocjować osobiście z hrabią de Foix.

— Kiedy ojciec wyjeżdżasz? — spytała Juliette.

— Jutro rano, dlatego dziś was wezwałem.

— Proszę, aby ojciec na siebie uważał, drogi są pełne rabusiów — w głosie Juliette wyczuwało się troskę.

— Bardziej niepokoję się o was. Baskowie ostatnio często atakują. Nie wiem, kto obejmie dowództwo obrony, gdy mnie tu nie będzie. Chciałbym, żebyście byli ostrożni. Pierre, nie wrywaj się do walki, a ty Juliette mniej na niego baczenie.

— Ojciec oczekuje ode mnie, iż będę stał beczynnym i patrzył z boku, jak wróg zabija naszych ludzi?

— Nie musisz stać beczynnym, ostrzegam tylko, żebyś nie pchał się w sam środek walki. Ostatnim razem cudem uszedłeś z życiem.

— Będę miała na niego baczenie, ojczu.

Mężczyzna spojrzał na nich z czułością. Wiedział dobrze, że Pierre liczy się ze zdaniem Juliette, chociaż jest starsza od niego zaledwie o rok.

— Dobrej nocy. Jutro o świcie wyruszam.

— Dobranoc, drogi ojczu — mówiąc to Juliette podeszła i przytuliła się do niego.

— Dobranoc — powtórzył Pierre, wstając od stołu.

* * *

Lustra wirowały nad głową Juliette, przenosząc ją zgoła w inne miejsce.

Był piękny, ciepły poranek. Jasne promienie słońca wpadały do komnaty przez drobne szybki w strzelistym oknie. Na samym środku dość obszernego pomieszczenia znajdowało się szerokie, drewniane łóżko. Juliette przeciągnęła się, przekręcając się na drugi bok. Nagle usłyszała za oknem tętent koni oraz krzyki przerażonych ludzi. Zaniepokoiło ją to i wzbudziło najgorsze przeczucia.

Pospiesznie wstała z łóżka, narzuciwszy na siebie pelerynę. Szybkim krokiem udała się do sypialni młodszego brata. Zapukała, nikt nie odpowiedział, uchyliła więc drzwi. Pierre spał jak suseł. Spod puchowej pierzyny wystawała tylko jego blond czupryna.

— Wstawaj! — krzyknęła

Pierre nie zareagował. Usiadła na brzegu jego łóżka i potrząsnęła nim.

— Coś się dzieje za oknem?!

Półprzytomny, wybudzony ze snu, nie bardzo kojarzył, co siostra do niego mówi.

— Wstawaj, Pierre! — powtórzyła.

Usiadł, patrząc na nią zaspanymi oczami, jakby chciał powiedzieć, dlaczego mnie budzisz.

— Słyszysz te krzyki? Mam złe przeczucia — rzekła, widząc, że Pierre już

oprzytomniał.

Przez chwilę nasłuchiwali odgłosów za oknem. Dochodziły do nich krzyki mężczyzn, lament kobiet oraz płacz dzieci.

— Ktoś nas zaatakował! — oznajmił Pierre, zrywając się z łóżka. — Przywdziej suknię! Spotkamy się na dole za piętnaście minut.

— Pamiętasz, co mówił ojciec? — spytała.

— Bądź spokojna, pamiętam.

Juliette udała się pospiesznie do swoich komnat. Po kilkunastu minutach, tak jak było umówione, zeszła na dół, ale nie zastała tam brata. Ponieważ się spóźniał, postanowiła pójść na górę, do jego sypialni. Jednak tam też go nie było.

— Widziałeś Pierre'a? — spytała służbę spotkanego na korytarzu.

— Widziałem panienko, pobiegł na dziedziniec.

— Jak to?! Miał czekać na mnie — oburzyła się.

Zdenerwowana wybiegła z domu. Na dziedzińcu napotkała wiele osób biegnących w różnych kierunkach. Jednak Pierre'a wśród nich nie było.

Skierowała się w stronę rynku. Na wszystkich uliczkach panował chaos. Ludzie biegali w różne strony. Mężczyźni uzbrojeni w co się dało biegli na rynek, prawdopodobnie żeby stawić opór najeźdźcy. Kobiety, chwytając swoje dzieci, chowały się w domach. Juliette biegła razem z grupą mężczyzn. Nagle dostrzegła wśród nich swojego narzeczonego, Gerarda Dione. Był to wysoki brunet o brązowych oczach. Twarz miał gładką, a czarne wąsiki pod nosem dodawały mu swoistego uroku.

— Nie widziałeś Pierre'a? — spytała go.

— Nie! Co panienka tu robi? Proszę wrócić do domu! — zabrzmiało to jak rozkaz, a nie jak prośba. Chociaż wiadomo było, że kierował się troską o narzeczoną.

— Najpierw muszę znaleźć brata!

Gerard nie był zadowolony, widząc Juliette, biegnącą wraz z mężczyznami. Wiedział jednak, że nic nie może na to poradzić. Po krótkiej chwili oboje znaleźli się w pobliżu rynku.

— Zostań tutaj! — zwrócił się do niej. Tym razem Juliette posłuchała jego rady.

Tak jak przewidział ojciec, zaatakowali Baskowie. Od dawna rościli sobie prawo do tych terenów. Juliette obserwowała walkę, ukryta za rogiem jednej z kamienic. Czuła się w miarę bezpieczna. Mężczyźni na rynku nie zwracali na nią najmniejszej uwagi.

Stojąc ukryta, od czasu do czasu wychylała się w nadziei, że dojrzy Pierre'a.

Tylko, co by to dało?, pomyślała.

Doszła do wniosku, iż powinna posłuchać rady narzeczonego i oddalić się.

W tym momencie usłyszała dźwięk rogu. Poznała znaną sobie melodię.

Ojciec wraca!, pomyślała. W mieszkańców grodu wstąpiły radość i nadzieja. Jak uskrzydleni, rzucili się na najeźdźców ze zdwojoną siłą. Kobiety pochowane w swych domostwach zaczęły wybiegać na uliczki, uzbrojone w jakieś dziwne przedmioty.

Miała już wracać do domu, gdy ujrzała Pierre'a. Walczył z jednym z Basków. On jej nie widział. Nic dziwnego, znajdował się prawie w centrum toczących się walk. Juliette zauważyła, że nawet dobrze sobie radzi. Ojciec dołożył starań, żeby jego syn dobrze władał bronią.

Obserwując brata, Juliette zaczęła nawet żałować, że tu przyszła. Kochała Pierre'a, był jej najlepszym przyjacielem. Prawie całe dni spędzali razem, często się sobie zwierzała. Istniała między nimi jakaś niewidzialna więź.

Gdy tak rozmyślała, zauważyła, że Pierre patrzy na nią. Pomachała mu ręką na znak, że też go widzi.

Teraz młodzieniec walczył ze zdwojoną siłą, jakby chciał się popisać przed siostrą umiejętnościami. Co chwila spoglądał w jej stronę, szczególnie po trafionych ciosach. Co on robi?, pomyślała. Przecież to nie turniej, tylko walka z prawdziwym wrogiem.

W tym momencie Pierre zwinnym ruchem ranił przeciwnika. Za chwilę wytrącił mu z ręki rapier. Hiszpan stał bezradnie, trzymając się za draśnięte ramię. Pierre znowu spojrział w stronę Juliette i uśmiechnął się. Jakby mówił: widzisz, pokonałem go i puszcę wolno, żebyś nie mówiła, że postępuję jak barbarzyńca. Juliette też się uśmiechnęła, wyczuwając jego intencje.

Nagle jakaś zabłąkana strzała, ugodziła młodzieńca w samą pierś. Ranny osunął się na ziemię. Juliette krzyknęła i podbiegła do brata, nie zwracając uwagi na walczących obok mężczyzn. Uklękła przy nim i uniosła lekko jego głowę.

— Pierre! Jesteś ranny? — spytała, nie dowierzając temu, co ujrzała.

Z jego piersi wystawał grot strzały.

— Czuję, że umieram — odparł, a jego głos był cichy i ledwo słyszalny.

— To niemożliwe! — krzyknęła.

Czuła, jak oczy napęcznieją jej się łzami. Przytuliła głowę do piersi brata i powtarzała łkając:

— Nie zostawiaj mnie. Nie możesz umrzeć, przecież obiecałam ojcu...

— Chyba dostałem w serce — mówił coraz ciszej.

Słysząc było, że każde wypowiedziane słowo stanowi dla niego nie lada wysiłek.

Juliette szlochała, nie zwracając uwagi, co się dzieje wokół.

— Nie płacz, proszę. Twoje łzy sprawią mi ból — błagał Pierre.

— Miałam cię pilnować! Musisz żyć!

Pierre chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie dał rady. Jego głowa opadła bezwładnie. Juliette, która jeszcze przed chwilą na prośbę brata próbowała

opanować łyzy, teraz wybuchnęła jednym wielkim szlochem.

Dookoła toczyła się jeszcze walka, ale ona o to nie dbała. Wiedziała, że naraża się na niebezpieczeństwo. Jednak teraz nie miało to dla niej najmniejszego znaczenia. Czowała się współwinna śmierci brata. Nie dopilnowała go, zawiodła zaufanie ojca. Nagle usłyszała nad głową znajomy głos.

— Juliette, co tu robisz!?

Spojrzała do góry. Nad nią stał Armand.

— Pierre nie żyje — odpowiedziała szlochając.

Teraz dopiero młodzieniec spostrzegł, że na kolanach Juliette spoczywa głowa Pierre'a. Nie wiedział, co powiedzieć, jak ją pocieszyć. Ukłękł obok niej, nic nie mówiąc.

— Widziałeś, jak to się stało? — tylko takie słowa przysły mu do głowy.

— Byłam przy tym, ale czy to ma jakieś znaczenie? — odpowiedziała.

Po chwili spojrzała na Armanda z wyrzutem

— To wszystko twoja wina! — krzyczała jak oszalała.

— Jak to? Dlaczego? Gdy tylko się dowiedziałem, co się dzieje, ruszyłem wam z pomocą. Jest z nami twój ojciec oraz jego ludzie.

— To dlatego tak szybko się wycofali... — zamyśliła się.

— Tak, mój oddział jest dość pokaźny, a ludzie wprawieni w boju.

— I co z tego! Gdybyś załatwił odroczenie daniny, mój ojciec nie musiałby opuszczać nas i Pierre by żył.

— Może masz rację — Armand posmutniał.

— Nienawidzę cię! — krzyczała tłumiąc łyzy.

* * *

Lustra zwolniły bieg. Armand podszedł do Juliette i zdjął jej opaskę z oczu. Usiadła i rozejrzawszy się po obecnych, dopiero teraz zrozumiała, gdzie się znajduje. Spojrzała na Pierre'a. Wprost nie do wiary — pomyślała — więc on był kiedyś moim bratem?

W tej jednej chwili, wszystko pojęła. Teraz wiedziała, dlaczego połączyła ich miłość od pierwszego wejrzenia. Ich dusze, po prostu, odnalazły się po wielu latach.

A co z Armandem? Też go już kiedyś znała. Wtedy on nie zwracał na nią uwagi. Ona jednak prawdopodobnie była w nim nieszczęśliwie zakochana. Czowała to podświadomie.

Przypomniała sobie słowa Armanda sprzed kilku lat. Twierdził, iż pokochał ją od pierwszego wejrzenia. Może ona poczuła to samo? Jednak była zbyt młoda, zbyt niedojrzała, by zwrócić na to uwagę.

Ciekawe, która dusza goniła którą? To oczywiste, że ona jego. Przecież

urodziła się później. Prawdopodobnie tak mocno go wtedy kochała, iż poprosiła Boga, żeby kiedyś, w następnym wcieleniu, móc zostać jego żoną.

Pech, że w tym samym wcieleniu spotkała również Pierre'a. A może to nie pech? Może powinna się cieszyć, że odnalazła brata. To że połączy ich wielkie uczucie, było do przewidzenia. W końcu wtedy rozumieli się bez słów. Dlaczego więc Pierre pojawił się w tym samym wcieleniu, co Armand? Żeby nie było tak łatwo? Żeby musiała dokonać wyboru? Inaczej życie byłoby za proste, usłane różami, jak mawiała jej mama.

Może to nie przypadek, że wszyscy troje spotkali się właśnie teraz, właśnie w tym życiu. Papa zawsze twierdził, że nic w życiu nie dzieje się przypadkiem. Tylko nam może się tak wydawać.

Juliette nie była do końca pewna, czy powinna podzielić się z Armandem oraz z Pierre'em tym, co widziała w letargu. Czuła, że lepiej będzie, jeśli zachowa to dla siebie. No, chyba, że któryś z nich ją o to poprosi. Jednak dzisiejszego wieczoru się na to nie zanosilo.

— Nie przypuszczałem, że jest już tak późno — oznajmił Armand, spojrzawszy na swój złoty zegarek zawieszony na długim łańcuszku.

— Rzeczywiście, jest już po pierwszej. Jak ten czas szybko leci — odpowiedziała Juliette, też zerkając na jego zegarek.

— Wybacz Paul, ale wolałbym przełożyć twój seans na jutrzejszy wieczór — oznajmił Armand. — Mózg może gorzej pracować, gdy jesteśmy zmęczeni.

— Oczywiście — odparł Paul — przecież ja i Pierre zostajemy tu jeszcze na dwa dni.

15. Lustro pięciu żywiołów

Następnego wieczoru, jak to było wcześniej uzgodnione, piątka przyjaciół spotkała się znowu w komnacie na wieży. Tym razem miejsce na leżance zajął Paul.

Oczom jego ukazał się przedziwny widok. Zobaczył siebie w jakiejś ciemnej komnacie, wyglądającej na pracownię szklarza.

— Witam, panie hrabio — przywitał go starszy mężczyzna.

— Witam. Czy lustro, o które cię prosiłem, jest już gotowe?

— Prawie, panie — mężczyzna skłonił się. — Nie mogłem dobrać odpowiedniej ramy. Chciałem, żeby była tak samo wyjątkowa, jak to zwierciadło. Dlatego poprosiłem, żeby wykonał ją najlepszy stolarz w mieście.

Młody hrabia podszedł do opartego o ścianę lustra. Było ono imponujących rozmiarów. Mógł w nim zobaczyć bez problemu całą swą postać. Przejrzał się w zwierciadle i widać było, iż jest zadowolony z tego, co ujrzał. Nic dziwnego, był przystojnym, wysokim młodzieńcem o ciemnych włosach i niebieskich oczach. Błękit jego oczu był wprost porażający. Widoczny nawet w tak skąpym świetle, jakie wpadało do pomieszczenia przez maleńkie okno.

Podszedł bliżej do lustra, następnie zbliżył się do starca i nieco nerwowym głosem rzekł:

— Pospiesz się, proszę. Za tydzień są urodziny wicehrabianki Antuanette Delacroix. Muszę mieć to lustro przynajmniej dzień wcześniej.

— Oczywiście, panie hrabio — starzec skłonił się nisko. — Pamiętaj jednak panie, że to zwierciadło ma magiczną moc. Kobieta, którą nim obdarujesz, będzie cię kochać aż do śmierci.

— Mam taką nadzieję! Przecież dałem ci za nie pół kilograma złota.

— Możesz mi panie zaufać. Jak nikt w tym kraju, potrafię łączyć alchemię z magią.

— Obyś mówił prawdę.

— Już niedługo serce panny Delacroix będzie należało do jaśnie pana.

Paul uśmiechnął się, a w jego oczach można było dostrzec radość.

— Mam nadzieję, że nie zapomniał jaśnie pan, iż stłuczone zwierciadło może stracić swą magiczną moc.

— Co masz na myśli? — zaniepokoił się Paul.

— Może wtedy nie działać jak napój miłosny, lecz wprost przeciwnie. Wtedy właściciel tego lustra nie zazna już nigdy miłości z wzajemnością.

Młody hrabia spojrział na starca, mocno zaniepokojony. Tamten widząc jego zatroskaną minę, mówił dalej:

— Może się tak stać, ale nie musi. Należy być dobrej myśli — pocieszał go

starzec.

* * *

— Gdzie byłeś poprzedniej nocy?! — z pretensją w głosie, spytała Antuanette.

Miała na sobie piękną seledynową suknię z atlasu. Jej ciemne, prawie czarne włosy, zdobił srebrny diadem, wysadzany szmaragdami i turkusami. Ale ciemnobrązowe oczy hrabianki wyrażały złość.

— Wybacz, kochanie, ale zatrzymały mnie sprawy wagi państwowej — odparł Paul.

— Nie kłam. Widziano cię w karczmie.

— Wiesz, że bardzo lubię przebywać w miejscu, gdzie moi chłopci spędzają wolny czas. Tylko w ten sposób mogę dowiedzieć się, co mój lud o mnie sądzi.

— Naprawdę cię nie rozpoznają? — zdziwiła się.

— Tak, jednak wymaga to wielu zabiegów.

— Właśnie widzę! Jesteś ubrany jak wieśniak. No, może jak szlachcic, który ledwo wiąże koniec z końcem.

— Dobrze wiesz, że to jest zamierzone. Nikomu przecież nie przyjdzie do głowy, iż ich pan, hrabia de Larousse spędza wolny czas w karczmie. Zresztą większość tych chłopów nawet nie wie, jak wyglądam.

— Karczmarz też cię nie rozpoznał?

— Karczmarz o wszystkim wie. Pewna grupa osób musi być wtajemniczona. Dla mojego bezpieczeństwa, oczywiście. Poza tym, nie jeżdżę tam sam, lecz z dwoma zaufanymi sługami.

Antuanette spojrzała na męża z politowaniem i niedowierzaniem zarazem. Po chwili dodała:

— Jestem pewna, że zabawiacie się tam z wiejskimi dziewczętami.

— Jakżebym mógł! O co mnie podejrzewasz?

Podszedł bliżej i usiadł na kanapie obok Antuanette. Wziął jej dłoń w swoje ręce, pocałował i mocno przytulił do piersi. Patrząc prosto w jej ciemne oczy, rzekł:

— Wiesz, że moje serce należy do ciebie.

Antuanette wyrwała dłoń z jego uścisku z wielką niechęcią, graniczącą wprost z obrzydzeniem.

— Sądzisz, iż jestem taka naiwna! Dawniej może wierzyłam w twoje kłamstwa, teraz już nie!

Wstała i wyszła z pokoju. Paul został sam, a jego mina zdradzała zakłopotanie.

* * *

Armand powoli wstrzymał bieg maszyny. Pierre podszedł i ostrożnie zdjął opaskę z oczu Paula.

— Co widziałeś? — spytała Antuanette z zaciekawieniem.

— To dziwne, ale w moje wizji byliśmy małżeństwem — odparł Paul, lekko zszokowany tym, co przed chwilą widział.

— Naprawdę?!

Rozejrzała się po obecnych i spytała niepewnym głosem:

— Czy ja też mogłabym poddać się wywoływaniu podświadomości w tej dziwnej maszynie?

— Myślę, że tak — odparł Armand, spoglądając na minę Paula i Pierre'a.

Odniósł wrażenie, że nikt z obecnych nie ma nic przeciwko temu. Zwrócił się więc do kuzynki:

— Proszę, teraz kolej na ciebie.

Antuanette ochoczo położyła się na ukośnej leżance, uważając, żeby kokiem nie zawadzić o lustra przyczepione u góry maszyny.

Juliette podeszła do niej i przewiązała jej oczy chustą. Gdy była już gotowa, Armand pomału zaczął wprowadzać maszynę w ruch. Jak zawsze najpierw kręcił nią wolno, a potem coraz szybciej. Drobne lusterka tylko migwały nad głową Antuanette.

Zamknęła oczy i ujrzała siebie w pałacowej komnacie. Siedziała na kanapie, a na ścianie naprzeciwko wisiało okazałe kryształowe zwierciadło w pięknej złotej ramie. Wydawała się kobietą o wiele dojrzalszą, niż obecnie. Można by pomyśleć, że zbliża się do trzydziestki. Jednak nadal była piękna. Przechadzała się po komnacie, jakby na kogoś czekała.

W pewnym momencie do salonu wszedł Paul. Wydawał się również sporo starszy., Świadczyły o tym jego lekko szpakowate włosy, chociaż rysy twarzy prawie się nie zmieniły.

— W końcu jesteś! — przywitała go z lekką pretensją w głosie.

— Wybacz, kochanie, nie przypuszczałem, że będziesz na mnie czekała.

— Doprawdy?! Usiłujesz mi wmówić, iż gdybyś wiedział, wróciłbyś wcześniej.

— Na pewno.

— Nie mam już siły słuchać twych dziwnych tłumaczeń. Nie wierzę w twoje kłamstwa.

— Dlaczego sądzisz, że kłamię, kochanie?

— Znowu ten cynizm. Zwracasz się do mnie „kochanie”, a jestem pewna, że mnie zdradzasz.

— Nie ufasz mi?

— Mam uwierzyć, że chodzisz do karczmy, żeby bratać się z ludem! Wybacz, ale to jest żalosne. Sądzę, że zadajesz się tam z młódkami ze wsi.

Podszedł do niej bliżej. Stał na wprost i spojrzał głęboko w oczy Antuanette. Nie bacząc na jej nadąsaną minę, przytulił ją mocno do siebie.

— Jesteś zazdrosna? Więc jeszcze mnie trochę kochasz.

Ona wyrwała się z jego objęć i odsunęła o kilka kroków do tyłu.

— Cuchniesz alkoholem! Żałuję, że zostałam twoją żoną. Miałam wielu zalotników, dobrze o tym wiesz. Mogłam wyjść za księcia, a wybrałam ciebie. Nie rozumiem, jak mogłam być taka głupia?

Słyszając te słowa, Paul natychmiast wytrzeźwiał. Spojrzał na Antuanette i przypomniał sobie słowa starego alchemika.

— Nie wierzysz, że pobyt w karczmie mnie uspokaja? Trudno...Ale nie zarzucaj mi zdrady. Jesteś jedyną kobietą, którą kocham, i dobrze o tym wiesz.

— Doprawdy?! Gdyby tak było, nie spędzałbyś tylu wieczorów poza domem.

— Mówiłem ci nieraz. To są sprawy tajne, o których lepiej, żebyś wiedziała jak najmniej. Jeśli mi nie wierzysz, to twój problem. Dobrej nocy, kochanie.

Skłonił się i wyszedł z komnaty. Antuanette usiadła na sofie, zanosząc się od płaczu. Czowała się taka nieszczęśliwa. Najgorsze, że nikt nie potrafił jej pocieszyć. Ten, który mógł tego dokonać, właśnie odszedł, nie zwracając uwagi na jej cierpienie. Z minuty na minutę narastała w niej złość. Niewiele myśląc, wstała i chwyciwszy stojący na komodzie porcelanowy wazon, cisnęła nim w wiszące na ścianie kryształowe lustro.

* * *

— Do usług, jaśnie pani — stary szklarz skłonił się nisko.

— Podejdz proszę nieco bliżej — odpowiedziała Antuanette. — Chciałabym dokładnie obejrzeć, co udało ci się stworzyć z tego potłuczonego zwierciadła.

Mężczyzna podszedł do stolika stojącego przy sofie, na której siedziała hrabina. Następnie położył na nim kilka zawiniątek. Odkrywał delikatnie tkaninę, w którą zawinięte były cztery maleńkie lustreczka. Antuanette z ciekawością zerknęła, na układane na małym stoliku lusterka. Każde z nich było oprawione w inną ramkę i każde wyglądało jak małe dzieło sztuki.

— Jakie piękne! — wykrzyknęła, biorąc w dłonie owalne zwierciadło z uchwytem, umożliwiającym trzymanie je w dłoni.

— Robiąc je, wiedziałem, iż się spodoba jaśnie pani. Srebrna rączka jest wysadzana kamieniami szlachetnymi. Do tego zwierciadła użyłem turkusów i rubinów.

— To moje ulubione klejnoty! — zawołała Antuanette.

— Wiem o tym, jaśnie pani. To jest tak zwane „lustro wiatru”. Bardzo proszę, żeby pani hrabina przejrzała się w nim. Czy nie odnosi jaśnie pani wrażenia, iż jej włosy lekko smaga wiatr? Antuanette chwyciła lusterko. Ujrzała w nim swą twarz i rzeczywiście miała wrażenie, jakby jej włosy lekko powiewały na wietrze.

— Niesamowite — rzekła. — Więc to nie jest zwyczajne lustro?

— Zwierciadło wiszące w salonie jaśnie pani, miało magiczną moc — wyjaśnił starzec. — Mam nadzieję, że udało mi się zachować chociaż część jego mocy w tych niedużych lustreczkach.

— Jak to?! Dlaczego ja nic o tym nie wiedziałam?

— Proszę wybaczyć, ale pan hrabia nie mógł zdradzić tej tajemnicy nikomu. Ten, kto otrzymał to lustro w prezencie, zakochał się bez pamięci w osobie, od której je dostał. Teraz ty pani jesteś właścicielką tego zwierciadła. Do jaśnie pani należy więc decyzja o dalszych jego losach.

— Naprawdę?! Dopiero teraz zrozumiałam, dlaczego tak szaleję za moim mężem — powiedziała bardziej do siebie niż do starca.

— Jestem bardzo ciekawa, co udało się wykonać z tych kawałków — dodała po chwili.

— Udało mi się stworzyć z jednego wielkiego zwierciadła aż pięć mniejszych. Każde z tych lusterek będzie podporządkowane innemu żywiołowi: ziemi, ogniu, powietrzu, wodzie oraz wiatrowi. To największe, które będzie wisiało na ścianie i które dostarczę dopiero jutro, będzie to lustro ognia. Zostanie oprawione w tą samą ramę, chociaż stolarz musiał sporo ją zmniejszyć.

Antuanette słuchała wywodu starego mężczyzny, jak zaczarowana. Zrozumiała, dlaczego tak bardzo kocha swego męża. Teraz dopiero dotarło do niej, dlaczego on sobie nic z tego nie robił. Był pewien jej uczucia.

Wstała i zaczęła nerwowo chodzić po salonie. Czowała się oszukana zarówno przez starca, jak i przez męża.

— Szkoda, iż to zwierciadło nie przyniosło mi szczęścia w miłości.

— Jakże to, pani? — zdziwił się stary szklarz. — Hrabia bardzo panią kocha.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Kiedy dowiedział się o stłuczonym lustrze, zjawił się u mnie bardzo zaniepokojony.

— Naprawdę?!

— Było tak, jak mówię, pani.

— Czego chciał, jeśli mogę wiedzieć?

— Obiecałem panu hrabiemu, że zrobię wszystko, aby zachować magiczną moc zwierciadła. To duże lustro, które wisiało w salonie, zachowa część swej mocy. Jednak musisz pani wiedzieć, iż z roku na rok, jego siła będzie coraz słabsza.

To zwierciadło zostało podporządkowane żywiołowi ognia. Ten ogień w końcu się wypali. Wtedy ono stanie się zwyczajnym lustrem, jak tysiące innych.

Natomiast to małe lustreczko, które pani wybrałaś, będzie nadal mieć moc eliksiru miłości. Jednakże tylko tak długo, dopóki ty pani będziesz jego właścicielką.

— Jak to?! — zaniepokoiła się Antuanette.

— Jaśnie pani zapewne zauważyła, iż jego ramka wysadzana jest rubinami oraz turkusami. Te kamienie mają przyciągać miłość i pieniądze. Turkusy zapewniają powodzenie w kwestiach materialnych, a rubiny w miłości. Jednak nie wolno podarować tego lustra nikomu.

Hrabina nie wiedziała, czy ma się cieszyć, czy raczej smucić. Stary alchemik spojrział na nią, a wyczytawszy w jej wzroku przestach, dodał:

— Wiem, o co jaśnie pani chce mnie zapytać? Otóż proszę o uprzedzenie służby oraz swych najbliższych, iż lustro po śmierci jaśnie pani powinno być zakopane głęboko w ziemi.

— Dlaczego?!

— Każdej następnej właścicielce będzie ono przynosiło pecha, szczególnie w miłości.

— A co z pozostałymi trzema lusterkami?! — spojrzała na starca ze strachem, zerkając na leżące przed nią zwierciadła.

— Proszę się nie martwić. W nich magicznej mocy pozostało niewiele i z każdym rokiem będzie ona słabła. Te maleńkie lustreczka może jaśnie pani z czystym sumieniem ofiarować swym córkom.

* * *

Antuanette zdjęła opaskę z oczu. Wydawała się mocno poruszona.

— Czy wiesz, co widziałam?! — niemal krzyknęła do Paula.

— Skąd mogę wiedzieć — roześmiał się.

— Widziałam zwierciadło, które dostałam od babci. Ona podobno znalazła je w rzeczach swojej mamy, czyli mojej prababki. Nie wiedziała zapewne, że to lustro przynosi pecha. Muszę je zakopać. Pomożesz mi? Proszę!

Oczy wszystkich zwróciły się na baronównę. Chociaż nie bardzo rozumieli, o czym mówi, widzieli, że jest tym bardzo przejęta.

— Nie patrzcie tak na mnie. Dobrze wiem, co mówię. Prababka była z domu wicehrabiną Delacroix. Imię odziedziczyłam właśnie po niej. Moja babka twierdziła, iż jestem do niej bardzo podobna.

— Miała rację — potwierdził Armand. — Widziałem portret Antuanette Delacroix w waszym pałacyku. Wyglądasz zupełnie jak ona, gdy była młoda.

— Bo to właśnie ja — odpowiedziała Antuanette. — Jeśli ta maszyna nie

kłamie, to w poprzednim wcieleniu byłam właśnie wicehrabianką Delacroix.

— Zanim wyszła za mąż za hrabiego de Larousse — roześmiał się Paul.

— Żebyś wiedział, że tak — odpowiedziała z powagą.

— Paul, przyrzeknij, że mi pomożesz — powtórzyła błagalnym głosem.

— Dobrze. Chociaż nie bardzo wiem, o co chodzi — odpowiedział.

Domyślił się, iż musi to być dla Antuanette sprawa wielkiej wagi. Usłyszenie z ust baronówny słowa „proszę” należało bowiem do rzadkości.

— Obiecaj, że pomożesz mi zakopać to lustro.

— Jakie lustro? — spytał Paul.

— To, które widziałam w swoim śnie. To, które powinno być już zakopane od niemal stu lat. Ono przynosi pecha!

— Kiedy chcesz to zrobić?

— Jak najszybciej!

— Pozwolisz, że poczekamy do jutra? Może przestanie padać... — zażartował.

— Dobrze. Ale obiecaj mi, że jutro rano, zanim odjedziesz, pomożesz mi pozbyć się tego zwierciadła.

— Do usług, jaśnie pani — zażartował Paul, chociaż patrząc na Antuanette, wiedział, iż nie jest jej wcale do śmiechu.

W jej oczach widać było przerażenie. Po raz pierwszy widział ją w takim stanie.

Zawsze postrzegał Antuanette jako kobietę o silnym charakterze. Teraz wydała mu bardziej ludzka, a właściwie bardziej kobieca. Nawet ucieszył się, że poprosiła go o przysługę. W końcu poczuł się jak prawdziwy mężczyzna.

16. W zamku

Nastał czerwiec następnego roku. Juliette z Armandem, corocznym zwyczajem, postanowili spędzić całe lato w zamku w Ainay-le-Vieil. Zabrali ze sobą dwuletniego synka, Charlesa.

W nocy obudził Juliette jakiś dziwny odgłos.

Pewnie ta brzemienna kotka rodzi, pomyślała.

Jednak po chwili zaniepokoiła się. A jeśli to płacze jej mały synek? Niewiele myśląc, zarzuciła peniuar i udała się do sypialni dziecka.

Chcąc się upewnić, że wszystko w porządku, ostrożnie podeszła do dziecinnego łóżeczka. Na szafce obok stał trójdzielny świecznik. Zapalone świece delikatnie oświetlały komnatę.

Juliette podeszła bliżej. Blask świecy, trzymanej w jej ręku, rzucił mocny strumień światła na twarz dziecka. Charles przeciągnął się i obrócił tyłem do światła. Widać było, że ma zdrowy sen.

W tym momencie opiekunka, widząc Juliette, zerwała się na równe nogi.

— Czy coś się stało, jaśnie pani? — spytała przyciszonym głosem, żeby nie obudzić dziecka.

— Nie, nic. Chciałam tylko sprawdzić, czy mój synek nie czuje się źle po takiej długiej podróży.

— Śpi jak suseł.

— Dziękuję, Celine. Śpij, nie przeszkadzaj sobie. Jest przecież środek nocy.

— Oczywiście, jaśnie pani — odparła opiekunka, skłoniwszy się.

Opuściwszy apartamenty dziecka, Juliette postanowiła sprawdzić, skąd dochodzą dziwne odgłosy. Korytarz był zupełnie pusty. Szła więc przed siebie prawie po omacku. Dobrze, że wzięła ze sobą lichtarz. Jednak dwie świece dawały niewiele światła.

Nagle, przechodząc obok sypialni Antuanette, usłyszała jakieś dziwne odgłosy.

Niewiele myśląc, zapukała do drzwi dziewczyny. Nikt nie odpowiedział. Zdziwiło ją to i zaniepokoiło zarazem. Nacisnęła klamkę i weszła do środka. W buduarze było zupełnie pusto. Wydało jej się to trochę dziwne, gdyż odgłosy dochodziły wyraźnie z tej części zamku. Chciała już wyjść, gdy za drzwiami prowadzącymi do sypialni Antuanette usłyszała jakieś przyciszone głosy. Zdziwiło ją to jeszcze bardziej. Czyżby Antuanette nie była sama? Najwyraźniej z kimś rozmawiała. A może majaczyła przez sen? Juliette tym bardziej postanowiła to sprawdzić. Zapukała do drzwi sypialni.

— Chwileczkę — usłyszała zaskoczony głos baronówny.

Targana ciekawością, przyłożyła ucho do drzwi. Bardzo ją zdziwiło, gdy

usłyszała coś, co przypominało kroki bosych stóp. W końcu usłyszała długo oczekiwane:

— Proszę!

Gdy weszła do środka, zauważyła, że Antuanette siedzi w swym pięknym szerokim łożu. Nie wyglądała na nagle wybudzoną ze snu. Wprost przeciwnie. Zdziwiło to Juliette. Skoro nie wstała, żeby otworzyć jej drzwi, to po co biegła po sypialni? A może to były kroki kogoś innego?

— Witaj, Juliette. Co cię sprowadza o tak dziwnej porze?

— Wybacz, proszę, że cię niepokoję. Obudziłam się i usłyszałam jakieś dziwne odgłosy. Obawiałam się, że to mój Charles zachorował, dlatego postanowiłam to sprawdzić.

— I sprawdzasz to w mojej sypialni? — kąśliwie odparła Antuanette.

— Pomyślałam, że ta młoda kotka powiła potomstwo. Może potrzebuje pomocy?

— Nie martw się, służba z pewnością się tym zajmie.

Rozejrzawszy się wymownie po sypialni, Antuanette dodała z cynicznym uśmiechem:

— I czy zauważyłaś tutaj jakieś koty?

— Nie... i przepraszam, że cię niepokoję w środku nocy — odparła zmieszana Juliette.

— Na szczęście jeszcze nie spałam. Jednak jest już na tyle późno, że obie powinnyśmy udać się na spoczynek. Nie ma się o co niepokoić. Służba markizy sprawuje pieczę nad wszystkim, zarówno w dzień, jak i w nocy. Zapewniam cię.

— Na pewno masz rację. W końcu ty tu przebywasz przez cały rok. A ja przyjeżdżam tylko na wiosnę i lato.

„Mówiąc to, Juliette chciała dać jej do zrozumienia, iż rozgościła się w zamku, jakby była rodzoną córką markizy. Antuanette doskonale wychwyciła aluzję, nie chciała jednak wszczynać sprzeczek o tak późnej porze. Wysilając się na uśmiech, odparła:

— Skoro nie znalazłaś u mnie maleńkich kociąt, możesz spokojnie udać się na spoczynek. Dziwne, że Armand nie przyszedł tutaj razem z tobą.

— Śpi zmęczony po długiej podróży. Nie chciałam go budzić.

— Rozumiem — w głosie Antuanette zabrzmiała nutka ironii.

— Jechaliśmy w strasznej spiekocie...

Nagle Juliette usłyszała jakiś dziwny dźwięk, przypominający trzeszczenie drzwi. Rozejrzała się dyskretnie po pokoju. Nie zauważywszy niczego podejrzanego, odparła:

— Masz rację, powinnam udać się już na spoczynek.

Mówiąc to, skierowała się do drzwi. Przechodząc obok wysokiej dwudrzwiowej szafy, zauważyła coś, co przeszło jej najśmielsze oczekiwania.

W uchylonych drzwiach szafy ujrzała skulonego, skąpo odzianego Paula. Trzymany przez nią lichtarz wyraźnie oświetlał jego twarz. To, co zdziwiło ją jeszcze bardziej, to zadowolona mina młodzieńca. Wcale się nie spieszył. To ona wydała się bardziej zmieszana tą sytuacją. Gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, zauważyła, że przytknął palec do ust. Jakby chciał dać jej znak, by zachowała milczenie. Mrugnęła oczami, że rozumiała. Uśmiechając się w duchu, rzekła głośno:

— Dobranoc!

I udała się w stronę drzwi.

— Dobranoc — odparła Antuanette.

* * *

Następnego wieczoru, jak to było uzgodnione, na zamkowej wieży odbyło się spotkanie szóstki przyjaciół.

Mężczyźni, czyli Armand, Pierre, Paul i Michael swoim zwyczajem rozprawiali o polityce.

Antuanette i Juliette nawet nie ukrywały, iż te tematy nie bardzo leżą im na sercu. Obie usiadły na starej skrzyni, w samym końcu komnaty. Zachowywały się tak, jakby zapomniały o niefortunnym spotkaniu dzisiejszej nocy. Tematem, który je zaabsorbował, był mający się wkrótce odbyć bal dobroczynny na zamku markizy de Beries.

— Już wiesz, jaką suknię założysz? — spytała Juliette.

— Jeszcze się nie zdecydowałam. Nie wiem, która będzie bardziej pasowała do błękitnej peruki.

— Naprawdę chcesz założyć kolorowe włosy?! — z niedowierzaniem spytała Juliette.

— Dlaczego nie! Podobno w Paryżu już od dawna kobiety pokazują się na przyjęciach w niebieskich lub różowych perukach. Tylko tu, na południu Francji, wzbudza to jeszcze sensację. Mam wrażenie, że jesteśmy bardzo zapóźnieni, jeśli chodzi o modę. Postanowiłam to zmienić — z dumą w głosie oznajmiła Antuanette.

— Podziwiam twoją odwagę. Dawno już o tym rozmyślałam. Jednak nie chciałam być tą pierwszą. Sądziłam, iż otoczenie mnie nie zrozumie — odparła Juliette.

— Co mają zrozumieć?!

— Myślę, że ta moda jeszcze do nas nie dotarła. Niektórym może wydać się to zbyt dziwaczne.

— Ktoś musi być prekursorem mody — w głosie Antuanette można było wyczuć dumę.

— Mam nadzieję, że markiza zaakceptowała twoją decyzję.

— Oczywiście! Miała pewne zastrzeżenia, ale gdy ujrzała mnie w niebieskiej peruce, wszystkie jej obawy przysły. Mój wygląd wprost ją zachwycił.

— Naprawdę?!

— Dlatego teraz muszę zmienić koncepcję co do reszty stroju. Zamierzałam pokazać się w błękitnej sukni. Jeśli jednak miałabym również niebieską perukę, wyglądałabym jak duża atramentowa beza — zażartowała.

Juliette uśmiechnęła się.

— Postanowiłam, że założę suknię z kremowego muślinu, ozdobioną jedwabnymi różyczkami.

— Będziesz wyglądać zachwycająco! Szkoda, że nie przekonałam Armanda, iż kolorowe peruki są teraz najbardziej modne.

— Jeszcze nic straconego. Na następny bal możesz spróbować założyć jakieś kolorowe włosy.

— Przymierzałaś też inne kolory? — spytała Juliette.

— Tak. Poślaniec przywiózł dwie peruki, błękitną oraz różową. Jednak markiza uznała, że w błękitnej wyglądam dużo lepiej.

— Tak?! A co stało się z tą drugą?

— Odesłałyśmy do Paryża.

— Jaka szkoda — Juliette wydała się naprawdę zmartwiona.

Pierre, siedzący najbliżej dziewcząt, mimo woli słyszał ich rozmowę. W pewnej chwili nie wytrzymał i odezwał się:

— Co do Antuanette, zawsze wiedziałem, że jest materialistką. Ale o tobie, Juliette miałem lepsze zdanie. Czy kolor peruki jest taki ważny?

Antuanette chciała jeszcze coś powiedzieć, jednak tylko otworzyła usta ze zdziwienia. Armand, Paul i Michael spojrzeli w stronę kobiet. Pierre zorientował się, że chyba trochę przesadził.

Antuanette zrobiła nadąsaną minę. Juliette była tak zaskoczona tym, co usłyszała, że nie bardzo wiedziała, jak powinna zareagować. Nie była pewna, czy słowa Pierre'a ma traktować jak krytykę, czy może raczej jak komplement. Zrobiła zażenowaną minę, szukając odpowiednich słów riposty. Z opresji wybawił ją Armand.

— Daj im spokój. Nie znasz kobiet. Dla nich najważniejsze są stroje i klejnoty.

— No właśnie! Włosy są niejako zwieńczeniem stroju — dodała Antuanette.

— Nie przypuszczałam, iż interesują cię bardziej tematy związane z modą niż polityka? — Juliette zwróciła się do Pierre'a, siląc się na uśmiech.

— Przyznam, że nie bardzo. Zastanowił mnie sposób, w jaki o tym rozprawialiście. Zrozumiałem, że dla was jest to naprawdę istotne. Nieważna jest intencja balu, ważne to, w czym się pokażecie — dodał z lekkim cynizmem

w głosie.

— Zostaw nasze damy w spokoju — odezwał się Paul. — Tylko pozazdrościć, że nie mają innych zmartwień.

— No właśnie! One rozprawiają o kolorze peruk, zapominając o tym jaki jest prawdziwy cel organizowania takich przyjęć— kontynuował Pierre.

— Dobrze wiesz, że muszą wyglądać olśniewająco. Tylko w taki sposób będą mogły przyciągnąć hojnych dobroczyńców — bronił kobiet Armand.

— To oczywiście. Przepraszam, że nie doceniłem powagi dyskusji o kolorze włosów — skwitował Pierre, ciągle utrzymując cyniczny ton.

Juliette i Antuanette spojrzały na siebie. Żadnej z nich nie zależało na wszczynaniu kłótni z tak błahego powodu.

Antuanette bardzo jednak zabołały te słowa. Czyżby aż tak rzucało się w oczy, iż lubi drogie stroje, klejnoty oraz luksusowe życie? Pieniądze, przesyłane przez ojca, na niewiele jej starczały. Suknie balowe i biżuterię kupowała dla niej markiza. W końcu Antuanette była jej chrześnicą i zależało jej, żeby godnie ją reprezentowała. To właśnie pobyt w zamku, obracanie się w gronie arystokracji, uzmysłowił młodej baronównie, jak ważną rolę spełniają pieniądze. Czowała się gorsza od Juliette. Zazdrościła jej niemal wszystkiego. Bogatego, a zarazem przystojnego męża oraz tytułu markizy. Jeśli jej trafiali się bogaci zalotnicy, byli to zazwyczaj podstarzali arystokraci. Natomiast piękni młodzieńcy mieli niewiele do zaoferowania poza urodą.

Właśnie do tej grupy zaliczał się Paul Duvalle. Jego uroda niemal zapierała dech. Wysoki, przystojny szatyn o błękitnych oczach i uroczym uśmiechu. Antuanette dobrze wiedziała, że Paul ją kocha. Gdyby tylko wyraziła zgodę, już dawno byłiby małżeństwem. Jednak ona bała się życia w niedostatku.

W głębi duszy była bardzo nieszczęśliwa. Wiedziała, że inni jej nie rozumieją. Dlatego wolała przywdziać maskę bezdusznej arystokratki niż wrażliwej, zahukanej panny na wydaniu.

Antuanette nie lubiła zwierzać się innym, szczególnie kobietom. Zawsze traktowała je jak rywalki. Właśnie dlatego nie miała prawdziwej przyjaciółki, takiej od serca.

Z Juliette łączyły ją poprawne stosunki, ale tylko koleżeńskie.

Jedynym jej prawdziwym przyjacielem był Paul. Jemu jednemu ufała. Wiedziała, że może powierzyć mu każdą tajemnicę, że on jej nie zdradzi i nie będzie krytykował. Nieraz zastanawiała się nad tym, jaka jest tego przyczyna.

Paula nurtowało to pytanie równie mocno, jak ją. Zastanawiał się, dlaczego woli spotykać się z Antuanette, chociaż związek ten nie miał przyszłości, niż poślubić jakąkolwiek inną szlachciankę. Jedyne, co przychodziło mu do głowy, to karma rodowa. Może rzeczywiście kiedyś, w poprzednim życiu, byli małżeństwem. Wtedy ona cierpiała przez niego i dlatego teraz on jest na każde jej

skinienie. To wyjaśniałoby wiele spraw.

Paul obserwował swoją wybrankę. Nagle, jak ze snu, wyrwał go głos Michaela. Zwracał się on, co prawda, do Pierre'a, ale robił to tak doniosłym głosem, że wszyscy zwrócili się w jego stronę.

— Zamiast krytykować obie damy, powiedz, dlaczego nie ma z nami Elaine? — pytał Michael.

— Odpowiedź jest prosta. Przecież nie należy do łoży — odparł Pierre, nie rozumiejąc, o co przyjaciel ma do niego pretensję.

— Antuanette, z tego co wiem, też nie należy do masonów, a jednak jest tu z nami.

— To czysty przypadek. Nie było cię wtedy, więc nie wiesz, jak do tego doszło.

— Słyszałem wasze opowieści. Nie rozumiem jednak, dlaczego jedna kobieta może brać udział w naszych spotkaniach, a inna nie. Przecież nie spotykamy się w skromnym, zaufanym gronie.

— To nie jest do końca tak! Elaine wie, że spędzam czas z wami. Chciałbym, żeby wszyscy tu obecni wiedzieli, iż każdą wolną chwilę spędzam z rodziną.

— Dobrze wiesz, o co mi chodzi! Trzymasz Elaine w domu jak w więzieniu — kontynuował Michael.

— Chętnie zabrałbym ją ze sobą. Nie chciałbym jednak, aby moja żona niepotrzebnie wybierała się w podróż, szczególnie teraz, gdy jest przy nadziei.

Juliette aż drgnęła, słysząc te słowa. Spojrzała na Armanda. Poczowała na sobie jego wzrok. Dobrze wiedziała, o czym teraz myśli.

Właśnie dzisiaj rano oznajmiła mężowi, iż spodziewa się drugiego dziecka.

Z rozmysłem powiedziała o ciąży dopiero teraz, po przyjeździe do zamku markizy. Obawiała się, że gdy Armand dowie się o tym wcześniej, nie pozwoli jej wybrać się w tak daleką podróż. Nie miała zamiaru zostać sama w Nicei. Uwielbiała te spotkania na wieży. Tu była z przyjaciółmi, w ich gronie czuła, że żyje. Lubiła nawet te niewinne spory z Antuanette. Chociaż często różniły się w poglądach na wiele spraw, jednak zawsze dochodziły do jakiegoś kompromisu.

Armand spojrzał na Juliette w taki sposób, jakby czytał w jej myślach. Zrozumiał, dlaczego dopiero dzisiaj rano zakomunikowała mu o ciąży. To oczywiste! Gdyby dowiedział się o tym kilka dni wcześniej, nie pozwoliłby jej wybrać się w tak daleką podróż.

Juliette spuściła oczy, aby uniknąć przeszywającego spojrzenia Armanda. Jednak jej myśli krążyły wciąż wokół tego, co przed chwilą usłyszała. Wiadomość o ciąży Elaine wstrząsnęła nią. Sądziła, że Pierre jest już jej obojętny, jednak stara rana odnowiła się. Poczowała, jak uchodzi z niej cała radość życia. Nie rozumiała, dlaczego aż tak ją to zabolowało. Nie mogła powstrzymać się od spoglądania na

Pierre'a wzrokiem pełnym wyrzutu. On wyczuł jej spojrzenie. Zapraǳał z nią porozmawiać i wszystko wyjaśnić. Jednak wiedział, że tu, na wieży, nie będzie to możliwe.

* * *

Armand, chociaż prowadził konwersację z Michaelem oraz Paulem, zerkał w stronę żony. Oczywiście, nie uszło jego uwagi, że Juliette spoglądała ukradkiem na Pierre'a.

Kiedy Juliette zauważyła przeszywający wzrok Armanda, na jej twarzy pojawił się wymuszony uśmiech. Nie chciała, by mąż nabrał niepotrzebnych podejrzeń. Przecież ją oraz Pierre'a od dawna nic nie łączyło. Obecne uczucie bardziej przypominało przyjaźń niż miłość. Była pewna, że Pierre czuje to samo do niej. Nie chciała, by Armand widział jej zasmuconą minę. Nie chciała też, żeby jej ból i cierpienie zauważyli inni. A już na pewno nie mąż!

17. Bal dobroczynny

— Jak wyglądam? — spytała Antuanette, wchodząc do saloniku.

— Zachwycająco! — odparła markiza — Ta błękitna peruka robi wrażenie. Jestem pewna, że wzbudisz sensację wśród gości. A na tym nam najbardziej zależy. Prawda?

— Dziękuję za komplement — Antuanette grzecznie dygnęła nóżką.

Markiza wstała i podeszła do niej bliżej. Wzrok jej przykuł skromny rubinowy naszyjnik na szyi dziewczyny.

— Wydaje mi się jednak, moja droga, iż ten naszyjnik nie pasuje kolorystycznie do całości.

— Tak myślałam, matko chrzestna. Jednak nie znalazłam nic odpowiedniejszego.

— Ja bym założyła do tego stroju diamentową kolbę.

— Diamentową kolbę! — powtórzyła Antuanette z niedowierzaniem.

— Uważam, iż diamenty świetnie pasują do białej sukni. Koloru całemu strojowi nadaje twoja błękitna peruka. Czerwień zupełnie tu nie pasuje, nie można mieszać tylu kolorów. Jest modny przepych, ale nie aż taki.

— Jestem pełna podziwu dla wyśmienitego gustu matki chrzestnej.

— Dobrze, skoro już to uzgodniłyśmy, pora, byś udała się na górę i...

— Ja?! — z niedowierzaniem spytała Antuanette.

— Oczywiście! Chyba nie sądzisz, że pozwoliłabym pokojówce dotykać mojej biżuterii.

— Co mam więc uczynić? — niepewnym głosem spytała Antuanette.

— Udaj się, proszę, do moich apartamentów. Otworzysz górną szufladę komódki. Wyjmiesz z niej kluczyk. Słuchaj uważnie. Znajdują się tam trzy kluczyki. Ten, którego powinnaś użyć, jest mosiężny i dość spory w porównaniu z innymi. Otworzysz nim dolną szufladę. Ujrzysz w środku dwie szkatułki. Otworzysz tę ozdobioną kością słoniową. Do jej otwarcia znajdziesz maleńki kluczyk, umieszczony daleko, na dnie szuflady. Weź ten czarny, ozdobiony kwiatowymi ornamentami.

Izabella de Beries zamyśliła się, po czym dodała:

— Najlepiej byłoby, gdybyś przyniosła tę szkatułkę tutaj. Ja osobiście założę ci kolbę.

— Matko chrzestna, czy chodzi o te kolbę, która tak mi się podoba?

— Owszem. To ta, która zwróciła twoją uwagę na ślubie Henrietty i Jeana.

— Naprawdę mogłabym ją dzisiaj założyć? — spytała z niedowierzaniem.

— To bal dobroczynny, musisz wyglądać wyjątkowo ładnie, żeby przykuwać uwagę bogaczy. Zapamiętaj to!

* * *

Antuanette spieszonym krokiem udała się do apartamentów markizy. Bez problemu otworzyła górną szufladę komódki. Wyjęła z niej mosiężny klucz, następnie otworzyła nim trzecią szufladę, tak jak rozkazała markiza. Ostrożnie zajrzała do środka. Dno szuflady było wysłane ciemnobłękitnym suknem. Znajdowały się tu dwie szkatułki. Ta ozdobiona kością słoniową znajdowała się głębiej. Jednak oprócz nich w szufladzie dojrzała maleńkie ozdobne lustreczko. Jedno z tych, które trzymała w dłoni, gdy była wicehrabianką Delacroix.

Oślupiała ze zdziwienia, wyjęła je z szuflady i dokładnie obejrzała. Była pewna, że jest to właśnie to lustro. Małe, okrągłe, wykonane ze srebra, w delikatnej ramce wysadzanej maleńkimi rubinami. Jak znalazło się w posiadaniu markizy?

Pytania kłębiły się w jej głowie. Stała zamyślona, odtwarzając w myślach swoje widzenie na wieży.

W pewnym momencie usłyszała kroki na korytarzu. Jakby wyrwana ze snu ocknęła się. Przypomniała sobie, po co tu przyszła. Trzęsącymi się ze zdenerwowania dłońmi schowała lustro głęboko na dno szuflady.

Cofając rękę, poczuła jakiś opór. Najwyraźniej zahaczyła o coś bransoletką. Szarpnęła i strzępek nici z sukna wyściełającego szufladę przyczepił się do jej dłoni. Nachyliła się i zobaczyła, że spod granatowego sukna wystaje kawałek kartki. Przyjrzała się dokładniej. Domyśliła się, że szuflada ma podwójne dno. Ostrożnie wyjęła kopertę i drżącymi dłońmi otworzyła ją.

Okazało się, że markiza schowała tam swój testament. Antuanette teraz dopiero zrozumiała, dlaczego jej matka chrzestna nie pozwalała nikomu zaglądać do tych szuflad. Ostrożnie wzięła kartkę w dłonie i zaczęła czytać.

Czytała szybko, a litery zlewały się jej przed oczami. Ze zdenerwowania prawie nie rozumiała, co jest tam napisane. Jednakże uwagę jej przykuły następujące zdania:

...Ponieważ mój pierworodny syn Armand odziedziczył cały majątek oraz tytuł markiza po moim zmarłym mężu, a mój młodszy syn, François po ukończeniu studiów otrzyma dwie winnice w okolicach Lyonu ...

Antuanette przeczytała dalej, że i ona jest uwzględniona w testamencie.

Po śmierci swej matki chrzestnej, Izabelli de Beries stałaby się właścicielką pałacu w Lyonie. Jak się okazało, był on własnością matki markizy, a ona otrzymała go w spadku po swojej matce, Alice Larousche. Dalej była wymieniona biżuteria, a wśród niej brylantowa kolia, po którą właśnie teraz przyszła.

Antuanette nie mogła w to uwierzyć. Dłonie jej drżały, a litery zlewały się w jedną całość.

Na dole, obok podpisu Izabelli de Beries, znajdowała się data: 30 marca

1742 roku. Domyśliła się, że to najnowszy testament, skoro sporządzony został zaledwie kilka miesięcy temu.

Cała rozdygotana, drżącymi dłońmi, włożyła kartkę z powrotem do koperty. Następnie schowała ją do szuflady pod warstwę sukna, tak jak leżała uprzednio. Wzięła szkatułkę z biżuterią. Starając się zachować spokój, zeszła na dół, do salonu, gdzie czekała na nią markiza.

* * *

— Spójrz Henrietto, jak wielu mężczyzn podchodzi do stolika Antuanette i markizy de Beries — powiedziała Juliette, z lekką zazdrością w głosie.

— Zauważyłam, ale nie chciałam cię martwić.

— Ciekawa jestem, czy jest to zasługa dziwnego koloru włosów Antuanette, czy może działa osobisty urok pani markizy.

— Może jedno i drugie — odparła Henrietta.

W tym momencie podszedł do nich Armand.

— Moja żona piękna jak zawsze.

— Nie byłabym tego taka pewna.

— Jak to?! — zdziwił się.

— Wydaje mi się, iż tym razem Antuanette zbierze dużo więcej pieniędzy niż my — odparła zasmucona.

Armand spojrzał na nią z niedowierzaniem.

— Naprawdę?! Trudno mi w to uwierzyć. Zawsze to ty wiodłaś prym w zbieraniu datków.

— No właśnie. Pierre tak krytykował tę niebieską perukę, a ja mam wrażenie, że to dzięki tym dziwnym włosom Antuanette mężczyźni tłumnie gromadzą się przy tamtym stoliku.

— Może masz rację, kochanie — Armand, odruchowo spojrzał w tamtą stronę.

— W Paryżu kolorowe włosy nie są już nowością. Tylko u nas, na południu Francji, wzbudzają jeszcze sensację — stwierdziła Juliette.

— Na następnym balu też wystąpisz w takiej peruce.

— Na następnym balu będę miała perukę w kolorze jasnego różu. Nie sądzisz chyba, że założyłabym, jak papuga, to co miała na sobie Antuanette miesiąc wcześniej.

— Patrząc na was, mam wrażenie, iż jedynym waszym zmartwieniem jest to, w co się ubierzecie. Z przykrością zauważam, że zapominacie o intencji tego balu. Chyba jednak Pierre miał trochę racji, krytykując was. Zbieramy pieniądze dla sierot oraz wdów. A wy zastanawiacie się nad tym, która suknia czy peruka jest ładniejsza.

Juliette i Henrieta spojrzały na siebie tak, jakby nagle gryzły je wyrzuty sumienia. Dobrze wiedziały, że Armand ma rację. Obie poczuły się jak próżne, rozpieszczone panniska.

— Życzę dobrej zabawy! — rzekł Armand, oddalając się. — Nie zapomnij, iż następny taniec jest mój — dodał, odwracając się i rzucając żonie uwodzicielskie spojrzenie.

— Słyszałaś, co powiedział? — spytała Juliette, upewniwszy się, że Armand nie usłyszy jej słów.

— Oczywiście!

— Miał dużo racji — przyznała Juliette.

— Wiem o tym. Należymy do grona szczęśliwców, a i tak nie potrafimy tego docenić — z powagą w głosie przyznała Henrietta.

— Bo czym tak naprawdę jest szczęście?

— Niekiedy wydaje mi się, że biedacy potrafią cieszyć się błahostkami, a my nie. Często nie doceniamy tego, co posiadamy.

— Myślisz, iż mamy większe wymagania, jeśli chodzi o poczucie szczęścia? — spytała Juliette.

— Tego nie wiem. Jestem jednak pewna, że ludzie biedni bardziej doceniają to, co posiadają. A poza tym, nie mają zbyt dużych wymagań, może dlatego są szczęśliwi.

— Ciekawa teoria, ale jest w tym sporo racji.

* * *

— Jesteś w końcu! — powiedziała Antuanette, otwierając drzwi. — Myślałam, że już nie przyjdiesz.

— Jakże mógłbym nie przyjść do mojego słoneczka — uśmiechnął się Paul.

Antuanette jednym ruchem chwyciła go za klapę surduta i rozejrzawszy się, czy nie ma nikogo na korytarzu, wciągnęła do swego buduaru.

— Mam ci do zakomunikowania dwie ważne wiadomości. Nie uwierzysz, czego się dzisiaj dowiedziałam!

— Słucham z zapartym tchem — odparł Paul.

— Pamiętasz to moje widzenie w „machinie podświadomości”?

— Masz na myśli to o pięciu zwierciadłach?

— Tak, właśnie to.

— Wyobraź sobie, że jedno z tych lusterek widziałam dzisiaj w komodzie markizy. To okrągłe, wysadzone rubinami.

— To, które powinno przynosić szczęście w miłości. Jakoś w przypadku markizy nie sprawdziło się. Jakim sposobem znalazło się w jej rękach? — dziwił się Paul.

— Przecież ona jest moją krewną! Zapomniałeś o tym? Prawdopodobnie pozostałe cztery lusterka musiały zostać rozdzielone między córki mojej prababki, czyli hrabiny de Larousse, z domu Delacroix.

— Pewnie masz rację. Inaczej nie da się tego wytłumaczyć. Jakim sposobem udało ci się dotrzeć do tego lustra? Mówisz, że był to przypadek.

— Może przypadek, a może nie! — odpowiedziała Antuanette. — Markiza wysłała mnie na górę, do swojej sypialni, żebym przyniosła szkatułkę z klejnotami. Służba podobno nie ma wglądu do tych szuflad.

— Obdarzyła cię dużym zaufaniem — Paul wydawał się mocno zaskoczony.

— No właśnie. Przecież jestem jej chrześnicą.

— Powtarzasz to bez przerwy.

— Bo to bardzo ważne.

— Zamieniam się w słuch — odpowiedział z cynicznym uśmiechem na twarzy.

— Niechący wpadł mi w ręce testament mojej matki chrzestnej. Przepisała mi pałac w Lyonie, biżuterię oraz sporą sumę pieniędzy.

— To ciekawe...

— Nie rozumiem, czemu się tak dziwisz? Markiza de Beries jest dla mnie jak rodzona matka. Obiecała moim rodzicom, że gdyby im się coś stało, zaopiekuje się mną.

— Widzę, że bardzo wzięła to sobie do serca.

— Podobno zawsze chciała mieć córkę. Od dzieciństwa, gdy tu przyjeżdżałam, stroiła mnie w piękne sukieneczki i wiązała kolorowe kokardki we włosach.

— Mówisz, że ten testament przypadkowo wpadł ci w ręce..? — z lekkim niedowierzaniem spytał Paul.

— Oczywiście! Nigdy nie przypuszczałam, że markiza sporządziła taki dokument. Jest przecież jeszcze zupełnie młodą kobietą.

— Czyżby obawiała się śmierci? — Paul zadał pytanie, nie spodziewając się odpowiedzi.

— Może po prostu woli być przygotowana na każdą ewentualność. Podobno jej mąż zginął w bardzo młodym wieku.

Antuanette spojrzała na Paula. Jego błękitne oczy wyrażały zadumę. Widząc jego rozmarzoną minę, dodała:

— Paul! Nie rozumiesz?! Będę bogata!

— Masz tylko jeden problem.

— Jaki?

— Markiza ma się dobrze i nie wybiera się na tamten świat.

Spojrzała na niego z nadąsaną miną.

— Nie sadzę, żeby jej synowie, Armand i François byli zadowoleni z takiego

obrotu sprawy — dodał Paul. — Ale oczywiście, jej wola jest najważniejsza. Musisz się dobrze sprawować, bo jeszcze gotowa się rozmyślić. Może jest już jakaś nowsza wersja testamentu?

— Nie sędzę. Ten, który widziałam, był sporządzony zaledwie dwa miesiące temu.

Antuanette sprawiała jednak wrażenie trochę zmartwionej. Paul, znając ją chyba najlepiej z wszystkich ludzi na ziemi, objął ją ramieniem.

— Czym się tak troskasz, najdroższa?

— Tak się cieszyłam. A teraz, po tym, co od ciebie usłyszałam, zaczęłam się niepokoić. Jeśli naprawdę markiza za jakiś czas zmieni zdanie? Jeśli sporządzi nowy testament? Nie mam pojęcia, czy omawiała to z Armandem. Z François na pewno nie, przecież jest na studiach. A jeśli będzie żyła do osiemdziesiątki?

— To majątek odziedziczysz jako dostojna, stateczna kobieta — roześmiał się Paul.

— Po co mi wtedy będą te pieniądze?! Nie mam zamiaru czekać w nieskończoność! Czy naprawdę nie ma innego sposobu? — mówiąc to, spojrzała na Paula tak, że aż przeszedł go dreszcz.

— Co ci chodzi po głowie? — spytał spoglądając w jej ciemne oczy.

— Nic, co by cię musiało zaniepokoić — skłamała. — Wyobraziłam sobie siebie jako dziedziczkę włości w Lyonie.

Paul spojrzał na nią z niedowierzaniem. Antuanette, widząc jego minę, przytuliła się do niego i rzekła ciepłym głosem:

— Chyba nie sądzisz, że potrafiłabym skrzywdzić moją matkę chrzestną? Która okazuje mi tyle ciepła i miłości?

— Trochę mnie uspokoiłaś — odparł, obejmując ją ramieniem.

— Przyznaję, przeszły mi przez głowę różne myśli, jednak nie jestem potworem — odparła.

— Co za ulga — powiedział Paul, najwyraźniej ucieszony jej słowami.

18. U Elaine i Pierre'a

Dyskusja na wieży dała Paulowi sporo do myślenia.

Postanowił odwiedzić majątek ziemski, w którym zamieszkiwał Pierre z rodziną.

— Jak miło cię widzieć! — z oczu Elaine biła prawdziwa radość.

— Doprawdy? — pocałował jej dłoń, patrząc głęboko w jej szafirowe oczy.

— Uwodzicielski jak zawsze — uśmiechnęła się, skromnie spuszczać wzrok.— Zapominasz, że jestem żoną twojego brata.

— Niestety, ciągle o tym pamiętam — uśmiechnął się.— Właśnie, gdzie jest Pierre? Nie przyszedł mnie przywitać.

— Pojechał do Lyonu. Będzie przed wieczorem, rozumiem, że poczekaś do jego powrotu.

— Skoro sobie tego życzysz. Pewnie dogłąda budowy waszego nowego domu.

— Jak byś zgadł.

— Słyszałem, że to nie dom, lecz pałac.

— Wiem, Pierre pokazywał mi szkice. Zatrudnił jednego z najlepszych włoskich architektów.

— Aż tak mu na tym zależy? — zdziwił się Paul.

— Widocznie tak. Ale skończmy już ten temat. Co słychać u ciebie? Słyszałam, że masz jakąś kandydatkę na żonę.

— Nie jestem tego taki pewien.

— Jak to?

— Ona chyba mierzy dużo wyżej. Może gdybym był hrabią lub chociaż baronem... — ze smutkiem w oczach odparł Paul.

— Szkoda. Nie trać nadziei. Wierzę, że kiedyś się ożenisz i będziesz miał dzieci. Myślę, że byłbyś wspaniałym mężem, tak jak Pierre. W końcu jesteście bliźniakami.

— Może właśnie szukam takiej kobiety jak ty, Elaine.

Spojrzała na niego mocno zdziwiona. Znała go tyle lat. Nie zauważyła, żeby się do niej kiedykolwiek zalecał. Czy rzeczywiście uważa ją za wzorową żonę? A może to tylko pusty komplement? Co mu się nagle stało?

— Żarty się ciebie trzymają — odpowiedziała.

— Dlaczego tak sądzisz? Dlatego, że doceniam twoje zalety oraz nieprzeciętną urodę?

— Dziękuję — skromnie spuściła wzrok.

— Cięża ci służy.

— Skąd o tym wiesz? — z jej twarzy wyczytać można było duże zdziwienie.

— Jak to skąd? Od Pierre'a.

— Pierre opowiada innym o tak osobistych sprawach? — oburzyła się.

— Nie dąsaj się. Wymknęło mu się w rozmowie z Michael'em.

— Z Michael'em?! Więc dlaczego ty o tym wiesz? — spytała jeszcze bardziej zaniepokojona.

— Twój brat zaproponował, żeby Pierre przyjechał z tobą na następne spotkanie do zamku w Ainay-le-Vieil.

— Naprawdę?

— Tak. Jednak Pierre stwierdził, iż w twoim stanie nie powinnaś wybierać się w tak daleką podróż. Gdybyś zobaczyła miny zebranych tam osób.

— A kto tam był oprócz ciebie i Michaela?

Mina Elaine wyrażała oburzenie. Paul, widząc to, starał się kontynuować bardzo spokojnie.

— Był wtedy z nami Armand de Beries, jego żona oraz Antuanette.

— Juliette... — odpowiedziała zamyślona. — Jak ona teraz wygląda? Czy jest nadal taka piękna, jak cztery lata temu? Pamiętasz ten bal w zamku markizy de Beries?

— Oczywiście! Czyżbyś wciąż była o nią zazdrosna?

— Nie wiem? Sądzisz, że nie powinnam? To dlaczego Pierre tak chętnie uczestniczy w tych spotkaniach?

— Uważam, że twoja zazdrość jest bezpodstawna. Zapomniałaś, że jestem tam też ja, a co najważniejsze, jej mąż, Armand de Beries.

— Może masz trochę racji. Ja jednak wiem swoje. On ją nadal kocha. Nie zaprzeczaj! Ja to czuję! Ja to wiem! Wszystko, co robi, robi dla niej. Nawet ten pałac zbudował po to, żeby jej zaimponować!

— Chyba trochę przesadzasz, Elaine.

— Nawet nie wyobrażasz sobie, jak ja się czuję — kontynuowała, zupełnie nie zwracając uwagi na jego słowa.

Paul spojrział na jej twarz i dojrzał w oczach łzy. Podeszedł bliżej. Chciałby ją pocieszyć, ale nie bardzo wiedział jak. Co ma jej powiedzieć? Żadne mądre słowa nie przychodziły mu do głowy. Objął ją w milczeniu i przytulił do siebie. Ona odruchowo, zupełnie bezwiednie, wtuliła się w jego ramiona. Po chwili jednak odsunęła się.

— Wybacz mi tę chwilę słabości. Pierre jest bardzo dobrym mężem. Jednak kiedy wyjeżdża, czuję się bardzo samotna.

— Dobrze, że niedługo przeprowadzicie się do Lyonu. Będiesz w końcu wśród ludzi.

— Z tego co wiem, dom będzie gotowy dopiero na wiosnę przyszłego roku — odparła ze smutkiem.

— Jeszcze lepiej! Zdażysz urodzić i odchowić dziecko, które nosisz

w swoim łonie — odparł uśmiechając się.

— Zadziwia mnie twoje poczucie humoru.

— Wiesz co! Przyszedł mi do głowy pewien pomysł — kontynuował Paul.

Elaine spojrzała na niego z zaciekawieniem. Jego oczy iskrzyły jak dwa ogniki. Uśmiechnął się do niej zawadiacko.

— Co byś powiedziała — odezwał się po chwili — gdybyście w nowo wybudowanym pałacu urządzili przyjęcie. Wśród gości znalazłaby się Juliette wraz z mężem. Na pewno wiesz, że co roku na wiosnę wyjeżdżają do zamku w Ainay-le-Vieil. Stamtąd do Lyonu już bliska droga. Zresztą w Lyonie znajduje się pałacyk markizy de Beries. Na pewno zatem Armand z przyjemnością zaszczydzi was swoją obecnością.

— Tak sądzisz?

— Lepszej okazji nie będzie. Przed chwilą byłaś ciekawa, jak Juliette teraz wygląda? — mówiąc to, spojrzął na jej reakcję.

— Może masz rację.

— Jestem tego pewien.

W tym momencie do salonu wszedł Pierre.

— Witaj, bracie! — zawołał uradowany. — Pokojówka powiedziała mi, że cię tu zastanę.

Paul podszedł do niego. Obaj mężczyźni padli sobie w objęcia.

— Miło cię widzieć — na twarzy Paula zagościł szeroki uśmiech.

— Co cię do nas sprowadza?

— Stęskniłem się za tobą i za twoją piękną żoną.

Elaine, słysząc to, spuściła głowę. Najwyraźniej nie chciała, żeby Pierre zauważył jej zaczerwienionych oczu. Dobrze, że zapada już zmierzch, pomyślała.

— Rozumiem, że zostaniesz do jutra — odezwał się Pierre, zwracając się do brata.

— Jeszcze nie wiem.

— Jak to?! Elaine, nie mówiłaś służbie, żeby przygotowali pokój na noc?

— Nie zdążyłam, Paul niedawno przyjechał.

— Mam ci tyle do opowiedzenia — kontynuował Pierre.

— Na jaki temat?

— Nie domyślasz się! Teraz pochłania mnie całkowicie budowa nowego domu w Lyonie.

— Domu? Słyszałem, że to pałac.

— Może i tak, ale pałac to też dom — roześmiał się Pierre. — To miejsce, do którego zawsze chętnie wracamy.

— Jeśli ma się taką żonę...

Elaine znowu się zarumieniła. Po chwili jednak uniosła głowę i spojrzała na Pierre'a.

— Kochanie, na pewno jesteś zmęczony i głodny. Pozwolisz, że zajrzę do kuchni. Sprawdzę, co z wieczerzą.

— Oczywiście. Sprawdź też, co z sypialnią dla mego brata.

Gdy Elaine opuściła ich towarzystwo, Pierre zwrócił się do Paula.

— Opowiadaj, co u ciebie słychać?

— U mnie? Przecież wiesz... Od naszego poprzedniego spotkania nic się nie zmieniło. Jednak w rozmowie z Elaine przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

— Słucham z zaciekawieniem.

— Myślę, że na wiosnę, gdy twój pałac będzie już gotowy, zapewne wyprawisz w nim przyjęcie.

— Nie myślałem jeszcze o tym.

— Wszyscy tak robią, oczywiście ci, których na to stać. Teraz, kiedy zaczęło wam się tak dobrze powodzić...

— Może masz rację. Bal przywitalny w nowym pałacu...

— Powinieneś zaprosić całą śmietankę towarzyską z Lyonu.

— Sądzisz, że arystokracja chętnie będzie u mnie gościć? Ja nie kupiłem sobie tytułu, a ostatnio wielu tak czyni.

— Nie musiałeś, i tak jesteś bogatszy od nie jednego z nich. Jednak uważam, że dobrym posunięciem będzie zaproszenie Armanda de Beries wraz z małżonką.

— Sądzisz, że Armand zechciałby...? — spytał niepewnie Pierre.

— Jestem tego pewien. Przecież uważa cię za przyjaciela. Gdyby tak nie było, nie gościłbyś regularnie w komnacie na wieży.

— Sądziłem, że to dzięki tobie. Przyjaźnisz się z Armandem od wielu lat, a ja jestem twoim bratem.

— Myślałeś, że to przez kurtuazję. Może na początku tak było, jednak teraz widzę, że Armand lepiej dogaduje się z tobą, niż ze mną.

— Ja też go bardzo lubię.

Pierre na chwilę zamyślił się. Po krótkiej chwili dodał:

— Obecność markiza de Beries z małżonką bardzo podniosłaby mój autorytet wśród mieszkańców Lyonu.

— Jestem tego pewien — odparł Paul.

19. Bal (w pałacu) u Pierre'a

W maju następnego roku Pierre wydał bal w swym nowym pałacyku. Tak jak zaproponował Paul.

Pałacyk mieścił się w dzielnicy, w której znajdowały się domy zamożnych mieszczan oraz pałace arystokratów. Tuż obok stał duży, wytworny dom Michaela. Oba domy graniczyły ze sobą ogrodami. Tak naprawdę Michael odstąpił kawałek swojej posesji, żeby Elaine i Pierre mogli zbudować pałacyk w Lyonie. Chociaż nikomu o tym nie wspominał, bardzo zależało mu, żeby jego ukochana siostra zamieszkała blisko niego.

W tej samej dzielnicy zamieszkiwała Henrietta z mężem Jeanem de Chavannese.

Juliette i Armand pojawili się na balu jako jedni z ostatnich. Zgromadzeni goście podziwiali kroczącą dumnie parę. Tym razem żona markiza de Beries pozostała przy swoich naturalnych włosach. Ciemnoblond loki opadały na jej odkryte ramiona. Długą szyję zdobił szafirowy naszyjnik. Jej błękitnoturkusowa suknia wyszywana koronkami świetnie współgrała z kolorem biżuterii.

— Witaj, Henrietto — Juliette szczerze się ucieszyła na widok siostry.

— W końcu jesteście? Już zwątpiłam w wasze przybycie — odpowiedziała Henrietta.

— Zapomniałaś, że noszę tytuł markiza — pół żartem, pół serio odparł Armand.

— Rozumiem, etykieta — westchnęła.

Juliette spojrzała na Armanda, nie kryjąc zdziwienia. Zasłaniając dyskretnie usta wachlarzem, odezwała się do niego przyciszonym głosem.

— Kochanie, odnoszę wrażenie, że wcale cię nie znam. Chwilami mam wrażenie, że siedzą w tobie dwie różne osoby. Jedna altruistyczna i wrażliwa na ludzką biedę i druga bardzo dbająca o pozory, wprost szczycąca się swym arystokratycznym pochodzeniem.

— Nie pomyślałaś, że to tylko gra. Rozejrzyj się dokoła. Czyż obecne tu osoby nie tego właśnie od nas oczekują?

— Może masz rację.

Armand rozejrzał się po sali pełnej gości. Nie widząc w pobliżu Jeana, spytał.

— Gdzie twój małżonek, Henrietto?

— Poszedł po coś do picia.

Właśnie w tym momencie zjawił się Jean. W dłoniach trzymał dwa kieliszki z czerwonym winem.

— Proszę kochanie — podał Henriecie wielki kielich wina.

— Witaj, jak miło cię widzieć — zagadnął do niego Armand. — Zastanawiałem się nawet, czy cię tu zastanę?

— Dlaczego? Czyżbyś już nie pamiętał, że ja też jestem przyjacielem Pierre'a?

— Wybacz, prawie o tym zapomniałem. Teraz będziecie sąsiadami. Zaczynam być zazdrosny — Armand starał się, żeby zabrzmiało to dość dowcipnie. Henrietta podeszła bliżej siostry i powiedziała półgłosem.

— Pisałaś, że w grudniu urodziłaś córeczkę.

— Tak. Nasza córeczka jest podobna do twojej Charlotty. Ma śliczne blond włoski i błękitne oczka.

— Zauważyłam, że naszej Charlotcie, teraz, kiedy skończyła dwa i pół roczku, trochę włoski ściemniały. Już nie są takie białe jak len.

— Naprawdę? — zdziwiła się Juliette.

— Tak. Staje się coraz bardziej podobna do taty — mówiąc to spojrzała na męża.

Jean stał obok z dumną miną. Widać było, że słowa Henrietty sprawiają mu radość. Nie chcąc jednak wyjść na próżnego i zadufanego w sobie, rzekł.

— Przypomnij mi, Juliette, jak ma na imię twoja córeczka?

— Nasza córeczka nazywa się Isabelle. Imię otrzymała po babci, oczywiście. Mam nadzieję, że będzie taka piękna jak jej imienniczka.

Armand uśmiechnął się. Widać było, że jest bardzo szczęśliwy, słysząc te słowa.

Jean postanowił jednak zmienić temat rozmowy. Najwyraźniej rozprawianie o imionach dziewczynek nie bardzo przypadło mu do gustu. Rozejrzał się wokół, podziwiając przepych, który widać było na każdym kroku.

— Trzeba przyznać, że pałac robi oszałamiające wrażenie.

— Masz rację. Nie przypuszczałem, że interesy Pierre'a idą aż tak pomyślnie — przyznał Armand.

— Słyszałem, że ma już dwie manufaktury tkackie. W każdej z nich zatrudnia około trzydziestu osób. Sprowadza jedwab z Chin. Nic dziwnego, że w jego wyroby zaopatruje się prawie jedna czwarta Francji — oznajmił Jean.

— Naprawdę? — zdziwił się Armand. — Pomyśleć, że dorobił się dzięki rodzicom Elaine. Gdyby nie ona... — urwał w pół zadania, zerkając na minę Juliette.

— Jednak musisz przyznać, że Pierre ma głowę do interesów — kontynuował Jean.

— Muszę się z tobą zgodzić. Uważam, że ciężko zapracował na swój sukces.

W tym momencie do obecnych podszedł François. Jak zwykle nienagannie ubrany. Wysoki ciemny blondyn o niebieskich oczach. Swoim zwyczajem, związał tego dnia długie falowane włosy w kucyk i spiął granatową spinką, która świetnie

komponowała się z ciemnoniebieskim kolorem surduta. Nie lubił nosić peruk. Uważał, że są sztuczne i nie przystoją prawdziwym mężczyznom, nawet na tak wykwintnym przyjęciu.

— Kogo widzimy? — zdziwił się Jean.

— Nie rozumiem twego zdziwienia.

— Zupełnie zapomniałem, że w Lyonie znajduje się rodzinny pałac waszej matki — roześmiał się baron.

— Właśnie zatrzymałem się tu na kilka dni i dlatego nie mogłem odmówić sobie takiej przyjemności. Doszedłem do wniosku, że stanowczo za rzadko bywam w tym mieście. Gdy skończę studia, postanowiłem spędzać tu więcej czasu.

— Byłoby nierozsądnie odmówić takiemu zaproszeniu. Jesteś młody. Korzystaj z życia, póki możesz — z uśmiechem stwierdził Jean.

— Tak mówisz, jakbyś mi zazdrościł.

— Skądże znowu. Może kiedyś interesowały mnie przyjęcia, bale... Ale to się zmieniło. W końcu trzeba wydorosnąć.

— A kiedy wydorosłaś, jeśli można wiedzieć? — spytał François.

— Kiedy poznałem tę oto damę — mówiąc to, wskazał na stojącą obok Henriette.

Dziewczyna zarumieniła się nieco i spuściła skromnie oczy. Czując na sobie wzrok wszystkich, poczuła się trochę nieswojo.

Juliette chwyciła ją lekko za dłoń, jakby chciała dodać jej otuchy. Chciała dać jej do zrozumienia, że jest przy niej i wspiera ją. Po chwili zwróciła się do męża.

— Kochanie, czegoś bym się napiła. Poszukaj może lokaja.

— Na co masz ochotę, najdroższa? Sam ci przyniosę.

— Poproszę o kieliszek czerwonego, półwytrawnego wina — odparła trzepocząc rzęsami.

Armand najwyraźniej lubił te jej uwodzicielskie spojrzenia. Uśmiechnął się i rzekł ciepłym głosem.

— Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

Za chwilę oddalił się.

— Poczekaj! — zawołał do niego Jean. — Pójdę z tobą.

Obaj panowie udali się w stronę sali stołowej. Nie minęła chyba minuta, jak François skłonił się damom, mówiąc.

— Wybaczcie panie, na chwilę opuszczę wasze towarzystwo.

Następnie dogonił obu mężczyzn. Armand i Jean trochę się zdziwili, jednak żaden z nich tego nie skomentował.

* * *

— Kto by przypuszczał, że Pierre'a będzie stać na taki pałac? — odezwała się Henrietta, gdy zostały same.

— Chcesz mnie zdenerwować — odparła Juliette.

— Czym? — Henrietta udała zdziwioną.

— Dobrze wiesz.

— Pomyśleć, że pięć lat temu Pierre był przeciętnym szlachcicem, a teraz... Może gdybyś wyszła za niego za mąż, już byłabyś bogata?

— Niejednokrotnie też zadaję sobie to pytanie. Jednak ja i Pierre to już przeszłość. Jeśli coś do niego czuję, to jest to zupełnie inny rodzaj miłości.

— Cokolwiek byś mówiła, jestem pewna, że Pierre nadal cię kocha. Pomyśl, to wszystko mogłoby być twoje.

— Chyba nie słuchałaś uważnie, o czym przed chwilą rozmawiali nasi panowie. Manufakturę włókienniczą wniosła w posagu Elaine — odparła Juliette, mierząc siostrę krytycznym wzrokiem.

Jednak słowa Henrietty dały jej dużo do myślenia. To prawda, że Pierre wzbogacił się dzięki ślubowi z Elaine. Jednak ona też wniosłaby w wianie okazały majątek. Henrietta miała rację. Gdyby jakimś zrządzeniem losu została żoną Pierre'a, teraz mieszkałaby już w pałacu. Do oczu, mimo woli, zaczęły napływać jej łzy. Nie chciała, by ktokolwiek z obecnych to zauważył, nawet Henrietta. Zmusiła się, żeby na jej twarzy pojawił się uśmiech. Jej mokre oczy lśniły blaskiem miliona światła. Zasłoniła twarz wachlarzem, starając się zachować jak największy spokój.

— Armand też świetnie sobie radzi w interesach — oznajmiła. — Posiadamy winnice, gaje oliwne oraz olbrzymie połacie ziemi, miasteczka i wsie z ich całym inwentarzem.

— Zapomniałaś dodać, że nosisz tytuł markizy. Wszyscy cię poważają — oznajmiła Henrietta. — Tego Pierre by ci nie zapewnił.

Na twarzy Juliette pojawił się cyniczny uśmiech.

— Jestem pewna, że Pierre mógłby kupić sobie tytuł arystokraty, gdyby tylko chciał.

— Barona, najwyżej hrabiego — oznajmiła Henrietta.

— Czy naprawdę uważasz, że zależy mi na tytule markizy?! Sądziłam, że przez tyle lat poznałaś mnie trochę lepiej — odpowiedziała, poruszona słowami siostry.

Wydawało się jej, że kto jak kto, ale Henrietta powinna znać ją na wylot. Czyżby się myliła? Zapomniała, że kilka lat temu chciała rzucić wszystko i wyjść za Pierre'a?

— Dobrze wiesz, że ani ja, ani Armand nie dbamy o tytuły — dodała po chwili.

— Wybacz Juliette, nie chciałam cię urazić.

— Już dobrze, nie gniewam się. Dla mnie do końca życia pozostaniesz nie tylko siostrą, ale przede wszystkim, oddaną przyjaciółką i powierniczką.

Henrietta najwyraźniej wzruszyła się, słysząc te słowa.

— Jak myślisz, czy Armand domyśla się, iż ciebie i Pierre'a łączyło kiedyś wielkie uczucie.

— Nie mam pojęcia. Często sama zadaję sobie to pytanie. Sądziłam, że już zakończyliśmy ten temat.

— Przepraszam. Jednak powiedz z ręką na sercu, czy jesteś pewna, że nie czujesz już nic do Pierre'a?

Juliette zamyśliła się. Patrząc przed siebie, robiła wrażenie nieobecnej. Widać było, że myślami jest gdzieś daleko.

— Czy ja wiem? — odparła. — Na pewno nie jest to takie szalenie uczucie, jak kiedyś. Teraz łączy nas bardziej przyjaźń niż miłość.

— Chcesz powiedzieć, że to było tylko zauroczenie?

— Może tak, a może nie. Teraz po latach chyba zrozumiałam, że moją prawdziwą miłością jest Armand. Pierre'a traktuję raczej jak bratnią duszę. Czy opowiadałam ci, co widziałam w „machinie podświadomości”?

— Oczywiście, to było fascynujące. Sama chętnie poddałabym się jej działaniu. Szkoda, że Armand tak szybko ją zwrócił.

— Przecież wiesz, że nie mógł przetrzymać tego urzędowania zbyt długo. Nie wykluczone jednak, że przywiezie je jeszcze raz.

— Zawiadam mnie o tym. Umieram z ciekawości, kim byłam w poprzednim wcieleniu i kogo z obecnych znajomych tam spotkałam.

— Na to, że spotkałaś Jeana, jest mała szansa.

— Dlaczego tak przypuszczasz?

— Stanowicie zbyt udaną parę. Podobno związki karmiczne to zazwyczaj bardzo trudne relacje.

— Sądziłam, że ty i Armand stanowicie świetnie dobraną parę.

— Może dla obserwatora z zewnątrz tak to wygląda, jednak tylko my oboje wiemy, jak dużo wysiłku to nas kosztuje. Nie ukrywam, że duża w tym zasługa mego męża.

Henrietta spojrzała na siostrę z niedowierzaniem.

— Nie patrz tak na mnie, wiem, co mówię. Znasz mnie przecież. Ja najpierw coś powiem, a potem pomyślę. Często później żałuję swych słów. Jednak czasu nie da się cofnąć.

— Zawsze ci mówiłam, żebyś policzyła w myślach do dziesięciu, to takie sytuacje nie będą miały miejsca.

— Gdybym tylko tak potrafiła... — zamyśliła się Juliette.

— Spróbuj! Czy ja kiedyś powiedziałam coś, czego potem żałowałam?

— Podziwiam cię. Nie potrafię być opanowana i zrównoważona tak jak

ty. Nie potrafię ukrywać swych emocji. Zbyt szybko wpadam w gniew. Jedyne, co w tym jest dobre, to że równie szybko wszystko ze mnie uchodzi.

— I tego ci właśnie zazdroszczę! Nie dusisz w sobie zadawnionych urazów. Ja tłumię w sobie emocje. Potem wieczorem, przed snem godzinami wszystko analizuję. Słyszałam, że to niedobrze.

— Czy ja wiem? Ja i tak wolałabym mieć taki charakter, jak ty — odparła Juliette.

— O czym tak rozprawiacie? — nagle z boku usłyszały głos Jeana.

Odwróciły się prawie jednocześnie. Zauważyły, że wraz z mężem Henrietty wrócił Armand. Obaj panowie trzymali w dłoniach kieliszki z winem.

— Już wróciliście? — zdziwiła się Juliette.

— Czy za krótko nas nie było? Mamy jeszcze pokrążyć po sali, żebyście mogły swobodnie dokończyć rozmowę? — zażartował Armand.

— Nie, oczywiście, że nie.

— Proszę kochanie, oto twoje czerwone wino — podał żonie kieliszek.

— A dla ciebie szampan — Jean zwrócił się do Henrietty, podając jej wysoki kieliszek z chłodnym, musującym napojem.

— Dziękuję — odpowiedziała.

* * *

— Pozwól Elaine, że przedstawię ci twoją przyszłą szwagierkę — powiedział Paul,

wskazując na towarzyszącą mu Antuanette

Młoda kobieta uśmiechnęła się życzliwie, natomiast na twarzy baronówny pojawił się lekki grymas. Nastąpiła chwila milczenia. Pierre i Paul spojrzeli na siebie, spodziewając się najgorszego. Obydwaj dobrze znali Antuanette. Wiedzieli, że jeśli robi taką minę, nie wróży to niczego dobrego. Na szczęście tym razem panna potrafiła się pohamować. Z przyklejonym sztucznym uśmiechem. rzekła.

— Miło mi poznać żonę Pierre'a. Kobieta, o której słyszałam tyle dobrego.

— Naprawdę? — Elaine robiła wrażenie szczerze zaskoczonej i zadowolonej zarazem.

— Michael chwala cię pod niebiosa.

Michael, pomyślała Elaine, to wiadome. Dla niego jestem przecież ideałem kobiety. Szkoda, że Pierre nie zauważa moich zalet.

— Dlaczego jesteś taka smutna, kochanie? — spytał Pierre, widząc, iż słowa Antuanette, nie wiedząc czemu, zepsuły humor żonie.

— Wybacz, ale rozboleła mnie głowa.

— Może przyniosę ci coś orzeźwiającego do picia. Usiądź, proszę, i odpocznij.

Mówiąc to, podprowadził ją do stojącej nieopodal kanapy.

— Odpocznij tu, zaraz wrócę.

Elaine posłusznie wykonała polecenie męża. Siedząc samotnie, obserwowała gości przybyłych do jej pałacu.

* * *

— Ten taniec obiecałaś mnie, pamiętasz, kochanie? — rzekł Paul do towarzyszącej mu Antuanette.

— Chodźmy zatem, nie traćmy czasu — powiedziała, podając mu dłoń.

Po krótkiej chwili Pierre wrócił do kanapy, na której siedziała jego żona.

— Jak się czujesz, kochanie? — spytał troskliwie, podając jej bezalkoholowy poncz.

— Już trochę lepiej.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, obserwując tańczących gości.

— Pozwolisz, kochanie, że teraz sobie przyniosę coś do picia? — spytał po kilku minutach.

— Skoro musisz... — odpowiedziała niezbyt zadowolona.

Pozostawiona sama na kanapie, poczuła lekkie podirytowanie. To prawda, wyglądała bardzo wytwornie w kremowej sukni z wydatnym dekoltem, ozdobionym koronkowymi falbankami. Obcisły gorset podkreślał jej szczupłą talię. We włosach miała wpięte drobne jedwabne różyczki w kolorze sukni.

Wachlowała odkryte ramiona. Może odczuwała ciepły powiew wiosennego powietrza, a może w sali pełnej gości czuła się trochę nieswojo. Większość z osób ledwo znała. Niektórych widziała po raz pierwszy w życiu. Rozglądała się nerwowo po sali, wypatrując powrotu męża.

— Madame, odpoczywasz czy czekasz na kogoś? — usłyszała obok siebie kobiecy głos.

Odwróciła się. Ujrzała stojącą przed sobą Juliette de Beries.

Młoda markiza wyglądała bardzo wytwornie. Tego dnia ubrana była w błękitnoturkusową suknię, której dół ozdobiony został diamentowym pyłkiem. Jej szyję ozdobił szafirowy naszyjnik. Długie włosy, zakręcone w grube loki, sięgały ramion. Wystawały spod nich szafirowe kolczyki, stanowiące komplet z wytwornym naszyjnikiem.

Elaine uniosła lekko głowę do góry. Zmierzyła Juliette od stóp do głów, tak jak rywalka spogląda na rywalkę.

Nic dziwnego, że Pierre do niej wzdycha, pomyślała. Nie chciała, by młoda markiza widziała jej niezadowoloną minę. Uśmiechnęła się i odpowiedziała na zadane pytanie.

— Czekam na swego męża.

— Pozwolisz, że usiądę obok?

— Oczywiście. — Elaine przesunęła się trochę, aby jej rozmówczyni mogła zająć miejsce na kanapie obok niej.

— Cieszę się, że tu jestem — oznajmiła Juliette. — Zawsze chciałam bliżej poznać żonę mego przyjaciela.

Elaine nie odpowiedziała. Przez chwilę siedziały w milczeniu.

Jak się można było domyślić, Juliette specjalnie zajęła miejsce obok niej. Sądziła, że nawiązą spontaniczną rozmowę. Wyglądało na to, że się pomyliła. Żona Pierre'a wydała się bardzo spięta. Jednak Juliette to nie zniechęciło.

— Wyborne przyjęcie — odezwała się po chwili milczenia.

— Dziękuję — odpowiedziała Elaine.

Zwróciła wzrok w stronę Juliette i przez chwilę przyglądała się jej tak, jakby analizowała każdy szczegół jej stroju.

— Jak jaśnie pani znajduje nasz pałac? — spytała.

— Jaśnie pani? — zdziwiła się Juliette. — Nie zwracaj się do mnie w ten sposób. Sądziłam, że możemy mówić sobie po imieniu.

Elaine spojrzała na nią z zażenowaniem.

— Zwracaj się do mnie Juliette — odpowiedziała młoda markiza, widząc jej speszoną minę.

— Dobrze, postaram się — odpowiedziała skromnie Elaine.

— Muszę przyznać, że pałac robi oszałamiające wrażenie. Widzę, że Pierre zadbał o każdy szczegół. Czuję tu jednak kobiecą dłoń.

— To prawda. Pierre zdał się na mój gust, jeśli chodzi o kolory zasłon, obicia mebli...

— Tak przypuszczałam. Masz świetny gust, Elaine.

— Dziękuję.

— Na pewno cieszysz się, że znowu zamieszkaś w mieście?

— Ależ tak! Oczywiście! Bardzo się cieszę. Teraz częściej będę mogła widywać się z Michaelem oraz z rodzicami. Przecież Lyon to moje rodzinne miasto.

— Zupełnie zapomniałam. W takim razie jak wytrzymałaś tak długo w małym dworku na wsi?

Elaine spojrzała ze zdziwieniem na swoją rozmówczynię. Jak to?! To oczywiste, zrobiła to z miłości do Pierre'a.

Juliette, spojrzawszy w jej oczy, zrozumiała, jak bardzo ta kobieta musi kochać swego męża.

Oczami wyobraźni wróciła do młodzieńczych lat, gdy szaleńczo kochała Pierre'a. Nawet jej wtedy przez myśl nie przeszło, iż mogłaby zamieszkać w jego skromnym dworku, z dala od miasta.

— Wiesz Elaine, jesteś nietuzinkową kobietą. Mam nadzieję, że Pierre

to docenia.

— Naprawdę?

— Mówię to najzupełniej szczerze. Jesteś piękna, inteligentna i oddana mężowi. Każdy mężczyzna chciałby mieć taką żonę.

Elaine zaczerwieniła się, słysząc tyle komplementów pod swoim adresem. Juliette, jakby nie zauważając jej speszenia, kontynuowała:

— Masz świetną figurę. Po tylu porodach! Jak to zrobiłaś?

— Dziwi się jaśnie pani, a sama wygląda olśniewająco.

— Dziękuję. Słyszałam jednak, że kobiety tracą figurę po trzecim dziecku.

— To jakiś niczym nieuzasadniony mit. Po prostu zachowuję umiar w jedzeniu, to wszystko — odparła z lekkim uśmiechem.

— To zupełnie tak jak ja — odparła Juliette.— Od dziecka byłam niejadkiem i teraz cieszę się z tego. Jednak ty masz już trójkę dzieci?

— Tak, pani marki... — przerwała, czując przenikliwy wzrok Juliette. — Jednak dwaj najmłodszy chłopcy, Alain i Pierre, to bliźniacy, więc w ciąży byłam tylko dwa razy.

Juliette uśmiechnęła się, słysząc, jak Elaine chciała ją nazwać markizą. Ale jak gdyby nigdy nic mówiła dalej:

— Pierre, sądzę, jest bardzo dumny ze swych synów.

— Myślę, że tak.

Elaine z większą śmiałością spojrzała w kierunku młodej markizy. Wydawało się, że kobiety dobrze się dogadują. Obie siedziały uśmiechnięte, zajęte beztrudną rozmową.

— Wiesz Elaine, zawsze chciałam cię bliżej poznać.

— Doprawdy?

— Czy sądzisz, iż mogłybyśmy się zaprzyjaźnić? — Juliette starała się, aby ton jej wypowiedzi brzmiał bardzo szczerze.

Jednak kobieta spojrzała na nią nieufnie. Widać było, że jest mocno zszokowana tym, co usłyszała. Już chciała coś powiedzieć, jednak słowa utknęły jej w gardle. Myśli galopowały w jej głowie, jak oszalałe. Ta piękna i wytworna arystokratka chce się z nią zaprzyjaźnić!? To chyba niemożliwe!? Targały nią mieszane uczucia. Z jednej strony wiedziała, iż bycie przyjaciółką młodej markizy podniosłoby jej prestiż w towarzystwie. Z drugiej strony, nie ufała w jej szczerą intencję. Z niezręcznej sytuacji wybawił ją zbliżający się w ich stronę Armand.

— W końcu znalazłem cię, kochanie — robił wrażenie naprawdę uradowanego.

Oczy obu kobiet zwróciły się w jego kierunku.

— W jakże pięknym towarzystwie cię znajduję.

Elaine, chociaż trochę zmieszana, odetchnęła z ulgą. W końcu nie była sam na sam z Juliette.

— Jesteś pani jedną z najpiękniejszych kobiet na tym balu. Słyszałem o twojej urodzie, jednak nie przypuszczałem, że jest aż tak porażająca — mówiąc to, zatopił wzrok w błękitnych oczach Elaine.

Twarz dziewczyny pokrył lekki rumieniec. Nietrudno się było domyślić się, że słowa Armanda sprawiły jej wielką przyjemność. Zaczęła uwodzicielsko trzepotać rzęsami, a na jej twarzy pojawił się lekki uśmiech.

— Dziękuję za komplement. Miło mi, że jaśnie pan zaszczyił nas swoją obecnością.

— Nie mógłbym odmówić przyjacielowi — odparł Armand.

— Jak się pan markiz bawi?

— Wyśmienicie! Na pewno inni goście to potwierdzą. Wytworna muzyka, wyborne jedzenie — odparł, stanąwszy obok kanapy, na której siedziały obie panie. Jednakże zamiast wybrać miejsce blisko żony, ku zaskoczeniu obu dam stanął obok Elaine.

— Ja i Pierre staraliśmy się, żeby wszystko było, jak należy. Szczególnie Pierre zadbał o każdy szczegół. Często bywa na przyjęciach oraz balach, dlatego lepiej się w tym orientuje.

— Mam nadzieję, że teraz, gdy zamieszkaliście państwo w Lyonie, ty pani też staniesz się bywalczynią salonów.

— Oby jasnie pan miał rację — skromnie odpowiedziała Elaine.

Po chwili namysłu dodała:

— Jak znajduje pan markiz nasz nowy pałacyk?

— Widać tu rękę wprawnego architekta. Jestem pod dużym wrażeniem — odpowiadał Armand, nie odrywając wzroku od Elaine.

Juliette obserwowała z boku swojego męża. Prawdę mówiąc, takiego uwodzicielskiego i prawiącego komplementy widziała go po raz pierwszy. Czyżby nie знаła go zbyt dobrze? Nie uważała go za bawidamka.

Przyglądała mu się uważnie. Zadawała sobie w duchu pytanie, czy szczerze zachwyca się urodą Elaine. Może to tylko kurtuazja? Może chce wzbudzić w niej zazdrość?

Cokolwiek jednak by to było, czuła się poniżona. Jak Armand mógł zachwycać się inną kobietą, i to jeszcze w jej obecności? Gdzie jego nienaganne maniery?

Czyżby aż tak Elaine oczarowała go urodą? Może jest ładna, ale czy aż tak?

W tym momencie cała trójka usłyszała tuż obok siebie znajomy głos.

— Czy mogę się przyłączyć?

Był to Michael. Pojawił się obok nich zupełnie niespodziewanie. Armand na jego widok uśmiechnął się.

— Oczywiście, przyjacielu.

— Widzę, że poznałeś bliżej moją siostrę.

— Dostałem tego zaszczytu. Nie przypuszczałem, że żona Pierre'a jest taka piękna.

— Zawsze to powtarzam. Gdyby jeszcze Pierre umiał to docenić...

— Nie wierzę, że tego nie dostrzega.

Michael odburknął coś pod nosem. Po chwili spytał:

— Jeśli nie jest to tajemnicą, chciałbym wiedzieć, o czym tak rozprawialiście?

Nastąpiła chwila konsternacji. Cała trójka, czyli Juliette, Elaine i Armand spojrzeli po sobie, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

— Czy powiedziałem coś niestosownego? — spytał Michael zdziwiony.

— Ależ skąd! Zachwycąłem się tym pałacem i jego panią domu — odparł Armand z uśmiechem.

— Ja chyba najbardziej cieszę się z tej przeprowadzki.

— Doprawdy?!

— Oczywiście! Teraz moja ukochana siostra będzie mieszkać praktycznie tuż obok mnie.

— Rzeczywiście. Wasze posesje graniczą ze sobą.

— Będziemy, a właściwie już jesteśmy sąsiadami — roześmiał się Michael.

— O czym tak miło rozprawiacie? — spytał Pierre, podchodząc do rozbawionego towarzystwa.

Wszyscy odwrócili się w jego kierunku. Pierre stał, trzymając w dłoniach filiżankę z ciepłą czekoladą. Można się było tego domyślić po parze unoszącej się nad jej powierzchnią.

— Gdzie się tak długo podziewałeś? — spytała Elaine.

— Byłem aż w kuchni. Poprosiłem, żeby przygotowano dla ciebie gorącą czekoladę. Pomyślałem, że dobrze ci zrobi ciepły napój.

— Dziękuję — odparła Elaine, odbierając od męża porcelanowy spodeczek, na którym stała mała filiżanka.

— Witam piękne panie!

Wszyscy odruchowo spojrzeli w stronę, skąd dochodził głos. Obok stał Paul. Jak zwykle tryskający radością.

— Uwodzicielski, jak zawsze — odpowiedziała Juliette.

— Gdzie zgubiłeś Antuanette? — dodał Armand.

— Czyżbyś zapomniał przyjacielu, że jesteśmy na balu? Właśnie tańczy z jakimś bliżej nieznanym mi jegomościem.

Juliette spojrzała na radosną twarz Paula. On uśmiechnął się do niej i rzekł:

— Zapomniałaś, madame, ten taniec masz zarezerwowany dla mnie.

Juliette zmieszała się trochę. Najwyraźniej zapomniała o kolejności tańców zapisanych w karneciku. Zachodziła w głowę, jak się to mogło stać! Do tej pory nigdy jej się to nie zdarzyło.

— Proszę sprawdzić, jeśli mi nie wierzysz, pani — nalegał Paul.

Natychmiast oprzytomniała. Wyjęła z maleńkiej szyfonowej torebeczki drobny notesik i zaczęła wodzić oczami po zapisanych kartkach.

— Tak, rzeczywiście, to szósty taniec. Dziękuję Paul, że pamiętałeś.

— Jak mógłbym zapomnieć — odparł podając jej dłoń.

— Mam nadzieję, że czas spędzony z tobą poprawi mi humor.

— A któż ci go tak popsuł? — spytał zdziwiony.

— Wolałabym to przemilczeć.

Młodzieniec spojrział na nią. Rzeczywiście robiła wrażenie osoby zatroskanej. Zaniepokoiło go to trochę. Lubił towarzystwo Juliette i pragnął, żeby ona przy nim też się dobrze czuła.

— Widzę, że to coś poważnego — rzekł z troską w głosie.

— Nie aż tak. Po kilku tańcach wróci mi dobry nastrój. Jestem tego pewna.

— Szkoda tylko, że dla mnie zarezerwowałaś tylko jeden taniec.

— Może mogłabym to zmienić? — spojrzała na niego zalotnie.

— Doprawdy? Byłbym bardzo wdzięczny.

— Z tego co pamiętam, następne dwa tańce mam wolne.

— Zawsze podziwiałem twój intelekt, Juliette.

— Nie mówmy już tyle. Tańczmy!

* * *

Było już dobrze po północy. Juliette siedziała w powiewnym peniuarze przed trójdzielnym lustrem, szykując się do snu. Właśnie szcztokowała swoje długie włosy, opadające na ramiona, gdy drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Armand. Podszedł do żony, oparł dłonie na jej ramionach, nachylił się i pocałował ją czule w policzek. Juliette siedziała nieruchomo z kamienną twarzą.

— Co ci jest, kochanie? Jesteś na mnie zła? — spytał.

— Dziwisz się? Jak mogłeś mi to zrobić?

— O co ci chodzi?

— Nie udawaj, że nie wiesz! — zaczęła pełnym oburzenia głosem. — Jak mogłeś obsypywać komplementami obcą kobietę w mojej obecności?

— Wolałabyś, żebym prawil jej komplementy, gdy ciebie nie ma w pobliżu?

Juliette spojrziała na niego takim wzrokiem, że zrozumiał swój błąd. Chcąc załagodzić napiętą atmosferę, nachylił się i szepnął jej czule do ucha.

— Kochanie, wybacz proszę, jeśli cię uraziłem.

— Myślisz, że po prostu przyjdiesz tu, przeprosisz mnie i wszystko wróci do normy?

Jednym ruchem odtrąciła jego ramię. Wstała i zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. Armand dobrze znał to spojrzenie. Wiedział, że Juliette z trudem tłumi

w sobie złość i że on musi sobie z tym poradzić. Nie była to przecież pierwsza ich kłótnia, od czasu kiedy zostali małżeństwem. Kochał ją jednak z wszystkimi zaletami oraz wadami. Podszedł więc bliżej i objął żonę ramieniem.

— Wybacz, proszę, nie przypuszczałem, że będziesz aż tak to przeżywać. Jednak zastanów się, kochanie, jaki mężczyzna nie spojrzy czasami na inną kobietę.

Juliette prawie go nie słuchała. Wtuliła głowę w jego ramiona, ledwo powstrzymując łzy.

— Naprawdę ona ci się tak podoba? — spytała.

— Jesteś zazdrosna? — spojrzał zdziwiony, a zarazem zadowolony z tego, co usłyszał.

— Mówiłeś do niej tak, jakbyś ujrzał jakieś bóstwo. Oczy ci się iskrzyły. Co gorsza, ona najwyraźniej uwodziła cię wzrokiem. Flirtowaliście pod moim bokiem!

— Aż tak nas obserwowałaś?

— Nie musiałam! Przecież siedziałam tuż obok. Zapomniałeś!?

— Zgoda, trochę przesadziłem. Chciałem, żebyś poczuła to samo co ja.

— O co ci chodzi? O czym ty mówisz?

— Nie wiesz?

— Nie bardzo.

— Myślisz, że nie wiem, co łączy ciebie i Pierre'a?

Wzrok Juliette wyrażał szczere zdziwienie.

— Przecież mnie i Pierre'a nic nie łączy — odpowiedziała.

— Teraz może nie, ale kilka lat temu?

— Skąd o tym wiesz? Od kogo?

— Musiałbym być głupi albo ślepy, żeby nie widzieć waszych rozmarzonych spojrzeń.

— Naprawdę?! Nie zdawałam sobie z tego sprawy.

— Niestety, miłość na ogół nie idzie w parze z rozumem.

Juliette uśmiechnęła się sama do siebie, jakby przypomniała sobie coś miłego. Po chwili spojrzała na Armanda i powiedziała spokojnym głosem.

— Ale przecież Pierre jest dla mnie jak brat.

— Może teraz...

Juliette spojrzała na niego z niedowierzaniem. Czyżby o wszystkim wiedział?

— Myślisz, że dlaczego wstąpiłaś do naszego bractwa, i to jeszcze w tak młodym wieku...?

— Nie rozumiem.

— Znasz zasady moralne masonów. Nasi bracia bardzo ich przestrzegają, inaczej zostaliby wykluczeni. Z tego, co wiem, Pierre bardzo poważnie traktuje przynależność do loży masońskiej.

— Chcesz mi dać do zrozumienia, że zostałam członkiem bractwa, żeby zapewnić spokój twej duszy. To miało dać ci pewność, że cię nie zdradzę.

— Przynajmniej nie z Pierre'em.

— Jesteś okropny! Nienawidzę cię!

Wyrwała się z jego objęć i chciała odejść. Jednak Armand nie pozwolił jej na to. Chwyił ją mocno za dłoń i spoglądając prosto w oczy rzekł.

— Nie przyszło ci do głowy, że zrobiłem to z miłości do ciebie?

— Doprawdy? — odparła z lekkim zakłopotaniem.

— Jesteś o mnie zazdrosna, więc jednak mnie trochę kochasz.

— Gdybym cię nie kochała, nie zostałabym twoją żoną.

Armand przytulił ją mocniej.

— Chciałem wzbudzić twoją zazdrość. Dobrze wiesz, że urodą podbijasz serca wszystkich moich znajomych, i nie tylko. Nie udawaj, że tego nie zauważasz.

Wtulona w jego ramiona, uniosła lekko głowę do góry i powiedziała z dziecięcą naiwnością.

— Naprawdę?

— Dobrze wiesz, że działasz na mężczyzn, jak magnes. Nie udawaj, że tego nie dostrzegasz.

Juliette trochę się uspokoiła. Jej głowa nadal spoczywała w objęciach męża. Czowała, jak Armand całuje ją po opadających na ramiona włosach.

— Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Kocham cię, Juliette — szeptał.

Nie miała już siły się bronić, a może wcale nie chciała. Uniosła głowę. Wtedy ich usta spotkały się. Połączył ich długi, namiętny pocałunek.

— Nie rób mi tego więcej — poprosiła.

— Co masz na myśli? — spytał.

— Dobrze wiesz.

— Ciągle jeszcze wracasz do Elaine? Aż tak cię to zabolalo?

— Trochę.

— Wybacz, kochanie. Wiesz, że jesteś jedyną moją miłością — oznajmił, głęboko patrząc w jej granatowe oczy. — Proszę, nie rób już więcej scen zazdrości. Chyba na to nie zasłużyłem — dodał z lekkim uśmiechem.

— Tobie się tylko tak wydaje — odparła.

— Proszę, nie zaczynaj od nowa. Pragnę cię, słyszysz... — szeptał, obsypując ją pocałunkami.

Nic nie odpowiedziała. Stała wtulona w jego ramiona. Armand wziął ją na ręce i zaczął iść w stronę łóżka. Juliette objęła go za szyję. Słyszała niemal bicie jego serca. Gdy położył ją na szerokim łóżu, ich usta połączył znowu namiętny, długi pocałunek. Zdawało się, że cały świat wokół przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie. Liczyli się tylko oni i ich miłość.

20. W sypialni Antuanette

Paul rozejrzał się po ciemnym korytarzu. Upewniwszy się, że nikt go nie widzi, wśliznął się do jednego z pokoiów.

— W końcu przyszedłeś — z wyraźną ulgą powiedziała Antuanette. — Już myślałam, że coś ci się stało.

— Moja księżniczka martwiła się o mnie.

— Żartujesz sobie ze mnie.

— Dobrze wiem, że marzysz o byciu księżną.

— Jak każda dziewczynka.

— Jesteś pewna, że wyrosłaś już z tych marzeń, bo ja nie byłbym tego taki pewien?

— Co sugerujesz? — spojrzała na niego zdziwiona.

— Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

Antuanette wzruszyła ramionami. Spojrzała na Paula z nadąsaną miną. On zauważył, że chyba przeholował. Podszedł do niej, usiadł na brzegu szerokiego łóżka i objął ją ramieniem. Przytuliła się do niego, jakby na to właśnie czekała.

— Już dobrze — powiedział czułym głosem.

— Tak — odpowiedziała, kiwając głową.

Paul nachylił się i pocałował ją czule w policzek.

— Słyszałem, że bierzesz lekcje kaligrafii. Czyżbyś w klasztornej szkole nie przykładała się zbyt do tego przedmiotu? — spytał z niedowierzaniem.

— Jak byś zgadł! — odparła poważnym tonem. — François studiuje literaturę, dlatego poprosiłam go, żeby udzielił mi kilku dodatkowych lekcji.

— Jakoś trudno mi uwierzyć, że pragniesz doskonalić swoje umiejętności tak dla samej siebie, zupełnie bezinteresownie.

— Tak dobrze mnie znasz? — zdziwiła się.

— Wydaje mi, że lepiej, niż sądzisz.

— Nie byłabym tego taka pewna. Mam wrażenie, że uważasz mnie za materialistkę. Chwilami wydaje mi się, że widzisz we mnie więcej wad niż zalet. Niekiedy zadaję sobie pytanie, czy mnie naprawdę kochasz? W ogóle, dlaczego jeszcze się spotykamy?

— Dobre pytanie. Nawet nie wiesz, ile razy zadawałem je sobie w myślach.

— I do jakich wniosków doszedłeś? — spytała z przekąsem.

Paul zrobił poważną minę, a po chwili dodał:

— Antuanette! Dobrze wiesz, że zawładnęłaś moim sercem. Wprost nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Jednak ciągle nie mogę się przyzwyczaić do twojego władczygo sposobu bycia. Czuję się, jakbym był małym pionkiem w twojej grze. Ja już mam tego dosyć! Chcę wiedzieć, jak jest naprawdę. Mama

mówi, że już dawno powinienem się ustatkować i osiąść w naszym majątku. Chciałaby bawić moje dzieci.

— A ty chciałbyś mnie zamknąć w wiejskim majątku? — spojrzała na niego z pretensją i niedowierzaniem. — Z dała od ludzi, balów i całego tego zgiełku, za którym tak przepadam?

— No właśnie?! Dlaczego to ty zawładnęłaś moim sercem, a nie żadna z tych szlachcianek, które naraja mi matka?

— Skoro twoja mama uważa, że nie jestem odpowiednią kandydatką na twoją żonę, może powinniśmy przestać się spotykać — w głosie Antuanette wyczuć można było nutkę żalu.

— Dobrze wiesz, że nie to miałem na myśli — Paul usiadł bliżej i objął ją ramieniem.

Antuanette przytuliła się do niego. Do oczu zaczęły jej napływać łzy.

— Powiedz, że mnie kochasz — powiedziała błagalnym tonem.

— Przecież wiesz.

Zatopił wzrok w jej czarnych, smutnych oczach. Nachylił się i wtedy ich usta połączył pocałunek. Dało się wyczuć, że oboje są bardzo siebie spragnieni.

Po chwili spojrzał na nią tak, jakby dopiero teraz o czymś sobie przypomniał. Sięgnął do kieszeni surduta i wyciągnął zeń jakiś dokument.

— Mam dla ciebie niespodziankę. Prawie o tym zapomniałem.

— Co to takiego?

— Proszę, czytaj — mówiąc to, rozpostarł przed nią jakieś urzędowe pismo.

— Zostałeś baronem?! — w głosie Antuanette można było wyczuć duże zdziwienie.

— Teraz mogę oficjalnie starać się o twoją rękę. Przecież jesteś córką barona.

— Co z tego — dodała zasmucona — majątku ci przez to nie przybyło.

Paul spojrzał na nią smutnymi oczami. Ona trzymając w dłoniach dokument, kontynuowała:

— Bardzo cię kocham, Paul, ale dobrze wiesz, że marzę o wytwornym życiu. I wiesz także, że według prawa, cały majątek dziedziczy pierworodny syn. Natomiast mój byt powinien zapewnić mąż. Oczywiście dostanę pokaźny posag, ale to niewiele w porównaniu z całym majątkiem. Czy sądzisz, że nadaję się do życia w skromnym dworku na prowincji?

— Masz rację! Co mi z tego, że kupiłem tytuł barona, skoro mój majątek się przez to nie powiększył.

— Może mogłabym temu jakoś zaradzić? — odezwała się, spoglądając na niego spod trzepoczących rzęs.

— Czyżbyś miała jakiś pomysł? — w oczach Paula pojawiła się iskierka nadziei.

— Pamiętasz testament markizy?
— Ten, który niechcący odkryłaś dwa lata temu? Od tamtej pory mogło się dużo zmienić.
— Sprawdzalam. Wciąż jest aktualny.
— Sprawdzalas?!
— Muszę wiedzieć, jak się sprawy mają. Nie pozwolę odebrać sobie tego, co mi się należy.

— Co ci chodzi po głowie? — spojrzał na nią przerażony. — Jeśli coś knujesz, to wiedz, iż nie przyłożę do tego ręki — stanowczo odparł Paul.

— Nie martw się! Skąd w ogóle przyszło ci do głowy, że chciałabym wyrządzić komuś krzywdę. Uważasz, że jestem potworem?

— Oczywiście, że nie. Gdybym tak sądził, nie byłoby mnie tutaj.

— Ojciec mój nalega, żebym poślubiła podstarzałego księcia Mediolanu. Ciągłe przypomina mi, ile mam lat. Czuję się, jakbym była starą panną. Chyba przyjmę w końcu jego oświadczenia.

Paul spojrzał na nią oburzony.

— Co ty mówisz!? Nie pozwolę! Jesteś moja i tylko moja!

— Ależ Paul! Nie przejmuj się tym tak bardzo. Pomyśl tylko, książę podobno ma pięćdziesiąt lat i jest mocno schorowany.

— Chcesz mu się po prostu sprzedać!? — w oczach Paula dojrzeć można było coś w rodzaju obrzydzenia.

— Nie osądzaj mnie tak surowo. Mogę zostać jego żoną i rozwieść się za jakiś czas. Na pewno zabezpieczy moją przyszłość. Czuję się taka stara. W marcu skończyłam dwadzieścia jeden lat! Ojciec ma rację. Jeśli teraz nie wyjdę za mąż, naprawdę zostanę starą panną.

Paul spoglądał na nią i czuł, iż uczucie, jakim ją do tej pory darzył, powoli z niego uchodzi. Chociaż nadal tliła się w nim jego mała isierka czuł, że nie była to już szaleńcza miłość, jak na początku znajomości. Niewątpliwie Antuanette nadal pociągała go fizycznie, gdyż jej uroda wprost kwitła, jednak miał wrażenie, jakby oddalali się od siebie. Bolało go to, że wybranka jego serca całą energię kieruje nie w tym kierunku, co powinna. Żądza posiadania majątku i bycia „kimś” oładnęła ją niemal całkowicie.

Jednak pomimo tylu jej wad kochał Antuanette. W swych myślach często ją nawet idealizował.

Przykro mu się zrobiło, że zamiast cieszyć się chwilą spędzaną razem, kłócili się. Chcąc to zmienić, spojrzał na nią czule. Jakby zapomniał o tylu gorzkich słowach, które przed chwilą usłyszał.

— Jesteś moja i tylko moja — powtórzył ciepłym, przyciszonym głosem, następnie objął ją ramieniem.

Antuanette przytuliła się do niego. Kochała i była kochana. Czego trzeba

więcej do szczęścia. Chciała, żeby ta chwila trwała wiecznie. Siedzieli więc tak oboje przytuleni, zasłuchani w bicie swych serc.

— Kocham cię, Paul — powiedziała cichym głosem Antuanette.

Uśmiechnął się do niej.

— Naprawdę, tak bardzo ci na mnie zależy? — spytała po chwili.

— Gdyby mi na tobie nie zależało, nie kupowałbym tytułu barona.

— Rozmawiałam z Armandem na temat mojego widzenia w machinie podświadomości.

— Dlaczego akurat jego uczyniłaś swoim powiernikiem? — zdziwił się Paul.

— Wiesz zapewne, że Armand interesuje się astronomią i astrologią. Każdy, kto go zna, wie, iż ma rozległą wiedzę na ten temat. Dlatego właśnie do niego zwróciłam się o radę.

— I co ci powiedział?

— Skoro spotkaliśmy się w poprzednim wcieleniu i łączyła nas wtedy miłość, jest to bez wątpienia związek karmiczny. Dlatego jest taki trudny teraz do utrzymania. Działamy na siebie jak dwa magnesy. Na przemian się przyciągamy i odpychamy. Kiedy jesteśmy daleko od siebie, jedno za drugim bardzo tęskni. Natomiast gdy jesteśmy razem, kłócimy się, nie umiemy ze sobą rozmawiać bez zbędnych emocji.

— Jest w tym dużo racji — zastanowił się Paul. — Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób.

— Nie wiedziałeś, że jest to związek karmiczny? — zdziwiła się Antuanette.

— Tego akurat się domyślałem. Gdy się poznaliśmy, miałem wrażenie, jakbym znał cię od dawna. Bardzo dobrze nam się rozmawiało. Pamiętasz?!

— Pamiętam. Ja poczułam to samo! Wtedy na balu, gdy spojrzałam w twe błękitne oczy, zakochałam się.

— Wyobraź sobie, że ja poczułem dokładnie to samo. A teraz dowiaduję się, że jeśli była to miłość od pierwszego wejrzenia, gorzej to wróży dla naszego związku.

— Ja też sądziłam, iż dzięki temu połączyła nas prawdziwa miłość. Tymczasem, co się okazuje...? Może połączyło nas wielkie uczucie, jednak istnieje mała szansa, byśmy byli razem szczęśliwi.

— Powiem więcej, żebyśmy w ogóle byli razem — dodał ze smutkiem Paul.

21. Nad przepaścią

Dwaj jeźdźcy wjechali na zamkowy dziedziniec. Stojąc przy półce z książkami, Armand i François odruchowo wyjrżeli przez okno. Armand rozpoznał swych przyjaciół, Paula i Michaela. Bez chwili namysłu wybiegł im na przeciw.

— Witajcie! Jak miło was widzieć.

— Witaj, przyjacielu — rzekł Paul, zeskakując z konia.

— Co was sprowadza?

— Jedziemy do Marsylii. Postanowiliśmy kilka dni spędzić z tobą. Chyba znajdzie się jakaś wolna komnata oraz trochę jadła? — w głosie Paula można było wyczuć nutkę ironii.

— Uwielbiam twoje poczucie humoru. Dobrze wiesz, że jesteście tu zawsze mile widziani — odpowiedział Armand z uśmiechem. — Szkoda tylko, że tak rzadko z tego korzystacie.

— Juliette nie ma? — spytał Paul, gdy weszli do salonu. — Nie przysłała się z nami przywitać. To do niej niepodobne.

— Juliette wyjechała z moją mamą. Dzisiaj, z samego rana. Podobno ojciec Antuanette jest ciężko chory. Wczoraj wieczorem przybył posłaniec z listem. Mama spodziewa się najgorszego. Juliette postanowiła jej towarzyszyć, gdyż jej stan emocjonalny nie był najlepszy.

— To niemożliwe! — krzyknął Michael.

Wszyscy spojrzeli na niego zdziwieni.

— Dlaczego tak sądzisz? — spytał Armand.

— Ponieważ wczoraj panna Gramound odwiedziła mój bank. Była w towarzystwie swego ojca. Jak na człowieka szykującego się na tamten świat, wyglądał nadzwyczaj zdrowo.

— Jesteś pewien, że to był on?

— Myślę, że tak. Co prawda, widziałem go dopiero drugi raz w życiu... — Michael zawahał się lekko — musiał to być ojciec Antuanette. Zresztą tak się też podpisał na dokumentach wypłaty pieniędzy.

Armand i François spojrzeli na siebie zaniepokojeni.

— To wszystko brzmiało bardzo podejrzanie — zmartwił się François.

— Pamiętajcie, że Antuanette brała u mnie lekcje kaligrafii — dodał po krótkiej chwili. — Może ten list napisała ona, a nie jej ojciec?

— Tak myślisz? — spytał Armand, nie bardzo wiedząc, co o tym wszystkim ma sądzić.

— Panowie! Nie ma czasu na rozmyślania! Armandzie, każ służbie osiodłać konie — poprosił Paul, a jego głos brzmiał jak rozkaz.

- Jedziemy z tobą! Prawda, Michael? — zwrócił się do przyjaciela.
- Oczywiście! Po to są przyjaciele.
- Jadę z wami! Każda szpada się przyda! — wykrzyknął François.
- Pospieszmy się! Droga prowadzi przez góry — dodał Armand.
- Może to dobrze? Powóz będzie jechał wolno, mamy szansę go dogonić.

O której wyjechały?

— Około dziewiątej rano. Długo się szykowały do drogi — odpowiedział Armand.

Włożył dłoń do wewnętrznej kieszeni fraka i wyjąwszy zeń złoty zegarek, wiszący na długim łańcuszku, zerknął na godzinę.

— Panowie, pospieszmy się! Dochodzi dwunasta. Paul i Michael, każę przygotować dla was nowe konie. Wasze muszą odpocząć — Armand wydawał się mocno wzburzony.

* * *

Dochodziła pierwsza po południu, gdy czterech mężczyzn weszło do przydrożnego zajazdu.

Wszyscy obecni spojrzeli odruchowo w ich stronę. Młodzieńcy zajęli miejsca przy jednym ze stołów.

— Wina! — zawołał Paul.

— Gdzie jest właściciel tego przybytku? — spytał Armand.

W tym momencie, tuż przy ich stole, jak spod ziemi wyrósł potężny mężczyzna. Był ubrany w skromne szaty. Górę stroju stanowiła płócienna koszula, a dół, bufiaste spodnie z ciemnej, bliżej nieokreślonej tkaniny. Widać było, że pochodzi z niższego stanu.

— Słucham jaśnie panów — rzekł kłaniając się nisko.

— Jestem markiz de Beries, a to są moi przyjaciele.

Karczmarz skłonił się jeszcze niżej.

— Czym mogę panom służyć? — spytał, nieśmiało unosząc spuszczoną głowę.

— Chcieliśmy się dowiedzieć, czy nie zatrzymała się tu karetka z moim herbem? Podróżowały w niej dwie kobiety: moja matka oraz żona. Mówiły, że zatrzymają się tu na posiłek.

— Nie jestem pewien... Czy ten herb to złota podkowa, a nad nią biały jastrząb?

— Tak, w środku podkowy znajduje się złota gwiazda, a nad wszystkim góruje jastrząb — dokończył Armand.

— Były tu dzisiaj jakieś dwie wytworne damy... — zaczął zerkając na Armanda — niedawno wyruszyły w dalszą drogę.

Karczmarz rozejrzał się po pomieszczeniu, jakby kogoś szukał. Zatrzymał wzrok na mężczyźnie siedzącym samotnie w rogu sali.

— Może czegoś bardziej konkretnego dowiecie się panowie od tamtego człowieka. Przyjechał razem z nimi.

— Nie wyruszył w dalszą podróż? — zdziwił się Paul.

— Armandzie, czy to nie ten posłaniec, który przyjechał do nas z listem? — spytał François.

— Nie jestem pewien. Czy nie wspominał, że wróci z naszymi paniami do posiadłości barona?

— Najwyraźniej zmienił zdanie — oznajmił Paul.

— Czyż to nie dziwne? — wtrącił Michael.

— Musimy wziąć go na spytki — zaproponował Paul.

— Czuję, że to będzie trudne.

— Dlaczego? — zdziwił się Armand.

— Nie widzisz, że jest mocno pijany? — odparł Michael.

Wszyscy czterej ruszyli w kierunku siedzącego w kącie mężczyzny., Ujrzawszy ich, nieznajomy nagle podniósł się z miejsca. Można było odnieść wrażenie, że chce uciec. Jednak Paul jednym susem był już przy nim. Chwyciwszy go za odzież wierzchnią, krzyknął:

— Stój, gdzie ci tak spieszno?!

— Nie wiem, czego chcesz ode mnie, panie... — wystękał przestraszony.

— Nie udawaj, że nie wiesz o co nam chodzi! — oburzył się Paul.

— Jeszcze wczoraj byłeś w naszym zamku jako posłaniec. Nie pamiętasz?! — Armand był wzburzony, jak nigdy dotąd.

— Ależ tak panie, pamiętam.

— Dlaczego zostałeś w gospodzie?! Co z moją matką?! — krzyczał François.

— Nie ma powodu do niepokoju — zaczął posłaniec, starając się, żeby jego głos brzmiał spokojnie. — Wypełniłem już swoje zadanie. Teraz dostałem do spełnienia inną misję.

— Ciekawe jaką?! Jeszcze wczoraj twierdziłeś, że wracasz z naszymi paniami!

— Nagle okazało się, że muszę jechać do Lyonu.

— Z czyjzego rozkazu, jeśli mogę wiedzieć? — spytał Armand.

— Nie wiem, czy mogę zdradzić. To tajemnica.

— Mów! Nie obawiaj się! W końcu to moi krewni.

— Na rozkaz pana barona.

— Podobno jest umierający.

— Panienska Antuanette przejęła jego obowiązki do chwili powrotu jej starszego brata.

— Panienska Antuanette?!

Wszyscy spojrzeli po sobie zdziwieni.

— Jak to?! Młoda panienska wydaje rozkazy? Od kiedy? — roześmiał się Armand.

— Jej ojciec jest ciężko chory, jak już mówiłem.

— Czyżby?! — spytał Paul mocno wzburzony.

— Wczoraj widziałem go w Lyonie. Tak się niefortunnie złożyło, że był w moim banku — stanowczym głosem odpowiedział Michael.

Mężczyzna zbladł. Robił wrażenie, jakby szukał odpowiednich słów na usprawiedliwienie swego kłamstwa.

— Panowie! Nie ma na co czekać! Jedźcie za powozem. Nie wiadomo, czy nasze panie nie są w niebezpieczeństwie! Ja tymczasem postaram się wyciągnąć od tego łotra, ile się da!

* * *

Żółto-czarna karetka, ciągnięta przez cztery konie, mknęła przez zbocza wysokich wzgórz. Droga stawała się coraz bardziej stroma. Górská droga chwilami była tak wąska, że powożący karetką ledwo radził sobie z utrzymaniem pojazdu na ścieżce. Nic dziwnego, jedno z kół było lekko poluzowane.

— Strasznie trzęsie — odezwała się Juliette.

— Zupełnie, jakby stangret nie potrafił powozić na takim górzystym terenie — przyznała jej rację Izabella de Beries.

W tym momencie kobiety usłyszały tętent nadjeżdżających koni. Juliette, wciąż pamiętająca napad sprzed kilku lat, mocno się zaniepokoiła. Markiza zauważyła jej przerażoną minę.

— Nie obawia, j się kochanie. Przecież Armand dał nam ochronę.

— Wiem, dwóch zbrojnych ludzi — mówiąc to, wyjrzała przez uchylone okno.

Nie była pewna, czy to, co widzi, to prawda, czy jakieś przewidzenie. Trzej jeźdźcy zbliżali się do nich w bardzo szybkim tempie.

— To Armand! — krzyknęła uradowana.

Markiza odruchowo wychyliła się przez otwarte okno. François pomachał jej ręką na przywitanie.

Raptem karetka podskoczyła do góry. Najwyraźniej koło najechało na leżący na drodze kamień. Kobiety wpadły w panikę. Karetka gwałtownie przechyliła się na jeden bok i opadła. Armand, François i Michael ze zdziwieniem ujrzeni, jak z karety odpadło tylne koło, potoczyło się drogą przez kilka metrów, po czym

spadło w dół urwiska.

W tym samym momencie przechylona kareta zaczęła staczać się ze zbocza. Koniom z ledwością udawało się utrzymać ją na drodze.

Jeźdźcy, jadący kilka metrów przed kareta, nawet tego nie zauważyli. Najwyraźniej wiatr wiał z ich strony, dlatego nie usłyszeli krzyków przerażonych kobiet. Zniknęli za zakrętem, nie widząc, co dzieje się za ich plecami. Armand, Michael i François natychmiast przyspieszyli.

— Spróbuję pomóc stangretowi! — krzyknął Armand.

W mgnieniu oka zrównał się z końmi, ciągnącymi kareta. Następnie przeskoczył na jednego z dwóch tylnych koni w poczwórnym zaprzęgu.

Michael w tym czasie zeskoczył ze swojego konia i sprawnym ruchem przytrzymał konia przyjaciela.

W tym momencie Armand chwycił za uprząż. Jednak konie nadal były bardzo niespokojne. Najwyraźniej powożący nie dawał sobie z nimi rady. Nic dziwnego, z ledwością utrzymywał się na ławeczce, kurczowo ściskając metalową poręcz.

François zerknął w dół. Zauważywszy, że stangretowi nic nie jest, udał się na przód zaprzęgu, żeby pomóc Armandowi, który z ledwością trzymał uprząż w dłoniach. Gdyby nie on, konie najpewniej zsunęłyby się w dół razem z kareta.

— François! Dobrze, że cię widzę! — krzyknął Armand.

— Powiedz, jak ci pomóc?!

— Ja przytrzymam konie, a ty może najpierw pomóż temu biedakowi — wskazał na stangreta.

François położył się na ścieżce, wyciągając rękę do mężczyzny, który wciąż trzymał się kurczowo gałęzi jakiegoś iglastego krzewu. Widząc wyciągniętą ku sobie dłoń, nie namyślając się długo, chwycił ją. François zaczął podciągać go do góry. Jednak wciągnięcie rosnącego mężczyzny na ścieżkę nie szło tak łatwo, jakby można się było tego spodziewać. Prawdopodobnie dlatego, że François był bardzo szczupłym młodzieńcem.

Całe szczęście, że w tym momencie dwaj zbrojni jeźdźcy zawrócili. Najwyraźniej zorientowali się, co zaszło. Jeden z nich położył się na drodze obok François, zdjął z pleców pelerynę i zrzucił jeden jej koniec w dół.

— Proszę chwycić za tę tkaninę! — krzyknął do stangreta.

Ten posłusznie wykonał polecenie. Wtedy udało się go podciągnąć na górską drogę.

Tymczasem drugi z mężczyzn zaczął pomagać Armandowi przy koniach.

— Zostań tu, ja zobaczę, co z naszymi paniami! — rozkazał markiz, podając jednemu z jeźdźców lejce w dłoń.

Obie kobiety wydawały się mocno przestraszone. Lekko poobijane, obserwowały całe wydarzenie z okna karety. O ile widok przybyłych na pomoc

Armanda i François napawał je nadzieją, o tyle widok po przeciwnej stronie karety wywoływał paniczny lęk. W dole, za konarami kosodrzewiny, jawiła się kilkunastometrowa przepaść.

— Jak my stąd wyjdziemy? — pytała Juliette drżącym głosem.

— Nie martw się. Moi synowie coś wymyślą — uspokajała ją markiza, chociaż sama nie była tego do końca pewna.

W tym momencie zza zakrętu wyjechał Paul.

— Co tak późno? — spytał Michael.

— Wyciągnąłem od tego łotra to, o co mi chodziło.

— Czyli?

— Potem ci powiem. Widzę, że mamy tu ważniejsze sprawy do roboty.

— Pomożesz nam! — ucieszył się Armand.

— Oczywiście! Po to tu jestem.

Paul w mgnieniu oka znalazł się przy kolegach. Następnie spojrzał na wiszącą nad przepaścią karekę.

— Masz jakiś pomysł? — spytał Armanda.

— Niezupełnie. Sprawa nie jest taka prosta. Spójrz, przy najmniejszym ruchu gałąź się chybocze, jakby miała się za chwilę złamać.

— Najpierw musimy uwolnić obie panie. Kareta stanie się lżejsza i może wtedy konie dadzą radę podciągnąć ją do góry — zaproponował Paul.

— Muszę się tam dostać, zobaczyć, co z nimi — odparł Armand z troską.

Teraz przyjaciele zaczęli się zastanawiać, jak pomóc damom. Wiadomo było, że z nimi nie pójdzie tak łatwo.

— Mamo! Juliette! Czy dacie radę podciągnąć się do góry?! — krzyknął Armand.

— Nie wiem! — krzyknęła Juliette. — Tu jest tak wysoko!

— Nie bój się, pomogę ci! — przekonywał Armand.

— Chyba nie dam rady — drżącym głosem szepnęła markiza do Juliette.

— Ależ, pani matko! Musimy spróbować. Nie będziemy tu siedziały do wieczora.

— Nocować tu nie zamierzam — oburzyła się markiza. — Ale jak tu wysoko... — powiedziała spojrzawszy w dół.

— Widziałam. Wolę jednak spróbować wydostać się stąd, niż spaść w przepaść.

— Zaimponowałaś mi determinacją, Juliette. Poczekaj, zaraz wezmę się w garść — odpowiedziała markiza, ciągle spoglądając w dół przepaści.

— Muszę tam zejść, one sobie nie poradzą — rzekł Armand do kolegów.

— Może ja? Jestem szczuplejszy — zaproponował François.

Wszyscy spojrzeli na niego z taką miną, jakby nie bardzo dowierzali jego bohaterstwu.

— Spokojnie, poradzę sobie.

— Musisz! Liczymy na ciebie — odparł Paul.

François jednym susem skoczył na rozłożysty krzew kosodrzewiny. Karetę zachybotła się na boki. Prawdopodobnie od wstrząsu, jaki wywołał. Siedzące w środku kobiety spojrzały na siebie przerażone. Żadna z nich nie wydała z siebie głosu. Najwyraźniej strach odebrał im mowę.

François starał się zachować spokój. Z największą ostrożnością, stawiając nogę za nogą na konarach rozłożystego krzewu, zbliżył się do karocy.

— Proszę mamy — powiedział wyciągając do niej dłoń.

— Może Juliette pierwsza? — zaproponowała markiza.

Obie panie spojrzały na siebie. Juliette zawahała się przez chwilę. Następnie, podając drżącą rękę stojącemu w drzwiach karety François, wstała ostrożnie z miejsca. Młodzieniec mocno chwycił jej dłoń, po czym zaczęli ostrożnie iść w stronę zbocza.

Nagle oboje usłyszeli coś, co przypominało trzeszczenie łamiącego się drzewa. Było oczywiste, że jeden z konarów nie wytrzymał obciążenia. Juliette zatrzymała się. Poczowała, jak nogi uginają się pod nią. Nie była w stanie dalej iść.

— Słyszałeś? — spytała przerażona.

— Krzew nie wytrzyma obciążenia. Musimy się pospieszyć! — odparł François. — Tylko bez gwałtownych ruchów.

Armand i Michael ukucnęli przy brzegu zbocza.

— Mam pomysł! — oznajmił Armand.

— Jaki? — spytał Michael.

— Spuść mu te pelerynę w dół.

Michael natychmiast wykonał polecenie przyjaciela.

— Juliette! Chwyć się peleryny, wciągniemy cię!

Kiedy dziewczyna uniosła brzeg sukni, mężczyźni ujrzeni jej sznurowane buciki na sporych obcasach.

— Pomogę ci — rzekł François.

— Poradzę sobie.

Ku zdziwieniu wszystkich doskonale dawała sobie radę, wspinając się po skalistym zboczu góry.

— Trzymaj się mocno! — krzyknął Armand.

Wszyscy spoglądali na nią pełni podziwu. Gdy już była prawie u celu, Armand chwycił ją za rękę, wciągnął na ścieżkę i ... padli sobie w ramiona.

— Tak się bałam — z oczu Juliette zaczęły płynąć łzy.

— Nie płacz kochanie, jesteś już bezpieczna — przytulił ją mocno.

Mogli by tak stać jeszcze długo, gdyby nie głos François.

— Pospieszcie się!

— Wybacz najdroższa, muszę pomóc mamie.

— Oczywiście.

— Zajmij się żoną, ja i Michael pomożemy pani markizie — odezwał się Paul.

François ostrożnie, małymi kroczkami, podszedł do karety. Przez otwarte na oścież drzwi widział matkę siedzącą w jej wnętrzu. Jedną dłonią podtrzymała się futryny, żeby nie zsunąć się bezwładnie w dół, w drugiej, trzymała wachlarz.

— Bardzo proszę, żeby mama zechciała podać mi rękę.

Markiza wyciągnęła dłoń do syna. W tym momencie znowu dało się słyszeć trzaskającą gałąź.

— Co to?! — spytała przerażona.

— Mamo! Nie zastanawiaj się, tylko chodź!

— Nie jest dobrze. Gałąź nie utrzymuje takiego obciążenia — rzekł Paul do Michaela, spoglądając w dół.

— Nie wiem, czy mama da radę — stwierdził Armand. — Podejdę do koni — zaproponował po chwili, obserwując, co się dzieje z krzewem. — Może teraz dadzą radę podciągnąć karekę?

— Pospiesz się! — błagał Paul.

Markiza powoli przemierzała drogę w stronę zbocza góry. Cała drżała, a nogi miała miękkie jak z waty.

— Kołuje mi się w głowie, nogi odmawiają mi posłuszeństwa — narzekała.

— Proszę, żeby mama nie patrzyła w dół — rozkazującym tonem zwrócił się do niej François.

— To jak będę szła po tej gałęzi? — spytała zdziwiona. — Muszę przecież widzieć, gdzie idę.

— Proszę podać mi dłoń. Prawdopodobnie boi się mama wysokości. Ja będę mówił, czy mama dobrze stawia stopy.

Markiza spojrzała na syna, nie będąc pewna, czy mówi poważnie.

W tym momencie jedna noga ześlizgnęła jej się z grubego konara. Mało brakowało, a spadłaby w dół, gdyby nie silne ramiona François. Wykazał się niebywałym wprost refleksem, chwytając matkę w pasie i stawiając z powrotem na konarze.

— To te buty — rzekła.

— Musi je mama zdjąć!

— Jak je teraz ściągnę? To wykluczone! Te igły pokaleczą moje stopy.

— Jeśli tak mama uważa... — rzekł François, nie bardzo zadowolony z uporu matki. — Proszę jednak iść bardzo ostrożnie.

— Ciekawe jak? — mruknęła pod nosem.

— Coś mama mówiła?

— Nic ważnego. Chciałam tylko powiedzieć, że staram się ostrożnie stawiać stopy, ale jest to trudne. Jak mam iść przed siebie, nie spoglądając pod nogi?

Ruszyli dalej. Uszli dosłownie trzy kroki, gdy znów usłyszeli trzeszczenie łamiącej się gałęzi. Matka i syn spojrzeli na siebie. W oczach markizy widać było przerażenie.

Najgorsze było jednak to, że nadłamana została gałąź była tuż przed nimi. Domyślali się, że dojście do ścieżki będzie bardzo trudne. Wiedzieli, że upadek z tak dużej wysokości grozi poturbowaniem, może nawet śmiercią.

— Spróbuję pójść pierwszy — powiedział François, trzymając matkę mocno za rękę.

Dobrze, że gałęzie krzewu w tym miejscu były już grubsze. Łatwiej udawało się markizie stawiać stopy po okazałym konarze.

Całe szczęście, że markiza miała na sobie tego dnia suknię na sztywnej krynolinie. Właśnie stelaż sukni świetnie utrzymywał równowagę na rozłożystym krzewie. Zauważył to François, trzymając wciąż matkę za rękę. Nagle markiza najwyraźniej źle stąpnęła, gdyż niespodziewanie spadła kilka centymetrów niżej. François momentalnie chwycił ją mocniej za ramię. Wtedy obręcz sukni zatrzymywała ją na rozłożystych gałęziach krzewu.

— Sądziłam, że już po mnie — odetchnęła markiza, ale w jej oczach czaił się strach.

— Proszę, aby mama mi zaufała.

— Nic innego nie robię od kilkunastu minut — odparła.

— W takim razie jest szansa, że wyjdziemy z tego cało.

Byli już blisko celu, gdy usłyszeli, jak jedna z gałęzi urwała się. Markiza odwróciła się odruchowo. Zobaczyła oderwaną gałąź, tę, po której przed chwilą stąpali. Nogi się pod nią ugięły. Stała, bojąc ruszyć się z miejsca.

— Mamo, jesteśmy już bezpieczni. No, może prawie — uspokajał ją syn.

Do markizy jakby to nie docierało. Stała, cała drżąca.

W tym momencie koniom, chociaż z wielkim trudem, udało się podciągnąć karetę do góry.

— Proszę, niech mama się pospieszy! — krzyknął Armand.

François spojrział na matkę i rzekł tonem nieznoszącym sprzeciwu.

— Bardzo proszę, żeby mama chwyciła mocno te tkaninę.

Drżącymi rękami markiza chwyciła z całych sił zrolowaną pelerynę, która teraz służyła za gruby sznur.

— Dobrze byłoby, żeby mama opierała się stopami o skały — instruował François.

— Tak właśnie czynię — odpowiedziała markiza, chwytając się peleryny.

Paul i Michael podciągnęli ją bez większego trudu, prawdopodobnie ze względu na jej szczupłą sylwetkę.

Za chwilę na ścieżce znalazł się też jej młodszy syn, François. Jego wysoki wzrost ułatwił mu pokonanie przeszkody. Dosłownie wspiął się pod górę kilkoma

wielkimi susami, przy niewielkiej pomocy zwisającej peleryny i przyjaciół z góry.

Kiedy już wszyscy byli bezpieczni, zaczęto zastanawiać się, co dalej.

Armand spojrział w dół zbocza. Koło od karety leżało jakieś kilkanaście metrów poniżej.

— Widzisz to, co ja? — spytał stojącego obok Paula.

— Chodzi ci o koło?

— Oczywiście. Wyślemy po nie tych dwóch ludzi. Mam nadzieję, że sobie poradzą — odparł Armand.

— Przyniesienie koła to nic, gorzej z umocowaniem — oznajmił Paul.

— Jeden z nich jest potężnej budowy, powinien dać radę. Jak będzie trzeba, to mu pomożemy — wtrącił Michael.

W tym momencie do Armanda podeszła Juliette. Widać było, że dopiero teraz ochłonęła po dzisiejszych wrażeniach.

— Armandzie, wracajmy do domu — rzekła błagalnym głosem.

— Oczywiście, kochanie — odparł, przytulając ją mocno do siebie.

— Przerywamy podróż i wracamy do zamku — oznajmiła Juliette.

— Ja jadę dalej. Mój kuzyn jest ciężko chory — oponowała markiza.

— Mamo. Po tym wszystkim chcesz jeszcze kontynuować podróż? — zdziwił się François.

— Synu, ja muszę. Inaczej nigdy bym sobie tego nie wybaczyła.

Mężczyźni spojrzeli po sobie. Żaden z nich nie odważył się powiedzieć, że prawdopodobnie kuzynowi nic nie jest, a odpadnięcie koła nie było przypadkowe.

— Dobrze, jak mama uważa. Ja wracam z Juliette do zamku. François oraz jeźdźcy przydzieleni do ochrony będą mamie towarzyszyć.

— Ja też chętnie dotrzymam pani markizie towarzystwa, jeśli można — zaproponował Paul.

Wszystkich oczy zwróciły się w jego stronę. On jednak nic sobie z tego nie robił.

— Co tak dziwnie patrzycie? Każda szpada się przyda.

Stało się zatem tak, jak zaproponował Armand.

On, Juliette i Michael wrócili do zamku w Ainay-le-Vieil. Uzgodniono, że Juliette weźmie konia, na którym przyjechał François. Młodzieniec nie był zachwycony perspektywą podróży w karocy, jednak nie miał innego wyjścia.

* * *

Jakie było zdziwienie Antuanette, gdy wśród przyjezdnych ujrzała Paula. Po wspólnym posiłku młodzieniec postanowił rozmówić się z ukochaną.

— Widzę, że twój ojciec czuje się już dużo lepiej.

— Przecież słyszałeś, to była chwilowa niedyspozycja.

— Jeśli tak, to dlaczego wezwał markizę de Beries, jakby szykował się na tamten świat?!

— Myślał, że umiera, uwierz mi.

— Mnie tak łatwo nie nabierzesz. Może markiza uwierzyła w twoje kłamstwa, ja niestety nie.

— Nie kochasz mnie już? — spytała niewinnym głosem.

— Jeszcze kocham, jednak widzę, że źle ulokowałem uczucia.

Zakryła oczy dłońmi, a z jej oczu zaczęły kapać łzy. Co chwila dyskretnie zerkała jednak w stronę Paula. On pozostał niewzruszony. Wiedział, że Antuanette chce w nim wzbudzić litość. Może jeszcze niedawno dałby się na to nabrać. Teraz nie robiło to na nim żadnego wrażenia. Spojrzał na nią z lekką pogardą.

— Czy wiesz, co zeznał człowiek w karczmie? Błagając o życie, gdy trzymałem mu szpadę na gardle, powiedział...

Antuanette aż drgnęła. Spojrzała na Paula przerażonymi oczami. On natomiast spokojnie mówił dalej.

— Drżącym głosem zeznał, że baronówna de Gramound dała mu sakiewkę pełną złotych monet. Za to, żeby poluzował koło od karety, gdy zatrzymają się na postój. Nic dziwnego, że nie chciał dalej jechać! To dało mi wiele do myślenia. Dałaś mu aż pięćdziesiąt ludwików?! Ciekawe, co powiedziałaś ojcu?

Dziewczyna nic nie odpowiedziała, spuściła tylko oczy. Paul natomiast kontynuował swój wywód.

— Prawdopodobnie powiedziałaś, że potrzebujesz pieniędzy na nową sukienkę i buciki — podszedł i spojrzał jej w oczy. — Wykorzystujesz tych, którzy cię kochają. Opamiętaj się, proszę!

Antuanette przestała szlochać. W mgnieniu oka oprzytomniała. Nagle zaczęła logicznie myśleć.

— Kto oprócz ciebie o tym wie?

— Tylko tym się przejmujesz?! Nie martw się. Jeszcze nikomu nie zdradziłem twej tajemnicy. Armand i François, mam nadzieję, nie domyślają się niczego. Są szczęśliwi, że nikomu nic się nie stało.

— A markiza?

— Twoja matka chrzestna jest tak zapatrzona w ciebie, że prawie nie dostrzega twych wad. Sam się czasami dziwię...

Antuanette odetchnęła z ulgą. Widać było, że słowa Paula przyniosły jej nadzieję. Podeszła bliżej do niego i odezwała się miłutkim głosem.

— Paul, najdroższy, nie oceniaj mnie tak surowo.

On spojrzał na nią z politowaniem i obrzydzeniem zarazem.

— Jak możesz tak mówić? Uważasz, że nic się nie stało? Całe szczęście! Dobrze wiesz, co zrobiłaś i jak się to mogło skończyć!

Widząc, że chciała się do niego przytulić, odtrącił ją.

— Wybacz, nie zdawałam sobie sprawy...
— Nie udawaj! Mogę uwierzyć we wszystko, ale nie w to, że jesteś idiotką.
Dobrze wiedziałaś, czym grozi odpadnięcie koła na górskiej drodze!
Antuanette znowu zalała się łzami. Paul jednak stał niewzruszony.
— Wyjeżdżam, nie zostanę tu ani minuty dłużej.
— Nie zostaniesz na noc? — spytała szczerze zmartwiona.
— Jest jeszcze wczesna pora. Powinienem zdążyć wrócić do Ainay-le-Vieil przed zapadnięciem zmroku. Przecież mamy czerwiec, dni są długie.
— Miałam nadzieję, że zostaniesz.
— Myliłaś się!
— Ale Paul, ja muszę ci coś powiedzieć!
— Wybacz, ale trochę się spieszę.
— Paul, ja... — zawahała się.
— Nie wydaje mi się, żeby to było coś ważnego. Żegnaj!
— Paul, poczekaj, Proszę zostań, muszę z tobą porozmawiać.
— O czym? Wydaje mi się, że nie mamy już o czym rozmawiać.
Spojrzał w jej brązowe oczy, były pełne łez. Pomyślał, że gdy zostanie tu jeszcze minutę dłużej, ulegnie jej.
— Żegnaj! — rzucił krótko i wyszedł, zostawiając ją samą, pogrążoną w rozpacz.

* * *

Późnym wieczorem, gdy Armand, Juliette oraz Michael odpoczywali po emocjach dzisiejszego dnia, do salonu weszła pokojówka.
— Jaśnie panie, przybył posłaniec z listem.
— Posłaniec? Skąd?!
Cała trójka spojrzała na siebie mocno zdziwiona.
— Z Montpellier!
— Z Montpellier?! To na pewno do mnie — Juliette zerwała się na równe nogi.
Pokojówka bez słowa wręczyła jej kopertę z listem.
— Mama pisze, że ojciec jest ciężko chory — oznajmiła mocno poruszona tym, co przeczytała,
— Pogorszyło mu się? — zaniepokoił się Armand.
— Z tego, co pisze, niestety tak. Muszę tam pojechać.
— Wybacz, ale tylko odwiozę cię do rodziców i będę musiał wrócić z powrotem. Wiesz dobrze, że w loży mam dużo więcej obowiązków, od kiedy zostałem mistrzem.
— Wiem. Teraz w czerwcu będą jeszcze nowe wybory. Rozumiem, że jest

to dla ciebie bardzo ważne.

Armand podszedł do żony, przytulił ją i pocałował czule w czoło.

— Przyjadę, gdy tylko będę mógł. Pisz proszę tak często, jak tylko będziesz mogła.

— Ty też.

— Oczywiście, gdy tylko obowiązki mi na to pozwolą.

— Wyjedziemy jutro rano.

— Dziękuję.

Armand spojrział na Michaela, jakby sobie o czymś przypomniał.

— Co z Paulem? Nie wiesz, kiedy wróci? — spytał.

— Nic nie mówił. Sądzę, że zostanie tam do jutra — odparł Michael.

— Skoro tak mówisz...

W tym momencie w salonie znowu pojawiła się pokojówka. Armand spojrział na nią lekko zdziwiony.

— Ma pan gościa — oznajmiła.

— Któż to taki? — spytał Armand.

— Pan Paul Duvalle.

— Wprowadź, proszę.

— Patrzycie na mnie, jak byście zobaczyli ducha — roześmiał się Paul, widząc zaskoczone miny przyjaciół.

— Wybacz naszą reakcję, ale spodziewaliśmy się ciebie najwcześniej jutro, i to po południu.

— Jakoś nie miałem ochoty zabawić tam dłużej.

Juliette i Armand spojrzeli na siebie. Dobrze wiedzieli, co łączyło Paula i Antuanette. Oboje podejrzewali, że Paul pojechał na spotkanie z ukochaną. Dlaczego więc tak szybko wrócił?

— Coś poszło nie po twojej myśli, przyjacielu? — zdziwił się Armand.

— Nie pytaj proszę. W każdym razie ojcu Antuanette nagle się polepszyło.

— Mówiłem wam — odezwał się Michael.

— Skoro już jesteś, odpocznij, jutro rano wyruszamy do Montpellier. Ojciec Juliette jest ciężko chory. Niestety, tym razem nie jest to chwilowa niedyspozycja — oznajmił Armand.

— Jak to?! Pan hrabia jest chory? Co mu jest?

— Został ranny na polowaniu. Rana źle się goi. Mama jest zrozpaczona.

— Koniecznie musimy go odwiedzić! — odparł Paul.

— To zrozumiałe! — poparł go Michael.

— Jutro wyjeżdżamy. Może udalibyśmy się już na spoczynek po tak emocjonującym dniu. Co o tym sądzicie? — spytał Armand.

Można by pomyśleć, że młody markiz najmniej przejął się chorobą ojca Juliette. Wszyscy wiedzieli jednak, że tak nie jest. Armand, po wczesnej stracie

ojca, w przyszłym teściu znalazł wzór godny naśladowania. Zresztą ojciec Juliette traktował go jak syna. Świadczyło o tym chociażby to, że zaproponował jego kandydaturę na mistrza katedry, gdy sam już nie mógł sprawować tej funkcji.

22. Posiedzenie loży

W sali panował półmrok. Nastął 24 czerwca 1743 roku. Dla Armanda był to ważny dzień. Właśnie został wybrany Mistrzem Loży Masońskiej. Tego dnia na zebraniu było wyjątkowo tłoczno. Zapewne za sprawą tego, że w obradach oprócz mężczyzn brały udział również kobiety z adoptowanej Loży Profanki.

Jednak ani Juliette, ani jej ojca, Filipa de Lapiere nie było tego dnia na zebraniu. Hrabia dochodził do zdrowia, a Juliette dzielnie pomagała mamie w opiece nad nim.

Młody markiz, jako mistrz, panującym zwyczajem zajął miejsce na tronie. Przed nim, na podłodze, tliły się trzy świece, ustawione w kształcie trójkąta.

Całe spotkanie przebiegało według ustalonych reguł. Obrady miały się już ku końcowi, gdy Armand ponownie zabrał głos.

— Zapewne zauważyliście, bracia i siostry, że w dzisiejszym spotkaniu biorą udział siostry z Loży Profanki. Udzielam teraz głosu jednej z nich, Izabelli de Berries.

Dozorca uderzył trzy razy młotkiem. Markiza wstała i nieco spiętym głosem oznajmiła.

— Chciałabym zgłosić propozycję przyjęcia do naszego grona dwóch młodych kobiet. Pierwszą kandydatką jest żona jednego z naszych braci, Jeana de Chavannese, Henrietta. Drugą — moja krewna, Antuanette de Gramound. Mniemam, że obecni tu bracia oraz siostry poprą obie te kandydatury.

— Czy ktoś z obecnych chciałby zająć głos w tej sprawie? — spytał Armand, rozglądając się po sali. — Czy są jakieś głosy sprzeciwu co do którejś z tych kandydatur?

W tym momencie Paul Duvalle wstał ze swego miejsca. Oczy obecnych zwróciły się w jego stronę.

— Chciałbym zabrać głos — oznajmił.

Rozległo się trzykrotne uderzenie młotka.

— Udzielam głosu naszemu bratu, Paulowi Duvalle — rzekł Armand.

— Witam zebranych tu braci oraz siostry — zaczął rozglądając się po obecnych. — Moje wystąpienie dotyczy zgłoszonej przed chwilą kandydatury. Mam pewne obawy co do przyjęcia w nasze grono młodej baronówny Antuanette de Gramound.

Paul poczuł na sobie przeszywające spojrzenie markizy de Beries. Gdyby mogła, zabiłaby go wzrokiem. Najwyraźniej zdawała sobie sprawę z tego, że jeden głos sprzeciwu zniweluje jej plany.

Tak się też stało. Antuanette nie została przyjęta w poczet członków loży. Po zakończeniu obrad wszyscy udali się do sąsiedniej sali. Przyjętym zwyczajem

odbyło się tam posiedzenie Łoży Stołowej.

Po odbyciu obowiązkowego rytuału trzech toastów za Mistrza wszystkich łóż masońskich oraz panującego obecnie króla Francji Ludwika XV, jak również Mistrza Łoży Armanda de Beries, nastąpiło rozluźnienie atmosfery. Do Paula podszedł markiz de Beries. Zaraz za nim podążył Jean de Chavennese. Paul widząc ich obu, wstał od stołu.

— Wiem, o co chcesz mnie spytać.

— To dobrze — odparł Armand.

Pierre, siedzący obok brata, również podniósł się z miejsca. Cała czwórka stanęła z boku pomieszczenia. Za chwilę podszedł do nich Michael.

— Chcesz mnie na pewno spytać, dlaczego sprzeciwiłem się przyjęciu do loży młodej baronówny de Gramound.

— No właśnie, sądziłem, że ci na niej zależy.

— Wierz mi, to nie ma nic wspólnego z tym co do niej czuję. Zresztą, ostatnio nam się nie układa. Właśnie się rozstaliśmy.

— Co ty mówisz?! — zdziwił się Armand.

— Jest wolna. Dobrze wiesz, że nie zostałyby moją żoną — powiedział z goryczą w głosie.

Armand, Pierre i Jean spojrzeli po sobie zdziwieni.

— Więc dlatego nie zgadzasz się, by wstąpiła do naszego grona? — spytał Michael.

Paul spojrział na nich i odparł z dziwnym spokojem.

— Naprawdę myślicie, że chciałbym się na niej mścić w tak dziecinny sposób?

Spojrzeli na niego i zrozumieli, że mówi prawdę.

— Może Antuanette powinna jednak wstąpić w nasze szeregi? — wtrącił Armand. — Na wieży nie możemy przekazywać jej zasad związanych z działalnością bractwa. Będąc jedną z nas zrozumiałaby, że ludzi nie dyskredytuje się tylko dlatego, że nie posiadają majątku.

Paul spojrział na niego. Wiedział, że było w tym sporo racji. Nie mógł jednak, a właściwie nie chciał wyjawiać przyjacielom prawdziwego powodu. W głębi duszy kochał Antuanette i wierzył, że dziewczyna z czasem zrozumie, iż pieniądze nie są najważniejsze w życiu.

— Uważam, że jest ona zbyt niedojrzała emocjonalnie — odpowiedział, spoglądając na miny towarzyszy.

— Henrietta jest w tym samym wieku, a nawet trochę młodsza — wtrącił Jean.

— Wiem. Jednak nie o wiek tu chodzi, raczej o charakter.

— Za dobrze ją poznałeś — Pierre starał się obrócić wszystko w żart.

— Może tak — odparł Paul ze śmiertelnie poważną miną.

Rozejrzał się po sali, jakby szukając kogoś wzrokiem.

— Wybaczcie, ale powinienem jeszcze z kimś porozmawiać — rzekł do przyjaciół, oddalając się.

Koledzy domyślili się, że chce zamienić kilka słów z markizą. Nie mylili się. Paul podszedł do siedzącej przy stole, pięknej jak zawsze, Izabelli de Beries. Odwróciła się instynktownie.

— Czy mógłbym zamienić z panią markizą kilka słów?

— Może przejdźmy w bardziej ustronne miejsce — zaproponowała wstając.

— Jak sobie jaśnie pani życzy.

Przeszli do małej salki obok.

— O czym chciałeś ze mną rozmawiać, młodzieńcze?

Paul spojrział na nią swymi błękitnymi oczami i zaczął z lekką nieśmiałością.

— Na pewno ma do mnie jaśnie pani żal, że sprzeciwiłem się przyjęciu Antuanette w szeregi naszego bractwa.

— Po każdym mogłabym się tego spodziewać, tylko nie po tobie.

— Wiem, pani markizo.

— Nie zwracaj się tak do mnie. Czyżbyś zapomniał, że jesteśmy tu wszyscy „siostrami” oraz „braćmi”?”.

— Dobrze o tym pamiętam, jednak brak mi odwagi w stosunku do jaśnie pani.

— Przestań, młodzieńcze. Lepiej powiedz, jaki był powód twego sprzeciwu.

— Antuanette jest mi bardzo bliska. Znam ją chyba lepiej, niż ktokolwiek na świecie. Może właśnie dlatego, uważam, że jest za wcześnie, żeby teraz wstąpiła w szeregi masonów.

Markiza spojrzała na niego, nie kryjąc zdumienia.

— Co masz na myśli?

— Dajmy jej jeszcze trochę czasu. Poobserwujmy. Chciałbym być pewien, że jest godna dostąpienia tego szczytu. Chyba nie zaprzeczysz „siostrze”, że należenie do naszego grona jest wyróżnieniem. Chciałbym być pewien, że Antuanette na nie zasługuje.

— Może naprawdę za dobrze ją znasz? Widzisz jej wady, a nie dostrzegasz zalet i bystrego umysłu.

— Uwierz mi, pani, że robię to dla twojego dobra. Poczekajmy jeszcze trochę. Antuanette wydorosłeje, zmądrzeje. Mam nadzieję, że nic jej pani nie obiecała? — dodał po chwili, spoglądając niepewnym wzrokiem na markizę.

— Miała to być niespodzianka. Zamierzałam ją o tym powiadomić, gdy przyjedzie do mnie od swego ojca.

— Ostatnio posprzeczałyśmy się. Może Antuanette wspominała o tym?

Markiza spojrzała na Paula nieco zaskoczona.

— Chyba nie dlatego sprzeciwiłeś się, młodzieńcze?

— Oczywiście, że nie! Moja decyzja nie jest podjęta pod wpływem chwilowych emocji.

— Znam cię, Paul i ufam, że masz dobre intencje.

— Uwierz mi pani, Antuanette jest mi nadal bardzo bliska. Nic się nie stanie, jeśli wstąpi w nasze szeregi kilka miesięcy później. Zaledwie trzy miesiące temu skończyła dwadzieścia dwa lata. Nie rozumiem, skąd ostatnio moda na przyjmowanie do łóż tak młodych dziewcząt.

— Henrietta jest od niej trochę młodsza, a jednak nie sprzeciwiłeś się.

— Może jest trochę młodsza, jednak wydaje mi się, że jest bardziej dojrzała. Zresztą, jest żoną Jeana de Chavannese i on ponosi za nią odpowiedzialność.

— Może masz rację...

— Proszę mi wierzyć, pani, że kierowały mną szlachetne pobudki.

Paul skłonił się nisko, jednocześnie kładąc swą prawą dłoń na sercu, jakby chciał zapewnić markizę o wiarygodności swojej decyzji.

— Wracajmy! — odezwała się, unosząc brzeg sukni.

— Rozumiem, że treść tej rozmowy pozostanie między nami — rzekł Paul.

— To zrozumiałe— odpowiedziała wychodząc.

23. Romans Armanda

Właśnie minął miesiąc od chwili przybycia Juliette do posiadłości rodziców. Noga hrabiego goiła się nadspodziewanie dobrze. Po trzech tygodniach leżenia w łóżku zaczął próbować chodzić. Co prawda, przy pomocy drewnianej laski, ale i tak był to duży postęp. Natalie de Lapierre bardzo przeżywała chorobę męża. Opiekowała się nim w dzień i w nocy. Ilekroć córka chciała ją zastąpić, niechętnie się na to zgadzała.

Od kilku dni hrabina de Lapierre zaczęła wprost tryskać radością. Zapewne dlatego, że jej wysiłek nie poszedł na marne. Wyzdrowienie męża było dla niej największą nagrodą.

Nastał początek lipca. Promienie słońca mocno grzały już od samego rana. Juliette uwielbiała taką pogodę. Dlatego też tego dnia postanowiła zjeść podwieczorek na tarasie. Popijając drobnymi łydkami letnią czekoladę, spoglądała bezmyślnie przed siebie.

Z rozmyślań wyrwał ją głos pokojówki.

— Jaśnie pani ma gościa.

— Któż to taki? — spytała zdziwiona.

— Pan Paul Duvalle.

— Wprowadź, proszę.

Za chwilę na tarasie pojawił się Paul. Przystojny jak zawsze.

— Co cię sprowadza? — spytała wyciągając do niego dłoń.

Paul nachylił się i pocałował jej dłoń, jak zwykle zatopiwszy wzrok w jej oczach.

— Usiądź, proszę — rzekła, wskazując mu stojący obok wiklinowy fotel.

— Bardzo proszę, Heleno, podaj jeszcze jedno nakrycie — zwróciła się do pokojówki.

— Czego się napijesz? — spytała Paula.

— Niech jaśnie pani nie robi sobie kłopotu — odparł.

Juliette spojrzała na niego dziwnie. On uśmiechnął się, a następnie puścił do niej oczko. Następnie zwrócił się do stojącej obok pokojówki

— Proszę podać mi to samo, co pani markizie.

— Jak sobie pan życzy — odparła, dygając nóżką i znikając za drzwiami.

Dosłownie za kilka minut przed Paulem stanęła taca, a na niej talerzyk z rogalikami oraz filiżanka z gorącą czekoladą.

— Wyborne — pochwalił, próbując pierwszy kęs rogalika.

— Wybacz, że jeszcze raz spytam: co cię sprowadza? Tak bez uprzedzenia?

— Właśnie wracam z Nicei.

— Taak? — zdziwiła się.

— Widziałem się z Armandem?

— Naprawdę? Opowiadaj. Dostałam kilka dni temu list od męża. Pisze, że niedawno wrócił do naszego pałacyku.

— Nie dziwi cię, że jest tak blisko i nawet cię nie odwiedzi?

— Przyznam, że też się nad tym zastanawiałam. Widać jest bardzo zajęty.

— Może tak, a może nie.

Juliette spojrzała na niego zaniepokojona.

— Co masz na myśli? Czy coś się stało? Któreś z dzieci zachorowało?

— Zapewniam, że do wczoraj wszyscy byli zdrowi. Myślę, że nie w tym rzecz.

— Nie mów do mnie tak zagadkowo, proszę.

— Wiesz, kogo zastałem w waszym pałacyku?

— Kogo?!

— Wyobraź sobie, że zagościła tam twoja teściowa, markiza de Beries oraz jej chrześnica, Antuanette.

Juliette spojrzała na Paula, nie wiedząc, o co mu chodzi? Przecież gdy spędzali wakacje w Ainay-le-Vieil, Antuanette prawie zawsze też tam była. Dlaczego więc teraz miałaby być zaniepokojona tym faktem?

— Co masz na myśli, mówiąc mi o tym?

— Może przejdziemy się po ogrodzie? — zaproponował.

— Chętnie rozprostuję nogi.

Paul podszedł do Juliette i podając dłoń, poprowadził schodami w dół.

Był piękny, słoneczny dzień. Na błękitnym niebie nie było ani jednego obłoczka. Juliette rozłożyła białą parasolkę, żeby osłonić twarz przed mocno operującymi promieniami. W powiewnej sukni w kolorze lodów waniliowych wyglądała bardzo dystyngowanie, a zarazem dziewczęco.

— Wybacz Juliette, ale to, co tam zaobserwowałem, nie wygląda dobrze — zaczął Paul. — Postanowiłem donieść ci o tym, ponieważ uważam cię za przyjaciółkę.

Mówiąc to, zrobił tak poważną minę, iż ciało Juliette przeszył dziwny dreszcz niepokoju.

— Byłem tam zaledwie trzy dni i to mi wystarczyło, żeby zauważyć, iż między Antuanette i twoim mężem zaczęło iskrzyć.

— Jesteś tego pewien? — spojrzała mu głęboko w oczy, jakby chciała przekonać się, czy mówi prawdę.

Dostrzegła wielki smutek w jego twarzy. Zrozumiała, że sprawa jest poważna, i w tym momencie poczuła, jak cały świat wiruje wraz z nią. Dobrze, że Paul chwycił ją pod rękę, uchroniwszy zapewne przed osunięciem się na ziemię.

— Usiądźmy tu, proszę — zaproponował.

Juliette, wsparta na jego dłoni, podeszła do stojącej obok ławeczki.

— Jesteś tego pewien? — powtórzyła po chwili. — Przecież Armand do tej pory nie przepadał za nią.

— Nie...? Może masz rację. Być może kiedyś tak było. Jednak obecnie sprawy mają się nieco inaczej. Dużo do myślenia dała mi rozmowa z nim trzy dni temu.

Spojrzała na niego badawczo.

— Armand zaproponował przechadzkę po parku. W pewnej chwili bardzo go zainteresowało jak się mają sprawy między mną a Antuanette. Trochę mnie to zdziwiło. Nie bardzo wiedziałem, o co mu chodzi. On wtedy spytał, czy na pewno się rozstaliśmy i czy już nic do niej nie czuję.

— Naprawdę, rozstaliście się? — zdziwiła się Juliette. — Dlaczego?

— Tak, wiem, że to wydaje się dziwne, ale... Wracając do tematu, odniosłem wrażenie, iż Armand chciał usłyszeć z moich ust, że Antuanette jest naprawdę wolna. Tak jakby chciał się upewnić, że nie będę miał do niego pretensji, gdy między nimi do czegoś dojdzie.

— Tak myślisz? — Juliette nie wierzyła w to, co usłyszała. — Odkąd ją znam, zawsze zalecała się do Armanda. Niekiedy miałam wrażenie, że mu się narzucała — dodała zamyślona.

— Doprawdy? — zdziwił się Paul.

— Gdy poznała ciebie, w końcu dała mu spokój.

— Najwyraźniej teraz sobie przypominała o byłej miłości.

— Ale przecież on zawsze ją ignorował. Miałam wrażenie, że jej nawet nie lubi.

— Znasz to powiedzenie, że od nienawiści do miłości krótka droga.

— Jesteś tego pewien? Może to tylko twoje subiektywne odczucie? Może Antuanette chce wzbudzić w tobie zazdrość, po tym, jak ją ostatnio potraktowałeś?

— Tak sądzisz? Też o tym myślałem. Właśnie dlatego tu jestem. Chciałbym, żebyś sama oceniła, czy ich coś łączy, czy nie. Może jest to tylko jej gra? Może rzeczywiście chce wzbudzić moją zazdrość. Ale postępowanie twojego męża bardzo mnie niepokoi. Zachowuje się tak, jakby w końcu docenił jej urodę.

— Aż trudno mi sobie to wyobrazić. Jesteś tego pewien?

— Uwierz mi, wolałbym, żeby to były tylko moje wybujałe wyobrażenia. Jednak obawiam się, że prawda jest gorsza, niż nam się obojgu wydaje. Wiesz, co powiedział mi Armand trzy dni temu?

— Zamieniam się w słuch — odparła zaniepokojona i zaciekawiona zarazem.

„Paul, jesteś moim przyjacielem i mam nadzieję, że tak pozostanie do końca życia. Nie chciałbym, żeby jakakolwiek kobieta kiedykolwiek nas poróżniła. Twoja przyjaźń znaczy dla mnie więcej, niż tysiąc kobiet.

— To miło z twojej strony — odparłem. — A co z Juliette? — spytałem.—

Sądziłem, że ją kochasz? Zapomniałeś o niej?

— Nie mógłbym, jest moją żoną.

Uśmiechnął się cynicznie i dodał po chwili.

— Znasz powiedzenie, panujące na dworze, jeszcze od czasów króla Ludwika XIV?

Spojrzałem na niego mocno zaniepokojony. Dobrze wiedziałem, co miał na myśli. Jednak udałem, że nie wiem, o co mu chodzi.

— Naprawdę nie słyszałeś tego? Na dworze królewskim mówi się, że sypianie z własną żoną, jest jak kazirodztwo”.

— Tak powiedział... — zdziwiła się Juliette. — Przecież zawsze krytykował arystokratów, którzy wyznawali takie zasady. Twierdził, że na dworze królewskim panuje rozpusta. Co mu się nagle stało?

Juliette spojrzała na Paula, a jej wzrok wyrażał wielki smutek.

— Podejrzewasz, że mają romans?

— Wszystko na to wskazuje.

— A co na to markiza?! — spytała po chwili.

— Przypuszczam, że o niczym nie wie. Zmogła ją jakaś choroba. Na tyle ciężka, że nie opuszcza swego łóżka od dłuższego czasu. Nie sądzę, żeby ktoś ze służby chciał dodatkowo obarczać ją takimi wiadomościami.

— Aż tak źle się czuje? Armand wspominał mi o tym w liście. Nie przypuszczałam jednak, że jej stan jest taki poważny.

— Może nie chciał cię martwić. A może podejrzewał, że gdy poznasz prawdę, zdecydujesz się przyjechać. Najwyraźniej, jest mu to nie na rękę.

— Dlaczego tak sądzisz? — zaniepokoiła się.

— Uwierz mi, Juliette, Armand zachowuje się zupełnie inaczej niż zazwyczaj. Wyobraź sobie, że zaczął nawet jeździć na polowania. Oczywiście w towarzystwie Antuanette.

— Co ty mówisz?! Odkąd zginął jego ojciec, czuł do nich wprost awersję.

— Wydaje się, że teraz je pokochał. Mniemam, że ona tak go odmieniła.

— Paul, czy nie przemawia przez ciebie zazdrość? — spytała, ciągle nie dowierzając jego słowom.

— Przyznam, że trochę mnie boli, gdy widzę, jak Antuanette przymila się do innego mężczyzny. Jednak bardziej niepokoi mnie to, że Armand robi wrażenie zachwyconego tą sytuacją.

— To wszystko brzmi niewiarygodnie! Nie było mnie w domu zaledwie miesiąc.

— A jednak.

Juliette posmutniała. Trudno jej było uwierzyć w słowa Paula. Aczkolwiek jaki miałby interes w tym, żeby ją okłamywać? Myśli galopowały jej w głowie, jak oszalałe. Co powinna zrobić? Ojciec jeszcze nie wrócił w pełni do zdrowia.

Jednakże zagrożone było jej małżeństwo.

— Co mi radzisz? — spytała, chociaż dobrze znała odpowiedź na to pytanie.

— Musisz wrócić. I to zaraz!

— Sądzisz, że jak przyjadę, wszystko wróci do normy? — spytała z niedowierzaniem.

— Zobaczymy. Jednak pamiętaj, wciąż jesteś jego żoną. Należy to ukrócić. Służba już zaczyna szeptać po kątach.

— Doprawdy?

— Niestety. Mam jednak wrażenie, że tych dwojga w ogóle to nie obchodzi.

Czy to możliwe?, zamyśliła się Juliette. Czy ta, która przez tyle lat nie mogła uwieść Armanda, w końcu osiągnęłaby swój cel?

— Czy sądzisz, że są kochankami? — spytała Paula.

— Tego nie wiem. Uważam jednak, że to tylko kwestia czasu. Dlatego powinnaś przyjechać, nawet jutro. Może nie wszystko stracone?!

— Skoro tak mówisz, zrobię, jak każesz. Zaraz napiszę list do Armanda. Chciałabym, żeby posłaniec wyjechał jeszcze dzisiaj. Powinien dotrzeć przed moim przyjazdem. Nie chciałabym zaskoczyć męża. To nie w moim stylu.

— A może właśnie powinnaś ich zaskoczyć. Proponuję, żeby posłaniec z listem dotarł chwilę po twoim przyjeździe.

— Co sugerujesz? Naprawdę chcesz, żebym ich zaskoczyła? — spojrzała na niego z niedowierzaniem.

— Proponuję, żebym to ja był tym posłańcem. Udam, że w zajeździe zostałem napadnięty i ograbiony. List ocaleje, oczywiście — mówiąc to, uśmiechnął się do niej zawadiacko.

— Muszę przyznać, że masz fantazję — roześmiała się, chociaż tak naprawdę wcale nie było jej do śmiechu.

* * *

Gdy Armand usłyszał odgłos końskich kopyt, odruchowo wyjrzał przez okno biblioteki. Jakież było jego zdziwienie, gdy ujrzał karetę z herbem hrabiostwa de Lapierre. W ciągu dosłownie kilku minut znalazł się na pałacowym dziedzińcu.

Juliette właśnie stąpała po stopniach opuszczonych przez stangreta.

Miała na sobie suknię z delikatnej tafty, w kolorze jasnego, pudrowego różu. Gorset, wyszywany rubinami oraz białymi perłami, podkreślał jej szczupłą talię. Dekolt obszyty koronką uwydatniał jej kształtne piersi. Szyję zdobiła tak modna ostatnio, czarna aksamitka. Taka sama aksamitka stanowiła wykończenie rękawów, sięgających zaledwie do połowy łokci. Głowę zdobił delikatny toczek w kolorze gorsetu, ozdobiony drobnymi różyczkami oraz białymi perłami. Armand spojrzał na Juliette i zaniemówił. Wyglądała zjawiskowo. Gdy podała mu swą dłoń, nie

mógł oderwać od niej wzroku. Jego uwagę zwróciły piękne loki, opadające na odkryte ramiona.

— Czy coś się stało? — spytał.

Juliette nic nie odpowiedziała. Uśmiechnęła się do męża. Widząc jego minę, domyśliła się, że osiągnęła swój cel. Chciała wyglądać olśniewająco i chyba jej się to udało. Dobrze wiedziała, że mężczyźni są wzrokowcami. Te ich opowieści o zaletach kobiecego serca oraz charakteru nijak się miały do ich postępowania. Tak naprawdę tracili głowy dla pięknych kobiet o pustym wnętrzu. Juliette dobrze o tym wiedziała. Pamiętała dobrze słowa mamy, że mężczyznę łatwiej jest zdobyć, niż go przy sobie zatrzymać. Czyżby teraz właśnie miała odczuć to na własnej skórze?

— Witaj najdroższa, pięknie wyglądasz.

— Dziękuję, kochanie — odpowiedziała, zatapiając uwodzicielsko wzrok w jego oczach.

— Chciałbym wiedzieć, jaki jest powód twego przyjazdu. Tak nagle, bez zapowiedzi.

— Bez zapowiedzi? — udała zdziwioną. — Jak to, nie pojawił się Paul z listem? Wczoraj wieczorem napisałam do ciebie.

— Przekazałaś list przez Paula? — spytał, najwyraźniej zaskoczony jej odpowiedzią.

— Musiało się coś stać?! Mam wyrzuty sumienia!

— Może wyślę kilku ludzi, żeby go poszukali? — Armand wydawał się mocno zaniepokojony.

Juliette nie wiedziała, co ma powiedzieć. Domyślała się, że Paulowi nic nie jest, ale przecież nie mogła być do końca tego pewna. Starła się zachować kamienną twarz, aby jej mąż nie nabrał podejrzeń.

— Chyba masz rację, będę spokojniejsza, gdy wyślesz kogoś na poszukiwania.

Armand podał jej dłoń i oboje udali się do pałacu.

— Jak czuje się twój ojciec? — spytał, gdy znaleźli się już w salonie.

— Dziękuję, czuje się dużo lepiej.

— To dobrze — z wyraźną ulgą odparł Armand.

W tym momencie do salonu wpadł mały Charles. Podbiegł do matki, krzycząc radośnie od samych drzwi.

— Mamo, mamo!

Juliette przykucnęła, żeby uściskać synka.

— Mamo, tak długo cię nie było.

— Nie martw się, teraz mama zostanie już z tobą.

W tym momencie pojawiła się opiekunka z Izabellą na rękach. Dziewczynka na widok mamy wyciągnęła do niej małe rączki.

— Chodź do mamusi — Juliette odebrała córeczkę z rąk opiekunki.

Dziewczynka przytuliła do mamy małą główkę. Juliette wzruszyła się. Poczuła napływające łzy. Nie zdawała sobie sprawy, że dzieci tak bardzo będą za nią tęskniły. W myślach przyrzekła sobie, że nigdy już ich nie zostawi, szczególnie na tak długo.

W tym momencie na dziedzińcu dało się słyszeć tętent końskich kopyt. Juliette i Armand spojrzeli na siebie. Jak na komendę oboje podbiegli do okna. To co ujrzeli, przeszło ich najśmielsze oczekiwania. Przybyły jeździec wyglądał na mocno poturbowanego, był obdarty i brudny. To był Paul. Juliette odetchnęła z ulgą. Jednak widząc go w tym stanie, przeraziła się nieco. Może naprawdę ktoś go napadł?

Nie minęło kilka minut, gdy Paul znalazł się już w salonie. Juliette podeszła do niego i spytała półgłosem, tak żeby inni tego nie słyszeli.

— Jesteś cały?

— Nic mi nie jest — puścił do niej dyskretnie oczko.

Następnie podszedł do przyjaciela i wręczył mu list, napisany przez jego żonę poprzedniego dnia. Armand przeczytał go dość pobieżnie. Następnie zwrócił się do Juliette dość oficjalnie.

— Wieczorem wydaję koncert. Mam nadzieję, że zaszczycisz nas swoją obecnością.

Juliette zrobiła zaskoczoną minę. Nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Czy powinna uczestniczyć w tej uroczystości? Czy raczej udać zmęczoną i pozostać w swych apartamentach? Spojrzała na Paula. Ten dał jej znak, kiwnąwszy głową. Jednak ona nie chciała podjąć decyzji zbyt pochopnie.

— Nie wiem. Muszę się zastanowić — odparła.

— Oczywiście — odpowiedział Armand, a następnie zwrócił się do przyjaciela. — Ciebie też oczekuję na wieczornym koncercie.

Spojrząwszy na obdarty strój Paula, dodał:

— Na pewno znajdziesz dla ciebie coś bardziej odpowiedniego w swojej szafie.

— Jak rozkażesz — zażartował Paul.

* * *

Jeszcze tego samego wieczora Juliette skierowała swe kroki do apartamentów Izabelli de Beries. To, co ujrzała, przeszło jej najśmielsze oczekiwania. Markiza leżała w łóżu blada i wychudzona.

— Zostaw nas same, proszę — zwróciła się do opiekunki, siedzącej obok w fotelu.

Ta posłusznie opuściła komnatę. Juliette podeszła bliżej.

— Jak się pani matka czuje? — spytała, siadając na brzegu jej szerokiego

łóża.

— Jestem bardzo słaba — cichym, ledwo słyszalnym głosem odpowiedziała markiza.

— Co powiedział medyk?

— Dokładnie nie wiem. Rozmawiał z Armandem. Ostatnio zajmuje się mną Antuanette. To ona rozmawia z medykiem na temat mojego zdrowia. Ona wie, jakie leki przyjmuję.

W tym momencie do sypialni weszła właśnie Antuanette. Najwyraźniej nie była zachwycona widokiem Juliette.

— Co tu robisz? — spytała z nadąsaną miną.

— A jak ci się wydaje?

— Rozumiem, że chciałaś zobaczyć, jak się mama czuje. Zaspokoiliś już swoją ciekawość?

Juliette spojrzała na Antuanette mocno zaskoczona. Od kiedy nazywa ona swą matkę chrzestną „mamą”? Nie było jej w domu tylko miesiąc, a już wszystko stanęło na głowie, pomyślała.

Nie miała jednak ochoty na próżne dyskusje, szczególnie teraz, godzinę po przyjeździe. Nic zatem nie odpowiedziała. Pożegnała się grzecznie i wyszła z pokoju, zostawiając teściową pod opieką jej kuzynki.

Po drodze do swych apartamentów spotkała na korytarzu Paula. Wyglądał o wiele lepiej, niż jeszcze pół godziny temu.

— Widzę, że się przebrałeś.

— Tak, Armand znalazł dla mnie coś odpowiedniego.

— Twarzowo ci w tym stroju — uśmiechnęła się.

— Ładnie będę się prezentować na dzisiejszym koncercie? Rozumiem, że również tam będziesz.

— Nie jestem pewna. Jestem trochę zmęczona.

Młodzieniec zmierzył ją przenikliwym wzrokiem.

— Nie uwierzę, że to prawdziwy powód. Według mnie, powinnaś tam być!

— Może masz rację. Armand mówił, że będą grali kompozycje Jana Sebastiana Bacha. Podobno repertuar ustalała Antuanette.

— Przecież lubisz Bacha.

— Trzeba obiektywnie przyznać, że ona ma dobry gust.

Po chwili namysłu dodała:

— Może powinnam jednak przyjść na ten koncert? W końcu też mi się należy trochę rozrywki.

— Wreszcie mówisz do rzeczy. Wiesz, co mi przyszło teraz do głowy?

Juliette spojrzała na niego zdziwiona.

— Uważam, że zrobiłabyś ogromne wrażenie na Armandzie, gdybyś założyła tę wyzywającą czerwoną suknię. Tę wyszywaną rubinami, z niezliczoną

ilością falbanek.

— Masz na myśli sukienkę, którą miałam na sobie ponad cztery lata temu?

— Dobrze wiesz, że wyglądałaś w niej oszalamiająco pięknie.

— Naprawdę..? — udała zdziwioną. — Nawet nie wiem, gdzie ją mam.

Paul przeszył ją wzrokiem. Juliette domyśliła się, że nie wierzy w jej zapewnienia.

— No dobrze... Niedawno, zupełnie przypadkiem, natknęłam się na nią w skrzyni na poddaszu. Trzeba ją jednak odświeżyć.

— Świetnie! Poproś pokojówkę, żeby przygotowała suknię na dzisiejszy wieczór.

— Nie wiem, czy zdąży. Do rozpoczęcia koncertu pozostała zaledwie godzina.

— W takim razie pojawisz się dopiero na drugiej części. Może to i lepiej. Będą całkowicie zaskoczeni.

— Masz na myśli Armanda i Antuanette.

Po krótkim namyśle dodała:

— To nie w moim stylu.

— Chcesz go odzyskać czy nie?! — oburzył się Paul. — Jeśli tak, musisz walczyć, nie przebijając w środkach.

— Mam się zniżyć do jej poziomu? — spytała z niedowierzaniem.

— Wiem, to nie w twoim stylu — uśmiechnął się. — Jesteś kobietą z klasą. Myślę, że dobrze o tym wiesz. Poza tym, jesteś markizą, a ona tylko córką barona. Pamiętaj o tym.

— Myślisz, że dla Armanda ma to jakiegokolwiek znaczenie?

— Chodziło mi o to, że przewyższasz ją pod każdym względem. Pamiętaj też, że jesteś wciąż jego prawowitą małżonką. Najważniejsze jest jednak to, że Armand nadal cię kocha.

— Naprawdę tak uważasz? — spytała z niedowierzaniem.

— Jestem tego pewien. Nie można się odkochać z dnia na dzień. Użyj swoich wdzięków, a zapomni o niej.

Juliette spojrzała na Paula trochę zakłopotana.

— Nie wiem, czy potrafię jeszcze uwodzić mężczyzn. To mężczyźni zazwyczaj zabiegali o moje względy.

— Musisz się postarać. Nie uwierzę, że nie potrafisz kokietować! Gdyby naprawdę tak było, nie otaczałyby cię tłumy wielbicieli. Dobrze wiesz, że ja też się do nich zaliczam.

— Czyżby? — spytała lekko zdumiona.

— Nie rozumiem, co cię tak dziwi, Juliette.

Mówiąc to, patrzył prosto w jej turkusowe oczy. Tak jakby jej zdziwienie sprawiało mu przyjemność.

— Dla mnie jesteś ideałem kobiety. Piękna, inteligentna, wrażliwa na ludzką krzywdę.

Słyszając tyle pochwał, spłoniła się nieco i spuściła skromnie oczy.

— Tylu komplementów chyba nigdy nie słyszałam.

— To błąd. Powinnaś być obsypywana komplementami, prawie codziennie.

— Przestań, Paul, bo niedługo będę czerwona, jak suknia, którą mam dziś założyć.

— Dobrze, już przestanę — roześmiał się.— Nie udawaj jednak, że nie jesteś świadoma tego, jak działasz na mężczyzn. Czyż nie zauważyłaś, że jestem niemal na każde twoje skinienie?

Uniosła głowę i spojrzała w jego błękitne oczy. Ich spojrzenia skrzyżowały się.

— Jestem twoim oddanym przyjacielem. Gdyby nie to, że skradłaś serce memu bratu i że jesteś żoną mojego najlepszego przyjaciela...

— Nie kończ, proszę — przerwała mu w pół zdania.

— Chciałbym, żebyś jednak wiedziała, że cokolwiek się stanie, zawsze możesz liczyć na moją pomoc.

— Dziękuję — odparła skromnie.

— Nie będę już zabierał twego cennego czasu. Przyjdę pod koniec pierwszej części. Pamiętaj, musisz wyglądać pięknie. I jeszcze jedno. Nie zakładaj peruki. Dużo lepiej do tej sukni pasują twoje naturalne włosy — dodał stojąc już w drzwiach.

Juliette spojrzała na niego pełna podziwu. Czyżby tak dobrze znał się na modzie? Po drugie, aż tak dobrze zapamiętał ją na balu cztery lata temu?

* * *

Gdy Juliette pojawiła się na sali pełnej gości, wszystkie oczy zwróciły się w jej kierunku. Dobrze, że towarzyszył jej Paul. Jego obecność dodawała jej śmiałości oraz pewności siebie. Widziała, jak wszyscy przestali rozmawiać i spojrzeli w ich stronę. Udając, że nic sobie z tego nie robi, kroczyła śmiało, witając gości delikatnym uśmiechem oraz skinieniem głowy.

Armand stał w towarzystwie Antuanette, prawie na drugim końcu sali. Gdy ujrzał żonę, nie krył zaskoczenia. Tym bardziej, że Juliette miała na sobie pamiętną czerwoną suknię. Jednak większość gości, znajdujących się na sali, widziało młodą markizę w tym stroju dopiero po raz pierwszy.

Armand wydawał się jednak zmieszany pojawieniem się małżonki. Najwyraźniej sądził, że skoro nie pojawiła się przed rozpoczęciem koncertu, nie pojawi się już w ogóle. Antuanette nawet nie kryła niezadowolenia na widok Juliette.

— Jednak zdecydowała się przyjść — zwróciła się do Armanda.

— No cóż, wybacź Antuanette. W dalszej części koncertu będzie musiał towarzyszyć ci Paul. Przecież to moja żona.

— Po moim trupie! — oburzyła się.

— Nie ma takiej potrzeby — zażartował Armand, żegnając młodą pannę

— Pięknie wyglądasz — zwrócił się do Juliette.

— Dziękuję — odparła.

— Twoja małżonka długo wahała się, czy powinna uczestniczyć w tej uroczystości — oznajmił Paul. — Chyba nie będziesz miał do mnie pretensji, że ją namówiłem?

— Ależ nie — odparł Armand, chociaż mina jego nie wyrażała zachwytu.

— Nie cieszysz się, kochanie? — spytała Juliette.

— Ależ skądże, bardzo się cieszę, widząc cię tutaj — odparł Armand — Proszę, zasiądź u mego boku.

Po czym zwrócił się do Paula.

— Mam do ciebie prośbę, przyjacielu. Czy mógłbyś towarzyszyć Antuanette w dalszej części koncertu?

— Z największą przyjemnością — odparł młodzieniec, skinąwszy głową na znak aprobaty, chociaż tak naprawdę nie był zachwycony tym pomysłem.

Armand podał dłoń żonie i poprowadził ją do jednego z dwóch foteli, stojących na samym przedzie widowni. Juliette, najdyskretniej, jak tylko potrafiła, odwróciła głowę, chcąc zobaczyć minę Antuanette.

— Szukasz kogoś? — spytał Armand.

— Nie, skądże — odparła, lekko zaskoczona jego spostrzegawczością.

W końcu ujrzała młodą baronównę, przedzierającą się przez tłum gości. Najwyraźniej opuszczała salę, nie chcąc spotkać się z Paulem.

Tego dnia Juliette triumfowała. Nie czuła jednak wewnętrznej satysfakcji. Nie zależało jej na tym, żeby rozżłościć i poniżyć rywalkę. To, czego naprawdę pragnęła, to odzyskać Armanda. Wiedziała jednak, że to nie jest takie proste.

— Jak znajdujesz utwory tego mistrza? — spytał Armand przyciszonym głosem, żeby nie przeszkadzać innym gościom.

— Twoja matka jest ciężko chora, a ty uprzyjemniasz sobie czas koncertami.

— Słyszałem, że nie jest z nią aż tak źle.

— Słyszałeś? Od kogo?

— Od Antuanette.

Juliette zmierzyła go wzrokiem pełnym pretensji.

— Widziałam dzisiaj twoją mamę. Jest ciężko chora i bardzo źle wygląda.

— Nie wiedziałem, że jest aż tak źle.

— Dobrze byłoby, żebyś więcej czasu poświęcał matce, a nie rozrywce.

- Wybacz, nie przypuszczałem, że sprawa jest tak poważna.
- Chciałabym, żebyś jutro wezwał medyka.
- Z tego, co wiem, niedawno był, ale skoro prosisz...
- Chciałabym jutro dowiedzieć się więcej o stanie zdrowia twojej matki z pierwszej ręki.

Armanda bardzo zdziwił stanowczy ton małżonki.

24. Walka o wpływy

Następnego dnia, na wyraźne życzenie żony, Armand wezwał medyka.

— Niepokoi mnie ten zupełny brak sił pani markizy — oznajmił lekarz przyciszonym głosem, prawdopodobnie nie chcąc, by chora go usłyszała.

— Właśnie dlatego pana wezwałam — odparła Juliette.

— Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, co tak naprawdę dolega pani teściowej. To długotrwałe osłabienie, te zawroty głowy... Bardzo mnie to niepokoi. Kilka dni temu było dużo lepiej. Dziwię się, dlaczego nikt do tej pory mnie nie wezwał. Nie chcę wyciągać pochopnych wniosków, ale wygląda mi to na przewlekłe zatrucie.

Juliette spojrzała przerażona. Kto mógłby coś takiego zrobić? Przecież Armand i François przepadali za matką. Komu miałoby zatem zależeć na jej śmierci?

— Może źle toleruje to lekarstwo? — spytała, podchodząc do maleńkiego stolika. — Wczoraj wieczorem widziałam, jak przyjmuje jakąś miksturę.

— Tak, przepisałem lek odksztuszający wydzielinę z oskrzeli, gdyż pani markiza była przeziębiona. Nie widzę jednak potrzeby stosowania go dłużej — odparł lekarz.

Po chwili jednak, jakby dopiero teraz dotarło do niego, co powiedziała Juliette, dodał.

— Wieczorem, o której godzinie?

— Nie pamiętam. Odwiedziłam mamę zaraz po przyjeździe. Mogło być około siódmej.

— To za późno! Prosiłem, żeby nie podawać tego leku po godzinie piątej po południu.

Juliette spojrzała lekko zszokowana zdenerwowaniem medyka. Wyglądało, jakby ktoś lekceważył jego zalecenia.

— Czy tylko ten jeden lek zalecił pan pani markizie?

— Tak. Nie było potrzeby stosowania czegokolwiek innego. To jest lek wykrztuśny. Chciałem, żeby oczyścił oskrzela z zalegającej wydzieliny.

— To dziwne... — zamyśliła się Juliette.

Nie chciała jednak martwić medyka swymi spostrzeżeniami.

— Postanowiłam, że skoro już tu jestem, teraz ja przejmę opiekę nad mamą — dodała po chwili namysłu.

— To dobrze, do jasnie pani mam większe zaufanie.

Spojrzał na leżącą w łóżku markizę.

— Martwi mnie to dziwne osłabienie. Powinna dostawać coś na wzmocnienie.

Proszę podawać dużo miodu oraz owoców cytrusowych. Do picia ciepłą czekoladę. Sądzę, że już za kilka dni powinna nastąpić znaczna poprawa.

* * *

Juliette wolała spędzać czas w apartamentach markizy, niż patrzeć na umizgi Antuanette i Armanda. Tym bardziej, że pod jej okiem zdrowie teściowej wyraźnie się poprawiało. Gdy po tygodniu markiza odzyskała siły, Juliette wezwała Antuanette.

— Czy widzisz, to co ja? — wskazała na siedzącą w fotelu Izabellę de Beries.

— Gratuluję. Widzę, że udało ci się postawić matkę chrzestną na nogi.

— Proszę, wyjdźmy, chciałabym zamienić z tobą kilka słów na osobności.

Antuanette spojrzała na nią zdziwiona. Jednak bez słowa sprzeciwu wykonała polecenie Juliette.

— Nie udawaj, że nie rozumiesz, o co mi chodzi. Dobrze wiem, że w tej miksturze musiałaś podawać coś, co zaszkodziło zdrowiu markizie.

— Skąd ci to przyszło do głowy? — spytała Antuanette, jednak minę miała nietęgą.

— Skąd?! Zaraz ci powiem! Medyk powiedział, że ostatnia dawka lekarstwa powinna być podawana o piątej po południu. Inaczej chora mogłaby się udusić w czasie snu. Gdy zajrzałam tu po koncercie, a było już po dziesiątej w nocy, podawałaś jakiś lek.

— Musiało ci się coś przewidzieć.

— Nie kłam! Dobrze wiem, co widziałam. Nie wiem, co jej podawałaś. To nieważne, i tak się nie przyznasz.

Antuanette zrobiła niewinną minę. Jednak Juliette nie dała się na to nabrać.

— Nie wiem, jakich sztuczek używasz, uwodząc Armanda, ale radzę ci zaprzestać tego.

— Nie stosuję żadnych sztuczek. Nie możesz zrozumieć, że się już tobą znudził.

— Znudził się?! Tak mówisz, jakbym była jakąś zabawką, a nie jego żoną. To do niego niepodobne. Nie wiem, co mu zrobiłaś. Chwilami mam wrażenie, że zastosowałaś jakieś czary. Gdzie się podział mój kochający Armand?

— Sama widzisz, jak bardzo cię kochał. Wystarczył jeden miesiąc, i co? Miłość prysła.

— Co mu zrobiłaś?! Co mu dałaś?! — Juliette ledwo panowała nad sobą.

— Jaa??? — Antuanette zrobiła niewinną minę.

— Podtruwałaś markizę, może jemu też coś dolewałaś do wina?!

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

— Naprawdę tak sądzisz? Gdybym miała taki napój, który mogłabym podać mężczyźnie, żeby stracił dla mnie głowę, byłabym już żoną króla.

Juliette zmierzyła ją wzrokiem. Może rzeczywiście niesłusznie ją posądzała?

— Może trochę poniosła mnie fantazja — przyznała. — Tak czy inaczej, życzyłabym sobie, żebyś jak najszybciej opuściła mój pałac.

— Nie ty mi będziesz wydawać rozkazy!

Juliette zdziwił jej arogancki ton. Znała dobrze tę dziewczynę, jednak tego się po niej nie spodziewała.

— Dobrze, poczekajmy do wieczora. Armand dzisiaj powinien już wrócić. Podobno wyjechał tylko na dwa dni.

Antuanette tylko wzruszyła ramionami. Juliette podeszła do niej i patrząc prosto w oczy, powiedziała.

— Jeśli nie chcesz, żeby Armand dowiedział się o tej rozmowie, dobrze ci radzę, opuść jak najszybciej nasz pałac.

* * *

Kiedy następnego dnia Juliette zeszła na poranny posiłek, ku jej zaskoczeniu Armand i Antuanette siedzieli już przy stole. Chociaż widok ich obojga bardzo ją wzburzył, postanowiła nie okazywać tego.

— Wybieramy się na polowanie. Może pojedziesz z nami? — spytał Armand.

— Dobrze wiesz, że nie przepadam za takimi rozrywkami — odpowiedziała obojętnym tonem. — Dziwię się, że tobie zabijanie bezbronnych i przerażonych zwierząt zaczęło sprawiać przyjemność. Zupełnie cię nie poznaję.

W głębi duszy zrobiło się jej przykro, że Armand zmienił się tak bardzo, zaledwie w ciągu kilku tygodni. I to za sprawą kobiety, którą do tej pory ledwo tolerował. Zrozumiała, że nie doceniała sprytu i przebiegłości Antuanette. Nie przypuszczała, że potrafi być tak zdeterminowana i bezkompromisowa w dążeniu do celu. Był czas, kiedy uważała ją za przyjaciółkę. Zwierzała się jej, a ona wykorzystwała to przeciwko niej. Teraz już wiedziała, nie ma przyjaźni między kobietami, szczególnie jeśli chodzi o tego samego mężczyznę.

Siedząc przy stole, Juliette obserwowała zachowanie obojga. Widziała uwodzicielskie spojrzenia baronówny oraz szczęśliwą minę męża. Mając już dosyć tego widoku, wstała od stołu, pozostawiając niedokończone śniadanie.

Jednak los sprawił, że tego dnia spotkała ją miła niespodzianka. Właśnie siedziała w salonie, czytając „Skąpca” Moliера, gdy pokojówka zapowiedziała przybycie gościa. Okazało się, że znowu odwiedził ich Paul Duvalle.

— Stęskniłeś się za naszym towarzystwem? — spytała, wyciągając dłoń do pocałunku.

— Może nie za wszystkimi — spojrzał na nią tak uwodzicielsko, że aż się spłoniła.

— Rozumiem, że tak naprawdę przyjechałeś do Armanda.

— I tak, i nie — odparł.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytała zdziwiona.

Paul nie zdążył nic odpowiedzieć, gdy do salonu wbiegli rozbawieni Armand i Antuanette. Widząc Juliette w towarzystwie Paula, nagle zamilkli. Baronówna wydawała się niezbyt zachwycona pojawieniem się gościa. Spojrzała na młodzieńca z wyraźnie nadąsaną miną. Armand natomiast robił wrażenie ucieszonego widokiem przyjaciela.

— Miło cię widzieć.

Mężczyźni padli sobie w objęcia.

— Rozumiem, że zabawisz tu kilka dni.

— Jeszcze nie wiem.

— Tak czy inaczej, zapraszam na wieczerzę. Na pewno jesteś głodny po podróży.

— Jak byś zgadł.

Po posiłku całe towarzystwo zebrało się w salonie. Armand i Antuanette, siedząc obok siebie na fotelach, szczebiotali jak dwa gołąbki. Rozmawiali jednak na tyle cicho, że siedzący kilka metrów dalej nie słyszeli dokładnie wypowiedzianych przez nich słów.

Antuanette zerkała od czasu do czasu w stronę Paula. Wyglądało to tak, jakby chciała się upewnić, czy widzi jej zadowoloną minę.

Juliette była już oswojona z tym widokiem, natomiast Paul najwyraźniej jeszcze nie.

— Może przejdziemy się po ogrodzie — zaproponował, robiąc wrażenie znudzonego siedzeniem w domu.

Juliette odebrała to jako wybawienie z niekomfortowej sytuacji.

— Rzeczywiście, grzechem jest siedzenie w domu w tak piękną pogodę — odparła.

Po chwili powiedziała na tyle głośno, żeby wszyscy obecni dobrze ją usłyszeli.

— Pozwolicie, że zaczerpniemy świeżego powietrza.

Armand wydawał się mocno zaskoczony. Juliette bardzo to rozśmieszyło.

— Widziałeś minę mojego męża? — spytała, gdy byli już na tarasie.

— Widziałem. Wnioskuje, Juliette, że mu jeszcze na tobie zależy.

— Tak sądzisz?

— Znam się trochę na tym.

Nic nie odpowiedziała. Poprowadziła swego gościa schodami w dół. Za chwilę znaleźli się na szerokiej alejce. Po obu jej stronach rozpościerał się zielony

trawnik. Na nim, między wielkimi kulami z bukszpanu, stały białe posągi, przedstawiające starożytnych bożków z czasów świetności Grecji oraz Rzymu. W głębi, na trawniku, kwitły storczyki oraz oleandry.

Przeszli dalej. Po obu bokach rosły krzewy migdałowca. Jaskrawo różowy odcień jego kwiatów, niemal raził w oczy. Nad wszystkim górowały rozłożyste palmy.

Przez pewien czas szli w milczeniu. Juliette podziwiała posadzone tu rośliny.

Nagle jej wzrok padł na krzew białego oleandra. To, co zobaczyła, dało jej dużo do myślenia. Zauważyła, że jedna z gałązek została obcięta. Podeszła bliżej. Zaczęła przyglądać się dokładnie całej roślinie. Obciętych gałązek, było dużo więcej.

— Co robisz? — spytał Paul, podchodząc do niej.

— Nic takiego? Podziwiam te kwiaty, które są piękne, ale też niebezpieczne.

— Chodzi ci o dzieci? — spytał. — Przecież nie biegają po ogrodzie bez opieki. Zresztą, wążanie oleandrów, nawet dotykanie ich kwiatów nie jest trujące. Trujący jest dopiero sok z tej rośliny.

— Doskonale o tym wiem. Jak myślisz? — dodała po chwili, — czy ogrodnik obciąłby ten krzew na takiej wysokości?

— Nie mam pojęcia.

— Pomyśleć, że krzewy oleandra można znaleźć tu, na wybrzeżu Morza Śródziemnego, niemal na każdym skwerze... — zamyśliła się.

— Nie rozumiem do czego zmierzasz?

— Chyba znalazłam odpowiedź na nurtujące mnie pytanie. Powinnam kazać ogrodnikowi usunąć te krzewy.

— Co to da? Sama przed chwilą przyznałaś, że w tych okolicach, rosną prawie wszędzie.

— Może masz rację? Przemyślę to. Chodźmy dalej.

Paul posłusznie wykonał jej polecenie. Tego dnia Juliette miała na sobie suknię z powiewnego szyfonu, w kolorze zgaszonego różu. Górę stanowił obcisły gorset, ozdobiony drobnymi perełkami. Okazały dekolt, obszyty jedwabnymi różyczkami, podkreślał jej kształtne piersi. Szyję zdobiła czarna aksamitka, wyszywana perłami.

Wyglądała tak ładnie, że Paul nie mógł wprost oderwać od niej oczu. Ponieważ był to środek lipca, powietrze było nagrzane pomimo późnego wieczoru. Cały ogród skąpany był w pomarańczowo–czerwonych promieniach słońca.

— Nawet nie wiedziałam, że o tej porze jest tu tak pięknie — powiedziała, rozglądając się dookoła.

— Domyślam się, że zachody słońca podziwiasz tylko ze swego okna — odparł Paul, uśmiechając się. — W końcu wyciągnąłem cię z domu. Mam do zakomunikowania ważną wiadomość. Wolałbym, żeby nie wszyscy o tym

wiedzieli... Przynajmniej na razie.

— Czyżbyś miał mi do przekazania jakąś tajemnicę?

— Może nie jest to tajemnica, ale wolałbym, żebyśmy byli sam na sam przy tej rozmowie.

— Zabrzmiało to tak poważnie, że aż się boję spytać, co chcesz mi powiedzieć.

— Przyjechałem, żeby się pożegnać.

— Pożegnać?! — spojrzała na niego, nie dowierzając temu, co usłyszała.

— Tak. Wyjeżdżam do Ameryki Północnej.

— Do Ameryki?! Przecież to na końcu świata.

— Właśnie. Im dalej, tym lepiej.

— Kochasz ją jeszcze, prawda?

— Sądzisz, że to przez Antuanette?

— Przecież wiem, i ty to wiesz.

Paul zamyślił się. Może rzeczywiście nie chciał się przyznać do tego, że nadal kocha baronównę. Nawet nie dopuszczał do siebie takiej myśli. Stali przez dłuższą chwilę, spoglądając sobie w oczy. On objął jej drobne dłonie, następnie przyłożył do swego serca. Zatopiwszy wzrok w jej seledynowych oczach, powiedział:

— Gdyby inne kobiety, były takie jak ty, Juliette.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytała nieśmiało.

— Nie mówiłem ci nigdy, że dla mnie jesteś ideałem kobiety. Piękna, wrażliwa, inteligentna.

Zaczerwieniła się lekko, słysząc tyle komplementów pod swym adresem. Lubiła towarzystwo Paula. Przy nim zawsze zapominała o troskach dnia codziennego. Zawsze uśmiechnięty, zadowolony z życia, pełen energii. Teraz stał przed nią pogrążony w smutku. Jakże niepodobny do tego, którego znała i którego towarzystwo wprost uwielbiała. I chociaż przez całe życie wzdychała do Pierre'a, nie wyobrażała sobie spotkań na wieży bez Paula. Te spotkania już nigdy nie będą takie jak dawniej, pomyślała. Zrozumiała, że kończy się najwspanialszy rozdział w jej życiu, a ona nic nie może na to poradzić. Poczowała, jak do jej oczu, zaczęły napływać łzy. Paul spojrzał na nią. Zauważywszy jej szkliste oczy, posmutniał jeszcze bardziej.

— Nie płacz proszę — powiedział przytulając ją.

— Wybacz, ale to jest silniejsze ode mnie.

Łzy zaczęły spływać po jej policzkach. Paul, zorientowawszy się, że nie ma ona przy sobie żadnej chusteczki, wybawił ją z opresji. Wyjął chusteczkę i wręczył ją Juliette.

— Dziękuję — rzekła, wycierając łzy.

Trzymając chusteczkę w dłoniach, teraz dopiero, zaczęła się jej dokładniej

przyglądać.

— To jest chusteczka, którą otrzymałeś ode mnie.

— Tak jak kazałaś, zawsze mam ją przy sobie.

Poczuła się dziwnie nieswojo. Przypomniała sobie, jak przekonywała Paula i Pierre'a, że powinni zawsze nosić przy sobie przynajmniej jedną z tych chusteczek. Czuła się, jak ktoś kto popełnił jakieś wykroczenie. Młodzieniec zauważył jej zmieszaną minę. Stali przez dłuższą chwilę, wpatrzeni w siebie. On, chcąc dać jej znak, że nic takiego się nie stało, ujął jej dłoń i przyłożył do swych ust. Widać było, że sprawił jej tym dużą przyjemność. Wpatrzona w jego błękitne oczy, zaczęła gładzić go czule po policzku.

— Nie płacz proszę, Juliette — szeptał.

— Obiecuj mi, że nie zostaniesz tam na zawsze. Obiecuj, że wrócisz, proszę.

Zrozpaczona, wtuliła się w jego ramiona. Już nic nie będzie takie samo jak dawniej. Walił się jej cały dotychczasowy świat.

Paul nie przypuszczał, że będzie aż tak to przeżywała. Całe szczęście, że jesteśmy daleko od domu, pomyślał. Stojąc na środku ogrodu, czuli się bezpiecznie, z dala od wścibskich oczu innych ludzi. Zresztą, wcale o tym nie myśleli. Szczególnie Juliette. Grunt walił się jej pod nogami. Tak przynajmniej to odczuwała. Armand już jej nie kochał, a teraz dowiedziała się, że jej najlepszy przyjaciel, wyjeżdża na koniec świata. To było ponad jej siły. Wtulona w pierś Paula, szlochała. On, mocno zaskoczony, starał się ją pocieszyć, jednak nie bardzo wiedział jak.

— Uspokój się proszę, Juliette. Oczywiście, że wrócę.

Ona nie reagowała. Przytulona do niego, płakała coraz mocniej.

— Wracajmy już, robi się późno — odezwał się, zachowując zdrowy rozsądek.

— Tym lepiej, w ciemnym pomieszczeniu nie będzie widzieć mych zaczerwienionych oczu.

* * *

Tymczasem Armand, mocno podenerwowany przechadzką Juliette w towarzystwie Paula, pożegnał się pospiesznie z Antuanette, udając się do swych apartamentów. Z okna swej sypialni, miał świetny widok na niemal cały ogród. To, co zobaczył, przeszło jego najśmielsze oczekiwania. Ujrzał swą żonę przytuloną do Paula. Trzymała głowę na jego piersi, a on obejmował ją swym ramieniem i gładził po długich włosach. Nie sądził, że będzie aż tak bardzo zazdrosny. Czuł się bezradny.

Nagle, skojarzył sobie, że skoro on ich widzi, równie dobrze mógłby zauważyć to samo ktoś ze służby. Zaczął chodzić po pokoju, zupełnie wytrącony

z równowagi.

Już chciał zejść na dół, iść do ogrodu, gdy usłyszał jakieś głosy w salonie.

— Odprowadź mnie na górę — usłyszał głos Juliette.

— Jak sobie życzysz — odparł Paul.

Gdy znaleźli się przed drzwiami buduaru, zatopiwszy wzrok w jej oczach, pocałował jej dłoń.

— Dobranoc Juliette.

— Nie przyglądaj mi się aż tak. Na pewno mam czerwone oczy, przecież płakałam.

— Masz piękne, błyszczące oczy.

— To dlatego, że jest tu tak ciemno — odparła nieco zmieszana.

— Jesteś piękna jak zawsze i sędzę, że dobrze o tym wiesz.

Ujął jej dłoń, pocałował, a następnie przyłożył do swego serca.

— Przestań prosić, bo się czerwienię — odpowiedziała, skromnie spuszczać oczy.

— Chciałem przez to powiedzieć, że zawsze pozostaniesz w moim sercu.

— Ty też — odpowiedziała.

Nie ukrywała, że dzięki adoracji Paula, czuła się znowu piękna i pożądana. Brakowało jej tego. W końcu poczuła się stuprocentową kobietą.

— Dobranoc, wybacz, jestem trochę zmęczona — odpowiedziała skromnie.

— Śpij dobrze — odparł uśmiechając się zalotnie.

Juliette zamknęła drzwi. Rozmarzona, oparła się o nie, analizując w myślach słowo po słowie rozmowę z Paulem. Nie знаła go od tej strony. Co prawda, Pierre kiedyś wspominał, że to uwodziciel, ale tak naprawdę nigdy nie dotyczyło to jej osoby.

W tym momencie usłyszała pukanie. Uzmysłowała sobie, że nadal trzyma w dłoni chusteczkę Paula. To na pewno on, pomyślała.

— Wiem, zapomniałam zwrócić ci chusteczkę — powiedziała, otwierając drzwi.

Zamurowało ją. W drzwiach stał Armand.

— Ach, to ty — dodała, nieco zmieszana.

Jej mąż najwyraźniej nie był zachwycony tą pomyłką.

— Mogę wejść? — spytał.

— Tak, proszę.

Wszedł do pokoju i szybkim krokiem zaczął przemierzać pomieszczenie tam i z powrotem. Juliette spoglądała na niego zdziwiona, czekając na wyjaśnienia.

— Co cię sprowadza o tak późnej porze?

— O czym rozmawiałaś z Paulem? — spytał stanowczym głosem.

— Czy ja cię pytam, o czym całymi dniami rozmawiasz z Antuanette?

— Więc to jakaś tajemnica? — odparł niezadowolony.

— Jestem pewna, że Paul na pewno cię o tym poinformuje, jeśli uzna to za stosowne.

Widać było, że w Armand z trudnością stara się zachować spokój. Umiał jednak panować nad emocjami.

— Tak naprawdę nie interesuje mnie o czym rozmawialiście — odpowiedział, starając się, żeby jego głos brzmiał bardzo spokojnie. — Wolałbym jednak, abyś następnym razem robiła to bardziej dyskretnie.

Juliette spojrzała na niego zdumiona. Jak śmie robić jej wyrzuty, jakby sam był bez winy. On stanął naprzeciwko niej i zatopiwszy wzrok w jej granatowych oczach, mówił dalej:

— Nie wystarczy, że skradłaś serce moje i Pierre'a, jeszcze musiałaś omotać Paula?

— Co ty mówisz?! — zdziwiła się.

Bardzo zaskoczyły ją te słowa. Czyżby zbyt łatwo okazywała emocje? Uniosła dumnie głowę, żeby móc spojrzeć mu oczy. On, z kamienną twarzą, odparł:

— Nie zaprzeczaj, widziałem was przed chwilą, razem.

— Jesteś zazdrosny?

Nic nie odpowiedział. Usiadł na szezlongu. Wpatrzony przed siebie, wydawał się zupełnie nieobecny. Jakby błądził myślami gdzieś daleko. Usiadła obok niego.

Od jakiegoś czasu nie poznawała swego męża. Gdzie się podział jej dawny czuły Armand? Ten, który ją rozpieszczał, dla którego była najważniejszą osobą na świecie. Siedział obok niej ktoś zupełnie inny, oschły i podejrzliwy. Nie ufał jej, posądzał bezpodstawnie o romans. Bardzo ją to bolało. Wiedziała, że jest niewinna. Jak miała mu to udowodnić? Domyślała się, że stało się to za sprawą Antuanette. Czuła się jednak bezradna. Nie przypuszczała, że kiedykolwiek nastanie taka chwila, gdy będzie musiała z nią konkurować.

Chociaż nie chciała, łzy same pchały się jej do oczu. Wiedziała, że płacz to oznaka słabości, ale nie potrafiła ich zatrzymać. Właśnie teraz tak się czuła: słaba i bezsilna.

Armand widząc łzy napływające jej do oczu, z minuty na minutę miękł.

Jeszcze przed chwilą, wydawał się bardzo wzburzony. Teraz, już zupełnie opanowany, siedząc obok, objął ją ramieniem. Nawet się nie wyrywała, najwyraźniej zadowolona z takiego obrotu sprawy.

— Czy dowiem się w końcu, o czym rozmawiałaś z Paulem? — szepnął jej czule do ucha.

Juliette wyrwała się z jego objęć.

— Już ci mówiłam! Twój przyjaciel na pewno poinformuje cię, jeśli uzna to za stosowne.

— Musiało to być coś bardzo osobistego.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Staliście przytuleni, zupełnie jak zakochani.

— Dobrze wiesz, że mnie i Paula nic nie łączy.

— Myślisz, że w to uwierzę?! Obściskiwaliście się, stojąc na środku ogrodu.

Skoro ja was widziałem, inni też mogli to zauważyć. Jutro cały pałac będzie aż huczał od plotek.

— Kto by pomyślał, że tak bardzo dbasz o pozory? Gdy flirtujesz z młodą baronówną, jakoś nie przeszkadza ci to. Powiem więcej, oboje się z tym nie kryjecie!

Wiedział, że ma rację, jednak nie chciał się do tego przyznać. Przecież nie po to tu przyszedł. Nie mógł znieść, że jego żona jest obiektem westchnień innego mężczyzny. Nawet nie przypuszczał, że będzie go to tak bolało. Sądził, że już jej nie kocha, w każdym razie, nie tak jak dawniej. Jednak teraz wiedział, że się mylił. Widząc niezadowoloną minę Juliette, postanowił załagodzić napiętą sytuację. Znowu przytulił ją.

— Przestańmy się kłócić — powiedział do niej czułym głosem.

— To ty wszczynasz kłótnie. Przyszedłeś do mnie, żeby mi robić wymówki?!

— Nie... — odparł. — Przyszedłem, bo tęskniłem za tobą.

— Bardzo! Koncerty, bale, polowania! Umierałeś z tęsknoty! — odpowiedziała, odsuwając się od niego.

— Nie osądzaj mnie tak surowo. Sama też nie jesteś ideałem.

Spojrzała na niego ze złością. Jakim prawem tak do niej mówił?

— Przyszedłeś, żeby mi to powiedzieć? Przyznaj się, zdradziłeś mnie z nią.

Spuścił oczy, wyraźnie unikając jej spojrzenia.

— Spałeś z nią!? — krzyczała jak oszalała.

— Uspokój się, kochanie.

Widać było jednak, że unika jej wzroku. Juliette wstała i zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. Cała aż kipiała ze złości.

— Zrobiłeś to! Przyznaj się!

Armand siedział wciąż ze spuszczoną głową. Podeszła do niego.

— Nic nie mówisz? — spytała. — Boisz się przyznać?! Myślisz, że nie widzę waszych spojrzeń, uścisków pod stołem? Uważasz, że jestem głupia? Może. Ale nie aż tak!

Armand podniósł na chwilę oczy do góry. Po chwili, spokojnym głosem, odparł:

— Tak, zrobiliśmy to.

— Naprawdę, zdradziłeś mnie?! — krzyczała, nie mogąc uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszała.

— Juliette, uspokój się. Ona nic dla mnie nie znaczy.

— Co ty opowiadasz?! Gdyby tak było, nie spędzałbyś z nią tyle czasu, nie jeździłbyś na polowania. Aż boję się pomyśleć co by było, gdyby coś dla ciebie znaczyła?

— Wybacz. Wiem, nic mnie nie usprawiedliwia.

— Jak mogłeś mi to zrobić?

— Zrobiliśmy to tylko raz.

— Powiedz kiedy. Byłam już tu w Nicei czy jeszcze nie?

— Nie wiem, czy poprawi ci to humor. Było to w nocy, tuż przed twoim powrotem.

Juliette nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Pomyśleć, spóźniła się tylko o jeden dzień. Widać było, że kipi w niej złość. Wstała z miejsca i zaczęła nerwowo chodzić po pokoju.

— Co takiego!?! Zawsze twierdziłeś, że to współczesne zepsucie nie jest w twoim stylu. Właśnie widzę! I pomyśleć, gdybym wróciła dzień wcześniej... Zachowałeś się jak prostak, nie potrafiący powstrzymać swoich najniższych instynktów.

Armand nic nie odpowiedział. Siedział ze spuszczoną głową, nie mając najprawdopodobniej odwagi spojrzeć jej w oczy.

— Nienawidzę cię! Słyszysz?! Ufałam ci! — mówiła podniesionym głosem.

On nadal nic nie odpowiadał. Jej emocje zaczęły sięgać zenitu. To, że nic nie mówił, doprowadzało ją do szału. Podbiegła do niego i jak w amoku zaczęła okładać go pięściami. Dobrze, że zakrył głowę rękoma. Następnie, rozwścieczona, z całej siły wymierzyła mu policzek.

Nastała długa chwila milczenia. Zauważyła jego przeszywający wzrok. Spoglądały na nią jego smutne oczy. Poczula się dziwnie nieswojo, jakby to ona wyrzuciła mu wielką krzywdę.

— Mam nadzieję, że na to zasłużyłem — powiedział z miną cierpiénika.

Nic nie odpowiedziała. Armand siedział nadal ze spuszczoną głową. Wydawał się bardzo przybity. Usiadła obok niego.

— Jak mogłeś mi to zrobić? — spytała po raz kolejny, jednak już bardzo spokojnym głosem.

— Chciałem, żebyś poczuła się tak samo, jak ja czułem się przez te wszystkie lata.

— Co masz na myśli?

— Nie udawaj, że nie wiesz.

Juliette spuściła oczy i zaczęła nerwowo bawić się chusteczką. Czyżby chodziło mu o Pierre'a? Więc wiedział o wszystkim od początku? Poczula się dziwnie nieswojo. Tak jakby to ona przyczyniła się do zdrady męża.

— Wiedziałeś? — spytała mocno zdziwiona.

— Musiałbym być ślepy albo głupi, żeby tego nie zauważyć.

— To nie było tak, jak sądzisz.

— A skąd wiesz, co sądzę?

— Pierre jest dla mnie jak brat.

— Czyżby?! Zapomniałaś, jak się zachowywałaś przed naszym ślubem?

— Nie zdradziłam cię.

— Mam ci uwierzyć? — zaśmiał się szyderczo.

— Całowaliśmy się, owszem. Jednak były to tylko niewinne pocałunki. Nie ufasz mi?

— Tylko pocałunki — powtórzył. — Dla ciebie to nic nie znaczy? Z iloma mnie tak zdradziłaś?

— Dobrze wiesz, że Pierre był wyjątkiem. Pokochałam go niewinną, młodzieńczą miłością. Ale to już przeszłość.

— Nie udawaj niewiniątka. Spójrz mi w oczy i powiedz, że go już nie kochasz.

Juliette wydała się bardzo zmieszana. Nie mogła wyznać tego, o co ją prosił. Nadal kochała Pierre'a, choć było to uczucie zupełnie inne niż to, o jakie podejrzewał ją mąż. Armand chwycił ją za brodę i uniósł lekko jej głowę. Następnie spojrzał w jej duże granatowe oczy.

— Nadal go kochasz, prawda?

Juliette nic nie odpowiedziała.

— Antuanette miała rację — oznajmił odrywając dłoń od jej twarzy.

— Antuanette!?! — spytała zdziwiona.

— Dobrze wiem, że miałaś romans z Pierre'em tuż przed naszym ślubem. Nie zaprzeczaj!

— Ona tak twierdzi? Ufasz jej, nie mnie?!

— Daruj sobie, Juliette.

— Nie zdradziłam cię!

— Jakoś trudno mi w to uwierzyć. Zresztą, przypuszczałem, że się nie przyznasz.

Do oczu Juliette znowu zaczęły napływać łzy. Czowała się całkowicie bezradna.

— Myślę, że pozwoliłeś mi wstąpić do bractwa, żeby mieć pewność, iż cię z nim nie zdradzę.

— Może jest w tym trochę racji? Może podświadomie tak właśnie myślałem? — odpowiedział, zastanawiając się nad jej słowami.

— Co w takim razie z Antuanette? — spytała. — Przecież dobrze wiedziałeś, że ona i Paul są parą, że się kochają.

— Widocznie niezbyt mocno, skoro niemal pchała się w moje ramiona. Zresztą, rozmawiałem z Paulem i miałem wrażenie, że ich drogi się już rozeszły.

Juliette nic nie odpowiedziała. Poczowała się zraniona. Bolało ją, że ten,

któremu bezgranicznie ufała, zdradził ją. Na dodatek jej nie wierzył. Nie wiedziała, co boli bardziej.

,Widząc, że cierpi, Armand objął ją ramieniem. Juliette nawet się nie broniła. Robiła wrażenie przybitej. Zdradzona przez tego, którego kochała, czuła się oszukana i wzgardzona. Jak mógł jej to zrobić?

— Posłuchaj mnie, Juliette — postanowił załagodzić sytuację. — Przecież wiesz, że od kiedy jestem Mistrzem Łoży, spadło na mnie sporo nowych obowiązków. Często wyjeżdżam, na dodatek mama zaniemogła. Antuanette zajmowała się wszystkim. To ona urządzała bale i przyjęcia. Wiesz, że uwielbia rozrywkę i światowe życie. Ja często byłem zaskakiwany, tak jak ty w dniu przyjazdu do Nicei.

Spojrzała na niego z politowaniem. Udając, że wierzy w jego tłumaczenia, odpowiedziała.

— Na szczęście już wróciłam i nigdzie się nie wybieram. Nie ma więc potrzeby, żeby ona nadal tu pozostawała. Chciałabym, żeby opuściła nasz pałac tak szybko, jak tylko jest to możliwe, najlepiej jutro.

— Mama nie czuje się na siłach, żeby wybrać się w tak daleką podróż.

— Wiem o tym doskonale. Jednak nie uważam, żeby Antuanette musiała czekać na powrót do zdrowia twojej matki. Może wrócić do posiadłości swego ojca. Tam jest jej miejsce, czyż nie?

Armand spojrzał na żonę zaniepokojony. Wiedział, że Antuanette nie ucieszy ta propozycja.

— Może jednak poczekałaby kilkanaście dni, aż mama dojdzie do pełni zdrowia.

— Nie ma mowy! — oburzyła się. — Wybieraj, ja albo ona.

— Jesteś zazdrosna? — jego głos brzmiał dziwnie radośnie.

— Nie! — skłamała.

Armand uśmiechnął się. Najwyraźniej nie uwierzył w jej zapewnienia. Objął ją ramieniem i patrząc w oczy, rzekł czule.

— Przestańmy już mówić o niej.

Juliette chciała wyrwać się z objęć męża, ale on jej na to nie pozwolił. Przytrzymał ją mocniej i przytulił z całych sił.

— Tęskniłem za tobą — szeptał, gładząc po długich, opadających na ramiona włosach.

— Ja też — odpowiedziała.

Najwyraźniej nie miała ochoty już z nim walczyć. Jego bliskość zaczęła sprawiać jej przyjemność. Uniosła lekko głowę i wtedy poczuła na ustach jego wilgotne wargi. Połączył ich długi, namiętny pocałunek. Robili wrażenie, jakby oboje byli sobie bardzo spragnieni. W pewnym momencie Juliette wyrwała się z jego objęć. Jakby sobie dopiero teraz o czymś przypomniała.

— Przestań, proszę! — powiedziała, odpychając go lekko od siebie.
— Ależ Juliette, o co ci chodzi? Jesteś przecież moją żoną.
— Ale nie twoją niewolnicą.
— Co masz na myśli?
— Wybieraj! Albo ja, albo ona! Nie mam zamiaru dzielić się tobą z inną kobietą.

— Chcesz, żebym ją odprawił?
— I to jak najszybciej. Najpóźniej pojutrze.
— Dobrze, porozmawiam z mamą. Spytaam, co myśli na ten temat.
— Nie zachowuj się jak dziecko. Sam nie umiesz podjąć decyzji? Uważam zresztą, że twojej mamie wyjdzie to tylko na dobre.

Spojrzała na Armanda przenikliwym wzrokiem. Zastanawiała się, czy powinna poinformować go o swoich spostrzeżeniach co do Antuanette. Jednak postanowiła, że jeszcze może nie tym razem.

— Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć? — spytał, wyczytawszy z jej spojrzenia dużo więcej, niż się spodziewała.

— Nie chcę nikogo oskarżać, gdy nie mam pewności...
— To dotyczy Antuanette?
— Nie draż temat, proszę.
— Przestańmy zajmować się nią. Raczej pomówmy o nas — powiedział czułym głosem.

Chciał ją przytulić, lecz Juliette wyrwała się z jego objęć.

— Dopóki ona tu będzie, nie licz na moją przychylność.

Armand, nie robiąc sobie nic z jej słów, zaczął obsypywać ją pocałunkami. Całował po czole, policzkach, po odkrytym dekolcie. Juliette, z jednej strony była bardzo spragniona jego czułości, z drugiej jednak wiedziała, iż powinna trzymać go na dystans. Odepchnęła go lekko dłonią, następnie wstała i zaczęła chodzić po pokoju.

— Wybieraj, albo ja, albo ona! — powtórzyła po raz kolejny.

Nie poznawał stanowczości swojej żony. Takiej jej jeszcze nie widział. Z uniesioną głową podeszła do drzwi i chwytając za klamkę, otworzyła je.

— Wybacz proszę, ale chciałabym zostać sama.

Armand robił wrażenie, jakby chciał jeszcze przez chwilę zostać. Jednak dał za wygraną, widząc stanowczą minę Juliette.

— Dobranoc kochanie — powiedział całując ją w czoło.

— Dobranoc — odpowiedziała oschłym tonem.

* * *

Za dwa dni Antuanette opuściła Niceę, udając się do posiadłości swego ojca.

Można było zatem dojść do wniosku, że Juliette wygrała tę batalię.

Paula też już nie było. Opuścił ich pałac następnego dnia, udając się do Marsylii. Nie wiedział więc, jak skończyła się rywalizacja obu kobiet.

Wracając wieczorem do swej sypialni, Juliette postanowiła wstąpić do apartamentów Armanda, żeby podziękować mu za spełnienie jej prośby.

— Czy mogę? — spytała, uchylając drzwi.

Wydawał się trochę zmieszany.

— Tak, oczywiście, wejdź.

— Chciałam ci podziękować.

Teraz dopiero zrozumiał, o co jej chodzi. Podeszedł bliżej i położywszy dłoń na jej ramieniu, wyczuł, że cała drży. Stała ze spuszczoną głową, nie mając odwagi spojrzeć mu w twarz. Tyle miała mu do powiedzenia i w tej jednej chwili jakby zapomniała o wszystkim. Armand pochylił się nad nią, ujął jej twarz w dłonie i pocałował czule w czoło.

— Niemal zapomniałem, jaka jesteś piękna.

— Och, Amandzie — wyszeptała nieco speszona.

Puścił jej twarz, ale nie przestał patrzeć w oczy. Uniosła głowę. Już niemal zapomniała, jaki był przystojny. Gładka twarz, długie blond włosy i te błękitne oczy...

— Tęskniłem za tobą — szeptał jej do ucha.

Miała ochotę zaprzeczyć, ale dała spokój. Nie chciała wzniecać kłótni. Nie po to tu przyszła. Wygrała. Jej mąż wybrał ją. Była spragniona jego czułości, jak nigdy dotąd.

Czuła jego ramiona, otaczające ją łagodnie. Pochylił się ku jej twarzy. Uniosła odruchowo głowę. Wtedy poczuła dotknięcie jego warg na ustach. Momentalnie objęła jego szyję ramieniem. On przycisnął całe jej ciało do swego. Stali tak przez dłuższą chwilę, wtopieni w siebie. Jej oczy wypełniły się łzami. Armand, zauważywszy to, spytał lekko zdziwiony.

— Płaczesz?

— Nie — zaprzeczyła.

Po chwili jednak dodała.

— Tak... Ze szczęścia.

Zaczął obsypywać ją pocałunkami. Całował po policzkach, po czole, po odkrytych ramionach. Juliette nie broniła się. Odwzajemniała jego namiętność.

— Kochasz mnie? — spytała.

— Nawet nie wiesz jak bardzo — szeptał.

Chciała coś powiedzieć, ale rozmyśliła się. Wszystko, co działo się przedtem, nagle przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Ich usta w końcu się odnalazły. Stali przytuleni, niemal wtopieni w siebie.

Armand wziął ją na ręce i zaczął iść w kierunku łoża. Objęła go mocniej za

szyję. Głowę miała przyciśniętą do jego piersi. Słyszała mocne uderzenia jego serca. Armand jednym sprawnym ruchem, odsunął baldachim zwisający nad łóżem. Następnie położył na nim Juliette. Przez cały czas czuł mocny uścisk jej dłoni na szyi. Wreszcie puściła go. Pochylił się nad nią i zaczął całować tak zachłannie, że poczuła, jak w jej ciało wstąpiło miłe ciepło.

Znowu spojrzeli sobie w oczy. Poczuli jego wargi na swych ustach. Była szczęśliwa jak chyba nigdy dotąd. Tak bardzo go pragnęła... Czuli, jak jego wargi wędrują w dół po jej ciele, po szyi, po odkrytym dekolcie. Chciała coś powiedzieć, ale usta Armanda znowu znalazły się na jej wargach. Nagle przeszedł ją dreszcz rozkoszy. Ramionami otoczyła znowu jego szyję i wargi jej zaczęły drżeć pod dotknięciem jego namiętych warg. Wtopieni w siebie, słyszeli tylko bicie swych serc. Oboje nie przypuszczali, że aż tak bardzo byli siebie spragnieni.

25. Poranek i rozstanie

Juliette otworzyła oczy. Ostre promienie słońca wpadały do pokoju. Całe jej ciało i duszę przepełniało szczęście. Rozejrzała się, jakby przez chwilę zapomniawszy, gdzie się znajduje. Kiedy jednak ujrzała Armanda, od razu przypomniała sobie wczorajszy wieczór.

— Która godzina? — spytała sennym głosem, przeciągając się w łóżku.

— Dochodzi dziewiąta — odparł Armand i odsunął okienną zasłonę.

— Już tak późno? — zdziwiła się.

Nic nie odpowiedział. Podeszedł do szerokiego łóża i usiadł na jego brzegu. Położył rękę na jej drobnych dłoniach i spojrzał w jej turkusowe oczy. Biła z nich wielka radość. Dawno jej takiej nie widział.

— Chciałem spytać, jak ci się spało? Ale widzę, że nie muszę — oznajmił z uśmiechem na twarzy.

Juliette skromnie spuściła oczy. Widać było, że promienieje szczęściem.

— Dobrze, że już nie śpisz. Mam ci coś do zakomunikowania. Jedna nowina jest dobra, a druga taka sobie. Od której mam zacząć?

— Masz mi do powiedzenia coś złego? — zaniepokoiła się Juliette.

— Może nie tak bardzo, nie rób takiej przerażonej miny.

— Nie trzymaj mnie w niepewności, proszę.

— Dobrze, jak sobie życzysz. Zacznę od gorszej wiadomości. Wyjeżdżam do Ameryki Północnej.

— Jak to?! Kiedy?!

— Jeszcze dokładnie nie wiem. Nie martw się, zawiadomię cię w odpowiednim czasie.

Juliette natychmiast wstała z łóżka. Przywdziawszy powiewny peniuar, zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. Nie mogła uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszała. Najgorsze było to, że oznajmił to w taki sposób, jakby wyjeżdżał na kilka dni w interesach. Tymczasem sama podróż w jedną stronę będzie trwała przynajmniej dwa miesiące. Czuła, jak wzbiera w niej złość.

— Przyznaj się, wiedziałeś o tym już od dawna.

Armand nic nie odpowiedział. Spoglądał na nią swymi błękitnymi oczami, w których spostrzegawczy rozmówca mógłby zauważyć smutek. Jednak Juliette nie zastanawiała się na tym.

— Doskonale wiedziałeś, że gdybyś mi o tym powiedział, nie byłoby mnie wczoraj w twym łóżu — oznajmiła pełnym pretensji głosem.

— Liczyłem się z tym.

— Nie sądziłam, że jesteś takim egoistą!

— Nie przesadzaj, słoneczko.

— Nie mów tak na mnie!

— Dlaczego? Zawsze lubiłaś, gdy tak cię nazywałem. No dobrze, już się na mnie nie gniewaj. Przyznaję, nie przypuszczałem, że aż tak bardzo będę cię pragnął. Tęskniłem za tobą. Gdy zobaczyłem cię w tej jasnoróżowej sukni, w dniu przyjazdu do Nicei... A potem, wieczorem byłaś jeszcze piękniejsza. Wyglądałaś olśniewająco. I co najgorsze, wiedziałaś o tym — mówił rozmarzonym głosem.

Juliette uśmiechnęła się w duchu. Jednak Paul miał rację. Ta suknia robi wrażenie, nawet po tylu latach, pomyślała.

— Za ile wrócisz? — spytała, siadając obok niego. — Pamiętaj, że zostawiasz tu dom, dzieci, no i mnie.

Spojrzał na nią, nic nie powiedział. Widać było jednak, że wspominając o dzieciach, nie odniosła oczekiwanego rezultatu.

Armand wstał i podszedł do komódki. Otworzył jedną z szuflad i wyjął z niej małe pudełeczko, przewiązane czerwoną wstążeczką. Juliette spoglądała na niego mocno zaciekawiona.

— To mój prezent dla ciebie, kochanie. Z okazji twoich urodzin oraz piątej rocznicy naszego ślubu.

Juliette ostrożnie, drżącymi rękoma odwiązała kokardę i otworzyła wieczko pudełeczka. Oczom jej okazał się naszyjnik oraz kolczyki. Biżuteria była wyjątkowo gustowna. Najbardziej rzucały się w oczy złote gwiazdy, wysadzone brylantami. Środek każdej z nich ozdobiony był białą perłą. Poniżej zwisała zawieszka z perły, w kształcie łezki. Naszyjnik składał się z trzech takich samych zawieszek, jednej głównej i dwóch nieco mniejszych.

— Piękne — powiedziała Juliette z nieudawanym zachwytem. — Ale przecież moje urodziny przypadają prawie za tydzień.

— Wiem, jednak nie będę mógł być wtedy w Nicei.

— Jak to?!

— Mówiłem przecież, że wyjeżdżam. Co prawda, podejrzewam, że nastąpi to dopiero za trzy tygodnie, jednak w loży będę mieć teraz mnóstwo spraw do załatwienia. Postanowiłem, że jutro rano wyjadę do rodzinnego zamku. Mama czuje się już znacznie lepiej, zabiorę ją zatem ze sobą.

Juliette posmutniała.

— Czy wiesz, jak długo złotnik pracował nad tą biżuterią? — spytał, widząc jej smutną minę. — Prawie trzy miesiące. Uważam, że ten naszyjnik będzie pasował zarówno do jasnych, jak i ciemnych kreacji. Nie przymierzysz? Wyjął perełki z pudełeczka i zapiał je na szyi Juliette. Ona, niemal odruchowo dotknęła dłonią misternej roboty. Wstała i podeszła do lustra.

— Perły... No i jak mam nie być przesądna. Moja babcia zawsze mówiła, że białe perły to smutek i łzy. Już się spełniło.

— Nie przesadzaj. Przecież wrócę, może za rok, za dwa lata, ale wrócę.

— Co takiego?! Chcesz mnie zostawić aż na dwa lata? A jak na oceanie będzie sztorm i w ogóle nie dopłyniesz do celu? Albo napadną na was piraci?

— Nawet tak nie myśl! — oburzył się.— Zresztą tu, we Francji, też może mi się przytrafić coś złego. Drogi są pełne opryszków i rabusiów. Trwa przecież wojna z Austrią. Co prawda, nie na naszych terenach, ale nigdy nie wiadomo, jak to się może dalej potoczyć.

— Nienawidzę cię!!!

— Jeszcze wczoraj mówiłaś, że mnie kochasz!

— Bo wczoraj cię kochałam, a dzisiaj nienawidzę!

Spojrzała na niego podejrzliwie.

— A może jedziesz razem z nią?

— Co ci przyszło do głowy? Nie wierzysz mi?

— Kiedyś wierzyłam. A w ogóle jak mogłeś zrobić to Paulowi?

— Przecież to on rzucił Antuanette, a nie ona jego.

— No i co z tego! Jestem pewna, że w głębi duszy nadal ją kocha.

Armand zamyślił się.

— Może masz rację. Może zbyt powierzchownie oceniłem jego uczucie. Jednak wciąż powtarzał, że jej nienawidzi.

— Jesteś jak dziecko. Nie wiesz, że od nienawiści do miłości krótka droga?

— Masz rację. Antuanette robiła wrażenie zupełnie przybitej. Nigdy przedtem jej takiej nie widziałem.

— Chcesz powiedzieć, że wzięła cię na litość.

— To też.

Spojrzała na niego zdziwiona. Nie miała pojęcia, co Armand ma na myśli.

— O moim romansie z nią zdecydowało jednak zupełnie coś innego — dodał po chwili.

— Co takiego, jeśli mogę wiedzieć?

— Naprawdę nie domyślasz się?

Juliette patrzyła na niego coraz bardziej zdziwiona.

— Twój romans z Pierre'em — odpowiedział.

— Dobrze wiesz, że Pierre nie był nigdy moim kochankiem.

— Zdziwiłbym się, gdybyś się przyznała.

— Przecież wiesz, że byłeś moim pierwszym mężczyzną.

— Do tej pory tak sądziłem, ale kto to wie...

Juliette wprost nie wierzyła w to, co usłyszała.

— Za kogo ty mnie masz?! — w jej głosie słychać było oburzenie.

— Nie histeryzuj — odparł spokojnie. — Nie ty pierwsza i nie ostatnia dopuściłaś się zdrady. Człowiek jest z natury istotą słabą i pełną pokus. W głębi duszy już ci to wybaczyłem. Pomyśleć tylko, jak bardzo cię kiedyś kochałem...

— Już mnie nie kochasz?

— Może coś jeszcze pozostało na dnie serca. Przez całe nasze małżeństwo cierpiałem. Wiedziałem, że kochasz go bardziej ode mnie.

— Ale przecież to nieprawda! To ciebie kocham, uwierz mi! Pierre jest tylko moim przyjacielem, takim jak Paul. To ty jesteś mężczyzną mego życia.

— Szkoda, że tak późno na to wpadłaś.

— Czuję się tak, jakbyś chciał mnie ukarać. To śmieszne! Gdybyś jeszcze był zupełnie bez winy. Przecież to ty mnie zdradziłeś. Zapomniałeś?!

— Nie przesadzaj. Podjąłem już decyzję o wyjeździe i słowa nie cofnę. Doskonale wiesz, że mam trzeci stopień wtajemniczenia. Mogę być więc bardzo potrzebny przyjaciołom w trakcie wyprawy.

— Widzę, że ja i dzieci nic już dla ciebie nie znaczymy.

— Wybacz, Juliette.

Spojrzał na nią smutnym wzrokiem. Po chwili dodał:

— Dobrze wiem, dlaczego zostałam moją żoną. Wyszłaś za mnie tylko dlatego, że twoi rodzice tego pragnęli.

— Jak śmiesz mi robić wymówki! Przecież to ty ożeniłaś się ze mną, bo tak zaplanowała twoja matka!

— Tylko, że ja cię kochałem.

Juliette szczerze się zasmuciła. Podeszła bliżej i spojrzała w błękitne oczy męża.

— Jakie to ma teraz znaczenie? Ty mnie chyba nigdy nie kochałaś — Armand mówił dalej, jakby rozmawiał sam ze sobą.

— Co ty mówisz?! Armandzie!

Wziął w dłonie jej małą bródkę, uniósł lekko do góry i popatrzył prosto w twarz.

— Spójrz mi teraz w oczy, Juliette i powiedz, że nie kochasz już Pierre'a.

— Jeśli go wciąż kocham, to nie jest to taka miłość, o jaką mnie podejrzewasz. Kocham go jak rodzzonego brata.

— Cokolwiek byś mówiła, nadal go kochasz. Powinnaś się cieszyć, zwrócić ci wolność.

— O czym ty mówisz? Przecież Pierre ma żonę.

Armand uśmiechnął się ironicznie. Juliette chwyciła go, zaciskając mocno dłoń na jego ręce. Spojrzała mu w twarz. Zauważyła, że jego zamyślane oczy czynią go jakby trochę nieobecnym.

— Armandzie! Nic nie rozumiesz, ja kocham ciebie i tylko ciebie!

— Nawet nie wyobrażasz sobie, co ja czułem przez te wszystkie lata — odpowiedział spokojnym głosem.

Oczy Juliette wypełniły się łzami.

— Przez ten miesiąc naszej rozłąki zrozumiałam, jak bardzo cię kocham. Liczyłam dni do naszego spotkania, gdy ty tymczasem zabawiałeś się z Antuanette.

Armand, siedząc na brzegu łóżka, wsparł głowę na dłoni, następnie ją opuścił. Robił wrażenie, jakby walczył z myślami.

— Bardzo mi przykro, uwierz mi — odpowiedział smutnym głosem.

— Uważasz, że to cię w jakiejś mierze usprawiedliwia? Jak mogłeś mi to zrobić?!

— Przestań, Juliette.

— Chcesz powiedzieć, że to ona cię uwiodła? Zabawne! — dodała cynicznym głosem.

— Może nie do końca tak było. Gdy dowiedziałem się od Antuanette, że mnie zdradzałaś, czułem się zraniony. Przez wszystkie lata naszego małżeństwa cierpiałem. Czułem, że Pierre'a kochasz bardziej niż mnie. Ale łudziłem się, że tak mi się tylko wydaje, że to nie jest prawda. Chciałem, żebyś cierpiała, tak jak ja.

— Ale przecież ja cię nie zdradziłam! — oburzyła się.

— Teraz to już nie ma znaczenia.

— Jak to nie ma?! Ja bez ciebie nie potrafię żyć!

— Szkoda, że tak późno to zrozumiałaś.

— Jesteś dla mnie jak powietrze. Gdy jest go pod dostatkiem, nikt nie zwraca na nie uwagi. Dopiero gdy go zaczyna brakować, okazuje się, że nie można bez niego żyć. Nie rozumiesz? Ja bez ciebie umieram.

— Wybacz, ale chyba za późno doszłaś do takiego wniosku. Ja już podjąłem decyzję.

Juliette rozplakała się. Armand wydawał się jednak niewzruszony.

* * *

Za dwa dni Armand wyjechał. Pretekstem miało być odwiezienie mamy do zamku w Ainay-le-Vieil. Juliette martwiły jego niejasne zapewnienia o terminie ponownego spotkania. Usłyszała tylko, że przed odpłynięciem statku przyjedzie się z nią pożegnać.

Wcale jej to nie cieszyło. Wprost przeciwnie, urastało do pewnego rodzaju obsesji. Zamiast siedzieć i czekać, postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Okazją ku temu stała się ponowna wizyta Paula.

— Jak dobrze, że jesteś — ucieszyła się na jego widok.

— Czy coś się stało? — zdziwił się.

— Mam ci wiele do opowiedzenia.

— Słucham z zapartym tchem.

Juliette wskazała mu wolne miejsce na kanapie, tuż obok siebie. Gdy usiadł, zaczęła opowiadać. Prawie ze szczegółami zdała mu relację z rozmowy z Armandem. Opowiedziała, jak usunęła w końcu Antuanette ze swego pałacu. Paul był pod wrażeniem jej słów. Jednak gdy doszła w swojej opowieści do

wyprawy Armanda, nie wydawał się zszokowany tą wiadomością.

— Wiedziałeś o tym? — spytała, patrząc mu prosto w oczy.

Zmieszał się trochę. Nie chciał skłamać, nie chciał również jej urazić. Wiedział, że jeśli nie powie jej teraz prawdy, Juliette straci do niego zaufanie. A tego przecież nie chciał.

— Tak, wiedziałem. Płyniemy razem do Ameryki.

— Razem? Więc Armand też wiedział o twoim wyjeździe.

— Oczywiście.

— A ja głupia myślałam, że to tajemnica.

Położył dłoń na jej ramieniu.

— To bardzo dobrze, że umiesz dochować tajemnicy. To jest duża zaleta, niewiele kobiet to potrafi.

Odwrociła głowę w jego stronę i odruchowo spojrzała na dłoń spoczywającą na jej ramieniu. Udała, że odebrała to jako przyjacielski gest. Paul, chociaż nie miał nic złego na myśli, zdjął pospiesznie dłoń z jej ramienia.

— Gdyby inni widzieli we mnie tyle zalet, ile ty dostrzegasz...

— Na pewno też je widzą, tylko nie mówią tego głośno.

— Tak sądzisz? Nie jestem tego pewna. Armand chce uciec ode mnie aż na koniec świata. Myślę, że już mu się znudziłam.

— A ja myślę, że niepotrzebnie bierzesz wszystko do siebie. Sądzę, że ten wyjazd nie ma nic wspólnego z rodziną.

— Naprawdę?

— Co ci powiedział Armand?

— Nie pamiętam. Nie bardzo słuchałam, co mówił. Byłam zdenerwowana. Chyba wspominał, że musi pomóc współbraciom, bo ma stopień mistrza.

— No widzisz, czyli wiesz, o co chodzi — uspokajał ją.

— Ale dopiero niedawno został wybrany. Kto go tu zastąpi?

— Prawdopodobnie twój ojciec. Przypuszczam, że odbędzie się to tak, jak dziesięć miesięcy temu. Wtedy twój ojciec musiał zrezygnować ze sprawowania funkcji mistrza i polecił na to stanowisko Armanda. Teraz Armand prawdopodobnie poprosi współbraci, by pozwolili pełnić tę funkcję hrabiemu de Lapierre. Na pewno wszyscy bracia się zgoda.

— Muszę porozmawiać z ojcem — stanowczym głosem oznajmiła Juliette.

Paul spojrzał na nią zdziwiony.

— Po co? Myślisz, że on wpłynie na decyzję twego męża?

— Może nie, ale może wie, jak mi pomóc.

— Nie sądzę. Jeśli jednak tak bardzo tego pragniesz, możemy pojechać tam razem.

— Naprawdę?! Zrobisz to dla mnie? — spytała niepewnym głosem.

— Miałem wrócić do rodzinnej posiadłości na jakiś czas. Ale widzę, że

spędzę ten czas w miłym towarzystwie.

Juliette spojrzała na niego spod oka. Lubiła poczucie humoru Paula. W jego towarzystwie życie wydawało się o wiele bardziej prostsze.

* * *

— Witaj, papo — Juliette nadstawiła policzek do pocałunku.

— Witaj córeczko — odparł hrabia. — Miło cię widzieć, Paul — zwrócił się do towarzyszącego jej młodzieńca.

— Cieszę się, że papa już w dobrym zdrowiu.

— Może niezupełnie, ale najważniejsze, że chodzę. Co prawda, z pomocą laski, ale... Niedługo dojdę do siebie.

— Na pewno, panie hrabio — pocieszył go Paul.

— Do rzeczy. Co was sprowadza? Tak nagle, bez zapowiedzi.

— Ojczy, to ja poprosiłam Paula, żeby mi towarzyszył. Armand wybiera się do Ameryki Północnej. Błagam, pomóż mi. Wpłyn na niego, żeby zaniechał tej wyprawy.

— Chyba przeceniasz moje możliwości, córeczko. To że byłem kiedyś Mistrzem Łoży, nie oznacza, że mogę wpływać na decyzje innych jej członków.

— Ojczy! Porozmawiaj z nim, proszę. Przynajmniej spróbuj. Armand zawsze liczył się z papy zdaniem.

— Bardzo mi to schlebia. Zrobię, co w mojej mocy. Jednak nie obiecuj sobie zbyt dużo.

Juliette posmutniała. Hrabia, chcąc ją pocieszyć, rzekł:

— Spóźniliście się trochę. Armand był u mnie dwa dni temu. Poinformował mnie o swoich planach. Nawet poprosił, żebym zastąpił go na stanowisku Mistrza Łoży. Nie rozumiem, dlaczego tak rozpaczasz, przecież on wróci — rzekł hrabia, spoglądając na córkę. — Z tego co mi powiedział, jedzie najwyżej na rok.

— Na rok! — krzyknęła Juliette. — Przecież to wieczność! Poza tym, mam złe przeczucia. Błagam cię, ojczy! Nie pozwól mu na to!

Hrabia spojrzał na córkę mocno zaniepokojony. W tak złym stanie chyba jej nigdy nie widział. Policzki zapadnięte, oczy podkrążone. Mógł się tylko domyślać, że to przez nieprzespane noce, spędzone na szlochaniu i rozmyślaniach.

Paul natomiast nie robił wrażenia tak bardzo przejętego całą tą sytuacją. Z jednej strony było to zrozumiałe, w końcu on też planował podróż.

— Powiedz Paul, czy sprawy mają się tak źle, jak twierdzi moja córka? Czy może Juliette trochę przesadza?

— Trudno powiedzieć. Muszę obiektywnie przyznać, że Armand zachowuje się troszeczkę dziwnie. Mam wrażenie, że ostatnio unika Juliette. Nie bardzo rozumiem, o co mu tak naprawdę chodzi.

— To do niego niepodobne — zdziwił się hrabia.

— No właśnie — odparł Paul.

— Muszę z nim porozmawiać — rozpaczliwym głosem dodała Juliette.

— To może być trudne. Armand najwyraźniej unika pałacu w Nicei. Rozumiem, że jest zajęty przekazywaniem obowiązków w loży przed wyjazdem, jednak żona to żona.

— Przyszedł mi do głowy pewien pomysł! — Hrabia robił wrażenie, jakby sobie o czymś przypomniał. — W przyszłym tygodniu odbędzie się zebranie Loży Craft. Armand musi tam być. Mogłabyś wtedy, kochanie, porozmawiać ze swym mężem.

Juliette i Paul spojrzeli na siebie mocno zaskoczeni. Oboje dobrze wiedzieli, że Juliette nie posiada drugiego stopnia wtajemniczenia.

— Wiem, wiem — powiedział hrabia, widząc ich zszokowane miny. — Nikt nie może cię rozpoznać.

— No właśnie — przytaknęła.

— Dlatego ja i Paul pomożemy ci. Mam pewien pomysł. Oboje przyjedziecie na miejsce dużo wcześniej. Ja już tam będę na was czekał. Juliette przeczeka całość obrad w bocznej komnacie. Nikt z osób postronnych nie powinien jej zobaczyć. Armand zjawi się tam, moja w tym głowa. Jeszcze jedno — zwrócił się do Paula. — Powinieneś pożyczyć jej jakiś męski strój. Musi wyglądać jak jeden z nas, czyli jak młodzieniec. W stroju kobiecym za bardzo rzucałaby się w oczy. Powinnaś kochanie spiąć swe piękne długie włosy i ukryć pod męskim kapeluszem — dodał na zakończenie.

— Ma się rozumieć! Dziękuję, że zgodziłaś się mi pomóc.

— W końcu jesteś moją ukochaną córeczką — roześmiał się hrabia.

* * *

— Jakim sposobem dostałaś się tutaj? — spytał Armand, widząc Juliette przebraną w męski strój.

Włosy miała starannie upięte i schowane pod kapeluszem z wielkim rondem. Jej ubiór stanowiła biała koszula, skórzana kurtka oraz czarne welurowe spodnie, włożone w długie, skórzane buty. Armand zmierzył ją od stóp do głów. Uśmiechnął się w duchu. Najwyraźniej jednak nie chciał, by jego żona to zauważyła. Robiąc poważną minę, rzekł:

— Wiesz, że to zebranie członków loży drugiego stopnia. Z tego, co pamiętam, nie posiadasz jeszcze stopnia wtajemniczenia Craft.

Ze słów Armanda bił dziwny chłód. Gdzie się podział ten troskliwy i czuły mąż?

Juliette spojrzała na niego swymi seledynowymi oczami, chcąc wzbudzić

w nim litość. Armand jednak najwyraźniej unikał jej wzroku.

— Kto cię tu wprowadził, jeśli mogę wiedzieć?

— Jeśli powiem, obiecaj, że nie będziesz gniewał się na niego.

— Obiecuję.

— Przyjechałam z Paulem.

Spojrzał na nią zdziwiony. Najwyraźniej nie takiej odpowiedzi oczekiwał.

— Teraz on jest na twoje usługi? Pierre ci już nie wystarczy?

— Co ty mówisz, Armandzie? Poprosiłam Paula, żeby mi pomógł. Jest przecież moim przyjacielem.

— A ja sądziłem, że Paul jest moim przyjacielem. Jak to jest, że moi przyjaciele stają się twoimi przyjaciółmi? Dlaczego mężczyźni tracą dla ciebie głowy?

Juliette spojrzała na niego zszokowana. Znowu robi jej wyrzuty. To nie ma sensu, pomyślała.

— Mam nadzieję, że nikt was tu nie widział — dodał po krótkiej chwili — Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo Paul ryzykował, przyprowadzając cię tutaj.

— Dlatego jestem w męskim stroju. W sukni za bardzo rzucałabym się w oczy.

Armand zmierzył ją od stóp do głów.

— Wyglądasz, jakbyś miała niespełna dwadzieścia lat. Nikt nie uwierzy, że taki młodzian przybył na zebranie Loży Craft. Dobrze wiesz, że do masonów mogą wstępować mężczyźni dopiero po ukończeniu dwudziestego czwartego roku życia.

— Mam nadzieję, że nikt mnie nie zobaczy. Nie po to narażałam Paula, żeby słuchać twoich wywodów. Wiem, że źle zrobiłam. Jednak nikt ze znajomych nie wiedział, gdzie jesteś. W końcu papa wpadł na pomysł, żebym przyjechała tu w męskim przebraniu. Jeśli chcesz kogoś za to winić, to raczej mego ojca. Paul wykonywał tylko jego polecenia.

— Co słyszysz? To i pan hrabia brał udział w spisku — powiedział Armand, uśmiechając się pod nosem.

— Widzę, że ciebie to bawi, a mnie wcale nie jest do śmiechu.

— Uważam, że niepotrzebnie się fatygowałaś. Jeśli myślisz, że zmienię zdanie, to się mylisz. Podjąłem już decyzję i jej nie zmienię.

— Dlaczego chcesz jechać na drugi koniec świata? Czyżbyś już mnie nie kochała? Armandzie!

— To nie ma nic wspólnego z miłością do ciebie. Nie błagaj mnie, bo i tak nic nie wskórasz.

— Masz rację, byłam głupia i naiwna, przyjeżdżając tutaj. Pomyśleć, że niepotrzebnie narażałam Paula.

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale Armand jej przerwał.

— Wybacz, nikt ci nie kazał.
Patrzając jej prosto w oczy, uśmiechnął się cynicznie.
— Nie martw się, przed wyjazdem przyjadę do Nicei, pożegnaj się.
— Nienawidzę cię!
Czuła się zupełnie bezsilna. Jednak zamiast żalu, wzbierała w niej złość.
— Daruj sobie, proszę — odezwał się spokojnym głosem.
Następnie podszedł bliżej i zupełnie niespodziewanie ją przytulił.
— Też cię kocham i będę tęsknił — powiedział czułym głosem.
— Dlaczego mi to robisz? — spuściła głowę, żeby nie zobaczył jej łez.
— Nie histeryzuj, przecież wrócę.
— A jeśli nie?
— Nawet tak nie myśl. Teraz już nie mogę się wycofać. Jestem potrzebny swoim współbraciom. Zrozum, Juliette!
— Mam wrażenie, że mnie unikasz.
— Obiecałem, że przyjadę, żeby się z tobą pożegnać, i dotrzymam słowa.
— Spójrz na mnie — powiedziała błagalnym głosem, patrząc w jego błękitne oczy.
Przytulił ją mocniej.
— Będę pisał — szepnął. — Wrócę. Nie wiem kiedy, ale wrócę.
Juliette nie odpowiedziała.

* * *

Gdy Pierre przyjechał do Nicei, przywitała go markiza de Beries. Zdziwił się trochę, widząc ją w pałacyku Juliette i Armanda.
— Witam pana — wyciągnęła do niego dłoń na przywitanie.
Pierre usiadł w fotelu naprzeciwko niej.
— Co cię sprowadza, młodzieńcze?
— Wracam z Tulonu, widziałem się z przyjaciółmi odpływającymi do Ameryki oraz z moim bratem.
— Armand był tu przedwczoraj. Pożegnał się ze mną, z żoną oraz z dziećmi.
Pierre spojrzął na drzwi, jakby na kogoś czekał. Markiza to zauważyła.
— Jeśli czekasz na Juliette, muszę cię zmartwić, młodzieńcze.
— Jak to? Czy coś się stało?
— Od wczoraj młoda markiza leży ciężko chora.
— Co jej jest? — Pierre był bardzo poruszony tą wiadomością.
— Tak naprawdę nikt tego nie wie. Gdy był tu mój syn, tryskała zdrowiem, była taka szczęśliwa...Następnego dnia po jego wyjeździe nie miała już siły podnieść się z łóżka. Może dlatego, że się posprzeczali?
— Rozstali się w gniewie?!

Pierre nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Pomału docierało do niego, dlaczego Juliette teraz cierpi. Nie rozumiał, jak Armand mógł pozwolić, żeby rozstali się w złości. Czyżby nie kochał jej już tak bardzo, jak dawniej? Widząc wbity w siebie wzrok markizy, spytał:

— Rozumiem, że jaśnie pani wezwała medyka?

— Oczywiście! Jednak stwierdził tylko lekkie przeziębienie. Podejrzewa, że jest to raczej choroba duszy niż ciała. Moja synowa tak bardzo przeżywa rozłąkę z mężem, iż zupełnie straciła sens życia.

— Przecież nie umiera się tylko dlatego, że nie ma się ochoty dalej żyć.

— Może masz rację, młodzieńcze, jednak medyk twierdzi, iż medycyna zna takie przypadki.

— Doprawdy?!

— Niestety tak. Gdybyś ją zobaczył...?

— Mógłbym? Bardzo proszę, chociaż na chwilę... — błagał Pierre.

Markiza spojrzała na niego. Zrozumiała, że bardzo mu na tym zależy.

— Pozwól za mną, młodzieńcze — wstała, udając się stroną schodów prowadzących na górę.

Pierre posłusznie ruszył za nią.

* * *

W pokoju panował półmrok. Grube welurowe zasłony odsłonięte były zaledwie do połowy okna, nie wpuszczając do wnętrza zbyt wiele światła. Na samym środku pomieszczenia stało wielkie łóżko, osłonięte baldachimem z różowego jedwabiu.

Pierre rozejrzał się. Zobaczył Juliette leżącą w pięknej koronkowej pościeli. Patrząc na nią, miał wrażenie, że jest naprawdę poważnie chora. Policzki miała zapadnięte, a jej oczy straciły blask. Gdzie się podziało to piękne, radosne dziewczę, które pokochał od pierwszego wejrzenia?

Podszedł bliżej i wtedy zauważył, że obok, w wielkim fotelu, siedzi Henrietta.

— Witaj, Pierre — rzekła.

Pocałował jej dłoń, następnie spytał, wskazując oczami Juliette.

— Jak ona się czuje?

— Chyba nie jest dobrze. Sądzę, że ma temperaturę.

— Może to przeziębienie?

— Chciałabym, żeby tak było.

— Pierre, to ty? — usłyszeli nagle cichy głos Juliette.

— Tak, to ja — odparł podchodząc bliżej.

— Wybacz, że cię przyjmuję w tak niecodziennych okolicznościach, ale od

wczoraj opadłam zupełnie z sił.

— Zostawię was samych — zaproponowała Henrietta.

Dosłownie w jednej chwili zniknęła za drzwiami. Pierre usiadł na brzegu łóżka.

— Co ci jest, Juliette?

— Ja chyba umieram — odpowiedziała smutnym głosem.

— Co ty opowiadasz?!

— Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek aż tak źle się czuła. Nawet po porodach leżałam tylko dlatego, że mi kazano.

— Co stwierdził medyk? — spytał, chociaż dobrze znał odpowiedź.

— Nie potrafił znaleźć konkretnej przyczyny mojego złego samopoczucia. Osłuchał mnie dokładnie. Według niego, wszystkie narządy pracują prawidłowo. Możliwe, że się przeziębiam. Jednak nieraz byłam przeziębiona i nigdy nie czułam się aż tak źle. Gdy wstaję z łóżka, cały świat wiruje wraz ze mną.

— Rozmawiałem przed chwilą z markizą de Beries. I wiesz, co mi powiedziała?

Juliette przyglądała mu się szeroko otwartymi oczami. Najwyraźniej zaciekało

ją, co Pierre miał jej do powiedzenia.

— Podobno dwa dni temu był tu Armand i znowu się pokłóciliście. Czy to prawda?

Pokiwała głową.

— Tak się ucieszyłam, gdy go zobaczyłam... A on był taki oschły, taki niedostępny. Nie wiem, co się z nim dzieje. To jej wina, ona odmieniła mi męża!

— Kogo masz na myśli?

— Jak to kogo?! Nie domyślasz się? Antuanette! Gdy opiekowałam się ojcem, ona przyjechała tu i uwiodła mi męża.

— Jesteś tego pewna?

— Armand się przyznał.

— To do niego niepodobne — Pierre wydawał się mocno zaskoczony.

— Wszyscy uważają, że on jest taki święty.

— Rzeczywiście, trochę mnie to zdziwiło. Po każdym z nas spodziewałbym się, że dopuści się zdrady, tylko nie po Armandzie.

— Widzisz, pozory mylą.

— Jestem pewien, że on cię jednak nadal kocha. Na pewno ma wyrzuty sumienia.

— I dlatego chce wyjechać na koniec świata?

— Nie wiem, to wszystko jest jakieś dziwne — zamyślił się.

Juliette zastanowiła się. Czyżby tak łatwo Pierre ją rozgryzł? To prawda, gdy zobaczyła Armanda, ucieszyła się. Łudziła się, że wygra tę batalię. Tymczasem on

był zimny i niedostępny. Przyjechał na kilka godzin. Nawet nie chciał zostać na noc.

Po jego wyjeździe zupełnie się załamała. Nie chciała jeść. Zamknęła się w swoim pokoju na górze. Rzuciwszy się na łóżko, przepłakała prawie całą noc. Rano okazało się, że nie ma nawet sił wstać z łóżka. Nikt jej nie wierzył. Nikt jej nie rozumiał. Czyżby Pierre, aż tak dobrze ją znał?

Patrzyła na niego, nie wiedząc, co powinna odpowiedzieć.

— Nie martw się, Juliette, Armand na pewno do ciebie wróci.

— Skąd to możesz wiedzieć?

— Jestem tego pewien. Raz poniosły go emocje... Któż z nas jest bez grzechu? Teraz jest owładnięty wyjazdem, ale to minie. Weź się w garść! Masz dla kogo żyć, pamiętaj o dzieciach.

— Masz sporo racji, ale ja nie potrafię żyć bez Armanda — powiedziała, hamując łzy.

Pierre spojrział na nią i przypomniał sobie, jak płakała, gdy dowiedziała się, że się rozstają.

Nie przypuszczał, że tak bardzo pokocha męża. To dziwne, ale nie czuł teraz nawet zazdrości. Od jakiegoś czasu rozumiał, iż kocha ją jak siostrę. Domyślał się, że ona też go tak traktuje. Wiedział, że musi jej pomóc. I dokona tego! Przysunął się bliżej i ujął jej drobną dłoń. Spoglądając w jej smutne, zapłakane oczy, powiedział spokojnym głosem.

— Jeszcze nie wszystko stracone. Statek odpływa jutro o świcie. Napisz list, a ja dostarczę go Armandowi. Może zmieni swoje plany?

— Naprawdę? Co mam napisać? Przecież Armand był tu przedwczoraj. Wtedy jeszcze tryskałam energią i zdrowiem. Myślisz, że uwierzy, iż jestem umierająca?

— Innych jakoś przekonałaś...

Zerknęła na niego, ocierając chusteczką łzy.

— Może masz rację — dodał po chwili. — Może to ja powinienem napisać ten list.

— Zrobiłbyś to dla mnie?

— Nie pozwolę ci umrzeć.

Przyłożył do ust jej drobną dłoń. Całował ją z takim pietyzmem, że Juliette aż się zarumieniła.

— Musisz żyć — szeptał.

Ona zaczęła gładzić dłonią jego jasne włosy opadające na czoło.

— Nie martw się, Pierre, przeżyję.

— Widzę, jak cierpisz, i to mnie bardzo boli. Tu, w środku, odczuwam silny ból — mówiąc to dotknął serca.

— Dobrze wiesz, że w moim sercu zawsze będzie dla ciebie specjalne

miejsce, ale kocham Armanda. Zbyt późno to zrozumiałam.

— Odzyskasz go, obiecuję.

Juliette uśmiechnęła się delikatnie. Tak bardzo pragnęła, by słowa Pierre'a się spełniły.

* * *

Gdy Pierre wrócił do salonu, zastał tam Henriettę w towarzystwie Jeana oraz markizę de Beries.

— Proszę, aby usiadł pan przy mnie, panie Duvalle — powiedziała markiza, wskazując puste miejsce na kanapie.

Pierre posłusznie wykonał jej polecenie.

— Rozmawiałeś z Juliette? — spytała.

— Tak, pani markizo.

— Jak ją znajdujesz?

— Według mnie, zupełnie straciła chęć do życia.

— Tak też powiedział medyk, gdy z nim wczoraj rozmawiałam. On uważa, że Juliette fizycznie jest zdrowa, lecz z niewyjaśnionych przyczyn gaśnie w oczach. Podejrzewa, że jest to problem natury emocjonalnej.

— Niestety, to prawda — odrzekł Pierre, pogrążając się w myślach.

Po chwili spojrzął na obecnych z błyskiem w oczach.

— Jeśli pani pozwoli, markizo, mam pewien pomysł.

Markiza spojrzała na niego z zaciekawioną.

— Słucham cię uważnie, młodzieńcze.

— Armand nie wie, że jego żona tak ciężko się rozchorowała. Gdy on wyjedzie, gotowa jeszcze umrzeć z tęsknoty.

— Jest aż tak źle? — zaniepokoiła się markiza.

— Niestety tak.

— Co proponujesz?

— Chciałbym napisać list do Armanda. Może lepiej byłoby jednak, gdyby jaśnie pani napisała kilka słów, opisując ciężki stan jego żony. Jeśli nawet markiz nie zmieni zdania, to może chociaż chciałby ją ponownie zobaczyć. Ona naprawdę bardzo cierpi.

— Wiem o tym. Kiedy wczoraj przyjechałam, przeraziłam się. Z Armandem widziałam się z samego rana. Tutaj przyjechałam po południu. Szkoda, że wcześniej nie przyszło mi na myśl, żeby zawiadomić syna o stanie zdrowia jego żony. Mógłby tu już dzisiaj być.

— Wiem, mamy mało czasu. Statek odpływa jutro o świcie.

— Zaraz napiszę list. Posłaniec powinien zdążyć przed odpłynięciem statku.

— Ja będę tym posłańcem.

— Naprawdę?! Jest już późno. Teraz w sierpniu dni są coraz krótsze. Nie zdążysz przybyć do Tulonu przed zapadnięciem nocy.

— Ważne, żebym zdążył przed świtem.

Markiza wydała się trochę zaniepokojona tą odpowiedzią.

— Drogi są niebezpieczne. Na pewno chcesz jechać sam?

— Nie powiedziałem, że sam. Wezmę ze sobą oddanego sługę. Włada szpada nie gorzej ode mnie.

— Skoro tak mówisz — odparła. — Jednak uważaj na siebie, proszę. Gdyby coś ci się stało, nigdy bym sobie tego nie darowała.

— Ma się rozumieć, pani markizo.

* * *

Pierre wyruszył z listem markizy jeszcze tego samego dnia. Słońce chyliło się ku zachodowi. Droga biegła tuż nad brzegiem morza. Złocistoczerwone promienie słoneczne niemal zlewały się z taflą wody.

Pierre i jego oddany sługa, Nicolas, gnali galopem na koniach.

— Nie spiesz się tak, panie, zdążymy — uspokajał go sługa.

— Chcę być pewien, że przybędziemy na czas.

Sługa nie odpowiedział. Jechali w milczeniu przez wzgórza oraz doliny. Zbliżała się północ. Drogę rozświetlały tylko księżyc i gwiazdy.

— Zatrzymamy się w zajeździe na kilka godzin. Konie muszą odpocząć — oznajmił Pierre.

— Dobrze, panie.

Przejeżdżali właśnie przez wąwóz, gdy usłyszeli strzał z pistoletu. Prerażone konie stanęły dęba. Na ich drodze pojawili się czterej mężczyźni. Dwóch z nich wybiegło zza przydrożnych drzew. Dwóch następnych zeskoczyło z wysokiej skarpy.

— Kogo tutaj mamy? — odezwał się jeden z nich.

Pierre w pierwszej chwili chciał wyciągnąć szpadę, wiszącą u boku, ale analizując sytuację, uznał to za bezcelowe. Zbliżający się do niego mężczyzna miał wycelowany pistolet prosto w jego serce. Pozostali dwaj stali obok. Jeden z nich chwycił za uzdę konia, na którym siedział Pierre. Za chwilę to samo uczynił drugi z koniem Nicolasa.

— Złaźcie z koni! — rozkazał ten z pistoletem w dłoni.

Pierre i Nicolas spojrzeli na siebie. Oboje dobrze wiedzieli, że nie jest dobrze. Wpadli w pułapkę i nie wiadomo, kiedy uda im się wyswobodzić, jeżeli w ogóle ujdą z życiem. Pierre miał przed oczami ciężko chorą Juliette. Winił się za to, że tak łatwo dał się podejść.

Obaj mężczyźni zeszli posłusznie z koni. Rabusie natychmiast ich otoczyli.

Dwaj z nich złapali Pierre'a od tyłu za ręce, pozostali to samo uczynili z Nicolasem.

— Przeszukaj kieszenie tego paniczyka! — rozkazał ten z pistoletem.

Jeden z rabusiów bez chwili namysłu wykonał rozkaz.

— Pokaż, co tam masz? Więcej, niż myślałem — najwyraźniej ucieszył się herszt bandy, potrząsając sakiewką pełną monet.

— Popatrz, panie, co tu jeszcze mamy? — odezwał się jeden z opryszków, biorąc w dłoń srebrny zegarek Pierre'a.

Dowodzący bandą podszedł i jednym ruchem zerwał srebrny łańcuszek, na którym zawieszony był zegarek. Pierre w myślach modlił się, żeby tylko nie zabrali mu listu do Armanda. Jakby wciąż miał nadzieję, że uda mu się uciec i jeszcze zdąży przed odpłynięciem statku.

Tymczasem bandyci zaprowadzili Pierre'a i jego sługę w głąb lasu. Tam obu przywiązali do drzewa, ze skrępowanymi rękami i nogami. Następnie usiedli przy rozpalonym ognisku i zaczęli pić wino. Szczęśliwi, wlewali w siebie spore ilości trunku.

W tym czasie Pierre intensywnie tarł więzy krępujące jego dłonie o pień drzewa, do którego był przywiązany. Wiedział, że to jedyna szansa, żeby się wyswobodzić. Tym bardziej, że bandyci, z minuty na minutę, wydawali się coraz bardziej odurzeni alkoholem. W końcu całą czwórkę opryszków zmógł sen.

Pierre, nie tracąc nadziei, tarł sznurek o pień drzewa z coraz większą intensywnością. W końcu udało mu się przerwać więzy krępuje jego dłonie. Ostrożnie wyjął mały nożyk ukryty w długim bucie. Następnie jednym sprawnym ruchem przeciął sznur krępujący mu nogi.

Kiedy już sam się uwolnił, podszedł do swojego sługi. Jednym ruchem uwolnił jego dłonie, a następnie nogi. Nicolas chciał coś powiedzieć, ale Pierre dał mu znak, by się nie odzywał. Następnie odezwał się tak cichym szeptem, że jego towarzysz bardziej domyślił się, niż usłyszał, co mówił.

— Chodźmy po nasze konie.

Niemal bezszelestnym krokiem Pierre i Nicolas udali się w miejsce, gdzie opryszkowie przywiązali swoje i ich konie. Widok zbliżających się mężczyzn pobudził konie. Pierre jednym susem wskoczył na swojego wierzchowca.

— Pospiesz się — rzekł do sługi, odwiązując jednocześnie pozostałe konie.

— Dobrze pomyślałeś, panie — rzekł Nicolas, dosiadając konia.

W tym momencie uciekające zwierzęta zrobiły olbrzymi rumor. Dwaj z opryszków otworzyli oczy, a widząc, co się dzieje, zerwali się na równe nogi. Jeden z nich chwycił za pistolet i strzelił. Na szczęście jednak chybił. Pierre i Nicolas zniknęli za zakrętem. Słyszeli za sobą krzyki rozzłoszczonych rabusiów.

— Udało nam się, panie! — rzekł sługa, gdy byli kilkaset metrów dalej.

* * *

Słońce już dawno wstało. Jego jasne promienie rozświetlały pola i łąki. Droga biegła blisko Morza Śródziemnego. Pierre obserwował, jak promienie słoneczne wprost kąpią się w tafli wody. Zdawał sobie sprawę, że swoim wyglądem w niczym nie przypomina wytwornego panicza. Siedział na koniu w poszarpanych szatach. Jego sługa, Nicolas, był w równie opłakanym stanie.

— Pospieszmy się! — krzyknął Pierre. — Już świta, a przed nami jeszcze kawał drogi.

— Nie martw się, panie, zdążymy.

— Zabrali mi srebrny zegarek. Nie wiem, która godzina — skarżył się młodzieniec.

— Dobrze, że nas nie zabili.

— Masz rację.

— Jak na moje oko, jest około szóstej.

— Tak mówisz. Miejmy nadzieję, że się nie mylisz.

Dalsza podróż upłynęła im bez dodatkowych przygód. Po godzinie byli już w Tulonie. Wjechali na rynek. Na gmachu ratusza znajdował się okazały zegar. Pierre spojrzał w górę i rzekł do sługi pełen podziwu.

— Miałeś rację, jest dopiero kwadrans po siódmej. Zdążyliśmy.

Sługa tylko się uśmiechnął. Zwolnili, kierując się w stronę portu.

— Potrzyмай konie i poczekaj tu na mnie — rzekł Pierre, gdy byli już na miejscu.

Sam udał się na pomost, przy którym cumowały statki. Rozglądał się, coś mu jednak nie pasowało. Przemierzył pomost w jedną i drugą stronę, jakby czegoś szukając. Chociaż stało tam kilka różnych statków, tego, którego szukał, akurat nie było.

— Gdzie cumuje statek „Fortuna”? — zaczepił przechodzącego obok mężczyznę.

Ten zmierzył go od stóp do głów, a widząc jego podarte szaty, nie pałał chęcią nawiązania dialogu.

— Nie poznasz mnie? Byłem tu wczoraj.

Po chwili Pierre spojrzał na swój obdarty strój i machnął ręką.

— A to! W nocy napadli mnie bandyci, ledwo uszedłem z życiem. Mam ważny list dla markiza de Beries.

Nieznamy spojrzał na niego jeszcze raz i jakby dopiero teraz przypomniał sobie, z kim ma przyjemność.

— Ach, to pan Duvalle. Teraz sobie przypominam.

Pierre włożył rękę do kieszeni skórzanej kurtki i wyjął list, napisany przez Izabellę de Beries.

— Spóźnił się panicz.

— Jak to?! — krzyknął Pierre.

Podszedł i chwycił go za klapy kamizelki.

— To niemożliwe! Statek miał odpłynąć o ósmej rano.

— Może i tak. Ja wiem tylko, że już odpłynęli.

— A markiz de Beries?!

— Oczywiście, że odpłynął. Widziałem, jak stał na pokładzie i spoglądał na ląd.

— Jesteś pewien?

Mężczyzna spojrział na Pierre'a, trochę przerażony jego wzburzeniem.

— Tak. Spójrz panie na horyzont, to właśnie „Fortuna”.

Pierre podbiegł do miejsca, skąd dokładnie widać było morską toń. Wzniósł oczy do góry. Z daleka widać było kołyszący się na falach statek.

Co ja powiem Juliette?, pomyślał. Przecież ona tego nie przeżyje. Jak spojrzę jej w oczy? Wszystko na marne. Dlaczego wypłynęli wcześniej? Myśli kłębiły się w jego głowie.

Wrócił tam, gdzie czekał na niego Nicolas.

— Dałeś panie ten list? — spytał sługa.

— Nie dałem. Odpłynęli.

— Jak to? Przecież nie ma jeszcze ósmej.

— Nie wiem dlaczego, ale odpłynęli. Zabrakło nam niespełna godziny — odparł załamany Pierre.

26. Opera

Minęły dwa tygodnie. Juliette pomału doszła do siebie. Można by pomyśleć, iż pogodziła się, że jej mąż opuścił Francję. Za namową swojej matki udała się wraz z Henriettą do Lyonu. Pobyt wśród ludzi miał pomóc jej zapomnieć o troskach.

Tego wieczoru, po wielu wahaniach, Juliette postanowiła udać się do opery. Towarzyszyła jej Henrietta oraz jej mąż Jean.

Miało się wrażenie, że cała śmietanka towarzyska zebrała się dzisiaj właśnie tutaj. Zapewne za sprawą wystawienia dzieła jednego z najmodniejszych kompozytorów. „Koronacji Pompei” Monteverdiego.

Juliette, choć niechętnie, dała się namówić na spędzenie tego wieczoru w operze. Odkąd przybyła do Lyonu, całe dni spędzała w zaciszu domowym. Henrietta namówiła siostrę, by podczas pobytu zatrzymała się w jej pałacyku, a nie w posiadłości markizy de Beries. Dobrze wiedziała, że chociaż Juliette nie okazuje tego, jednak bardzo cierpi po wyjeździe Armanda.

— Poczekajcie tu na mnie — zwrócił się Jean do żony i Juliette. — Dam dyspozycję stangretowi i zaraz wracam.

— Staniemy tu z boku — odpowiedziała Juliette, wskazując miejsce przy jednym z filarów.

Tego dnia młoda markiza miała na sobie suknię z kremowego muślinu. Dekolt, wyszywany jedwabnymi białymi różyczkami, robił wrażenie bardzo strojnego i eleganckiego. Może dlatego, że wieńczyła go okazała broszka w kształcie motyla. Drobne brylanty oraz szafiry, którymi była wysadzana, iskrzyły w świetle padającym z wielkich zwisających kandelabrow.

Henrietta założyła suknię w kolorze pudrowego różu. Rozłożysty dół, z mnóstwem koronkowych falbanek, nadawał jej wytworności. Jej jasnoblond włosy świetnie współgrały z delikatnym odcieniem stroju. Pozostała przy naturalnym kolorze włosów, doczepiwszy do nich jedynie pukle sztucznych w tym samym kolorze.

Jak wielkie było zdziwienie Juliette, gdy w hallu głównym ujrzała Michaela, stojącego obok jakiejś wysokiej kobiety. Widać było, że przyszli razem.

— Czy to nie Michael? — spytała z niedowierzaniem.

— Nie wyjechał? — Henrietta wydała się równie zaskoczona.

— Może coś się stało? Muszę koniecznie z nim porozmawiać — stanowczym głosem oznajmiła Juliette.

— Myślisz, że ma jakieś wiadomości o Armandzie?

— Na pewno.

Henriettę nurtowało zupełnie coś innego.

— Widzisz tę kobietę obok niego? Suknia, która ma na sobie, wydaje mi się dziwnie znajoma.

Juliette spojrzała na siostrę, nie rozumiejąc co ma na myśli. Strój nieznaney damy wydawał się być odpowiednio szykowny. Jednak istotnie chyba już kiedyś widziała kogoś w identycznej sukni. Kobieta stojąca obok Michaela była bardzo wysoka, nawet wyższa od niego. Tym bardziej, że jej głowę zdobiła peruka w kolorze popielaty blond.

— Masz rację. Wydaje mi się, że w tej sukni widziałam Elaine na przyjęciu w jej pałacu — dodała po krótkim namyśle.

— Myślisz, że to ta sama suknia?

— Wiesz, że mam świetną pamięć do przedmiotów oraz twarzy. Jestem pewna, że to ta sama suknia — oznajmiła Juliette.

— Przecież od tamtej pory minął ponad rok.

W tym momencie podszedł do nich Jean. Henrietta i Juliette przerwały rozmowę niemal w pół zdania. Spojrzał na nie podejrzliwie.

— Co tak zamilkłyście? — spytał.

Kobiety najwyraźniej nie chciały, aby dowiedział się, kogo tak obgadywały. Jean odwrócił głowę w kierunku, w którym obie panie przed chwilą patrzyły. Spojrzał i mocno się zdziwił.

— Czy mnie wzrok zawodzi? To Michael?

— Tak — odpowiedziały chórem.

Widać było, że ich przyjaciel nie spodziewał się spotkać tu tylu znajomych. Dało się to wyczytać z jego speszzonej miny.

— Nie powinieneś być teraz na statku? — spytał Jean, podchodząc do Michaela.

— Może i powinienem, ale stało się inaczej — odpowiedział. — Teraz nie mam czasu na wyjaśnienia. W wolnej chwili wszystko ci opowiem.

— Trzymam cię za słowo — odparł baron.

Michael tymczasem przywitał się z Juliette, następnie z Henriettą.

Widząc jednak, że wszyscy wpatrują się w kobietę stojącą obok niego, rzekł.

— To moja kuzynka, Celine Renier.

Młoda kobieta skłoniła się grzecznie, nic jednak nie mówiąc. Mimo iż prawie całą jej twarz zakrywał szeroko rozłożony wachlarz, widać było jej piękne błękitne oczy. Robiła wrażenie bardzo zdenerwowanej.

Juliette przyglądała się jej bardzo uważnie. Kim jest ta kobieta?, zastanawiała się.

To pytanie nie dawało jej spokoju. Chociaż zza wachlarza błyszcząły tylko jej błękitne oczy, to one właśnie wydały się dziwnie znajome.

Juliette koniecznie chciała porozmawiać z Michaelem. Miała nadzieję, że dowie się od niego czegoś o Armandzie. Jednak w tej chwili rozległ się gong,

oznajmiający o mającym się zacząć wkrótce przedstawieniu. Na rozmowę nie było więc już czasu.

Michael wraz z towarzyszącą mu kobietą zaczęli kierować się w stronę schodów na górę. Juliette niesiona emocjami chciała natychmiast pobiec za nimi. Jednak Henrietta ją powstrzymała.

— Na pewno zdążysz z nim porozmawiać. W przerwie spektaklu będzie sporo czasu, zapewniam cię.

Chociaż nie do końca była zadowolona z tego pomysłu, musiała przyznać siostrze rację.

— Czy ona ci kogoś nie przypomina? — spytała Juliette, gdy szły schodami na górę.

— Masz na myśli tą kobietę towarzyszącą Michaelowi?

— Widziałas jej oczy? Musiałam już ją gdzieś widzieć. Nie mogę sobie tylko przypomnieć gdzie i kiedy.

— Drogie panie, zapraszam do naszej łoży — ponaglał Jean.

Gdy zajęli już swoje miejsca, Juliette zaczęła rozglądać się po widowni. Zamiast obserwować artystów wpatrywała się w towarzyszącą Michaelowi damę. Ciągłe nie mogła sobie przypomnieć, skąd ją zna. Ku swemu zdziwieniu zauważyła, że w sąsiedniej łoży zajęła miejsce Antuanette. Towarzyszył jej jakiś starszy mężczyzna. Domyśliła się, że to może być jej nowy mąż. Doszły ją bowiem słuchy, że kuzynka markizy poślubiła mediolańskiego księcia Vimordone.

Tak się akurat złożyło, że łoża Michaela oraz księcia graniczyły ze sobą. Juliette miała wrażenie, że Antuanette, zamiast obserwować scenę, komunikuje się z nieznaną kobietą. Nikt z towarzyszących obu damom osób tego nie zauważył. Wszyscy z uwagą śledzili przedstawienie. Przecież była to opera twórcy gatunku, Monteverdiego.

Juliette, chociaż uwielbiała tego kompozytora, nie mogła oprzeć się pokusie obserwowania obu kobiet. Nagle Antuanette wstała i szepcząc coś do ucha starszemu mężczyźnie, opuściła łożę. Juliette, niewiele myśląc, zrobiła to samo.

Rozejrzała się. Na korytarzu było zupełnie pusto. Jednak Juliette starała się poruszać bezszelestnie, żeby nie rzucić się w oczy. Ułatwiał jej to długi czerwony dywan, rozpościerający się na marmurowej posadzce.

Wtem ujrzała Antuanette, zbiegającą po schodach. Juliette ukryła się za jednym z filarów, obiema dłońmi przytrzymując rozłożystą suknię.

Jakież było jej zdziwienie, gdy po zejściu do sali na parterze nie znalazła nigdzie Antuanette. Rozejrzała się dokoła, nie było nikogo oprócz odźwiernych. Podeszła więc do wielkiego kryształowego lustra. Stwierdziwszy, że powinna poprawić makijaż, usiadła na jednej z kanap. Następnie otworzyła swą małą atłasową torebkę, szukając w niej podręcznej puderniczki. Oparcie kanapy było na tyle wysokie, że zasłaniało niemal całą drobną postać Juliette. Gdy tak siedziała,

poprawiając makijaż, usłyszała nagle kroki zbliżających się osób. Ze strachu niemal zamarła w bezruchu. Całe szczęście, że na kanapie były miejsca siedzące jeszcze po drugiej stronie wysokiego oparcia. Właśnie tam usiedli nieznajomi. Juliette czuła się nieswojo, przysłuchując się rozmowie obcych osób. Już chciała wstać i odejść, gdy usłyszała głos Antuanette. Została więc, przysłuchując się rozmowie. Ze zdziwieniem rozpoznała, że drugim rozmówcą jest Paul.

Co on tu robi? Czyżby on też nie odpłynął? Jak to się stało, że nie zauważyła go wśród gości przybyłych do opery?

Postanowiła, że koniecznie musi z nim porozmawiać. Skoro on nie odpłynął, może Armand też jeszcze jest we Francji?

Nie interesowało jej tak naprawdę życie intymne innych osób. Jednak rozmowa Antuanette i Paula wydała jej się bardzo interesująca. Przysunęła się bliżej, żeby móc dokładniej usłyszeć, o czym rozmawiają. Tak naprawdę, niewiele mogła zrozumieć ze słów młodej księżnej. To był jeden wielki szloch. Paul starał się ją uspokoić, jednak z miernym skutkiem.

— Nie kocham go! Jest stary i brzydki!

Juliette w końcu zrozumiała słowa, wypowiedane przez Antuanette.

— Uspokój się. Jesteś teraz księżną — pocieszał ją Paul.

— No i co z tego! Czuję się w jego pałacu jak w klatce. Nawet w szkole u sióstr zakonnych miałam więcej swobody!

— Tak to jest, jak wychodzi się za mąż dla pieniędzy. W końcu osiągnęłaś swój cel. Masz bogatego męża.

— Paul! Nie rozumiesz?! Ja musiałam go poślubić!

Zmierzył ją od stóp do głów. Następnie spyta, z ironicznym uśmiechem na twarzy.

— Dlaczego? Bo ojciec ci kazał? Czy tak bardzo bałaś się staropanieństwa?

— Nie rozumiem, dlaczego ciągle ze mnie szydzisz. Przecież mówiłam ci, spodziewam się dziecka.

Paul aż drgnął. Spojrzał na nią mocno zdziwiony.

— Jak to?! Jesteś w ciąży?

Antuanette spuściła oczy. Widać było, że to wyznanie wiele ją kosztuje.

— Niczego się nie domyślasz. To dziecko jest twoje — powiedziała cichym, ledwo słyszalnym głosem. Następnie uniosła głowę, żeby spojrzeć w jego błękitne oczy.

— Jesteś pewna, że to moje dziecko? — spytał, chcąc się upewnić, czy się nie przesłyszał.

— Przecież mówiłam ci to już dawno, ale nie chciałeś mnie słuchać.

— Sądziłem, że tak mówisz, żeby mnie przy sobie zatrzymać. Jesteś tego pewna?

— Oczywiście. Dowiedziałam się o ciąży, gdy tylko mnie rzuciłeś. Nie

chciałeś ze mną rozmawiać. Czy wiesz, co ja wtedy czułam? Nawet nie wiesz, jak cierpiałam. Nie wiedziałam, co mam z sobą począć.

— Teraz już rozumiem, dlatego tak desperacko szukałaś męża. Jednak nie rozumiem, dlaczego chciałaś zniszczyć małżeństwo Juliette i Armanda. Zupełnie nie liczysz się z uczuciami innych.

— Nie oceniam mnie tak surowo, proszę. Ty nie chciałeś ze mną nawet rozmawiać. Poza tym, nie uwierzyłeś mi. Nie pamiętasz?! Myślałeś, że kłamię.

— Sądziłem, że to jeszcze jedna z twoich gier. Gdybym wiedział, że mówisz wtedy prawdę...

— Ale mi nie uwierzyłeś. Byłam zrozpaczona, pozostawiona sama sobie. Bałam się przyznać ojcu. Sądziłam, że gdy się o wszystkim dowie, wydziedziczy mnie. Jedyłą nadzieją stał się Armand. Akurat pojechałam z moją matką chrzestną do jego posiadłości w Nicei. Tak szczęśliwie się złożyło, że Juliette wyjechała do swoich rodziców. Pomyślałam sobie, że lepsza okazja już się chyba nie nadarzy. Łudziłam się, że Armand rozstanie się z Juliette.

— Wbrew pozorom jesteś bardzo naiwna. Przecież wiesz, że cały majątek dziedziczy pierworodny syn.

— Wiem, jednak miałam nadzieję, że Armand wybierze mnie. Dlatego sądziłam, że moje dziecko będzie miało prawo chociaż do części jego majątku.

— Dzięki Bogu, tak się nie stało.

Antuanette nic nie odpowiedziała. Spoglądała na Paula swymi brązowymi oczami. Oczywiście zataiła intrygę, jaką uknuła, chcąc zdobyć Armanda. Teraz, gdy została żoną księcia, nie miało to już żadnego znaczenia.

Juliette nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Siedziała cichutko, bojąc się nawet oddychać. Dobrze wiedziała, że podsłuchanym przez nią rozmówcom zależy na utrzymaniu tajemnicy.

— Całe szczęście, że ten podstarzały księżę zdecydował się na ślub, i to jeszcze w tak krótkim czasie. Swoją drogą, ciekawe, jakich użyłaś argumentów — spytał Paul.

— Nie drwij sobie ze mnie. Wiesz, że byłam jego narzeczoną od wielu lat. Zawsze jednak odwlekałam decyzję o ślubie. Teraz po prostu ją przyspieszyłam.

Spojrzał na nią, a jego wzrok wiele wyjaśnił.

— Więc przez cały ten czas, gdy się spotykaliśmy, byłaś jego narzeczoną? Nie do wiary?! Zwodziłaś mnie i jego przez te wszystkie lata.

— Wiesz, że to nie tak. Ciebie kochałam.

— Już mnie nie kochasz? — spytał ironicznie.

— Wiesz, że nadal darzę cię wielkim uczuciem, jednak nie dane nam było iść przez życie razem — powiedziała to z taką czułością, że Paulowi trochę zrobiło się jej żal.

— Jeszcze nie umieramy, może kiedyś nasze drogi znów się połączą — rzekł

z nutką nadziei w głosie.

— Tak sądzisz? — ucieszyła się Antuanette.

Tak bardzo chciała się wtulić w jego ramiona... Bała się jednak odtrącenia. Spuściła tylko głowę, siedząc sztywno obok niego. Jej oczy wypełniły się łzami. Paul spojrział na Antuanette i poczuł, jak serce zaczęło mu szybciej bić. W tej jednej chwili przysły wszystkie żale, jakie do niej miał. Przysunął się bliżej i objął ją swym męskim ramieniem.

— Nie płacz, proszę.

Antuanette wtuliła się w jego ramiona. Paul chciał ją pocieszyć, jednak żadne mądre słowa nie przychodziły mu do głowy.

— Wiesz co — dodał po chwili — pamiętasz to lustro..? To, które oboje widzieliśmy w maszynie podświadomości?

Spojrzała na niego dziwnie. Dlaczego nagle przyszło mu to do głowy?

— Właśnie to lustro widziałem na strychu, w moim domu.

— Na strychu?

— Też mnie to zdziwiło. Stało wśród starych, niepotrzebnych przedmiotów, przykryte poszarzałym płótnem. Gdy uniosłem tkaninę, ujrzałem tę charakterystyczną ramę. Aż nie mogłem w to uwierzyć! Zachodziłem w głowę, co to zwierciadło robi w naszym domu. Spytałem o to mamę.

— I co odpowiedziała?

— Powiedziała, że to lustro kiedyś wisiało w dworku mego pradziadka. Niestety, miał on słabość do kart. Prawie cały majątek stracił w grze w pokera. Za pieniądze, które zostały, prababka kupiła ten mały dworek, w którym nasza rodzina mieszka do dzisiaj. Mama też przypomniała, że moja babcia kazała to lustro zdjąć ze ściany, twierdząc, że przynosi ono pecha. Rozkazała, żeby je wynieść na strych i zakryć płótnem. Chodziło jej o to, żeby nikt nie mógł się w nim przejrzeć.

— Myślisz, że przynosi ono pecha w miłości, tak jak to małe zwierciadło, które zakopaliśmy kiedyś w ogrodzie?

— Sądzę, że tak. Zresztą, nie wiem. Czy to ma jakieś znaczenie?

— Dla mnie ma.

— Już teraz rozumiem, dlaczego, chociaż niby mam powodzenie u kobiet, nie mogę być z tą, którą pokochałem.

Antuanette spojrziała na niego szklistymi od łez oczami. Dobrze wiedziała, kogo ma na myśli.

— Paul, przyrzeknij mi, że nie wyjedziesz do Ameryki na zawsze. Tylko myśl, że cię jeszcze kiedyś ujrzę, będzie mnie trzymać przy życiu.

— Nie wiem, czy mogę ci to obiecać. Nie jestem pewien, co mnie tam spotka. Jadę w nieznaną.

Słyszając te słowa, Juliette zrobiło się trochę żal Antuanette. Zresztą, sama czuła to samo. Nie wiadomo, kiedy Armand wróci i czy w ogóle wróci. W tym

samym momencie skojarzyła, że skoro Paul i Michael są tutaj, to z pewnością Armand też nie odpłynął. Pomyślała, że musi koniecznie jeszcze dzisiaj porozmawiać z Paulem. Taka okazja może się drugi raz nie nadarzyć.

Z rozmyślań wyrwał ją głos Paula, słyszany zza wysokiego oparcia długiej kanapy.

— Musimy kończyć, za chwilę rozpocznie się antrakt. Przecież nie chcesz, żeby nas ktoś zobaczył razem. Nawet w tym dziwnym przebraniu może mnie ktoś rozpoznać.

Antuanette chyba zrozumiała powagę sytuacji. Jej milczenie było bardzo wymowne.

— Przypudruj sobie nos — zaproponował Paul. — Twój mąż nie może poznać, że płakałaś.

— Masz rację — odpowiedziała smutnym głosem.

W tym momencie Juliette zorientowała się, że Antuanette podejdzie do lustra, wiszącego na ścianie obok niej. Wstała więc pospiesznie i schyliwszy nieco głowę, zaczęła wycofywać się w stronę miejsca, gdzie łączyły się oparcia obu kanap.

Nagle poczuła, jak ktoś łapie ją w pasie, przyciskając mocno do siebie. Chciała krzyknąć, ale nie zdążyła. Poczuła, że ktoś zakrywa jej dłonią usta. Po raz pierwszy w życiu naprawdę się bała. W jej głowie zaczęło galopować tysiące myśli. Czyżby chodziło o porwanie dla okupu, pomyślała. A może to czysty przypadek. Po prostu znalazła się w nieodpowiednim miejscu i czasie?

W tym momencie zauważyła, że ręka, która ją trzyma, jest w damskich rękawiczkach. Przypomniała sobie suknię Celine, towarzyszącą dzisiaj Michaelowi. Odetchnęła z ulgą. Skojarzyła, że to może być przecież Paul. On chyba także w tym samym czasie doszedł do podobnego wniosku, gdyż puścił ją.

Kiedy Juliette już się wyswobodziła, zobaczyła Paula stojącego obok niej w damskiej sukni. Przyjrzawszy mu się jeszcze raz od stóp do głów, musiała przyznać, że ładna byłaby z niego kobieta.

— Co tu robisz? — spytał.

— Raczej co ty tu robisz, do tego w tak dziwnym stroju?

— Nie domyślasz się? Musiałaś przecież słyszeć naszą rozmowę.

— Coś tam słyszałam — powiedziała to w taki sposób, żeby Paul był przekonany, iż nie interesuje jej życie intymne Antuanette.

— Od jak dawna tu byłaś?

— Wystarczająco długo, żeby zrozumieć, że ona cię nadal kocha.

— Odkąd poślubiła innego, dla mnie przestała istnieć — odparł ze smutkiem.

— Czyżby? — odpowiedziała z niedowierzaniem. — Właśnie widzę, jak jest ci obojętna. Dla niej przebrałaś się w te ciuszki.

— Nie bądź cyniczna, Juliette. Wiesz, że znaczyła dla mnie więcej, niż inne kobiety.

— Może jeszcze będziecie razem?

— Dziękuję za pocieszenie, ale chyba sama w to nie wierzysz.

— Gdybym w to nie wierzyła, nie mówiłabym tego.

— Co masz na myśli? — spytał Paul, nie kryjąc zainteresowania.

— Księżę nie jest już pierwszej młodości. Kto wie, ile jeszcze lat pożyje. Może Antuanette zostanie młodą i bogatą wdową — cynicznie oznajmiła Juliette.

— Sądzisz, że księżę jest chory na jakąś śmiertelną chorobę? — spytał Paul z nadzieją w głosie.

— Nie, ale zawsze można go otruć.

Paul spojrział na nią zaskoczony.

— Wiem, że nie lubisz Antuanette, ale nie przypuszczałem, że aż tak.

— Przepraszam, nie chciałam być niemila. Zapomniałam, że ciągle ją kochasz — dodała ze skruchą.

— Tak myślisz?

— To oczywiste, inaczej byś tu nie przyszedł,

Paul, choć niechętnie, musiał przyznać jej rację. Po chwili dodał:

— Mam nadzieję, że to co tu usłyszałaś, zachowasz dla siebie.

— Przecież znasz mnie. Wiesz, że umiem dochować tajemnicy.

Paul robił wrażenie, jakby o czymś intensywnie myślał. Siedząc obok Juliette, spuścił głowę i nerwowo, bezwiednie bawił się dołem sukni.

— Jak wy możecie w tym chodzić? — spytał, unosząc po kolei warstwy halek. — Nie jest wam w tym za gorąco?

— Niekiedy jest — roześmiała się Juliette. — Za to w chłodne dni nie narzekamy.

— A te e? W tym w ogóle nie da się usiąść!

— Nie narzekaj. Widzisz, jak cierpimy, żeby się wam podobać — oznajmiła z uśmiechem.

Nagle spojrzała na suknię Paula i przerażona krzyknęła.

— Spójrz, podarłeś sukienkę!

— Gdzie? — spytał zaniepokojony.

— Tutaj — wskazała oderwany kawałek tkaniny.

Paul chwycił za ciągnącą się po podłodze szyfonową falbankę.

— Chyba to oderwę!

— Nie! Zniszczysz suknię! — powstrzymała go Juliette.

— Jak to się mogło stać? Wiem, to twoja sprawka — uśmiechnął się. — Gdy cię złapałem, za bardzo się wrywałaś. Jestem pewien, że musiałaś zahaczyć bransoletką o szew w pasie.

— Możliwe. Ale jak śmiesz mi to wypominać! Nawet nie wiesz, jak się

bałam! — oburzyła się.

— No dobrze, już dobrze. Poradź mi lepiej, co powinienem zrobić. Co powie Elaine, gdy to zobaczy?

— Gdy cię ujrzałam, od razu wiedziałam, że to suknia Elaine — roześmiała się Juliette.

Paul nawet nie słuchał tego, co mówiła. Tak bardzo był przejęty podartą tkaniną. Siedząc, unosił co chwila dół sukni oraz halkę. W tym momencie oczom Juliette ukazała się jego owłosiona łydka. Co prawda, miał na nogach jasne pończoszki, ale czarne gęste włosy prześwitywały przez cieniutki jedwab.

— Nie ogoliłeś łydek? — spytała zdziwiona.

— To wy golicie nogi? — zdziwił się.

— Myślałeś, że nam włosy tam nie rosną — roześmiała się Juliette.

Paul spojrział na nią, a jego mina wyjaśniała wszystko.

— Chyba skończył się już drugi akt. Za chwilę pojawi się tu mnóstwo osób. Nie powinien nas nikt zobaczyć razem.

— Oczywiście, oczywiście... — przyznała mu rację, intensywnie o czymś rozmyślając

W końcu powiedziała, jakby doznając olśnienia.

— Wiem, jak uratować tę suknię!

Odpięła szybkim ruchem broszkę, wpiętą w dekolt swej sukni, i podała ją Paulowi. On wziął przedmiot w dłoń, ale chyba nie bardzo wiedział, co powinien z nim zrobić.

— Pospiesz się, proszę — ponaglała go Juliette.— Przypnij oderwaną część materiału do gorsetu.

Widząc, jak nieporadnie się do tego zabiera, wzięła od niego broszkę.

— Pomogę ci.

Sprawnym ruchem przypięła oderwany kawałek tkaniny do gorsetu. Paul był pod wrażeniem. Broszka stała się znakomitą ozdobą sukni.

— Nawet pasuje — uśmiechnęła się.

— Teraz jest dobrze? — spytał.

— Tak, świetnie wyglądasz — pochwaliła go.

Po chwili namysłu, jakby teraz dopiero o czymś sobie przypomniała, dodała:

— Muszę z tobą pomówić. To bardzo ważne, proszę.

Paul spojrział na nią mocno zdziwiony. Przecież spędzili ze sobą ponad piętnaście minut! Widział jednak po jej minie, że sprawa jest poważna.

— Zgoda! Spotkajmy się tutaj za trzy kwadransy. Gdy zacznie się następny akt.

Juliette skinęła głową na znak aprobaty. Wstała z kanapy i dostojnym krokiem podążyła w stronę schodów. Paul szedł za nią w bezpiecznej odległości, nie wzbudzając zainteresowania gości wychodzących z widowni.

* * *

— Jesteś już — ucieszyła się Juliette, widząc Paula przechadzającego się obok wielkiego kryształowego lustra.

— Czekam na ciebie, Juliette, tak jak kazałaś.

— Henrietta dziwi się, dlaczego zamiast oglądać operę, ciągle gdzieś wychodzę. Jean nawet przypuszcza, że zaszkodził mi ostatni posiłek — roześmiała się.

— Mam nadzieję, że nie wyprowadziłaś go z błędu.

Juliette spojrzała na niego z politowaniem. Ale Paul uśmiechnął się do niej.

— Może usiądziemy, wtedy mniej będziemy się rzucać w oczy — powiedziała wskazując kanapę, na której siedzieli przed przerwą.

— Widzę, że coś cię trapi — rzekł Paul siadając obok niej.

— Nie domyślasz się?

— Chodzi o Armanda, prawda?

— Tak — pokiwała głową.

Paul dobrze znał Juliette i czuł, że coś ją gryzie. Wiedział także, co jest powodem jej smutku. Ona spojrzała na niego i spytała z nadzieją.

— Skoro ty nie wyjechałeś, Armand też został w kraju, prawda?

— Masz rację. Dziwię się tylko, że jeszcze nie skontaktował się z tobą.

— Może próbował, ale przecież nie ma mnie w domu w Nicei. Jestem tu, w Lyonie. Źle zrobiłam, że tu przyjechałam.

— Nie miej żadnych wyrzutów sumienia. Armand, wcześniej czy później, na pewno cię odnajdzie. Przecież zawiadomiłaś służbę, wiedzą, gdzie jesteś.

— Tak sądzisz?

— Jestem tego pewien. Jesteś jego żoną, a co najważniejsze, on cię kocha.

— Czyżby? To dlatego porzuca mnie i odpływa na koniec świata.

— Musi mieć ku temu powody... Nie bierz tego do siebie, Juliette.

— Sądziłam, że to przez Antuanette. Zmienił się w stosunku do mnie, gdy ona go omotała. Zupełnie, jakby rzuciła na niego jakieś czary.

— Wierzysz w takie rzeczy?

— Przedtem też uważałam, że to niemożliwe. Ale gdybyś widział, jak się ostatnio zachowywał?

Paul spojrzał na nią i wtedy Juliette o czymś sobie przypomniała.

— Zapomniałam zupełnie! Przecież ty byłeś i widziałeś, jak traktował mnie w ciągu ostatnich tygodni. Chwilami wydawało mi się, że to ktoś obcy, a nie mój mąż.

Paul robił wrażenie, jakby już jej nie słuchał.

— Myślisz, że Antuanette mnie oszukiwała? — spytał błędząc myślami

gdzieś daleko.

— Paul, ona ciebie wciąż kochała.

— Jeśli tak, to dlaczego zdradziła mnie z Armandem, a teraz poślubiła księcia.

— Przecież ci wszystko wyjaśniła. Wybacz, ale byłam obok i słyszałam. Znam ją, mówiła szczerze. Nawet było mi jej trochę żal.

Paul siedział smutny ze spuszczoną głową. Widać było, że cały świat dookoła nie bardzo go interesuje. Chcąc go pocieszyć, Juliette przysunęła się bliżej. Delikatnie położyła dłoń na jego ramieniu. Paul nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

— Dlatego chcesz wyjechać? Przez nią, prawda?

Juliette miała wrażenie, że jej wcale nie słucha. Siedział zamyślony. W końcu podniósł głowę i spojrzawszy jej w oczy, odezwał się dziwnie spokojnie.

— Może rzeczywiście powinnaś pojechać do Nicei. Jeśli Armand będzie cię szukał, to właśnie tam. Radziłbym ci wyruszyć jeszcze jutro.

— Jutro nie mogę. Sam przed chwilą przyznałeś, że służba poinformuje mego męża, gdzie jestem.

— Jak to? — zdziwił się. — Jeszcze przed chwilą przeniosłabyś się do Nicei jak na skrzydłach.

— Nie mogę, pojutrze mam ważne spotkanie.

— Z kim, jeśli mogę wiedzieć?

— Z Pierre'em.

— Z Pierre'em?! — Paul robił wrażenie mocno zdziwionego.

— Nie rozumiem, co cię tak dziwi? Dostałam list od Elaine, zawiadamiający mnie o tym spotkaniu.

— Od Elaine? Masz przy sobie ten list?

— Niestety nie. Gdybym wiedziała, że cię tutaj spotkam, wzięłabym go ze sobą.

— Nieważne, chociaż mocno zastanawiające. Dlaczego to Elaine napisała do ciebie list, a nie jej mąż?

— Niestety nie wiem. Też o tym myślałam. Może Pierre poprosił ją o to.

— Tak sądzisz?

— A czym innym można to wytłumaczyć? Przecież Elaine nie jest moją przyjaciółką. Tak naprawdę ledwo się znamy.

— Jest raczej twoją rywalką.

— Paul, przestań, przecież wiesz, że to nieprawda.

— Wiem, żartowałem — roześmiał się. — Jednak wciąż nurtuje mnie pytanie, o czym będziecie rozmawiać. Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, żeby Pierre poprosił żonę o napisanie listu do ciebie. Dlaczego sam tego nie zrobił?

— Może się spieszył i zamiast dwóch listów, do mnie i do Elaine, napisał

tylko do niej. Przecież i tak musiał ją zawiadomić o zaproszeniu gościa.

— Wszystko to wydaje mi się dość tajemnicze.

— Tak sądzisz? — zaniepokoiła się. — Myślisz, że nie powinnam tam pójść?

— Skądże znowu, przecież znam Elaine, nic złego ci u niej nie grozi. Może chciałyby się z tobą bliżej poznać?

— Możliwe.

Po chwili namysłu dodała:

— Elaine twierdzi, że za dwa dni przyjedzie Pierre. Będzie miał wieści od Armanda. Muszę się z nim zobaczyć i koniecznie porozmawiać.

Paul robił wrażenie, jakby coś analizował w swojej głowie. Juliette natomiast kontynuowała swój wywód:

— A przy okazji... Skoro już tu jesteś, musisz mi powiedzieć, kiedy planujecie ponowne odpłynięcie do Ameryki. Jestem pewna, że to wiesz.

— Zależy to w dużej mierze od pogody. Jeśli będzie pomyślna, wypłyniemy za dwa tygodnie.

— To dobrze. Jeżeli Armand nie zjawi się tu za dwa dni, wrócę do Nicei. To logiczne, że będzie szukał mnie właśnie tam, w naszym domu.

— Też tak uważam. To byłoby najrozsądniejsze.

— Nie wierzysz, że spotkam się z Armandem za dwa dni.

— Co prawda, nie znam tak dokładnie jego planów... — zamyślił się — ale może rzeczywiście będą z Pierre'em na spotkaniu łoży pierwszego stopnia. Niewykluczone, że potem razem przyjadą do Lyonu.

— No widzisz! Jest więc szansa, że za dwa dni może być w domu u Elaine.

Paul pokiwał głową, nic nie odpowiadając. To wszystko wydało mu się jednak mało prawdopodobne. Nie chciał jednak burzyć nadziei Juliette. Biła od niej taka radość!

— Powodzenia! Może wpadnę w środę do domu Pierre'a?

— Może odwiedziłbyś mnie w wolnej chwili. Pamiętaj, że zatrzymałam się w pałacyku Henrietty i Jeana.

— Słuszna uwaga, gdyż szukałbym cię raczej w pałacu markizy.

— Nie chciałam być sama w pustym domu. Wybrałam więc towarzystwo siostry.

— Doskonały wybór. Samotność w twoim nie najlepszym stanie psychicznym nie jest wskazana.

— Wiem o tym.

Paul spojrzął na srebrny zegarek zawieszony na długim łańcuszku.

— Chyba znowu się zasiedzieliśmy.

— Na pewno Henrietta niepokoi się o mnie. Taka długa nieobecność może wydać się mocno podejrzana.

- Masz rację, wracajmy. Pozwól, że ja wrócę pierwszy.
 - Doskonale. Ja pójde przypudrować noseć, a potem wrócę do loży.
 - Jeszcze siostra gotowa cię szukać — zażartował Paul.
- Juliette nic nie odpowiedziała.

27. Porwanie

Juliette jechała do domu Elaine pełna nadziei. Po przybyciu na miejsce jakież było jej zdziwienie, gdy okazało się, że Pierre'a jeszcze nie ma. Elaine wydawała się trochę zmieszana całą sytuacją.

— Bardzo proszę, żeby pani markiza zechciała poczekać na przybycie mego męża.

— Pani markiza? — zdziwiła się Juliette. — Sądziłam, że przeszliśmy już dawno na mniej oficjalną formę. Gdy tak się do mnie zwracasz, przypominają mi się moje młodzińcze lata. Pamiętam, że tak tytułowano matkę Armanda. Przez ten tytuł wydawała mi się taka stateczna i dostojna. Myślę, że musiała czuć się niekiedy tak nieswojo, jak ja teraz. Mów mi po imieniu — uśmiechnęła się życzliwie do Elaine.

— Wybacz Juliette, nie byłam pewna, czy mogę się tak do ciebie zwracać.

— Ależ oczywiście! Bardzo chciałabym się z tobą zaprzyjaźnić. Właśnie dlatego tu jestem. Co prawda, miałam nadzieję, że spotkam tu Pierre'a, ale...

— Niedługo powinien się zjawić. Zapewniał, że wróci na podwieczorek — odpowiedziała Elaine, wskazując Juliette miejsce w fotelu przy małym okrągłym stoliku.

Juliette uniosła nieco dół sukni i zasiadła wygodnie.

— Może napijemy się czekolady lub kawy, umilając sobie nieco czas oczekiwania? — spytała Elaine, spoglądając nieśmiało na młodą markizę.

Chociaż na pozór wszystko było w porządku, można było wyczuć, że obie nie przepadają za sobą. Juliette nie czuła się komfortowo w obcym domu, w towarzystwie kobiety, która chciała uchodzić za jej przyjaciółkę. Jednak postanowiła udawać zadowoloną. W końcu niedługo zobaczy Pierre'a... Może dowie się od niego czegoś o Armandzie? Z wymuszonym uśmiechem oznajmiła.

— Chętnie napiję się kawy.

Twarz Elaine wyraźnie rozpromieniała. Chwyciła za dzwonek na służbę i usiadła w fotelu naprzeciwko.

— Co słychać w domu, jak się czują dzieci?

— Dziękuję, dobrze. Co prawda, zostały w Nicei, ale wczoraj otrzymałam list od jednej z opiekunek. Mam wyrzuty sumienia, że zostawiłam w domu takie małe dzieci. Jednak doszłam do wniosku, że lepsze to, niż zabieranie ich w tak daleką podróż. Charles skończył niedawno cztery lata, a Izabella ma niespełna dwa. Zupełnie nie rozumiem, jak Armand może nas zostawić?

— Zawsze sądziłam, że Armand jest wzorowym mężem. Z tego co opowiadali o nim Pierre i Paul, wnioskowałam, iż bardzo cię kocha. Nawet w głębi duszy zazdrościłam ci takiego męża — wyznała szczerze.

— Naprawdę opowiadali o mnie? — zdziwiła się Juliette.

— Tak, i zawsze wyrażali się w samych superlatywach. Nie rozumiem, jak taki kochający mąż nagle chce opuścić żonę i dzieci.

— Też mnie to zastanawia. Jednak muszę ci wyznać, że ten czuły i kochający mąż od pewnego czasu stał się innym człowiekiem — w głosie Juliette można było wyczuć nutkę gorzkości.

— Może to nie przypadek, że statek nie odpłynął?

— Tak sądzisz?

— Nic nie dzieje się bez przyczyny. Musisz być dobrej myśli — pocieszała ją Elaine.

— Gdyby było inaczej, nie przyszedłbym tutaj.

— Jeśli pozwolisz, przyniosę list od Pierre'a.

— Oczywiście — odparła Juliette.

Elaine udała się do drugiego pokoju. Za chwilę wróciła, niosąc w dłoniach list od męża.

— Pozwól, że przeczytam ci urywek dotyczący ciebie.

Juliette kiwnęła głową na znak aprobaty, a Elaine zaczęła czytać:

...Dowiedziałem się od barona de Chavannese, że Juliette de Beries przebywa obecnie w Lyonie. Jeśli zostanie tam do wtorku wieczorem, mógłbym się z nią spotkać. Będę miał wieści od jej męża...

Juliette natychmiast poprawił się nastrój. Przechyliła filiżankę z kawą, żeby napić się kilka łyków. Uczyniła to jednak zbyt pośpiesznie i kilka kropli ciemnego płynu spadło na jej dłoń.

— Przepraszam, straszna ze mnie niezdara — powiedziała wyjmując ze swej małej jedwabnej torebki batystową chusteczkę.

— Szczęśliwie żadna kropla nie spadła na suknię — ucieszyła się Elaine.

Juliette sprawnym ruchem wytarła kawę z nadgarstka. W tym momencie Elaine zauważyła, że na chusteczce Juliette jest wyhaftowane oko wpisane w trójkąt. Taką samą widziała u Pierre'a. Przy słabym oświetleniu nie zauważyła różnicy w odcieniu nici, z której wykonany był haft.

— Skąd ją masz? — spytała podchodząc do Juliette.

— O co ci chodzi? Pytasz o tę chusteczkę?

— Dostałaś ją od Pierre'a?

Juliette chciała wszystko wyjaśnić, lecz nie była pewna, co może powiedzieć, a co powinna zachować w tajemnicy.

— To moja chusteczka, możliwe, że Pierre ma podobną — zaczęła wyjaśniać, gdy do salonu weszła pokojówka.

— Ma pani gościa — oznajmiła.

— Któż to może być o tak późnej porze? — zdziwiła się Elaine.

— To pan Roscherie.

Za chwilę w pokoju pojawił się Michael.

— Witam obie panie. Juliette, miło cię widzieć.

Skłonił się nisko, następnie pocałował wyciągniętą ku sobie dłoń młodej markizy.

— Napijesz się ciepłej czekolady lub kawy? — spytała Elaine, gdy zajął miejsce na kanapie obok Juliette.

— Z chęcią, poproszę czekoladę, piłem już kawę przed wyjściem — odparł.

W tym momencie rozległ się gong ściennego zegara. Cała trójka, jak na zawołanie, odwróciła się w tamtym kierunku. Wskazówki wskazywały dziewiątą.

— Już tak późno?! — krzyknęła Juliette, podnosząc się z miejsca.

— Nie poczekasz na Pierre'a? — zdziwiła się Elaine.

— Nie wiem, czy to dobry pomysł. Może przyjadę jutro?

— Nie wiesz, dlaczego Pierre'a nie ma jeszcze w domu? — Elaine zwróciła się do Michaela.

— Właśnie dlatego tu jestem. Dostałem wieści z łoży. Pierre trochę się spóźni. Ma wrócić około dwudziestej drugiej.

— W takim razie zrobię, tak jak mówiłam — zaproponowała Juliette.

— Radziłbym zostać. Doszły mnie słuchy, że Armand może przybyć razem z nim.

— Jesteś tego pewien? — spytała Juliette z nadzieją w głosie.

— Zrobi pani markiza, jak uważa, ale ja zostałbym tutaj na noc. Taka okazja szybko się nie nadarzy. Z tego, co wiem, obaj mają jutro z samego rana wyruszyć w dalszą podróż.

— Jak to?! Dokąd? Po co?! — wykrzyknęła Juliette.

— Dobrze wiecie, że choćbym wiedział, nie mogę wam zdradzić tej tajemnicy. I tak już za dużo powiedziałem — odparł Michael.

Kobiety spojrzały na siebie. Dobrze wiedziały, że chodzi o jakąś tajemnicę związaną z przynależnością do masonów.

— Mamy dużo wolnych sypialni. Zaraz pokojówka przygotuje jedną z nich — zaproponowała Elaine.

— Przed domem stoi moja karetka — nieśmiało odezwała się Juliette.— Henrietta będzie się niepokoić.

— Proponuję przesłać wiadomość przez stangreta.

Juliette musiała przyznać rację, że pomysł pozostania tu na noc jest najbardziej logiczny. Jeśli jutro rano spóźniłyby się na spotkanie, nie darowałyby sobie tego do końca życia.

* * *

Po niespełna godzinie Michael opuścił towarzystwo obu dam. Wyjechał

powozem, chociaż tak naprawdę mógł przejść się spacerkiem, gdyż jego dom stał na sąsiedniej posesji.

Elaine i Juliette pozostały w salonie, czekając na powrót swych mężów. Juliette wydawała się bardzo niespokojna. Nie mogąc usiedzieć w jednym miejscu, nerwowo chodziła po salonie. Elaine, nieco znużona, chwyciła leżące na stoliku czasopismo „Mercure de France”.

— Jeśli pozwolisz, przejrzę prasę.

— Oczywiście, mną się w ogóle nie przejmuj. Na pewno jesteś już zmęczona. Może się położyć, ja tu jeszcze poczekam. Po tej kawie nie chce mi się spać — zaproponowała Juliette.

Elaine robiła wrażenie bardzo zmęczonej, nawet chwilami przysypiała na siedząco.

— Idź na górę i połóż się. Ja jeszcze tu zostanę. I tak nie mogłabym zasnąć — przekonywała Juliette.

— Nie wiem dlaczego, ale zrobiłam się strasznie senna. Nie będziesz miała do mnie pretensji, jeśli udam się na spoczynek? — spytała Elaine.

— Oczywiście, że nie. Jak przyjadą, to cię obudzę.

Elaine przez chwilę się zawahała. Trochę czuła się nieswojo, pozostawiając gościa samego w salonie. Jednak chęć snu wzięła górę.

— W takim razie dobranoc — rzekła wstając z miejsca.

— Dobranoc — odpowiedziała Juliette, odprowadzając ją wzrokiem.

Została sama w pustym salonie. Spojrzała na zegar. Dochodziła północ. Nic dziwnego, że Elaine zmorzył sen, pomyślała. Ona była tak podekscytowana mającym niedługo nastąpić spotkaniem, że w ogóle nie odczuwała senności. Aby umilić sobie czas oczekiwania, zaczęła oglądać czasopismo pozostawione przez Elaine.

W pewnym momencie usłyszała szczekanie psów. Prawdopodobnie biegały po ogrodzie. Wstała i podeszła do oszklonych drzwi wychodzących na taras. Za szybą rozciągał się okazały ogród. W świetle księżycy ujrzała kontury drzew i krzewów. Nic niepokojącego nie przykuło jej uwagi. Tym bardziej, że ujadanie psów wkrótce ucichło.

Uspokojona wróciła na swoje miejsce. Usiadła w fotelu i dokończyła przeglądać czasopismo, poświęcone kobiecej modzie. Teraz i ona poczuła, jak owładnęło nią uczucie zmęczenia. Litery zlewały się przed oczami, powieki zaczęły ciężać. Nawet nie wiedziała, kiedy, zapadła w błogi sen.

Nagle usłyszała jakieś kroki. Otworzyła zaspane oczy, żeby upewnić się, czy to nie Armand lub Pierre. Chciała się odwrócić, ale już nie zdołała. Poczowała, jak ktoś zatyka jej usta chusteczką, nasączoną jakimś dziwnym płynem.

* * *

W środku nocy obudził Elaine jakiś hałas. Wstała pospiesznie z łóżka. Zarzuciwszy na siebie powiewny peniuar, skierowała się w stronę schodów. Gdy była na półpiętrze, odruchowo wyjrzała przez okno. To co ujrzała, mocno ją przeraziło. Dwóch mężczyzn niosło jakąś dużą paczkę, wyglądającą jak zwinięty w rulon dywan. Noc była pogodna, więc światło księżyca oświetlało niemal cały ogród.

Pospiesznie zdmuchnęła świecę trzymaną w dłoniach. Nie chciała być widoczna dla obserwatora z zewnątrz. Miała nadzieję, że mężczyźni idący przez ogród nie zauważyli światła w małym okienku na półpiętrze. Serce waliło jej jak młotem. Była przerażona. Co robią jacyś podejrzani ludzie w moim ogrodzie?

W tym momencie przypomniała sobie, że przecież kazała spuścić psy. Dlaczego więc nie dopadły tych ludzi? To wszystko wydało się jej mocno podejrzane.

Ostrożnie wyjrzała ponownie przez małe okienko. Ujrzała dwóch mężczyzn. Jeden z nich robił wrażenie dużo wyższego i potężniejszego od drugiego. Obaj ubrani byli w czarne, długie peleryny. Twarzy ich nie sposób było dostrzec, gdyż każdy z nich miał na głowie czarny kaptur. Wbiegła przerażona do salonu. Chciała podzielić się spostrzeżeniami z młodą markizą. Jednak zauważyła, że Juliette już tam nie ma. Pomyślała, że może udała się na spoczynek.

Miała już iść na górę, gdy usłyszała, jak ktoś przekręca klucz w głównych drzwiach. Ostrożnie, na palcach weszła do hallu.

W tym momencie drzwi otworzyły się. Ujrzała w nich postać mężczyzny w długiej, czarnej pelerynie. Wyglądał jak jeden z tych, których widziała przed chwilą za oknem. Poczwała, jak nogi uginają się pod nią. Pomyślała, że teraz przyszli po nią. Nagle usłyszała znajomy męski głos.

— Co tu robisz, kochanie?

— To ty Pierre? — zdziwiła się.

— Jesteś tak przerażona, jak byś zobaczyła ducha.

Elaine nic nie odpowiedziała.

Cofnęła się kilka kroków., Tak przestraszonej Pierre jej chyba nigdy nie widział.

— Nie cieszysz się, że mnie widzisz? — spytał lekko zdziwiony.

W tym momencie w drzwiach ukazała się jakaś druga męska postać. Elaine niemal zamarła ze strachu.

— Jesteś w końcu — odezwał się do przybysza Pierre.

— Zaprowadziłem konie do stajni, tak jak pan kazał.

Wtedy Elaine rozpoznała, że to ich sługa, Nicolas.

— Juliette była tu, siedziała w salonie, ale jej nie ma — wydusiła z siebie po krótkiej chwili. — Muszę sprawdzić, czy nie poszła na górę.

— Juliette? Nocuje u nas? — zdziwił się Pierre.

— Tak. Została na noc, sądziła, że wrócisz z Armandem.

— Z Armandem?! Skąd jej to przyszło do głowy?

— Michael tak twierdził. Był tu wczoraj wieczorem.

— Tak ci powiedział? — Pierre wydawał się mocno zaskoczony.

— Wybacz, ale muszę sprawdzić, gdzie jest młoda markiza. Ta sprawa nie daje mi spokoju — oznajmiła Elaine.

— Może była zmęczona i udała się na spoczynek — odpowiedział Pierre spokojnym głosem.

— Tak myślisz?

— Przecież jest prawie pierwsza w nocy. Gdzie miałyby być?

— Może masz rację, jednak muszę to sprawdzić.

— Pójdę z tobą — zaproponował.

Niestety, chociaż obeszli wszystkie pokoje, nigdzie nie znaleźli młodej markizy.

— Trzeba obudzić służbę! — oznajmił Pierre przejętym głosem. — Muszą przeszukać dokładnie cały dom.

28. Wyznania Antuanette

— Jaśnie pan ma gościa — zakomunikował lokaj, wchodząc do sypialni Armanda.

— O tak wczesnej porze? Któż to taki?

— To panienska de Gramound, przepraszam, księżna Vimordone.

Armand uśmiechnął się pod nosem. Najwyraźniej jego sługa również nie mógł się przyzwyczaić się do tego, że Antuanette została księżną.

— Cóż ona ode mnie może chcieć? Która godzina?

— Za piętnaście dziewiąta. Nie wiem, co ją sprowadza, ale powiedziała, że nie odjedzie, dopóki się z panem nie rozmówi.

— Musi to być coś ważnego, skoro przybyła z samego rana. Przekaż jej, że zejdę do salonu za dziesięć minut. Każ podać księżnej coś do picia.

— Jak pan rozkaże. Co mam kazać przynieść z kuchni?

— Nie wiem, co sobie zażyczy: kawę, czekoladę, wino...

Służący skłonił się, zostawiając Armanda samego.

* * *

Kiedy Armand zszedł do salonu, zastał Antuanette w fotelu przy małym stoliku. Miała na sobie ciemną suknię, w kolorze burgund. Głowę jej zdobił kapelusz z szerokim rondem, a twarz zasłaniała czarna woalka.

— Dziękuję, że zgodziłeś się poświęcić mi trochę czasu — mówiąc to, uniosła woalkę do góry, odsłaniając smutną twarz.

— Nie podano ci nic do picia? — zdziwił się.

— Nie mam aż tyle czasu. Wstąpiłam dosłownie na chwilę. Nie byłam pewna, czy cię zastanę.

— Domyślam się, że masz mi do zakomunikowania coś bardzo ważnego. Inaczej nie budziłabyś mnie o tak wczesnej porze. Wróciłem po północy, dlatego czuję się trochę zmęczony i niewyspany.

— Przepraszam, nie wiedziałam. Wybrałam tak wczesną porę, żeby móc wyjechać bez męża. Jeśli długo nie będę wracała, prawdopodobnie wybierze się do modystki, żeby sprawdzić, czy mówiłam prawdę.

— Aż tak bardzo cię pilnuje?

— Bardziej niż myślisz.

— Współczuję. jednak z drugiej strony, jesteś księżną i nareszcie nie narzekasz na brak pieniędzy.

— Dobrze wiesz, że pieniądze szczęścia nie dają.

— Ja to wiem, ale ty chyba tego nie wiedziałaś.

Antuanette spojrzała na niego, a wtedy Armand ujrzał w jej oczach wielki smutek.

— Słucham uważnie, co cię sprowadza? — spytał po chwili.

Spuściła głowę, jakby nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy. Jej dłonie zaciskały nerwowo zawieszony na przegubie dłoni wachlarz. Można było się domyślić, że to, co chce wyznać, jest dla niej bardzo trudne.

Wstała i zaczęła niespokojnie chodzić po pokoju. Widząc jej zdenerwowanie, Armand podszedł do niej i położył dłoń na jej ramieniu. Chciał w ten sposób zapewne dodać jej odwagi i śmiałości. Spoglądając jej w oczy, ponownie spytał ze spokojem.

— Słucham, co ważnego chciałaś mi powiedzieć?

— Nie bądź na mnie zły — zaczęła nieśmiało. — Wtedy w Nicei, gdy byliśmy sami, a Juliette opiekowała się swoim ojcem...

Armand spojrzał na nią trochę zaniepokojony. Antuanette, zerkając nieśmiało w jego niebieskie oczy, kontynuowała swą wypowiedź ledwo słyszalnym głosem.

— Pamiętasz, twierdziłam, że Charles nie jest twoim synem...

— Oczywiście, że pamiętam. Do tej pory słyszę w głowie tamte słowa. Całe moje dotychczasowe życie legło w gruzach. Kobieta, którą niemal ubóstwiałem, przestała dla mnie istnieć.

— Właśnie dlatego musiałam się z tobą zobaczyć.

— Nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz.

— Wtedy w Nicei sądziłam, że jesteś dla mnie ostatnią deską ratunku. Zdawałam sobie jednak sprawę, że uwiedzenie ciebie nie będzie proste. Dlatego wymyśliłam ten fortel.

— Jak to?! Co ty mówisz?!

— Nie oceniaj mnie zbyt surowo. Wiesz, że w miłości i na wojnie wszystkie chwytaki są dozwolone.

Armand chwycił ją i potrząsnął z całej siły.

— Co takiego? Czy dobrze rozumiem? Twierdząc, że Charles nie jest moim synem, kłamałaś?!

Antuanette nic nie odpowiedziała. Stała ze spuszczoną głową. Jej oczy spoglądały gdzieś głęboko w ziemię. Nie miała odwagi spojrzeć na Armanda.

— Co ci przyszło do głowy? Dziewczyno, czy wiesz, co narobiłaś?!

— Wiem. Doszły mnie słuchy, że chcesz opuścić żonę oraz dzieci i wypłynąć do Ameryki Północnej.

— A więc wiesz już o moim wyjeździe. Nie przypuszczałem, że wieści tak szybko się roznoszą.

— Przepraszam — powiedziała, nieśmiało spoglądając mu w oczy.

Widać było, że to wyznanie kosztowało ją bardzo dużo. Armand spojrzał na

nią z politowaniem. Po chwili zaczął nerwowo przemierzać pokój w tę i z powrotem.

— Co z ciebie za kobieta?! Jak mogłem ci uwierzyć? Przecież Juliette zapewniała mnie o swej niewinności. Dlaczego jej nie uwierzyłem? — mówił raczej do siebie niż do Antuanette.

W pewnym momencie podszedł do niej i przeszywając ją wzrokiem, spytał.

— Czy mogę ci zaufać?! Może teraz mnie okłamujesz?

— Zapewniam cię, że mówię prawdę. Nie przepadam za Juliette, ale ona nie zasługuje na taką karę. Tym bardziej wasze dzieci.

— Nawet nie wiesz, jak bardzo je skrzywdziłaś! Dziewczyno, czy ty nie masz serca?

— Mam, i właśnie dlatego postanowiłam wyznać ci całą prawdę. Gdyby coś ci się stało, nie darowałabym sobie tego do końca życia.

— Nawet tak nie myśl! Jeszcze przywołasz nieszczęście.

Antuanette stała wciąż ze spuszczoną głową, od czasu do czasu tylko, nieśmiało unosząc wzrok do góry.

— A może jednak kłamiesz? Może ruszyło cię sumienie? Teraz, gdy jesteś księżną, Juliette nie jest już twoją rywalką.

— Uwierz mi, mówię prawdę. Może nie jest mi bliska, ale nie życzę jej aż tak źle.

— Naprawdę sądziłaś, że rzuciłbym żonę dla ciebie? — spojrzał na nią z politowaniem. — I pomyśleć, że prawie ci się to udało. Teraz sam się dziwię, jak mogłem tak łatwo dać się omotać.

— Miałam nadzieję, że gdy rozstaniesz się z Juliette, będziemy razem. Łudziłam się, że uznasz moje dziecko.

— Jakie dziecko? O czym ty mówisz? — Armand wydawał się bardzo zaskoczony.

— Gdy przyjechałam do Nicei w końcu czerwca, byłam już w ciąży.

Żrenice oczu Armanda rozszerzyły się niemal do wielkości tęczy.

— Wiem, nie powinnam tak postępować — kontynuowała. — Paul nie uwierzył, że jestem w ciąży. Zapewne sądził, że skłamałam. Dopiero trzy dni temu dowiedział się, że noszę jego dziecko.

Armand patrzył na nią z niedowierzaniem.

— Naprawdę chciałaś mi wmówić, że to moje dziecko? Teraz już wiem, dlaczego tak bardzo pragnęłaś mnie uwieść.

Antuanette nic nie odpowiedziała. Znowu spuściła głowę, jakby teraz dopiero zrozumiała naganność swojego postępowania.

— Co z ciebie za kobieta? Czy ty naprawdę nie masz sumienia? Nie wiesz, że nie można budować swojego szczęścia na nieszczęściu innych? Prawie udało ci się zrujnować moje małżeństwo. Chciałem opuścić dom i żonę na wiele lat. Niemal

znienawidziłem Juliette, a na Charlesa patrzyłem, jak na obce dziecko. Tak bardzo bym ich skrzywdził...

Spojrzał na Antuanette z obrzydzeniem i politowaniem zarazem.

— Nie osądzaj mnie tak surowo, proszę — powiedziała błagalnym tonem.

Armand robił wrażenie, jakby już jej nie słuchał. Myśli jego błądziły gdzieś daleko.

— Może jeszcze nie wszystko stracone? Może to nie przypadek, że sztorm nie pozwolił nam odpłynąć? Pomyśleć, że przez ciebie straciłbym kobietę, którą kocham. Dlaczego jej nie uwierzyłem? Sam się sobie dziwię. Jeszcze dzisiaj wyruszam do Nicei.

— Nie ma takiej potrzeby. Juliette prawdopodobnie jeszcze jest tu, w Lyonie.

— W Lyonie?

— W niedzielę widziałam ją w naszej operze.

— Naprawdę?

— Tak, była z Henriettą i jej mężem. Może zatrzymała się u nich? — mówiąc to uniosła głowę i spojrzała w oczy Armanda. — Jeśli mi nie wierzysz, spytaj Paula lub Michaela, też tam byli.

— W takim razie jeszcze dziś odwiedzę Jeana. Może Juliette jeszcze nie wyjechała?

Antuanette spojrzała na niego ze smutkiem. Czyżby już miał jej nie zaufać do końca życia?

* * *

— Co cię sprowadza o tak wczesnej porze? — spytał Pierre Armanda, starając się zachować spokój.

— Naprawdę nie domyślasz się? — odpowiedział. — Słyszałem od Henrietty, że Juliette została tutaj na noc. Chciałbym z nią porozmawiać.

Pierre i Elaine spojrzeli na siebie z zakłopotaniem. Armand Zauważył to.

— Czy coś się stało? — spytał zaniepokojony.

— Była tu wczoraj wieczorem, ale nie mamy pojęcia, gdzie się teraz znajduje — drżącym głosem odpowiedziała Elaine.

— Jak to?! Gdzie jest moja żona?! — Armand krzyczał jak oszalały.

— Uspokój się — powiedział Pierre. — Na pewno wszystko niedługo się wyjaśni.

— Co ty mówisz?

— Z tego co opowiada Elaine, tej nocy mieliśmy nieproszonych gości.

— Jak to?!

— Powiedz wszystko, co wiesz — poprosił Pierre, zwracając się do żony.

— Juliette zjawiała się wczoraj około szóstej po południu. Chciała widzieć się z Pierre'em, ale ponieważ jeszcze go nie było, postanowiła poczekać.

— Mieliśmy wrócić po południu, ale sprawy potoczyły się inaczej — myślał głośno Pierre.

— Właśnie dlatego nocowała u nas — odpowiedziała Elaine.

Pierre chcąc załagodzić sytuację, zwrócił się do Armanda.

— Usiądź, proszę, porozmawiajmy spokojnie.

Armand usiadł, choć niechętnie. Pierre siadając naprzeciwko niego, spuścił głowę. Gdy tak przyglądał się czubkom swoich butów, ujrzał na podłodze haftowaną chusteczkę. W pierwszym momencie pomyślał, że to jego. Jednak po dokładniejszym przyjrzeniu się zauważył, że haft jest w kolorze błękitnym. Rozejrzał się po obecnych. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Postanowił podnieść chusteczkę tak, żeby inni tego nie zauważyli. Jedną dłonią poluzował sobie spinkę u rękawa koszuli i zrzucił ją na dywan. Szczęśliwie upadła obok jego stóp, tuż obok haftowanej chusteczki.

— Spinka mi wypadła — powiedział.

Po czym schylił się i szybkim ruchem podniósł chusteczkę Juliette. Rozejrzał się po zgromadzonych. Nikt na niego nie zwracał uwagi. Teraz więc, niemal ostentacyjnie, podniósł srebrną spinkę i zaczął nią przypinać mankiet koszuli.

— Proszę się poczęstować — Elaine podsunęła markizowi tacę z maślanymi ciasteczkami.

— Dziękuję, jestem tak zdenerwowany, że chyba nic nie przejdzie mi przez gardło — odparł Armand.

— Mówisz, że nie wiesz, co się stało z Juliette? — spytał po chwili przyjaciela.

— Uwierz mi, gdy wróciłem, już jej nie było. Przeszukaliśmy cały dom. Wszystko na nic. Nikt nic nie widział, ani nie słyszał. Właśnie — dodał po chwili namysłu. — w nocy nie słyszałem ujadania psów. Czy były spuszczone jak zawsze? — zwrócił się do żony.

— Ależ tak — odparła. — Dobrze pamiętam, że wydałam polecenie służbie, żeby puścili psy. Biegały po ogrodzie, jak zwykle.

— To wszystko wydaje mi się nader podejrzanе — stwierdził Armand. — O czym chciałaś rozmawiać z moją żoną, jeśli mogę wiedzieć?

— Pierre napisał, że ma jakieś wieści od jaśnie pana... — zaczęła Elaine, spoglądając przerażonym wzrokiem na markiza. — Michael twierdził, że na pewno wrócicie razem. Utwierdził mnie w przekonaniu, że spełnię dobry uczynek, proponując Juliette nocleg. Podobno pan markiz miał wypłynąć bez pożegnania z żoną.

— Nie przypuszczałem, że plotki aż tak szybko się rozchodzą — zdziwił się Armand. — Co powinienem czynić dalej? — spytał przyjaciela. — Doradź, proszę,

gdzie mam szukać Juliette?

— Nie wiem, porozmawiaj może z Michael'em. Może doszły go jakieś słuchy na ten temat?

Po chwili dodał, jakby teraz dopiero sobie o czymś przypomniał.

— Z tego wszystkiego zapomniałbym. Mam dla ciebie listy polecające od hrabiego de Lapiere. Masz zabrać je ze sobą do Ameryki Północnej.

— Skąd wiedział, że spotkamy się jeszcze przed wypłynięciem statku? — spytał Armand.

— Też mnie to zastanawia. Chwilami sędzę, że wie dużo więcej, niż nam się wydaje.

— Ja też mam czasem takie wrażenie — przyznał mu rację Armand.

— Pozwól ze mną do gabinetu.

Obaj mężczyźni przeszli do małego pokoju, znajdującego się na drugim końcu korytarza. Weszli do środka. Pierre włożył mały kluczyk do górnej szuflady biurka. Ku jego zdziwieniu szuflada nie dała się otworzyć.

Widać było, że jest zdenerwowany.

— Co się mogło stać? — pytał sam siebie, szarpiąc biurko.

— Może to nie ten klucz? — powiedział Armand spokojnym głosem. — Gdzie trzymasz resztę kluczy?

Pierre otworzył wieczko szkatułki stojącej na blacie biurka. W tym momencie oczom ich ukazała się, leżąca na samym wierzchu, broszka Juliette. Była to rodowa, bardzo charakterystyczna ozdoba w kształcie motyla.

— Skąd to masz?! — spytał Armand, spoglądając podejrzliwie na Pierra.

Pierre aż zbladł. Również on dobrze znał tę błyskotkę i wiedział, do kogo należy.

— Nieee wiem... — ledwie wydusił z siebie.

Po krótkiej chwili dodał:

— Może moja żona wie coś na ten temat? Może włożyła ją tutaj wczorajszego wieczoru?

— Po co miałyby to robić? — odparł Armand.

— Nie mam pojęcia. Uwierz mi, nie wiem, skąd się ta broszka tu wzięła. Zapytam Elaine... Chwycił za dzwonek, by przywołać służbę.

Za kilka chwil pojawiła się pokojówka.

— Bardzo proszę, aby moja żona dołączyła do nas.

— Pani wyszła — odpowiedziała służąca.

— Jak to? — zdziwił się Pierre. — Nie mówiła, gdzie idzie?

— Wyszła dość pośpiesznie. Wczoraj jednak wspominała coś o wizycie u modystki.

— Wyszła do modystki? — zdziwił się Pierre.

29. U Michaela

Kiedy Juliette otworzyła oczy, było już jasno. Obudziło ją bicie zegara, stojącego w rogu obszernego pokoju. Pierwsze, co zobaczyła, to twarz siedzącego naprzeciwko niej Michaela.

— Już dziewiąta! — krzyknęła zbudzona ze snu.— Gdzie Armand?! Muszę z nim koniecznie porozmawiać.

— Obawiam się, że to niemożliwe — rzekł Michael spokojnym głosem.

— Jak to?! Dlaczego?!

— Rozejrzyj się dookoła, pani. Nie wiem, czy zauważyłaś, ale nie jesteś już w domu Elaine i Pierre’a.

Teraz dopiero Juliette zrozumiała, że znalazła się w innym miejscu.

— Gdzie ja jestem i jak się tu znalazłam? — spytała zaniepokojona.

— Nie domyślasz się?

Spojrzała na niego podejrzliwie.

— Porwałś mnie?! Po co? Co zamierzasz dalej zrobić?

— Muszę pomyśleć — spokojnym głosem odparł Michael.

W tym momencie do pokoju wszedł potężny mężczyzna w stroju kucharza. W dłoniach trzymał tacę. Postawił ją na małym stoliku. Uwagę Juliette zwróciły jego grube, owłosione dłonie. W tej samej chwili przypomniała sobie wczorajszy wieczór.

— To śniadanie dla ciebie, pani markizo — powiedział Michael.

Juliette spojrzała na tacę. Stał na niej talerz z dwoma rogalikami oraz dzbanek z ciemnym napojem.

— Nie jestem głodna — odparła.

— Nie interesuje mnie, czy jesteś głodna, czy nie. Masz to zjeść! — Michael powiedział to tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Zdziwiła się trochę. Nikt do tej pory tak się do niej nie zwracał. Zazwyczaj to ona wydawała rozkazy.

— Chyba nie zamierzasz mnie tu więzić?

— Jakby pani zgadła — odpowiedział.

— Armand będzie mnie szukał. Chyba o tym wiesz.

— Wątpię. Nawet nie chce z tobą rozmawiać — odpowiedział.

Juliette posmutniała. Wiedziała, że Michael ma racje. Armand może odpłynąć do Ameryki zupełnie nieświadom tego, co się z nią stało. Nie rozumiała jednak, dlaczego dopuścił się tego ten spokojny i dobrze ułożony człowiek. Znała go od tylu lat i nigdy by się nie spodziewała, że może zrobić coś podobnego. Nie rozumiała motywów, jakie nim kierowały. Nie miała pojęcia, co zamierza dalej. Strach paraliżował jej umysł. Postanowiła jednak nie dać tego po sobie poznać.

Michael położył przed nią na stole kartkę papieru, a rosły mężczyzna kałamarnic i pióro.

— Jeśli pani markiza byłaby tak miła i uczyniła mi tę grzeczność — zaczął Michael — to bardzo proszę o napisanie kilka słów.

— Do kogo i co miałabym napisać? — spytała zdziwiona.

— Do Elaine, oczywiście. Napiszesz, że musiałaś nagle opuścić jej dom. Wyjaśnisz, że markiza de Beries przysłała swoją karetę. Oczywiście chodziło o Armanda. Nie chciałaś budzić jej w środku nocy, dlatego zostawiłaś na stole ten krótki list.

— Ale przecież tego listu tam nie ma.

— Moja w tym głowa, żeby znalazł się jeszcze dzisiaj w salonie Elaine. Zupełnie niespodziewanie znajdzie się pod nogą małego stolika, przy którym wczoraj siedziałaś.

— Myślisz, że ta mistyfikacja się powiedzie? Przecież wcześniej czy później prawda wyjdzie na jaw.

— Może tak, a może nie.

— Michael, jesteś chory! Nie poznaję cię! Przecież jeśli nie Armand, to mój ojciec będzie mnie szukał. Jestem tego pewna! Nie ma sensu, żebyś mnie tu przetrzymywał — powiedziała wstając z kozetki.

— Nigdzie nie pójdziesz!

Zdziwiła się, z jaką siłą chwycił ją za przedramię i posadził z powrotem.

— Zostaw mnie! — krzyknęła wyswobadzając się.

— Niepotrzebnie się wysilasz. Nikt cię nie usłyszy. Zwolniłem prawie całą służbę. Wyjątkiem jest kucharz, którego widziałas przed chwilą, i oddana mi bez granic pokojówka.

— Nie wierzę ci — chwyciła dzwonek leżący na stoliku i potrząsnęła nim.

— Pan mnie wzywał? — W drzwiach ukazał się ten sam potężny mężczyzna, którego Juliette widziała przed chwilą.

— Tak — powiedział spokojnym głosem Michael. — Madame nie jest głodna, ale dopilnuj, żeby wypłała tę kawę.

— Nie wypiję tego!

Jednak obaj mężczyźni zupełnie na to nie reagowali. Poczuli, jak wielkie, owłosione męskie dłonie przytrzymują jej ramiona. Nie dając za wygraną, zaczęła się wyrywać.

— Zostaw mnie! — krzyczała szarpiąc się.

— Nie trudź się pani, to i tak na nic się nie zda. Lepiej wypij po dobroci.

Widząc niechęć i upór Juliette, Michael podszedł bliżej, podsuwając jej do ust filiżankę z napojem. Juliette spróbowała łyczek. Wstrząsnęła się z obrzydzeniem. Przypominał kawę z dodatkiem jakiegoś płynnego oleju.

— To ohydne. Co to w ogóle jest?!

— Kawa, tylko bez cukru — odezwał się służący.

Stał tuż za Juliette. Swymi owłosionymi łapami przytrzymał ją za ramiona. Chciał w ten sposób dopilnować, żeby na pewno wypić wszystko, tak jak prosił jego pan. Juliette spojrzała podejrzliwie na Michaela.

— Chcecie mnie otruć?

— Świetny pomysł, tylko po co? — roześmiał się.

— Tego właśnie nie wiem — odpowiedziała.

— Nie, madame. Twoja śmierć nikomu nie przyniosłaby zysku. Popłyniesz z nami do Ameryki, do Port Royal. Pomyśl, całą podróż będziesz blisko męża. Czy nie tego właśnie pragniesz?

Juliette spojrzała na niego przerażona.

— Zupełnie oszalałeś!

— Teraz tak się może wydawać, ale jeszcze będziesz mi wdzięczna — mówił to z takim przekonaniem, jakby wierzył, że jest to najlepsze rozwiązanie.

— Pomyślałeś o moich dzieciach? — starała się zachować spokój.

— Przecież twoje dzieci nie zostaną bez opieki — odpowiedział grzecznie, a po chwili dodał:

— Wypij proszę do końca.

— Wybacz, ale nie smakuje mi ta kawa. Codziennie rano piję czekoladę słodzoną miodem.

— Niestety, nie mam miodu. Wypij proszę, bo zimna kawa naprawdę nie smakuje najlepiej.

Juliette wzięła znowu filiżankę w swoje drobne dłonie. Widać było, że smak napoju nie przypadł jej do gustu. Małymi łyżkami, z wielką niechęcią, zmuszała się do picia. Widząc to, Michael chwycił filiżankę od spodu, by napój szybciej trafił do jej gardła. Juliette zaczęła się wyrywać i odwracać głowę to w lewą, to w prawą stronę.

— Madame, musisz to wypić! — bardzo stanowczym, acz spokojnym głosem mówił dalej Michael.

— Panie, to na nic — wtrącił służący. — Ja będę trzymał za ręce, a pan wleje napój do ust markizy.

Michael, choć niechętnie, przystał na propozycję sługi. Kucharz owłosionymi rękami przytrzymał obie dłonie Juliette, a Michael wlewał małą łyżeczką napój do jej ust. Nie było to takie łatwe, gdyż markiza ciągle kręciła głową.

— Chwyć panie jedną dłonią za nos i wlej wszystko do gardła — poradził sługa.

Ku zdziwieniu obu mężczyzn to w końcu poskutkowało. Spora część płynu dostała się do gardła Juliette.

Po upływie kilku, może kilkunastu minut lek nasenny rozpuszczony w kawie

zaczął działać. Juliette zapadła w głęboki sen. Mężczyźni wydawali się bardzo usatysfakcjonowani. Stali nad kozetką, na której leżała, jakby chcieli się przekonać, czy naprawdę śpi.

— Nie może tu zostać — powiedział Michael.— Nikt nie może jej tutaj widzieć, nawet Luiza.

— Co jaśnie pan proponuje?

— Może zanieśmy ją na górę. Błękitny pokoik byłby najlepszy, jest na samym końcu korytarza.

— Jak pan rozkaże.

Michael nachylił się, żeby chwycić śpiącą Juliette za nogi. Nagle wyprostował się. Najwyraźniej jakiś pomysł wpadł mu do głowy.

— Wiesz co, może rozsądniej będzie zanieść ją do piwnicy.

— Dobry pomysł. Położymy ją na łóżku tego starego stróża — zaproponował służący.

— Świetnie, tym bardziej, że drzwi od tego pomieszczenia są okratowane i zamykane na klucz.

* * *

Elaine szybkim krokiem podążała do domu Michaela. Chciała porozmawiać z bratem na temat Juliette.

— Co cię sprowadza, siostrzyczko? — przywitał ją nieco zmieszany Michael.

— Postanowiłam wpaść do ciebie na chwilę w drodze do modystki.

— Bardzo mi miło. Usiądź, proszę.

Posłusznie zajęła miejsce na sofie. Nie bardzo wiedziała, czy powinna spytać brata o wydarzenia ostatniej nocy. Siedziała w milczeniu, nerwowo bawiąc się wachlarzem. Michael rozsiadł się wygodnie w fotelu naprzeciwko niej.

— Powiedz mi proszę, jak mają się sprawy między tobą, a Pierre'em?

— Co masz na myśli? — Elaine spojrzała na niego trochę zdziwiona.

— Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

— Przestań Michael, Pierre stara się być dobrym mężem.

— Stara się, ale czy mu to wychodzi?

— Mam wrażenie, że zbyt surowo go oceniasz.

— Może masz rację, jednak nie chcę, żebyś przychodziła do mnie tylko po to, żeby się wyplakać.

Spojrzała na brata z wyrzutem. Niestety, miał trochę racji. Nieraz przychodziła do niego opowiadać o swoich małżeńskich problemach. Traktowała go jak przyjaciółkę, może dlatego, że takiej nie miała. Chwilami wydawało jej się, że Michael ma jej narzekania już po dziurki w nosie.

— Widziałaś się z Paulem? — spytał po chwili.

— Oczywiście. Przecież zwrócił mi suknię oraz biżuterię. Wyobraź sobie, że dał mi również broszkę Juliette.

— Broszkę Juliette? — zdziwił się Michael.

— Tę w kształcie motyla. Paulowi rozdarła się niechcący suknia. Dobrze, że spotkał młodą markizę w operze...

— Rozmawiał z nią? Kiedy się widzieliśmy, nic mi o tym nie mówił.

— Może zapomniał, a może uznał, że to nic ważnego. Teraz nie czas się nad tym zastanawiać. W nocy zniknęła Juliette.

— Co ty powiesz? — Michael udał zaskoczonego.

Zmierzył ją przenikliwym wzrokiem.

— Jak to zniknęła? — pytał dalej.

Elaine spojrzała na niego, jakby kamień spadł jej z serca. Już chciała powiedzieć, że w nocy widziała dwóch zakapturzonych mężczyzn, ale ugryzła się w język. Spojrzała na podłogę. Pod fotelem, na którym siedział jej brat, ujrzała połyskujący maleńki przedmiot. Wyteńczyła wzrok. Był to kolczyk. I to kolczyk należący do Juliette. Poznała go od razu po bardzo charakterystycznym kształcie. Gwiazda wysadzana diamentami oraz przyczepiona do niej szafirowa łezka. Przecież młoda markiza miała je na sobie wczorajszego dnia. Elaine zrozumiała, że dzieje się tu coś niepokojącego. Spojrzała na brata. Siedział wygodnie w fotelu.

Zrozumiała, że jak najszybciej powinna opuścić ten dom.

— Spostrzegłaś coś niepokojącego poprzedniej nocy? — z rozmyślań wyrwał ją głos brata.

— Nie — odpowiedziała bez namysłu. — Położyłam się wcześniej spać. Juliette została w salonie sama.

— Nic nie słyszałaś? — Michael spytał z niedowierzaniem.

— Już ci mówiłam, ogarnęła mnie dziwna senność. Przykro mi, ale nie mogę ci pomóc.

— Jak sądzisz, co mogło się stać z młodą markizą?

— Nie jestem pewna. Może wróciła do Henrietty, a może postanowiła pojechać do rodzinnego pałacyku markizy de Beries? — odpowiedziała zmuszając się do uśmiechu. — Wybacz, ale trochę się spieszę. Umówiona jestem z modystką.

— Nie zatrzymuję cię zatem — powiedział Michael, podchodząc do niej i całując czule w czoło.

— Nie kłopotz się, sama trafię do wyjścia — odparła wstając z miejsca.

Następnie udała się do hallu. Odczekała długą chwilę, obserwując, w którym kierunku udał się jej brat.

— Pani już wychodzi? — usłyszała za sobą głos pokojówki.

— Tak — odparła Elaine, podziwiając swoje odbicie w lustrze.

Robiła wrażenie, jak gdyby o czymś rozmyślała. Już zrobiła kilka kroków

w stronę drzwi, gdy w pewnym momencie się odwróciła.

— Zaraz, chyba zostawiłam w salonie rękawiczki.

— Przyniosę — zaproponowała pokojówka.

— Nie fatyguj się, Luizo. Wolę poszukać sama. Domyślam się, gdzie mogłam je zostawić.

— Jak pani sobie życzy.

Elaine odczekała, aż służąca się oddali. Chciała już wrócić do salonu, gdy jej uwagę zwróciły uchylone drzwi do piwnicy. Postanowiła sprawdzić, dlaczego są otwarte.

Ostrożnie zajrzała do środka. Następnie weszła do słabo oświetlonego pomieszczenia. Jedynym światłem były wiszące na ścianie kandelabry. Gdy zeszła krętymi schodami na dół, zauważyła migocący w oddali płomień świecy. Postanowiła udać się w tamtym kierunku.

Wydawało jej się, że słyszy jakiś męski głos. Czyżby Michael z kimś rozmawiał, pomyślała. Zaintrygowało ją to. Uniosła brzeg sukni i cichutko, na palcach, zaczęła skradać się między półkami z leżakującymi butelkami wina. Z daleka w ciemności ujrzała jakąś postać. Poznała, że to jej brat. Stał tuż obok dużych, zakratowanych drzwi. Nie chcąc, by ją zauważył, ukryła się za jednym z regałów. Przez prześwit między półkami ujrzała jeszcze kogoś. Na leżance dostrzegła kobietą postać. Poznała, że to Juliette.

Przerażona, cofnęła się. Ze zdenerwowania zakręciło jej się w głowie. Zupełnie bezwiednie, żeby nie stracić równowagi, chwyciła dłonią za półkę, stojącą obok. Cały regał zatrzęsł się. W tym momencie jedna z butelek wysunęła się i spadła na kamienną posadzkę. Szkło było na tyle grube, że się nie stłukło.

Jednak niewielka to była pociecha. Odgłos upadającego przedmiotu był tak głośny, że rozniósł się echem po całym pomieszczeniu. Elaine schyliła głowę, mając nadzieję, że w ten sposób się ukryje. Jakże się myliła. Michael, usłyszawszy hałas, zaczął podążać w jej kierunku. Elaine pospiesznie kierowała się w stronę wyjścia. Już zbliżała się do schodów, gdy nagle drogę zagroził jej potężny mężczyzna.

— Kogo tu mamy?! — powiedział ze złośliwym uśmiechem.

— Chciałam napić się wina. Przepuść mnie! — powiedziała rozkazującym tonem, unosząc dumnie głowę.

Nagle tuż za sobą ujrzała brata.

— Jak dobrze, że cię widzę Michael. Twój sługa zupełnie nie reaguje na moje polecenia.

— Co tu robisz, Elaine? — spytał.

— Już mówiłam, zeszłam, gdyż chciałam wybrać sobie butelkę wina na dzisiejszą wieczerzę. Jednak straszna ze mnie niezdara.

Michael uśmiechnął się szyderczo. Domyślił się, że jego siostra zeszła do

piwnicy, kierując się ciekawością, a nie chęcią wybrania sobie butelki z winem. Zbyt dobrze ją znał. Była tu częstym gościem i nigdy nie zdarzyło jej się, żeby sama zeszła do piwnicy. Domyślał się też, że widziała związaną i zakneblowaną Juliette.

Elaine czuła, że nie jest dobrze. Jednak wiedziała, że Michael bardzo ją kocha. Postanowiła zagrać na jego uczuciach. Spojrzała na niego błagalnym wzrokiem.

— Nie rób głupstw. Pamiętaj, że jestem twoją siostrą.

— Oczywiście, zawsze będę o tym pamiętać — odpowiedział, lecz jego głos wydał jej się jakiś zmieniony.

Pierwszy raz go takiego widziała. Gdzie podział się jej ukochany brat, który skoczyłby za nią w ogień?

— Nie martw się, nie zrobię ci krzywdy — kontynuował Michael. — Wybacz siostrzyczko, ale teraz muszę cię związać.

Elaine spojrzała w jego oczy i przeraziła się.

Co mu się stało? Najpierw uwięził Juliette, a teraz chce to samo uczynić ze mną, pomyślała przerażona. Nie wyglądało to dobrze. Potężny służący chwycił ją za dłonie i zaczął krępować grubym sznurem.

— Weź ode mnie te owłosione ręce, zbroju! — krzyczała.

Mężczyźni jednak nie zwracali uwagi na jej rozpaczliwe krzyki i szamotanie się. Zaprowadzili ją do pomieszczenia, w którym przebywała Juliette.

— Ja będę trzymał, a ty panie wiąż — zaproponował sługa.

— Chyba masz rację — odpowiedział Michael, biorąc gruby sznur i krępując nim nogi siostry.

Elaine chciała prosić brata o litość, ale już nie zdołała. Poczwała, jak potężne, owłosione dłonie wkładają jej w usta kawałek szmaty.

— Jeszcze knebel w usta — oznajmił Michael. — Chociaż tak naprawdę mogłabyś krzyczeć do woli. Dom jest prawie pusty — roześmiał się szyderczo.

W tym momencie dało się słyszeć stukanie kołatki o drzwi wejściowe.

— Panie, ktoś puka do drzwi! — zaniepokoił się sługa.

— Trochę to dziwne, nieprawdaż? — odparł Michael.

— Sądzi pan, że to przez te kobiety?

— Niewykluczone! Jednak musimy zachowywać się tak, jakby nic się nie stało.

— Rozumiem, jaśnie panie.

— Powiedz Luizie, żeby poprosiła gościa do salonu. Zaraz tam przyjdę. A ty bądź grzeczna, siostrzyczko — zwrócił się do przerażonej Elaine.

* * *

Gdy Michael wszedł na górę, w salonie czekał już na niego Armand.

— Co cię sprowadza, przyjacielu? W dodatku o tak wczesnej porze? — spytał Michael, nieco zaskoczony.

— Chciałem się dowiedzieć, czy nie doszły cię jakieś wieści o Juliette. Podobno byłeś w operze dwa dni temu.

— Byłem w operze, to prawda. Jednak z twoją żoną zamieniłem dosłownie dwa zdania. Czy coś się stało?

— To dziwne — zamyślił się Armand. — Nigdzie jej nie ma, ani u Henrietty, ani w pałacu mojej matki. Podobno wczoraj wieczorem była u Elaine. Gdy chciałem z nią porozmawiać, wybiegła z domu jak oparzona. Nie wiesz, o co chodzi?

— Nie mam pojęcia — odparł Michael, bacznie obserwując przyjaciela.

Zaczął się nawet zastanawiać, czy Armand czegoś nie podejrzewa.

— Może porozmawiamy o tym przy butelce wina?

— Nie mam ochoty na alkohol.

— Nie dasz się namówić nawet na kilka łyków? Mam w piwnicy chardonnay, trzyletnie, takie jak lubisz.

— Nie wiem, czy powinienem...

— Zapomniałeś, że na troski i smutki nie ma nic lepszego niż łyk wina?

Armand spojrział na niego z wahaniem.

— Nie daj się dłużej prosić. Usiądziemy, porozmawiamy. Może coś mi się przypomni? Jakiś ważny szczegół...

— Przekonałeś mnie — odparł młody markiz.

* * *

Tymczasem Elaine nie bardzo mogła pogodzić się z rolą więźnia. Zaczęła trzeć skrępowane nadgarstki o metalową poręcz krzesła, na którym siedziała. W pewnej chwili zauważyła, że choć powoli, ale odnosi to oczekiwany skutek.

Juliette spoglądała na nią zaspanym wzrokiem. Najwyraźniej środek nasenny jeszcze działał. Poczula się trochę różnie, nie będąc sama. Jednak nikła była to pociecha. Nie była pewna, jakie zamiary ma Michael. Może zapragnął również swą siostrę wywieźć do Ameryki? Kto to wie? Przypomniała sobie jego dziwne, dzikie spojrzenie. Te oczy, zupełnie niepodobne do oczu Michaela, jakiego znała do tej pory.

Elaine tymczasem tarła skrępowane dłonie z coraz większą intensywnością. W końcu zaskoczona poczuła, jakby więzy puściły. Wyplątała obie ręce z grubego sznura. Mając wolne dłonie, wyjęła sobie knebel z ust. Następnie, nachyliwszy się, odwiązała sznur, którym miała związane nogi w kostkach. Gdy już się wyswobodziła, podeszła do młodej markizy. Najpierw odwiązała szarfę krępującą

usta swej towarzyszki niedoli.

— Dziękuję — szeptem podziękowała Juliette.

— Podziękujesz mi, gdy stąd wyjdziemy.

— Jak chcesz tego dokonać?

— Jeszcze nie wiem. Musimy jednak wydostać się stąd jak najszybciej. Mój brat zupełnie oszalał. Przykro mi to mówić, ale sama widzisz jak jest.

— Też go nie poznaję.

Elaine podeszła do okratowanych drzwi. Zauważyła, że szczelki biegnące z góry do dołu zostały rozmieszczone w odległości około piętnastu centymetrów. Jedna z poprzecznych szyn biegła na wysokości głowy, a druga na wysokości kolan.

— Może uda się nam stąd wyjść — powiedziała Elaine z nadzieją.

— Jak chcesz tego dokonać?

— Zobacz, gdy nachyle głowę, mogę przełożyć ją przez szczelki.

— Rzeczywiście — przyznała Juliette. — Jeśli głowa przejdzie, to reszta ciała też. Tata zawsze tak twierdził.

Po chwili jednak spojrzała w dół, na suknię na sutym, metalowym stelażu.

— Ja nie przejdę — dodała ze smutkiem.

— Dlaczego? — zdziwiła się Elaine. — Przecież jesteś szczuplejsza ode mnie.

— Tak, ale ta suknia — jeszcze raz spojrzała na swój strój. — Dobrze, że ty masz suknię bez krynoliny.

— Tylko dlatego, że z samego rana przyjechał do naszego domu twój mąż. Miałam niewiele czasu, założyłam więc skromną, powiewną sukienkę.

— Przyjechał Armand?! I dopiero teraz mi to mówisz.

— Przecież dopiero kilka minut temu wyjęłam ci knebel z ust.

— Ale Armand jest dla mnie najważniejszy! Jak sądzisz, gdzie on może teraz być?

— Nie wiem, z samego rana był u nas w domu.

— Przecież to tuż obok — odpowiedziała Juliette.

— Spójrz na moją suknię — dodała po chwili. — Przez ten panier nie uda mi się pokonać tych krat.

— Musisz go zdjąć!

— Pomożesz mi?

— Oczywiście!

Juliette odwróciła się tyłem, żeby Elaine mogła odsznurować gorset jej sukni. W tym momencie usłyszały jakieś męskie głosy. Ucichły nasłuchując.

— To Armand! Słyszę jego głos — ucieszyła się Juliette.

Obie podbiegły do krat. Oczywiście Juliette nie dała rady precyzyjnie się przez szczelki w rozłożystej sukni. Elaine spojrzała na nią i spróbowała

przecisnąć się na drugą stronę. Jej szczupła sylwetka bez problemu pokonała przeszkodę.

— Zostaw mnie i biegnij szybko na górę! — szepnęła Juliette z radością, że chociaż jednej z nich udało się wydostać.

— Wolałabym, żebyśmy poszły tam razem — odparła Elaine.

— Nie ma na to czasu. Jeśli on wyjdzie, nigdy sobie tego nie daruję.

— Co mam zrobić, gdy go zobaczę?

— Daj mu dyskretnie znak, że jestem tutaj. Uważaj, żeby nie zobaczył cię Michael ani ten jego ten drab.

— To może być trudne.

— Postaraj się! Musi ci się udać!

Elaine już nic nie odpowiedziała. Wbiegła schodami na górę. Starła się robić to niemal bezszelestnie, żeby nikt nie usłyszał jej kroków. Na szczęście, drzwi do piwnicy były otwarte. Nie musiała więc hałasować, przedostając się do hallu. Domyśliła się, że dlatego głosy mężczyzn tak dobrze było słyszeć aż w piwnicy.

Przeszła korytarzem kilka metrów. Zauważyła, że drzwi do salonu również są uchylone. Ostrożnie zajrzała do środka. Ujrzała młodego markiza, trzymającego w dłoniach wielki srebrny kielich. Mogła się tylko domyślać, że pije wino. Michaela nie widziała, ale słyszała jego głos.

— Otrułeś mnie? — usłyszała nagle zdziwiony głos Armanda.

Michael nic nie odpowiedział. Zobaczyła, jak młody markiz opada bezwładnie na kanapę. Kielich, który jeszcze przed chwilą trzymał w dłoni, upadł z hukiem na podłogę i potoczył się kilka metrów dalej. Przerażona cofnęła się.

W tym momencie do salonu weszła Luiza.

— Jaśnie panie, ktoś puka do drzwi — oznajmiła.

Zanim Michael zdążył cokolwiek odpowiedzieć, jego potężny sługa już był przy nim.

— Panie, znowu ktoś idzie! — oznajmił.

— Spokojnie — odparł Michael. — Luizo, zajmij się gościem.

— Tak jest, panie — odpowiedziała.

— Nie muszę chyba przypominać, że nikogo tu nie widziałas — dodał Michael.

— Oczywiście, panie — odpowiedziała pokojówka, kiwnąwszy głową.

Wyszła z salonu, pozostawiając tam Michaela, jego sługę oraz leżącego na kanapie Armanda.

— Zanieśmy go na górę — rozkazał Michael, nachylając się nad Armandem. — Ja wezmę za nogi, a ty za tułów.

— Nie ma czasu, panie — odparł sługa. — Sam sobie z nim poradzę.

— Może masz rację. Lepiej będzie, gdy zajmę się nowo przybyłym gościem.

* * *

Elaine przyglądała się temu w osłupieniu. Zauważyła, że sługa kieruje się do tylnych schodów. Niewiele myśląc, pobiegła za nim.

Kiedy znalazła się na górnym korytarzu, zauważyła, że nie bardzo ma się gdzie ukryć.

Co prawda, dryblas zniknął w którejś z komnat, ale przecież za chwilę będzie wracał, pomyślała. Pospiesznie nacisnęła klamkę drzwi, przy których się właśnie znajdowała, i szybko weszła do środka.

Rozejrzała się, była to sypialnia Michaela. Chciała wyjść z komnaty, nie czując się tam bezpiecznie, gdy nagle usłyszała ciężkie męskie kroki zbliżające się w stronę drzwi, za którymi właśnie stała. Odwróciła głowę w bok i zauważyła, że stoi tam wielka, dwudrzwiowa szafa. Najciszej jak tylko potrafiła, ukryła się w niej.

Przez niewielką szparę w drzwiach mogła obserwować potężną postać sługi, krzątającego się po komnacie. Widziała, jak podszedł do nocnego stolika, otworzył szufladę i wyjął z niej zwinięty, gruby sznur. Pomyślała, że bierze go do związania Armanda. Skoro tak, to jest szansa, że młody markiz jeszcze żyje. Ucieszyła się. Prawdopodobnie podali mu tylko środek nasenny

Obserwując pokój przez małą szparkę w drzwiach szafy, nagle zdała sobie sprawę, że potężny mężczyzna spogląda w jej stronę. Jeśli mnie tu znajdzie, jestem zgubiona, pomyślała.

Zakryła sobie dłonią usta, żeby głośny oddech nie zdradził jej kryjówki. Po skroniach spływały jej dwie zimne krople potu. Całe ciało przeszywał dreszcz. Poczula, że robi jej się słabo. Sądziła, że za chwilę otworzą się drzwi i sługa dojrzy ją skuloną na dnie szafy. Tymczasem potężny kucharz zrobił zwrot w tył. Jego kroki stawały się coraz cichsze.

Elaine, cała drżąca, zaczęła łapczywie wdychać powietrze. Z czasem jej oddech się unormował. Odczekała jeszcze chwilę. Gdy uznała, że minęło wystarczająco dużo czasu, opuściła sypialnię. Po wyjściu na korytarz rozejrzała się. W pierwszej chwili chciała zejść na dół głównymi schodami, jednak pomyślała, że może to być zbyt niebezpieczne. Postanowiła skorzystać ze schodów dla służby.

30. Łzy szczęścia i rozpacz

Kiedy Paul wszedł do salonu, czekał już na tam niego Michael.

— Jak to dobrze, że cię widzę, przyjacielu — rzekł Michael.

Mężczyźni rzucili się sobie w objęcia.

— Pozwolisz, że usiądę.

— Oczywiście — Michael wskazał miejsce w fotelu. Sam usiadł naprzeciwko niego.

— Mów, opowiadaj! Mam nadzieję, że zwróciłeś już Elaine te kobiece łąszki? — zaczął Michael.

— Oddałem je zaraz następnego dnia. Powiedz, czy wiele osób rozpytywało cię o tę tajemniczą damę, z którą byłeś w operze? — spytał Paul.

— Niewiele. Od tamtej pory prawie z nikim się nie widziałem. Jednak sądzę, że przy nadarzającej się okazji każdy będzie chciał poznać więcej szczegółów z życia mojej tajemniczej kuzynki.

Obaj buchnęli gromkim śmiechem.

— Napijesz się wina? — spytał Michael. — Mam wyśmienite chardonnay.

Podszedł do małego stolika, na którym stał mały gąsiorek, mieszczący niespełna trzy litry. Obok stały trzy puste szklanki z grubym dnem.

— Wiesz, że nigdy nie odmawiam, gdy mnie częstują — roześmiał się młodzieniec.

W tym momencie dostrzegł jakiś niewielki przedmiot, leżący przy jednej z nóg fotela. Wytężył wzrok i aż oniemiał. Był to niewątpliwie kolczyk, należący do Juliette. Każdy, kto ją znał, rozpoznałby go bez trudu. Złota zawieszka, wysadzana drobnymi brylancikami oraz przytwierdzony do niej okazały szafir w kształcie łezki.

Juliette uwielbiała te kolczyki i zakładała tylko na specjalne okazje. Ostatnim razem Paul widział ją w nich w operze. Domyślił się, że coś tu nie pasuje. Postanowił jednak nie dać niczego po sobie poznać.

Spojrzał na Michaela. Wykorzystując moment, gdy przyjaciel stojąc tyłem nalewał wino do szklanek, podniósł przedmiot z podłogi. Następnie wyjął chusteczkę i zawiąawszy w nią kolczyk, włożył do kieszeni swego surduta.

— Może ci pomogę? — spytał podchodząc do kolegi.

— Jeśli byłbyś tak łaskawy. Widzisz, zwolniłem prawie całą służbę i wszystko muszę robić sam — powiedział Michael żartobliwym tonem.

— Zwolniłeś służbę? — zdziwił się Paul.

— Tak, dałem im nawet trzymiesięczną odprawę. Został tylko stary kucharz i oddana mi pokojówka.

— Nie spodziewałem się po tobie takiej szlachetności — w głosie Paula nie

było ani krzty ironii.

— Nie rozumiem, czemu się tak dziwisz, przecież gdyby nie sztorm, już dawno nie byłoby nas tutaj.

— Masz rację. Zdziwiła mnie tylko ta trzymiesięczna odprawa... Ale skoro cię na to stać.

— Wszystkich pieniędzy i tak ze sobą nie zabiorę, a tak chociaż mogę spełnić dobry uczynek.

Paul patrzył na niego i nie wiedział, co myśleć. Znał Michaela od wielu lat. Wiedział, że jest człowiekiem bardzo szlachetnym, o którym mówią, że muchy by nie skrzywdził. Z drugiej strony, ta tajemnicza sprawa z Juliette...

Domyślał się, że tu była. Może nawet jest do tej pory. Był u Pierre'a i wiedział, że prawdopodobnie w nocy ktoś ją porwał. Postanowił jednak zachowywać się tak, jak gdyby o niczym nie miał pojęcia.

Gdy Michael usiadł naprzeciwko, obaj mężczyźni wychylili szklanki z winem. Paul spojrział na napis na małym gąsiorku.

— Rocznik 1737. Zaskakujesz mnie.

— Pamiętasz ten rok? — spytał Michael.

— Chyba nie gorzej niż ty. To rok naszego poznania. Siedziałem sobie spokojnie w karczmie „Pod Czerwonym Kogutem”, gdy zauważyłem, że zaczepiają cię jacyś trzej opryszkowie.

— Gdyby nie ty, nie wiem, jak by się to wszystko skończyło. Zawdzięczam ci życie.

— Nie przesadzaj — odparł Paul. — Jestem pewien, że bez mojej pomocy też byś sobie poradził.

— Nie jestem tego taki pewien. To było, jeszcze zanim udzielałeś mi dodatkowych lekcji szermierki.

— Sądzę, że przedtem też nieźle władałeś szpadą. Może napastników było po prostu zbyt wielu?

— Może masz rację... — zamyślił się Michael.

— Ważne jest to, że rozumiemy się niemal bez słów i nasza przyjaźń trwa po dziś dzień — dokończył Paul.

— Nie wiem, czy powinienem poruszać ten temat — zaczął nieśmiało Michael. — Słyszałem, że rozstałeś się z panią Antuanette.

— To plotki aż tak szybko się rozchodzą?

— Niestety tak. Czuję się trochę temu winny. Gdybym wtedy nie powiedział o wizycie jej ojca w moim banku, może nadal bylibyście razem.

— Nie mniej wyrzutów sumienia. Nie mógłbym być z kimś, kto mnie oszukuje.

— Może w Ameryce spotkasz kobietę swego życia?

— Tak sądzisz? W głębi duszy też na to liczę. Jeśli nie znajdę odpowiedniej

kobiety w Nowej Francji, to postanowiłem pojechać aż do Luizjany. Tam podobno jest dużo ognistych Francuzek.

— Obiło mi się o uszy, że w Nowym Orleanie zamieszkuje sporo Francuzów.

— To właśnie tam.

— W takim razie wypijmy za powodzenie w nowym świecie — mężczyźni stuknęli się szklanicami.

Paul postanowił pić z umiarem. W tych okolicznościach musiał zachować trzeźwość umysłu. Dobrze, że szklanki oprawione były w grube srebrne ornamenty. Tak naprawdę nie było widać, ile wina jest w ich środku. Wykorzystując to, Paul wciąż dolewał trunku Michaelowi, sam pijąc niewiele.

W pewnym momencie, biorąc butelkę w dłonie, zauważył, że jest pusta.

— Wino się skończyło, jaka szkoda. Czuję jakiś niedosyt. Chętnie jeszcze bym się czegoś napił — oznajmił.

— Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem — rzekł Michael, biorąc w dłonie dzwonek na służbę.

W drzwiach ukazał się rosły kucharz.

— Pan mnie wzywał?

— Przyniesz nam z piwnicy butelkę chardonnay, rocznik 1737. Powinno tam zostać jeszcze kilka sztuk.

— Jak pan sobie życzy.

Sługa posłusznie się oddalił. Michael spojrzał na zszokowaną minę Paula.

— Nie dziw się tak, mówiłem, że zwolniłem prawie całą służbę. Został tylko kucharz i Luiza.

— Ta pokojówka, która się w tobie podkochuje — roześmiał się Paul.

— Tak się to rzuca w oczy?

— Nie wiem jak inni, ale ja to zauważyłem.

Michael trochę się zarumienił. Paul widząc to, uśmiechnął się.

— Wiesz, mam jeszcze kilka spraw do załatwienia. Przyjdę do ciebie później, wtedy opróżnimy następną butelkę.

— Idziesz do Pierre'a? — spytał zaniepokojony Michael.

— A już wrócił ze swoich wojaży? — Paul udał, że nie widział się z bratem.

— Myślę, że tak, przecież już mamy środek.

— Najpierw załatwię sprawy w mieście, potem dokończymy wino. Na końcu odwiedzę brata, niech się wyśpi.

— Dobra kolejność — ucieszył się Michael.

— W takim razie, do zobaczenia!

Michael chciał wstać, żeby odprowadzić przyjaciela do wyjścia.

— Nie fatyguj się, sam trafię do drzwi.

— Do zobaczenia — odparł Michael trochę bełkotliwym głosem. Widać

było, że wino uderzyło mu już do głowy.

* * *

— Widziałaś Armanda? — spytała Juliette.

— Nie zdążyłam — odparła Elaine.

— Jak to?

— Podali mu jakiś napój.

— Co ty mówisz?!

Juliette spojrzała na nią przerażona. Jak oszalała zaczęła odwiązywać sznurówki lekko poluzowanego gorsetu.

— Pomogę ci — oznajmiła Elaine.

Zauważyła, że Juliette udało już pozbyć się rozłożystej krynoliny. Została w dwóch halkach oraz bieliźnianym gorsecie.

Nie bacząc na swój dziwny strój, podbiegła do krat i przełożyła głowę przez metalową poręcz. Bez większego trudu obie kobiety znalazły się po przeciwnej stronie okratowanych drzwi. Szybkim krokiem pobięły na górę.

Kiedy już były w głównym hallu, Elaine rozejrzała się.

— Chodź za mną, znam ten dom jak własną kieszeń.

Juliette bez namysłu wykonała jej polecenie. W środku cała drżała ze strachu. Sama nie wiedziała, czy bardziej boi się o siebie, czy o Armanda. Wiedziała, że teraz jednak powinna myśleć o sobie. Potem wróci po męża.

Podchodząc do drzwi dla służby, kobiety usłyszały, że ktoś naciska klamkę. Drzwi jednak się nie otworzyły, najwyraźniej były zamknięte na klucz. Spojrzały na siebie bezradnie.

W tym momencie usłyszały huk wystrzału. Odruchowo odskoczyły w bok. Struchlałe ze strachu, chciały uciekać, jednak nie uczyniły tego. W drzwiach stał Paul. Najwyraźniej obie mu ufały.

— Co tu robisz? — spytała Juliette.

— Jesteś cała? — odpowiedział młodzieniec, przyglądając się jej badawczym wzrokiem.

— Tak — odparła.

— Wyglądasz na przerażoną. I ten dziwny strój...

— A, to... — odpowiedziała, jakby dopiero teraz przypomniała sobie, że jest ubrana tylko w bieliźniany gorset i białą halkę.

— Potem ci to wyjaśnię. Musimy ratować Armanda. Mam nadzieję, że podali mu środek nasenny, a nie truciznę.

— Co ty mówisz?

— Elaine widziała, jak nieprzytomnego zanieśli na górę. Błagam, pomóż mu — ciągnęła Juliette.

— Przecież po to tu jestem. Mam prośbę, schowajcie się gdzieś. Za chwilę może zrobić się tu niebezpiecznie.

Spojrzał w stronę frontowego wejścia i dostrzegł Pierre'a wchodzącego do hallu. Widząc go, wskazał mu palcem na górę. Pierre pokiwał głową. Najwyraźniej zrozumiał brata bez zbędnych pytań.

W tym momencie wyszedł Michael. Tuż za nim podążał jego potężny sługa.

— Porwałś Juliette! — Paul chwycił za szpadę.

Michael wydał się trochę zaskoczony ostrym tonem jego wypowiedzi.

— O co ci chodzi?

— Nie udawaj, widziałem ją przed chwilą.

Michael wiedział już, że Paul mówi poważnie. Zresztą był na to przygotowany. Sprawnym ruchem wyciągnął szpadę. Mężczyźni starli się ze sobą w niemal równej walce. Jak się można było domyślić, obaj byli wysmienitymi szermierzami. Michaelowi przydały się teraz lekcje szermierki udzielane przez przyjaciela.

W tej samej chwili Pierre zrozumiał, że musi zająć się służącym. Postawny dryblas podbiegł do stojącej w korytarzu zbroi i wyciągnął zeń szpadę. Jak na eksponat, była nadspodziewanie ostra, pomyślał Pierre. Jakby specjalnie czekała na taką okazję.

Ku zaskoczeniu Pierre'a służący zupełnie dobrze władał bronią. Przeszło mu przez myśl, że Michael dawał mu prywatne lekcje szermierki.

Podczas gdy czterech mężczyzn walczyło ze sobą, Juliette i Elaine stały przerażone z boku sali.

W tym momencie otworzyły się główne drzwi. Stanął w nich mężczyzna z ciemnymi włosami, sięgającymi ramion.

— Jean?! Jak dobrze cię widzieć — Juliette podbiegła do niego.

Spojrzał na nią zdziwiony.

— Pomóż Armandowi, proszę.

— O co ci chodzi? — zdziwił się jeszcze bardziej.

— Oni zanieśli go na górę. Pomóż mi go oswobodzić. Nie wiem, w jakim jest stanie.

— Jacy oni?

— Michael i jego sługa.

— Michael? — powtórzył, sądząc, że się przestyszał.

— Uwierz mi.

Rzeczywiście, przecież nie bez powodu tu przybył. Bez zbędnych pytań postanowił zaufać Juliette.

— Wybaczcie, ale ja muszę tu zostać — odezwała się do nich Elaine. — Mogę być potrzebna mężowi.

— Oczywiście — odparła Juliette.

Następnie dała znak młodemu baronowi, by podążył za nią. Ruszyli schodami na górę. Ponieważ w korytarzu panował półmrok, Jean nie zauważył, że Juliette nie ma na sobie sukni. Dopiero gdy znaleźli się na górnym korytarzu, spostrzegł, że jest w samej bieliźnie. Zdziwił go nieco ten widok. Nie chciał jednak zadawać zbędnych pytań. Nie po to tu przybył. Teraz najważniejsze było oswobodzenie Armanda.

Zagłądali do kolejnych pokoi. Wszystkie były puste. Na końcu korytarza znaleźli jeszcze jedne drzwi. Juliette chwyciła za klamkę. Drzwi się nie otworzyły. Najwyraźniej pokój został zamknięty na klucz. To dawało wiele do myślenia.

— Jestem pewna, że klucze ma ten dryblas — powiedziała.

Młody baron spojrział na nią zdziwiony. Nie bardzo wiedział, kogo Juliette miała na myśli. Ona, nie zwracając uwagi na to, że tak nie wypada, przyłożyła oko do drzwi i spojrzała przez dziurkę od klucza.

— Widzisz coś? — spytał Jean.

— Chyba tak? — odpowiedziała. — Tak, Widzę Armanda! Leży na łóżku. Chyba go związali.

— Kto? — zdziwił się.

— Nie domyślasz się? Przecież ci mówiłam. To ten kucharz Michaela.

W tym momencie do świadomości młodego barona dotarło, że dzieje się tu coś niedobrego.

— Odejdź — powiedział stanowczym głosem.

Juliette stanęła z boku, a on kopnął z całych sił w dębowe drzwi. Dobrze, że miał na sobie długie buty z cholewami. Zamek, chociaż wydawał się dość solidny, puścił od razu. Juliette wbiegła do pokoju, za nią wszedł Jean.

Armand leżał na łóżku. Ręce i nogi miał skrępowane grubym sznurem. Spojrzął na wchodzących do sypialni półprzytomnym wzrokiem. Robił wrażenie, jakby się przed chwilą obudził z głębokiego snu.

Juliette podbiegła do niego. Usiadła na brzegu łóżka i mocno objęła męża.

— Żyjesz? — spytała gładząc go po twarzy.

— Juliette! To naprawdę ty? Nic ci nie zrobili? — spytał Armand z troską w głosie.

W tym czasie Jean wyjął mały nożyk z kieszeni surduta i przeciął nim więzy, krępujące młodego markiza.

Armand usiadł na łóżku. Juliette przytuliła się do niego. Objął ją ramieniem.

— Wybacz, że byłem taki głupi.

Spojrzała na niego zdziwiona. Nie bardzo wiedziała, co ma na myśli.

— Chciałem opuścić ciebie i dzieci. Uwierzyłem tej strasznej kobiecie.

— O czym ty mówisz? — spytała.

— Nieistotne! Najważniejsze, że jesteś cała i zdrowa.

Uśmiechnęła się i pokiwała głową na znak potwierdzenia jego słów. On teraz

dopiero przyjrzał się jej dokładniej. Zrobił zdziwioną minę, widząc żonę w samej bieliźnie.

— Czy naprawdę nie zrobili ci nic złego? — spytał zaniepokojony.

Juliette spojrzała na swój ubiór i zrozumiała, dlaczego pyta.

— Aaa, to! Żeby przejść przez kraty, musiałam zdjąć suknię. Elaine mi tak doradziła, ponieważ suknia była na sutej krynolinie.

— Elaine?... — zdziwił się.

— Pomogła mi wydostać się z celi w piwnicy.

— Co takiego???

— Michael mnie uwięził. Gdyby nie ona...

Armanda najwyraźniej mocno zaniepokoiły te słowa. Zerwał się na równe nogi. Jednak zachwiał się i znowu usiadł na łóżku.

— Jeszcze źle się czujesz?

— Trochę.

— Pewnie podali ci środek nasenny, tak samo jak mnie.

— Co ty mówisz, Juliette?

— Nie denerwuj się, przecież żyję.

— Nie zrobili ci krzywdy? — spytał jeszcze raz.

— Chyba nie.

— Jak to?!

— Wyobraź sobie, że Michael chciał, żebym z tobą popłynęła do Ameryki.

— Co takiego?!

— Tak mi powiedział.

— Nie rozumiem dlaczego.

— Chyba nie spodobało mu się, że wyjedziesz, a Pierre zostanie tu we Francji.

— Co go to obchodzi?

— Sądę, że chodziło mu o Elaine. Mogę się tylko domyślać, że ona wciąż jest o mnie zazdrosna.

Armand chciał powiedzieć: „tak jak ja o Pierre’a”. Powstrzymał się jednak. Objął żonę i przytulił mocno do piersi.

— Wiesz, że cię kocham — powiedziała, tuląc się w jego ramionach.

— Ja też cię kocham i sam się sobie dziwię, że tak późno to do mnie dotarło.

Armand zaczął rozglądać się po komnacie. Teraz dopiero zaczął sobie przypominać rozmowę z Pierre'em oraz przybycie do domu Michaela.

— A gdzie Pierre? — spytał. — Był tu z nimi?

— Z nimi? — zdziwiła się Juliette. — Pierre i Paul przyszli nam z pomocą. Są teraz na dole, chyba walczą na szpady. Słyszysz?

Jean, stojący w drzwiach sypialni, udawał, że nie przysłuchuje się ich rozmowie.

Teraz zaczął nadśłuchiwać odgłosów, dochodzących z dołu.

— Zostańcie tu, ja muszę im pomóc! — krzyknął, pospiesznie wybiegając z komnaty.

— Jeśli jest tak, jak mówisz, ja też powinienem tam zejść — oznajmił Armand.

— Przecież kołuje ci się w głowie, musisz odpocząć — prosiła Juliette, tuląc się do niego.

Objął ją ramieniem i gładząc po rozpuszczonych włosach, zaczął mówić ciepłym, spokojnym głosem.

— Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię odnalazłem.

— Myślałam, że odpłynąłeś, że cię już nigdy nie zobaczę — mówiła Juliette, a łzy same napływały jej do oczu.

— Jestem tu i nigdzie się nie wybieram.

— Naprawdę?!

Odchyliła głowę, żeby móc spojrzeć w jego błękitne oczy.

— Naprawdę — powtórzył patrząc na jej zapłakaną twarz. — Wybacz, że tak późno zrozumiałem, jak bardzo cię kocham. Nie do wiary, że tak dałem sobą manipulować. Pomyśleć, że ona po prostu szukała ojca dla swego nienarodzonego dziecka.

Juliette nawet nie była zaskoczona tym wyznaniem. Dobrze wiedziała, że mówi o Antuanette. Armand spojrzał na nią nieco zdziwiony.

— Wiedziałaś o tym? Wiedziałaś, że jest w ciąży?

— Wtedy nie. Dowiedziałam się kilka dni temu, gdy podsłuchałam niechcący jej rozmowę z Paulem. Wyobraź sobie, że nawet zrobiło mi się jej żal. Gdybyś ją widział... To już nie ta sama dumna i wyniosła Antuanette.

— Rozmawiałem się z nią, dlatego tu jestem.

— Widziałeś się z nią?! — zdziwiła się.

— Wybacz mi, Juliette. Wybacz, że tyle przeze mnie wycierpiałaś. Tak mało brakowało, a skrzywdziłbym ciebie i nasze dzieci.

Patrzyła na niego, niedowierzając jego zapewnieniom. Armand wziął jej drobną bródkę w dłoń i unosząc jej głowę, oznajmił.

— Zostaję tu, we Francji.

— Zostajesz?

— Nie dziw się tak. Przecież wiesz, że jesteś jedyną kobietą, którą kocham.

— Nie biorąc pod uwagę twojej mamy oraz naszej małej Izabelli — zażartowała.

— Dobrze wiesz, co mam na myśli.

— Wiem — odpowiedziała, uśmiechając się uwodzicielsko.

Chciała jeszcze coś powiedzieć. Uniosła lekko głowę i wtedy poczuła jego wilgotne wargi na ustach. Objęła go ramieniem. Tak bardzo była spragniona jego bliskości! Armand, gładząc ją pieszczotliwie po policzku, mówił czułym głosem.

— Dobrze wiesz, że cię zawsze kochałem. Jesteś kobietą mego życia. Nawet nie wiesz, jak bardzo cierpiałem przez ostatni miesiąc.

Juliette zamyśliła się. Gdyby wiedział, co się z nią działo? O mało nie umarła. Jednak teraz chciała cieszyć się chwilą. Dawno nie czuła się taka szczęśliwa. Wszystko, co było, nie miało teraz najmniejszego znaczenia.

Odwrócili głowy i zauważyli, że w drzwiach stoi Jean. Armand i Juliette spojrzeli na niego, jakby dopiero teraz uzmysłowili sobie, gdzie się znajdują.

— Byłem na dole. Paul walczy z Michaelem, a Pierre z jego sługą.

— Chyba powinniśmy im pomóc — powiedział Armand.

— Dasz radę? — spytał Jean.

— Nie rób ze mnie kaleki. Przed chwilą powiedziałeś, że nic mi nie jest — odparł wstając z łóżka.

— Na wszelki wypadek oprzyj się na moim ramieniu — zaproponował młody baron.

Armand nic nie odpowiedział, ale wykonał polecenie przyjaciela. Juliette chwyciła go pod rękę z drugiej strony. Kiedy już byli na dole, ujrzeni Elaine. Stała w szerokich, otwartych drzwiach, prowadzących do salonu. Podeszli do niej i stanęli obok. Najpierw zauważyli walczących obok kominka, Paula i Michaela. Kilka metrów dalej Pierre rozprawiał się ze służącym. Elaine, widząc Jeana, odezwała się do niego błagalnym głosem.

— Pomóż mojemu mężowi, bo ten drab go zabije! On nie przestrzega żadnych reguł walki.

Niewiele myśląc, Jean wyjął szpadę i podbiegł w kierunku walczących mężczyzn. Można by pomyśleć, że przyszedł w samą porę. Pierre został ranny w lewe ramię.

— Pozwól, że ci pomogę — rzekł podchodząc do niego.

W tym momencie potężny sługa spojrział podejrzliwie na barona. Zrozumiał, że to nie przelewki. Zaczął się wycofywać w kierunku bocznego korytarza.

Nagle zniknął za drzwiami, zamykając je za sobą z impetem. Jean i Pierre usłyszeli tylko jego oddalające się kroki. Szybko ruszyli w stronę zamkniętych drzwi.

Elaine podbiegła do Pierre'a.

— Jesteś ranny? Daj, opatrzę ci ranę.

Nie czekając na odpowiedź męża, nachyliła się i oderwawszy jedną z falbanek swej halki, zrobiła mu opatrunek na ramieniu.

— To tylko draśnięcie — rzekł odruchowo.

Spojrzał na Elaine. Najwyraźniej teraz dopiero dotarło do niego, że oboje są

w domu Michaela.

— Co ty tu robisz? — spytał zdziwiony.

— Potem ci wszystko wyjaśnię.

W tym momencie do salonu wszedł potężny sługa. Tym razem, zamiast szpady trzymał w dłoni pistolet. Jean i Pierre spojrzeli na siebie. Wiedzieli, że to się może źle skończyć. Elaine przerażona przytuliła się do męża.

— Nie bój się — uspokajał ją Pierre.

Sługa szedł powoli z wyciągniętym przed siebie pistoletem. Nie zwracając uwagi na stojących z boku Elaine, Pierre'a oraz Jeana, kierował się w stronę walczących Paula i Michaela.

Obaj mężczyźni zaabsorbowani byli walką. Widać było, że oboje są znakomitymi szermierzami. Jak można się było domyślać, żaden z nich nie miał zamiaru ustąpić. Paul miał sporą przewagę nad przeciwnikiem. Nie na darmo przez cztery lata był królewskim muszkietierem.

Michael, co prawda, sprawnie odbierał jego ciosy, jednak widać było, że już w tej walce ucierpiał. Krwawiło mu lewe ramię. Na prawym udzie też miał rozległą ranę, co powodowało, że trochę kulał. Prawdopodobnie dlatego oddany sługa postanowił przyjść mu z pomocą.

— Panie, uważaj! — krzyknął do Michaela.

Obaj walczący mężczyźni spojrzeli w jego stronę. W tym momencie padł strzał. Michael, niewiele myśląc, chwycił przyjaciela za kamizelkę i jednym sprawnym ruchem przyciągnął go w swoją stronę. Sam zaś ostatkiem sił, na chorej nodze, zrobił wielki krok, zasłaniając całym sobą Paula. Za chwilę leżał już na podłodze. Oddychał ciężko. Jak można się było domyślić, kula przeznaczona dla Paula utkwiała w jego piersi. Wszyscy zaniemówili. Sługa, widząc co się dzieje, wybiegł z pokoju z przerażeniem w oczach. Pierre i Jean ruszyli za nim w pościg. Paul został i nachylił się nad leżącym kolegą.

— Coś ty najlepszego zrobił?! — spytał rozpaczliwym głosem.

— On by cię zabił... — Michael mówił z trudem, co chwila łapiąc powietrze.

Paul chciał już powiedzieć: „a tak, to ty umierasz”, ale ugryzł się w język. Ukląkł obok i uniósł głowę przyjaciela, żeby mu było lżej oddychać.

W tym momencie wbiegła do salonu pokojówka. Nie zwracając uwagi na inne osoby, nachyliła się nad leżącym na podłodze Michaeliem. Następnie uklękła i położyła głowę rannego na swych kolanach.

Michael spojrział na nią i rzekł cichym głosem, ciężko łapiąc powietrze.

— Dobrze, że cię widzę. Chciałbym, żebyś wiedziała... Gdyby coś mi się stało, ten dom należy do ciebie. Zapisalem ci go w testamencie.

— Co ty mówisz, panie?! Ja nie chcę tego domu, ja chcę ciebie! — mówiła przez łzy.

Następnie położyła głowę na jego piersi, zanosząc się od płaczu.

— Nie płacz, proszę — mówił dalej Michael.— zapisałem ci również sporą sumę pieniędzy, żebyś miała za co utrzymać dom.

Luiza robiła wrażenie, jak gdyby nie dochodziły do jej świadomości słowa Michaela. Oczy miała pełne łez. Wyjęła batystową chusteczkę i zakryła nią krwawiącą ranę, jakby to miało uratować jego życie. Paul, klęczący obok, obserwował ją w milczeniu. Najprawdopodobniej teraz dopiero do niego dotarło, że jego przyjaciel umiera.

W tym momencie do pokoju wszedł Armand, a za nim Juliette. Widać było, że zarówno markiz, jak i jego żona byli zaskoczeni tym, co ujrzeli. Najbardziej widokiem pokojówki Luizy, klęcząc nad rannym Michaelem. Jej rozpaczliwy płacz było słychać chyba w całym domu. Teraz dopiero wszyscy zrozumieli, jak bardzo go kochała.

— Co mu jest? — spytał Armand.

— Został ranny, źle z nim — odpowiedział Pierre.

Armand nachylił się nad Michaelem. Ten spojrzał na niego wzrokiem wyrażającym błaganie o łaskę.

— Wybacz, przyjacielu, nie chciałem nikogo skrzywdzić. Pomyślałem, że gdy Juliette popłynie z nami... Pierre w końcu pokocha Elaine.

— Co ty mówisz?! — odezwał się Pierre, nachyliwszy się nad rannym przyjacielem. — Przecież ja kocham Elaine.

— Zawsze kochałam Armanda — wtrąciła Juliette, kucając obok głowy Michaela.— Jeśli kiedyś coś czułam lub czuję do Pierre'a, to jest to inny rodzaj miłości. Kocham go raczej jak brata.

— Juliette ma rację — oznajmił Pierre.

— A ja zamartwiałem się, że gdy Armand wyjedzie, moja siostra będzie nieszczęśliwa. Tylko ja wiem, co czuła, ile razy wypłakiwała mi się, myśląc, że kochasz Juliette.

Wszyscy spojrzeli na siebie w milczeniu. Michael miał trochę racji. Przez te wszystkie lata wyczuwało się dziwne iskrzenie między Juliette i Pierre'em. Nikt nie mówił tego głośno, ale prawie każdy z przyjaciół o tym wiedział. Nic dziwnego, że Elaine była zazdrosna o męża. Wyjeżdżał na spotkania w gronie przyjaciół, zostawiając ją samą w domu. Dobrze wiedziała, że bywa tam nawet Antuanette. Czuła się więc niedowartościowana przez męża. Bardzo cierpiała z tego powodu. Michael nie mógł na to patrzeć. Gdy dowiedział się, że Armand ma odpłynąć do Ameryki Północnej, nie spodobało mu się to. Tym bardziej, że Pierre pozostawał w kraju.

Kiedy rozniosło się, że Armand chce opuścić żonę, Elaine bardzo to przeżywała. Można było wyczuć, że jest teraz zazdrosna o męża bardziej, niż kiedykolwiek. Michael widział ją często zdenerwowaną lub z czerwonymi oczami,

jakby przed chwilą płakała. Gdy na to patrzył, serce mu się krajało. Elaine czuła się więc trochę winna temu, co się przed chwilą stało. Podbiegła do brata i uklękła obok Luizy.

— Zrobiłeś to dla mnie? — spytała z niedowierzaniem.

— Tak — odparł cichym głosem Michael.

— To moja wina. Zawracałam ci głowę moimi problemami... — mówiła szlochając.

— Nie płacz, zrobiłem to po to, żebyś już więcej nie płakała.

— Zawołajcie medyka! — krzyknęła Elaine, nagle jakby oprzytomniawszy.

— Jean już poszedł! — odparł Pierre, klękając obok żony i przytulając jej głowę do piersi.

Michael spojrział na nich. Po jego minie można się było domyślić, że jest zadowolony.

— Obiecuj mi, że będziesz dla niej dobrym mężem — mówił z trudem.

— Obiecuję — odpowiedział Pierre i wtedy Michael ujrzał jego szkliste oczy.

Za chwilę Armand i Juliette ukucnęli obok Pierre'a.

— Wybacz mi, nie chciałem cię skrzywdzić — rzekł Michael, zwracając się do Juliette.

— Wiem — odpowiedziała, kiwając głową na potwierdzenie swych słów.

W salonie zapanowała cisza. Słyszeć było tylko cichy płacz Luizy.

Od autorki

Od wielu lat pragnęłam napisać powieść. Pamiętam, że pierwszą książkę zaczęłam pisać w wieku jedenastu lat. Jak łatwo się domyślić, był to słomiany zapał i nic z tego nie wyszło.

Do napisania tej powieści skłoniła mnie wizyta u renomowanego polskiego numerologa, Sylwestra Chordeckiego. Zaskoczył mnie, gdy spytał, kiedy w końcu napiszę powieść. Tak jakby mnie znał, pomyślałam w duszy. Zdziwiłam się, skąd ten mężczyzna, znając tylko moją datę urodzenia, wie, że pragnę napisać powieść, tylko brakuje mi samozaparcia do realizacji tego celu. Nie pamiętam, ile to już razy zaczynałam pisać i za każdym razem brudnopis lądował w szufladzie. Brakowało mi wytrwałości i może wiary w siebie. W każdym razie w szufladach mojego biurka często po wielu latach natrafiałam na rozpoczęte i niedokończone rękopisy moich „powieści”.

Od dawna, chyba jeszcze jako nastolatka, interesowałam się astrologią. Nurtowały mnie wtedy relacje międzyludzkie. Dziwiłam się, dlaczego tak się dzieje, że spotykając jakieś osoby, o niektórych natychmiast zapominamy, a z innymi się zaprzyjaźniamy, czy nawet obdarzamy je miłością. Często słyszy się, że nie uroda jest najważniejsza, lecz nasze wnętrze, to co sobą reprezentujemy. Od numerologa dowiedziałam się (tak naprawdę on utwierdził mnie w tym, co już dawno wiedziałam), że nasza dusza pamięta poprzednie wcielenia. Stąd podświadomie kogoś nie lubimy, chociaż nie dał do tego żadnego powodu, lub na odwrót, ktoś wydaje nam się sympatyczny, nie wiadomo dlaczego. Dlatego istnieje miłość od pierwszego wejrzenia. Zazwyczaj odnajdują się wtedy dwie dusze bliskie sobie w którymś z poprzednich wcieleń. My tego nie pamiętamy, ale nasza podświadomość pamięta wszystko. To są te związki karmiczne. Musimy spłacić „długi karmiczne”, zaciągnięte w którymś z poprzednich wcieleń.

Jak już wspomniałam, do napisania powieści o takiej treści natchnęła mnie rozmowa z numerologiem. Gdy podałam mu daty urodzenia: moją i mężczyzny, którego pokochałam od pierwszego wejrzenia i pomimo upływu lat nie mogę o nim zapomnieć, opowiedział historie naszych poprzednich wcieleń. Nawet nie byłam za bardzo zdziwiona, bo wiedziałam, że uczucie, które nas łączyło, było odmienne od relacji z innymi mężczyznami w moim życiu. Oparte było w dużej mierze na więzi dusz i przyjaźni. Przynajmniej ja tak to odczuwałam. Na następnej wizycie przedstawiłam daty urodzenia dwóch innych osób, którym na mnie zależało, które może nawet mnie kochały, ale ja, zaślepiona miłością do innego, nie umiałam tego docenić. Okazało się, że wszyscy żyliśmy na południu Francji za czasów króla Ludwika XV! Zafascynowało mnie to. Teraz już wiem, dlaczego lubię taki przepych, jeśli chodzi o biżuterię, dlaczego wolę sukienki niż spodnie. Szczególnie

długie, powłóczyste suknie pobudzały moją wyobraźnię. Co ciekawe, moja pierwsza powieść, wymyślona w wieku jedenastu lat, miała opowiadać o zaprzyjaźnionych hrabinie i księżnej, które obiecały sobie, że ich wnuczek i wnuczka pobiorą się. Pamiętam, że gdy chodziłam do przedszkola, a potem do młodszych klas szkoły podstawowej, ciągle rysowałam księżniczkę w długiej pięknej sukni na tle pałacu. Moją mamę zawsze wprawiało to w zakłopotanie. Czyż nie jest dziwne, że właśnie to usłyszałam od numerologa, opisującego moje poprzednie wcielenia? Wtedy wiele rzeczy zrozumiałam, ułożyło mi się wszystko w jedną całość.

Powieść moja opisuje bohaterów w dwóch poprzednich wcieleniach. Pierwsze wcielenie jest potraktowane dość marginalnie. Chodziło mi jedynie o zarys głównych postaci i, co najważniejsze, o zaznaczenie, że znały się już wtedy i coś je łączyło. Wodze fantazji, poparte wiadomościami, których się dowiedziałam, pozwoliły mi wykreować moich bohaterów i opisać ich w drugim wcieleniu z okresu baroku. Dla ułatwienia imiona postaci w obu wcieleniach pozostają takie same. Czytelnik z pewnością się domyślił, że chodzi o trójkę głównych bohaterów: Juliette, Pierre'a i Armanda.

Na zakończenie chciałabym złożyć szczególne podziękowania Panu Sylwestrowi Chordeckiemu za inspirację i pomoc w pisaniu powieści.

J. Maloy

